

JACK DU BRUL

**PROJEKT
“KUŹNIA WULKANA”**

23 MAJA 1954 ROKU

Cienki sierp księżyca na nocnym niebie wyglądał jak iro-
niczny uśmiech. Łagodna bryza ze wschodu rozwiewała pióro-
pusz duszącego dymu, który wydobywał się z jedyne-
go komina rudowca „Grandam Phoenix”. Ogromny statek leniwie kołysał
się na falach Oceanu Spokojnego dwieście mil na północ od
Hawajów. Wkrótce jednak spokój nocy miał prysnąć jak bańka
mydlana.

„Grandam Phoenix” odbywał dziewiczy rejs; ledwie dwa
miesiące wcześniej zjechał z pochylni w Kobe. Montaż wyposa-
żenia i próby oceaniczne przeprowadzono w wielkim pośpiechu,
żeby statek jak najszybciej zaczął zarabiać na spłatę ogromnych
kredytów, zaciągniętych przez firmę na jego budowę. Wyko-
rzystanie najnowszych rozwiązań w zakresie bezpieczeństwa
i prędkości sprawiło, że jednostka ta była wzorcowym modelem
wyspecjalizowanego frachtowca. Druga wojna światowa poka-
zała, że wydajność takiego statku jest znacznie ważniejsza niż
koszty projektu i budowy. Właściciele uważali, że ich najnowszy
nabytek będzie tego potwierdzeniem nie tylko w odniesieniu do
okrętów wojennych, ale także statków cywilnych. Stutrzydzie-
stodwumetrowy rudowiec miał się stać okrętem flagowym swojej
linii w czasie, gdy na kwitnących rynkach handlowych regionów
Oceanu Spokojnego rozwijał się transport dalekomorski.

Wkrótce po objęciu dowodzenia „Grandam Phoeniksem” kapitan Ralph Line dowiedział się, że statkowi wyznaczono zupełnie inne zadanie niż zadeklarowano towarzystwu ubezpieczeniowemu.

Bardzo szybko po wprowadzeniu w życie ubezpieczeń morskich pozbawieni skrupułów armatorzy i załogi celowo zatapiali statki, żeby wyłudzić znaczne odszkodowanie. Ubezpieczyciele musieli płacić, chyba że któryś z marynarzy wyjawiał prawdę. Za zatopienie „Grandam Phoeniksa” załoga miała dostać tyle, by opłaciło się zachowanie milczenia. Gdyby plan oszustwa się powiódł – a wszystko na to wskazywało – właściciele mogli liczyć na dwadzieścia milionów dolarów odszkodowania za rudowiec, a także za utratę ładunku, którym według deklaracji był boksyt z Malezji; w rzeczywistości bezwartościowy żwir.

Kapitan Line wyglądał jak rasowy wilk morski. Twardziel o głosie zniszczonym przez alkohol i papierosy stał pewnie na rozkołysanym pokładzie z niedopałkiem lucky strike’a w zębach, patrząc w dal. Po chwili wypluł go za burtę i zapalił drugiego papierosa.

Przez całą II wojnę światową Line służył w amerykańskiej marynarce handlowej. Większe straty ponosiła wtedy tylko marynarka wojenna, dlatego służbę tę uważano za dobrą dla szaleńców albo samobójców. A jednak Line nie tylko przeżył, ale i awansował. W roku 1943 został kapitanem i dowodził statkami transportującymi żołnierzy i zapasy w samo serce wojny na Oceanie Spokojnym. W przeciwieństwie do wielu kolegów nie stracił ani jednego okrętu.

Po zakończeniu wojny musiał pogodzić się z tym, że nie dla wszystkich marynarzy znajdzie się zajęcie na statkach. Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych ruszył więc na Daleki Wschód, gdzie – jak wielu jankeskich kapitanów – dowodził każdą jednostką, którą mu dawano. Transportował podejrzone ładunki dla „szemranych” firm i nauczył się trzymać język za zębami.

Gdy skontaktowali się z nim właściciele „Grandam Phoenixa”, Line uznał, że trafia mu się życiowa szansa. Nie musiałby już dłużej żebrać o statek, kupczyć swoimi przekonaniem, żeby tylko zostać na morzu. Miał okazję objąć jeszcze raz komendę nad jednostką, mógł znów poczuć kapitańską dumę. O tym, jak „Grandam Phoenix” ma skończyć, dowiedział się dopiero po podpisaniu kontraktu. Potrzeba było dwóch dni i sporej sumki, żeby gorycz ustąpiła miejsca zgodzie.

Stał teraz na mostku z papierosem w zębach, trzymając w spracowanej dłoni kubek stygnącej kawy. Popatrzył na mroczne odmęty oceanu i zaklął. Myślał ze wstrętem o tych przeklętych prezesikach, którzy bez mrugnięcia okiem skazywali na zagładę taki wspaniały statek. Nie rozumieli więzi kapitana ze swoim okrętem. Z chęci zysku gotowi byli zatopić tę cudowną, żywą przecież, istotę. Na samą myśl robiło mu się niedobrze. Nienawidził sam siebie za to, że dał się przekupić i uczestniczył w tym haniebnym procederze.

– Podajcie pozycję – warknął.

Zanim sprawdzono współrzędne, jeden z członków załogi pochylił się nad ekranem radaru.

– Mamy kontakt, dwanaście mil, dokładnie na wprost – powiedział spokojnym głosem.

Line rzucił okiem na czasomierz zawieszony na grodzi po jego lewej stronie. To mógł być statek, który miał wziąć ich na pokład, kiedy „Grandam Phoenix” pójdzie na dno. Czekali dokładnie w umówionym miejscu i czasie.

– Świetna robota.

Wcześniej otrzymał bardzo dokładne i nieco dziwne instrukcje dotyczące miejsca, kursu i czasu zatopienia statku. Wybrano północny obszar Oceanu Spokojnego, znany z nieprzewidywalnej pogody, która mogła się tu bez żadnego ostrożenia zmienić ze spokojnej aury w śmiertelnie niebezpieczny sztorm. Zabójczy żywioł miał sprawić, że statek pójdzie na dno. Ustalono, iż w czasie dochodzenia postępowania wyjaśniającego przyczynę zatonięcia „Grandam Phoenixa” jednostka ratunkowa potwierdzi wymyśloną wcześniej historię.

– Panowie, wiecie, co robić – mruknął Line i od niedopałka, który trzymał w palcach, przypalił kolejnego papierosa. – Maszyny stop, ster dziewięćdziesiąt i pół stopnia na północ.

Niezwykle dokładne, ale trudne do wytłumaczenia ustalenie statku wynikało z ostatnich rozkazów, które otrzymał od szefostwa firmy. Nie wyjaśnili powodów, a Line wiedział, że lepiej w to nie wnikać. Obroty silnika spadły, dochodzący z maszynowni łoskot zmienił się w szum, aż w końcu zamarł. Młody marynarz gwałtownie zakręcił kołem sterowym.

– Ster?

– Zbliżamy się do dziewięćdziesięciu siedmiu stopni, sir.
Według rozkazu.

– Odległość?

– Jedenaście mil.

Line podniósł mikrofon radiotelefonu i wybrał kanał wewnętrzny statku.

– Słuchajcie uważnie. Zajęliśmy pozycję. Członkowie załogi niebędący na służbie mają zająć miejsce w łodziach ratunkowych. Mechanicy wyłączą kotły w trybie awaryjnym i na mój znak otworzą zawory wodne. Przygotować się do opuszczenia statku.

Powoli rozejrzał się po mostku, rejestrując w pamięci każdy szczegół.

– Przykro mi, skarbie – mruknął.

– Dziesięć mil – zawołał operator radaru.

– Otworzyć zawory. Opuścić statek. – Linc odłożył mikrofon i nacisnął guzik. Rozległo się zawroźnienie syreny alarmowej. Jak jęk człowieka na łożu śmierci, pomyślał.

Zaczekał na mostku, aż cała załoga zebrała się na pokładzie. Chciał spędzić kilka minut sam na sam ze statkiem, nim go opuści. Zacisnął dłonie na dębowych rumplach koła sterowego. Drewno było tak nowe, że czuł wbijające się w skórę nierówności. Nigdy już nie nabierze gładkości, nie zostanie wygładzone ciągłym dotykiem sternika. Zbutwieje gdzieś na dnie oceanu.

– Niech to szlag – powiedział na głos i szybko zszedł z mostka.

Minęły już czasy, kiedy załoga schodziła do podskakujących na falach łodzi po sieciach zwisających z burty. Armator

„Grandam Phoenixa” nie oszczędzał na wyposażeniu swojego statku flagowego w najnowocześniejsze środki bezpieczeństwa. Pierwsza wypełniona ludźmi łódź ratunkowa chybotwała się już pod ramieniem żurawia. Dźwigowy zaczekał, aż kapitan skinął głową, i natychmiast zaczął opuszczać szalupę na wodę.

Gdy Linc wsiadał do drugiej łodzi, ciepła, nocna bryza wciskała mu w oczy papierosowy dym. Mężczyźni siedzący w szalupie byli przygnębieni, mieli poszarzałe twarze. Nikt się nie odezwał, nikt nie podniósł głowy, kiedy Linc skinął na dźwigowego.

Marynarz przesunął dźwignię i bloczki, które spuszczały łódź, zazgrzytały. Szalupa opadła z głośnym pluskiem, a wokół wystrzeliły spienione bryzgi wody. Dwóch marynarzy natychmiast wstało, by odczepić liny łączące ją z tonącym rudowcem.

Linc objął dowództwo łodzi, chwytając jedną ręką rumpel steru, a drugą zwiększając moc pracującego na wolnych obrotach silnika. Szalupa powoli odpłynęła od statku. Marynarze odwracali głowy, by jeszcze raz spojrzeć na tonący statek. Echo syreny alarmowej odbijało się pustym dźwiękiem wśród fal.

Dopiero po piętnastu minutach można było dostrzec przechył statku, ale potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Rufa wynurzyła się z wody, połyskując w nikłym świetle dwiema potężnymi śrubami napędowymi. Usłyszeli, jak puszczają mocowania kotłów, które z hukiem runęły na ściany maszynowni. Tysiące ton żwiru z głośnym szumem wysypywały się przez burty wprost do oceanu.

Kapitan nie chciał patrzeć na śmierć swojej jednostki. Nie spuszczał wzroku z przygaszonych świateł odległego statku ratunkowego. Za każdym razem jednak, gdy dobiegały go przedśmiertne jęki „Grandam Phoenixa”, jego twarz wykrzywił grymas.

Czekał na nich niewielki statek. Dwustusiedemdziesięciometrowy towarowiec, jeden z tych, które marynarze nazywali patyczakami ze względu na las dźwigów i żurawi na pokładzie. Pośrodku kadłuba wyrastała kanciasta nadbudówka, z prostym kominem na szczycie. Gdy obie szalupy zbliżyły się do statku, Line naliczył dwunastu ludzi przy poręczy bak-burty. Skierował łódź w ich stronę.

– Kapitan Line, jak się domyślam? – dobiegł z góry wesoły głos.

– Tak, to ja.

W odpowiedzi posłali serię z radzieckich pepesz. Magazynek bębenny karabinu mieścił pięćdziesiąt sztuk amunicji, a strzelcy opróżnili je do ostatniego naboju. Kakofonia krzyków i wrzasków, zmieszana ze strzałami i odgłosami rykoszetów, była ogłuszająca. Na dnie łodzi pojawiły się kałuże krwi, a jej słodkawy zapach mieszał się ze swądem prochu.

Zbryzgany krwią Line spojrział z osłupieniem w górę, zdumiony, że ciągle żyje. Gniew, strach i ból rozpałały jego umysł, ale emocje i wrażenia powoli tonęły w ogarniającej go ciemności.

Gdy zamki karabinów zaczęły sucho trzaskać, strzelcy opuścili broń. Widok łodzi zdawał się koszmarną sceną z horroru. Wszędzie było pełno krwi, na dnie szalupy leżały okaleczone

zwłoki, przez dziury wlewała się woda, tworząc różową pianę. Po chwili obie łodzie wywróciły się do góry dnem, wyrzucając ciała marynarzy do oceanu. I natychmiast pojawiły się zwabione zapachem krwi rekiny.

Samotny, nieuzbrojony mężczyzna stojący na pokładzie statku uważnie przyglądał się masakrze. Chyba nie przekroczył jeszcze trzydziestki, a jednak miał autorytet, jakim mogło cieszyć się niewielu ludzi nawet dwukrotnie starszych od niego. Gdy szalupy wywróciły się, skinął do dowódcy strzelców i wszedł do nadbudówki.

Chwilę potem przykucnął w ładowni frachtowca. Światła padające ze wskaźników sprzętu obliczeniowego i sonaru, upchniętych w ciasnym luku towarowym, nadały jego skórze upiorny wygląd.

– Głębokość celu? – rzucił.

Celem naturalnie był tonący „Grandam Phoenix”.

– Tysiąc osiemset metrów, opada z prędkością czterdziestu pięciu metrów na minutę informował technik, który pochylał się nad ekranem sonaru.

Mężczyzna spojrział na zegarek i zapisał w notatniku kilka cyfr. Potem jeszcze raz popatrzył na zegarek.

– Dwie minuty i zaczynamy.

W pomieszczeniu panował hałas. Zza stalowych ścian ładowni docierały odgłosy pracy diesli, a wentylatory klimatyzatorów, niezbędnych do schładzania komputerów, brzmiały jak wirniki śmigłowców.

Siedmiu mężczyzn znajdujących się w luku towarowym mogłoby jednak przysiąc, że w ciągu tych dwóch pełnych napięcia minut panowała kompletna cisza. Byli zbyt skupieni na swoim zadaniu, by zwracać uwagę na cokolwiek.

– Teraz – powiedział młody człowiek z niewymuszonym spokojem w głosie.

Jeden z członków załogi przełączył kilka włączników. Nic się nie stało.

Ubrany po cywilnemu mężczyzna zaczął liczyć półgłosem.

– Cztery... trzy... dwa... jeden.

Fala uderzeniowa, która miała swoje źródło ponad dwa kilometry pod powierzchnią oceanu, musiała przebyć kolejnych dziesięć mil, żeby dotrzeć do statku, a jednak zajęło jej to tylko pięć sekund. Miliardy litrów wody wyparowały w kuli ognia, której temperatura sięgała stu tysięcy stopni. Główna fala uderzeniowa pomknęła w górę z prędkością dwustu czterdziestu kilometrów na godzinę i wyrzuciła na powierzchnię potężną kopułę wody o średnicy ośmiuset metrów. Kopuła unosiła się w powietrzu przez dziesięć sekund, jakby zaprzeczając prawom grawitacji, po czym opadła, z rykiem wypełniając dwukilometrową dziurę w Oceanie Spokojnym.

Frachtowiec, schwytyany przez stworzoną przez człowieka Charybdę, miotał się na wszystkie strony, jakby dopadł go huragan, kadłub to wynurzał się całkowicie z wody, to znów zapadał w otchłań. Młody mężczyzna, architekt całej tej operacji zniszczenia, przez chwilę obawiał się, że być może zostawił sobie zbyt mały margines bezpieczeństwa, podpływając tak

blisko epicentrum wybuchu. Nim jednak obawa zdołała skruszyć lodowatą maskę na jego twarzy, powierzchnia oceanu zaczęła się uspokajać. Potężne fale opadły, a porywisty wiatr, wywołany przez opadający słup wody, ustał.

Statek ciągle niebezpiecznie się kołysał i mężczyzna dopiero po kilku minutach dotarł na pokład. Na horyzoncie, w słabej poświacie księżyca, tuż nad wodą unosiła się cieniutka warstwa pary.

– Położyłem fundamenty pod „Kuznię Wulkana”.

WASZYNGTON, CZASY WSPÓCZESNE

Jedyna rzecz, która podobała się prezydentowi w jego nowej pracy, to fotel w Gabinetcie Owalnym. Miał wysokie oparcie, wygodne siedzisko i zrobiony był z najmiększej skóry, jakiej kiedykolwiek dotykał. Często, gdy wszyscy współpracownicy wyszli, siadał na fotelu i wspominał sielskie czasy młodości. Zajął najwyższe stanowisko w państwie, spełniając swoje życiowe ambicje, czasem jednak zastanawiał się, czy nie zapłacił zbyt wysokiej ceny. Napięcia związane z jego karierą zrobiły z cudownej dziewczyny, którą poślubił, pozbawioną emocji maszynę. Przyjaciele, poznani przez te wszystkie lata, okazali się bandą pochlebców, liczących jedynie na korzyści. Stan zdrowia, niegdyś idealny, pogarszał się, przez co w wieku sześćdziesięciu dwóch lat czuł się o dziesięć lat starszy.

Bywało, że siedział tak całą noc przy zgaszonych światłach, żeby ochrona po drugiej stronie ulicy nie myślała, że ślęczy po nocach, i wspominał młodzińcze dni spędzone w Cincinnati. Brakowało mu wspólnego popijania piwa z kumplami, imponowania wymalowanym, pulchnym dziewczynom sztuczkami na stole bilardowym i mówienia tego, co się myśli, gdy ktoś go wkurzył.

Idealny powód, dla którego tęsknił za wolnością, siedział na wprost niego, ubrany zgodnie z afrykańską modą w powiewną szatę, turban i sandały. Był to ambasador jednego z nowo powstałych krajów Afryki. Wysoki mężczyzna o ironicznym spojrzeniu, bagatelizujący niemal każdą sprawę, którą omawiali.

Lekceważąco machając ręką, dowodził, że dane zebrane przez Czerwony Krzyż, ONZ i CIA są nieprawdziwe, że jego rząd nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek eksterminacją plemion poprzez głód lub celowe rozprzestrzenianie chorób. Twierdził też, że władze jego kraju troszczą się o wszystkie plemiona i że cierpi cały naród, nie tylko mniejsze, politycznie mniej znaczące grupy plemienne.

Gówno prawda, chciał krzyknąć prezydent i jednym ciosem zetrzeć z twarzy tamtego uśmiezek zadowolenia. Opanował się jednak.

Będzie musiał wydusić z siebie parę frazesów w rodzaju: „Nie postrzegamy waszej sytuacji w taki sposób, jednak chcemy dokładniej jej się przyjrzeć”.

Teraz jednak jego uwagę zwrócił błysk pojawiający się spod krawędzi biurka. Światelko ostrzegawcze, sygnał od szefowej sztabu Białego Domu. Od sześciu miesięcy – tyle trwała już kadencja – nie licząc cotygodniowych rutynowych testów, zapaliło się po raz pierwszy. Przedtem oficjalnie użyto tej formy ostrzeżenia w sierpniu 1991 roku, gdy w Moskwie doszło do puczu.

Prezydent szybko wstał i maskując konsternację dyplomatycznym uśmiechem, wyciągnął rękę, co było znakiem dla ambasadora, że wizyta dobiegła końca.

– Nie postrzegamy waszej sytuacji w taki sposób, jednak chcemy dokładniej jej się przyjrzeć. Dziękuję za przybycie, ambasadorze.

– Dziękuję, panie prezydencie, za poświęcony mi czas – odparł kwaśno ambasador; według ustaleń spotkanie miało trwać jeszcze pół godziny.

Wymienili uściski dłoni, ambasador odwrócił się i szeleszcząc szatami, opuścił Gabinet Ovalny. Prezydent usiadł i zdążył potrząsnąć skronie, nim otworzyły się drugie drzwi. Zdumiało go, że zamiast szczupłej sylwetki Catherine Smith, szefowej sztabu, zobaczył Richarda Henne, nowego szefa FBI; spośród ważnych prezydenckich kandydatów, do tej pory tylko jego zaaprobował Kongres. Jak zwykle targi wewnątrz izby wstrzymywały pracę rządu i kosztowały podatników dziesiątki milionów dolarów.

Henna był karierowiczem, któremu jednak udało się nie nadepnąć na odcisk niewłaściwej osoby. Przepracował w firmie trzydzieści lat bez rozgłosu, ale zyskując szacunek. Prowadził przykładne życie rodzinne, mieszkał w domu na przedmieściu. Żadnych trupów w szafie. Wyrobił sobie tak dobrą reputację, że partia opozycyjna nie trudziła się badaniem jego przeszłości.

Prezydent, który lubił Henne za jego niepodważalną prawość, uśmiechnął się, widząc szefa FBI w drzwiach gabinetu. Uśmiech jednak zniknął, gdy zobaczył, że Henna, nigdy niebędący wzorem elegancji, teraz wyglądał okropnie. Oczy miał podpuchnięte

i przekrwione, a ostre rysy twarzy nikły pod gęstym zarostem. Był w pomiętym garniturze, koszula wyglądała tak, jakby w niej spał, na przekrzywionym krawacie widniały plamy.

– Chyba powinieneś napić się kawy, Dick. – Prezydent próbował nadać swojemu głosowi lekki ton, żeby rozwiać nieco atmosferę przygnębienia, która nagle wypełniła gabinet. Dało to tyle, ile zapalenie świeczki w ciemnym lesie.

– Chyba raczej coś mocniejszego, sir.

Prezydent skinął głową w kierunku stoliczka, służącego za barek, i Henna nalał sobie potrójną szkocką. Ze szklanką w ręku opadł na fotel, ten sam, który przed chwilą zajmował afrykański ambasador. Położył na kolanach teczkę i wyjął z niej cienki fioletowy folder. Okładka opatrzona była stemplem: „Tylko dla oczu prezydenta”.

– Co się dzieje, Dick? – Prezydent nigdy nie widział Henny w tak ponurym nastroju.

– Sir – zaczął Henna drżącym głosem – dziś w nocy, tuż po dwunastej ogłoszono, że około dwustu mil na północ od Hawajów zaginął statek Narodowej Agencji Oceanów i Atmosfery „Ocean Seeker”. Samoloty zwiadowcze znalazły tylko szczątki unoszące się na wodzie. Znajdujący się w pobliżu frachtowiec pomaga w poszukiwaniach, ale na razie nie wygląda to zbyt dobrze.

Prezydent pobladł i zacisnął pięści. Jednak nie zasiadł w tym gabinecie dlatego, że łatwo poddawał się emocjom. Jego umysł pozostał jasny i logiczny.

– To straszna tragedia, Dick, ale nie widzę, jaki to ma związek z tobą albo FBI.

Henna zdziwiłby się, gdyby to pytanie nie padło. Przesunął akta po blacie biurka i pociągnął kolejny łyk szkockiej.

– Niech pan przeczyta pierwszą stronę.

Prezydent otworzył folder i zaczął czytać. Po kilku chwilach krew odpłynęła mu z twarzy, a wokół oczu pojawiły się zmarszczki. W skupieniu, spod przymrużonych powiek wpatrywał się w papier.

Nim skończył czytać, odezwał się Henna.

– Zwróciłem na to uwagę dwa dni temu, gdy udowodniono, że napisał to Ohnishi. i nie pod przymusem. Natychmiast skontaktowałem się ze strażą przybrzeżną i marynarką. Nie mieli informacji o żadnym ruchu do ani z wysp, więc doszedłem do wniosku, że mamy chwilę na oddech.

Głos Henny załamał się. – Nie kontaktowałem się z NOAA*, kompletnie o nich zapomniałem. Ostrzeżono mnie, że każda jednostka rządowa wypływająca z Hawajów zostanie zniszczona. Miałem to cholerne ostrzeżenie w rękach. Oni nie musieli umierać.

Prezydent spojrział na niego. Twarz szefa FBI wyrażała ból, poczucie winy i przygnębienie.

– Spokojnie, Dick. Ile osób o tym wie?

– Oprócz nas jeszcze trzy. Urzędnik odpowiedzialny za korespondencję, moja zastępczyni, Marge Doyle, i grafolog.

Prezydent spojrział na zegarek.

– Jestem umówiony na lunch z przewodniczącym Izby Reprezentantów i jeśli odwołam... Wolę nawet nie myśleć, co by się stało. Terminarz dzisiejszego dnia mam wypełniony. Tu, w Waszyngtonie, działamy po staremu, ale zgodnie z jego żądaniami wstrzymam wszelki ruch do i z Hawajów. Nie mam zamiaru ulegać Ohnishiemu, ale potrzebujemy czasu. Wydam rozkaz postawienia w stan pełnej gotowości jednostek na Pearl Harbor. Od czasu, gdy dwa tygodnie temu wybuchły zamieszki, i tak są w pogotowiu, ale rozsądnie będzie ogłosić najwyższy stan alarmowy. Spotkajmy się dziś wieczorem o dziewiętej w pokoju sytuacyjnym, omówimy sprawę i możliwe warianty reakcji. Przyjdź tunelem z budynku Departamentu Skarbu, żeby nie wzbudzać zbędnych podejrzeń.

– Dobrze, panie prezydencie. Czy ma pan dla mnie jakieś polecenia? – Henna powoli wracał do równowagi.

– Zakładam, że zacząłeś już dokładnie prześwietlać tego Takahiro Ohnishiego?

Henna przytaknął.

– Wybadaj, do czego zmierza. Wszyscy wiedzą o jego rasistowskich poglądach, ale to, co zrobił, jest zbrodnią. Chcę też wiedzieć, skąd wziął środki na takie przedsięwzięcie, jak zniszczenie statku. Ktoś zaopatruje go w broń i trzeba z tym skończyć.

– Tak jest – powiedział Henna i wyszedł z gabinetu.

Prezydent włączył stojący na biurku interkom. Natychmiast zgłosiła się jego osobista sekretarka, Joy Craig.

– Joy, przygotuj spotkanie w pokoju sytuacyjnym. Dziś wieczorem. Powiadom przewodniczącego Kolegium Szefów

Połączonych Sztabów, szefów CIA, NSA i NOAA, sekretarza stanu i sekretarza obrony.

Do chwili zaprzysiężenia większość z tych osób pełniła tylko obowiązki szefów swoich agencji, jednak ten kryzys nakazywał zaufać im tak, jakby zostali już powołani.

Prezydent zanurzył się w fotelu. Siedział bez ruchu z kamienną twarzą wpatrywał się w obszytą złotym szamerunkiem amerykańską flagę, stojącą przy drzwiach. Leżące na kolanach ręce drżały.

W światłach taksówki, zaparkowanej przed kamienicą w Arlington w stanie Wirginia, krople deszczu wyglądały jak srebrzyste koraliki. Pasażer dał kierowcy szeleszczący pięćdziesięciodolarowy banknot i nie chciał reszty. Otworzyły się tylne drzwi, mężczyzna chwycił dwie skórzane torby i wysiadł.

Philip Mercer zawsze uważał, że międzynarodowe lotniska to bezpaństwowe otchłanie piekieł, suwerenne społeczności, sprzymierzone tylko ze sobą, niezwiązane w żaden sposób z państwami, w których się znajdują. Jego samolot wylądował na lotnisku Waszyngton-Dulles półtorej godziny temu, ale dopiero teraz poczuł, że wrócił do Stanów. Chociaż chłodny deszcz przynosił ulgę jego wysuszonym zatokom, Mercer mruczał pod nosem, bo kolejny raz usiłował otworzyć zamek frontowych drzwi niewłaściwym kluczem. Nie zastanawiał się już, dlaczego zawsze, gdy miał zajęte ręce, nie mógł trafić na odpowiedni klucz, a gdy ręce miał puste, wybierał ten właściwy.

Nareszcie w domu, pomyślał, wchodząc do przedpokoju i uśmiechnął się do siebie. Po raz pierwszy od pięciu lat, czyli od kiedy się tu wprowadził, nazwał tę kamienicę swoim domem.

– Chyba zaczynam się uszatkowywać – powiedział do siebie z lekką pretensją w głosie.

Z zewnątrz budynek wyglądał tak samo, jak piętnaście domów stojących po tej stronie ulicy. Jednak po wejściu do środka wszelkie podobieństwa do innych kamienic, zbudowanych w latach czterdziestych, zniknęły. Mercer dosłownie wypatroszył dwupiętrowy budynek i całkowicie przebudował jego wnętrze. Z wysokiego na dziewięć metrów wejścia, które zajmowało trzecią część frontu, głębokiego na ponad dwadzieścia metrów budynku, widział bibliotekę na pierwszym piętrze oraz znajdującą się nad nią sypialnię. Bogato zdobione, kręte schody, ocalone przez zniszczeniem z XIX-wiecznej plebani, łączyły parter z górnymi piętrami.

Wszystkie meble znajdowały się na miejscu, jednak w pokojach wciąż brakowało wielu osobistych rzeczy i bibelotów, które nadają wnętrzu osobisty charakter. Na stoliczkach i półkach nie było pamiętek, puste ściany błagały o zdjęcia lub obrazy. Wystrój gabinetu sporo mówił o jedynym domowniku, chociaż wiele, mniej lub bardziej subtelnym drobiazgom leżało ciągle w nierozpakowanych pudłach.

Mercer postawił torby koło drzwi i przeszedł przez rzadko używany salon, kierując się ku tyłowi domu. Minął wyłożoną dębową boazerią salę bilardową i kuchnię, wszedł do gabinetu

i położył na obitym skórą blacie szerokiego biurka cienką ak-
tówkę.

Wchodząc na piętro tylnymi schodami, zatrzymał się na półpiętrze i zaklął pod nosem. Telewizor w pokoju rekreacyj-
nym był włączony, głos przyciszony tak, że ledwo słyszalny. Przyciemnione światła wokół mahoniowego barku roztaczały
ciemnopomarańczowy blask. Spod koca skrywającego obły kształt widoczny na kanapie dobiegło pochrapywanie. Mercer wszedł za kontuar i włożył do odtwarzacza płytę Erica Claptona. Uśmiechając się złośliwie, nacisnął „play” i obrócił pokrętko do maksimum.

Markowe głośniki zatrzęsły butelkami i szklankami za bar-
kiem. Harry White obudził się, usiadł i patrzył półprzytomnie. Mercer wyłączył sprzęt i wybuchnął śmiechem.

– Ty draniu, powiedziałem, że możesz skorzystać z mojego domu, ale nie wprowadzać się na stałe.

Harry z trudem dochodził do siebie. Na jego twarzy ciągle były widoczne resztki snu. Po chwili rzucił okiem na wysypujące się z popielniczki niedopałki, talerze z resztkami jedzenia i dwie puste butelki po whisky.

– Witaj w domu, Mercer. Myślałem, że wracasz jutro. – Głos Harry’ego przypominał kruszarkę do kamieni.

– Jak widać, źle myślałeś. – Mercer uśmiechnął się znacząco.
– Udana impreza?

Harry przesunął ręką po krótko ostrzyżonych siwiejących włosach.

– Nie bardzo pamiętam.

Philip znów parsknął śmiechem tak zaraźliwym, że mimo potężnego kaca, który męczył HarTy'ego, on także się uśmiechnął.

Mercer wyciągnął dwa heinekeny z pamiętającej lata pięćdziesiąte lodówki i otworzył je mosiężnym otwieraczem umieszczonym pod bogato zdobionym blatem barku. Pierwszą osuszył czterema dużymi łykami, drugą opróżnił powoli.

– Jak podróż? – zapytał Harry, przypalając papierosa.

– W porządku, tylko wyczerpująca. W ciągu sześciu dni wygłosiłem siedem wykładów w całej Afryce Południowej, dodatkowo miałem kilka spotkań z najlepszymi inżynierami jednej z firm górniczych.

W ciemne okna stukały krople deszczu.

Philip Mercer był inżynierem górnictwa i konsultantem. Zdaniem ludzi z branży specjalistą najlepszym na świecie. O jego pomysły i rady zabiegały niemal wszystkie konsorcja górnicze. Żądał astronomicznych honorariów, ale firmy nie wahały się przed podpisywaniem czeków, ponieważ przychody wynagradzały im to z nawiązką.

Od lat dziesiątki korporacji zabiegały, by mieć Mercera na wyłączność, ten jednak grzecznie odmawiał, mówiąc zawsze to samo:

– Rozsądek odpowiada za mnie. Nie, dziękuję.

Zachował sobie prawo do odmowy. Świadomość posiadanych umiejętności i niezależność pozwalały mu żyć według własnych, nieco dziwacznych standardów, a gdy zachodziła potrzeba, mógł powiedzieć zleceniodawcy, żeby się odwalił.

Osiągnięcie niezależności wymagało, co oczywiste, wielu wysiłków. Wkrótce po zrobieniu doktoratu zaczął pracować dla USGS, agencji naukowo-badawczej, zajmującej się problemami z zakresu nauki o Ziemi. Przez dwa lata dokonywał głównie rutynowych inspekcji kopalni, które współpracowały z USGS jako ośrodki sejsmiczne. Robota była nudna, monotonna i bezsensowna. Mercerczuł, że pod ciężarem biurokracji jego bystry umysł ulega stępieniu. Obawiając się postępującego zaniku mózgu, zrezygnował.

Zdawał sobie jednak sprawę, że potrzeba niezależności nigdy nie pozwoliłaby mu dłużej pracować dla żadnej organizacji, dlatego postanowił pracować na własny rachunek. Postrzegał siebie jako niezależnego specjalistę, którego zadaniem jest pomoc w rozwiązywaniu trudnych problemów, jednak wiele osób z branży uważało go za intruza. Przez siedem miesięcy, odbywając setki rozmów telefonicznych z byłymi instruktorami z Uniwersytetu Stanowego w Pensylwanii i Wyższej Szkoły Górniczej stanu Kolorado starał się o zdobycie pierwszego zlecenia na konsultacje, dotyczące potwierdzenia próbných raportów z pokaźnego złoża złota na Alasce, których potrzebowało szwajcarskie konsorcjum inwestycyjne. W trzy miesiące zarobił dwa razy tyle, ile przez rok na rządowej posadzie i pozbył się wszelkich wątpliwości. Kolejne zlecenie przyszło z Namibii – chodziło o kopalnie uranu. Wystarczyło kilka lat, by wyrobił i ugruntował sobie pozycję, a teraz zbierał owoce swojej pracy i coraz bardziej przyzwyczajał się do krociowych honorariów.

Jak na ironię, niedawno zgodził się objąć na jakiś czas posadę konsultanta w USGS. W ramach obowiązków współpracował z głównymi amerykańskimi koncernami wydobywczymi; chodziło o szybkie wprowadzenie w życie prezydenckiej ustawy o ochronie środowiska oraz omówienie planów możliwego przyjęcia uregulowań przez firmy zagraniczne. Jego kariera zatoczyła więc w pewnym sensie pełne koło, tym razem jednak za dwa miesiące skończy się ten kierat i opuści agencję bez żadnych zobowiązań.

– Marnie wyglądasz – zauważył Harry.

Mercer zerknął na swój pomięty garnitur od Hugo Bossa i przepoconą koszulę. Przeciągnął dłonią po twarzy, pokrytej dwudniowym zarostem.

– Gdybyś spędził dwadzieścia godzin w samolocie, też byś tak wyglądał.

Hany zwiesił nogę z kanapy i podniósł z podłogi kawał plastiku w kolorze skóry. Trzema zwinnymi ruchami, o które trudno było podejrzewać jego prawie osiemdziesięcioletnie ręce, przypiął sobie tuż pod kolanem sztuczną nogę i ustawił ruchomy staw skokowy.

– O wiele lepiej – powiedział, opuszczając nogawkę spodni, po czym niedbałym krokiem, bez śladu utykania, podszedł do barku.

Mercer nalał mu whisky.

– Sto razy widziałem, jak to robisz, ale zawsze przechodzą mnie ciarki.

– Nie masz szacunku dla sprawnych inaczej. Zdaje się, że to nowe określenie, poprawne politycznie.

– Jesteś zniedołężniałym staruszkciem, któremu nogę zapewne odstrzelili jakiś zazdrosny mąż, gdy wyskakiwałaś z łóżka jego żonki.

Obaj panowie poznali się tej nocy, gdy Mercer sprowadził się do kamienicy. Harry był stałym gościem, można by rzec: elementem wyposażenia pobliskiego baru U Tiny’ego, lokalu, gdzie Mercer znalazł cudowną odskocznnię od konieczności rozpakowania rupieci zbieranych po całym świecie w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Od tamtej nocy ci tak różni ludzie stali się najlepszymi przyjaciółmi. Przez następnych pięć lat Harry, choćby nie wiadomo jak pijany, nigdy nie powiedział Mercerowi, w jaki sposób stracił nogę, a ten był na tyle taktowny, by nie wypytywać.

– Jesteś po prostu zazdrosny, bo twoje ciało nie stanowi świetnego tematu do pogaduszek w łóżku.

– Hany, ja nie wyrywam kobitek na objazdowych pokazach wybryków natury – odgryzł się Mercer.

Przyjaciel docenił ripostę i poprosił o kolejnego drinka.

Gdyby ktoś ich podsłuchiwał, uznałby, że przez kolejną godzinę rozmawiało ze sobą dwóch zawziętych wrogów. Sarkastyczne uwagi i złośliwe dowcipy przekraczały co jakiś czas granice dobrego smaku, ale obaj lubili takie słowne potyczki, które często były głównym źródłem rozrywki U Tiny’ego.

Parę minut po północy wiek i whisky zmusiły Harry’ego do powrotu na kanapę, gdzie szybko zasnął. Mercer, pomimo

zmęczenia lotem i wypitego piwa, czuł się świeżo i wiedział, że jakakolwiek próba zaśnieć będzie daremna. Postanowił więc uporządkować parę spraw papierkowych.

Jego gabinet wypełniały solidne meble – dominowały skóra, olejowane drewno i polerowany mosiądz. Na podłodze leżał zielony dywan.

Oprócz pokoju rekreacyjnego był to jedyny w pełni ukończony pokój w kamienicy. Mercer zdawał sobie sprawę, że wystrój jest nieco banalny, ale taki właśnie mu się podobał. Liczne zdjęcia, które zdobiły ściany, przedstawiały różnorodny ciężki sprzęt górniczy: koparki zgarniakowe z mechanizmem krocącym, ogromne wywrotki i wysokie na osiem pięter szkieletowe wieże wiertnicze. Na każdym zdjęciu widniały podziękowania od dyrektora lub właściciela firmy, której pomógł Mercer. Na niskiej komodzie, delikatnie podświetlonej od spodu, leżała duża bryła matowoniebieskiego kamienia. Mercer pogładził go, podchodząc do biurka.

Wiedząc, że po tak długich lotach zawsze cierpi na bezsenność, zadzwonił z lotniska w Johannesburgu do swojej sekretarki w USGS i poprosił o przefaksowanie do domu wszelkich notatek i wiadomości. W tacy odbiorczej faksu leżało co najmniej pięćdziesiąt kartek papieru.

Większość spraw mógł bez problemu odłożyć przynajmniej na kilka dni, tylko nieliczne wymagały pilnego załatwienia. Przerzucając szybko papiery, o mało nie przeoczył jednej z notatek, pochodzącej od zastępcy dyrektora operacyjnego Narodowej Agencji Oceanów i Atmosfery. Zaproszenie. z datą sprzed

sześciu dni. dotyczyło udziału w rejsie na pokładzie jednostki naukowej „Ocean Seeker”, którego celem było zbadanie nieznanego zjawiska geologicznego u wybrzeży Hawajów. Zastępcy dyrektora zależało, by Mercer uczestniczył w przedsięwzięciu – dwa lata temu czytał jego artykuł poświęcony wykorzystaniu kominów geotermicznych jako możliwych źródeł energii i terenów bogatych w złoża.

Mercer słyszał o tragicznej w skutkach katastrofie, z której nie uratowała się ani jedna osoba. Pisano o niej nawet w Afryce Południowej.

Zaproszenie samo w sobie nie stanowiło przyczyny szybszego bicia serca i płytkiego oddechu. Ale na dole znajdowała się lista specjalistów, którzy już potwierdzili swój udział w wyprawie. Na pierwszym miejscu figurowała doktor Tish Talbot, biolog morski.

Nigdy nie spotkał Tish, ale jej ojciec był jego starym przyjacielem, człowiekiem, któremu zawdzięcza! życie po katastrofie lotniczej w górach Alaski. Gdy Mercer wracał ze swojej pierwszej konsultacji, w samolocie nagle zgasł silnik. Pilot zginął podczas lądowania na terenie usianym skałami, a on sam miał złamaną nogę, nadgarstek i parę żeber. Jack Talbot, siwowłosa szef zaopatrzenia szybów naftowych znajdujących się na północy Alaski nad zatoką Prudhoe Bay, w ramach tygodniowego urlopu obozował w pobliżu miejsca zdarzenia. W ciągu dziesięciu minut od wypadku dotarł do Mercera i opiekował się nim całą noc, aż do chwili, gdy dzięki flarze wyciągniętej z wraku samolotu zwrócili na siebie uwagę śmigłowca ratunkowego.

Od czasu katastrofy mężczyźni nie mieli wielu okazji do spotkań, ale ich przyjaźń przetrwała. A teraz zginęła jedyna córka Jacka. Mercer współczuł przyjacielowi, dobrze rozumując, co w tej chwili musi przeżywać Jack. Znal ten ból, stracił rodziców, gdy był jeszcze chłopcem. Jednak żaden rodzic nawet nie myśli o tym, iż mógłby przeżyć swoje dziecko. Niektórzy twierdzą, że jest to największe cierpienie, jakiego może doświadczyć człowiek.

Mercer wyłączył lampkę. Zostawił śpiącego Harry'ego w spokoju, nie chcąc wyrzucać przyjaciela z mieszkania o drugiej w nocy. Ogromne łóżko nie wyglądało zachęcająco, ale postanowił z niego skorzystać. Zasnął niespokojnym snem.

HAWAJE

Jni Tzu wcisnęła hamulec hondy prelude i wrzuciła luz. Samochód zwolnił i zatrzymał się dwadzieścia metrów od głównej bramy posiadłości Takahiro Ohnishiego. Opuściła wsteczne lustro tak, żeby widzieć usta, i wprawnym ruchem użyła szminki. Zaciśnęła wargi, rozchyliła usta i rzuciła do lusterka zawodowy uśmiech. Zadowolona z idealnego makijażu, ustawiła poprawnie lustro.

Jak każda dziennikarka, Jill wiedziała, że elegancki wygląd przed kamerą jest niezwykle ważny. Pomimo wstrętu, jaki żywiła wobec seksizmu, zdawała sobie sprawę, że taki stan rzeczy musi akceptować, nawet wbrew osobistym przekonaniom.

Jednak to nie oszałamiająca uroda ani zgrabne nogi umożliwiły przeprowadzenie dzisiejszego wywiadu. Udało się to dzięki jej pochodzeniu.

Takahiro Ohnishi był bez wątpienia najbogatszym człowiekiem na Hawajach. Prawdę mówiąc, plasował się na dwunastej pozycji wśród najbogatszych ludzi świata. Jego interesy obejmowały najróżniejsze dziedziny gospodarki, od nieruchomości, poprzez badania medyczne i transport, a kończąc na przemyśle wydobywczym. Miał biura na sześciu kontynentach, siedem okazałych rezydencji i niemal trzydzieści tysięcy pracowników.

Mimo że prowadził interesy na całym świecie, pozostał wierny jednej tradycji – japońskiej.

Ohnishi zbudował etniczną piramidę, na której szczycie stał on sam. rodowity Japończyk, i jego najważniejsi dyrektorzy, czystej krwi Japończycy, niezależnie od kraju urodzenia. Na niższym poziomie mogły pracować osoby będące Japończykami w co najmniej trzech czwartych, i tak dalej, aż do samej podstawy piramidy, gdzie zatrudniano podrzędnych pracowników, w których żyłach nie musiała płynąć ani kropla japońskiej krwi. Ohnishi zatrudniał też dwie kancelarie prawne, zajmujące się wyłącznie obroną jego firm przed setkami pozwów o dyskryminację. Jak na razie nic przegrali żadnej sprawy.

Obsesja na punkcie japońskich korzeni uzewnętrzniała się także w życiu prywatnym. Ohnishi nigdy się nie ożenił, ale liczne kobiety, które przewinęły się przez jego siedemdziesięcioletnie życie, bez wyjątku były Japonkami. Gdy nabierał podejrzeń, że pochodzenie partnerki może choć trochę odbiegać od ideału, natychmiast zrywał znajomość. Służba w jego domach składała się z samych Japończyków, nawet z rzadka udzielane wywiady mogli przeprowadzać tylko ci dziennikarze, którzy chociaż w połowie byli Japończykami.

I dlatego tu jestem, pomyślała Jill Tzu, córka chińskiego bankiera z Hongkongu i japońskiej tłumaczki. Wrzuciła bieg i podjechała do kutej w żelazie bramy głównej amerykańskiej rezydencji Ohnishiego. Dom ten, położony ponad trzydzieści kilometrów na północ od Honolulu, oddzielony był od innych osiedli hektarami pól trzciny cukrowej i plantacjami ananasów.

Gdy ktoś zapytał kiedyś, dlaczego żyje w takim odosobnieniu, Ohnishi odpowiedział szczerze:

– Każdego, z kim chcę porozmawiać, doprowadzają tu, więc po co mam się pętać bez sensu?

Do samochodu podszedł chudy strażnik. Jill opuściła szybę, pozwalając, by chłód klimatyzowanego powietrza mieszał się z panującym na zewnątrz upałem. Zwróciła uwagę na automatyczny pistolet oraz krój i jakość uniformu ochroniarza. To nie był zwykły strażnik.

– Tak? – zapytał uprzejmie.

– Jill Tzu z KHNA. Przyjechałam przeprowadzić wywiad z panem Ohnishim.

– Oczywiście. – Mężczyzna nacisnął guzik na jednym ze słupów bramy i jej skrzydła rozsunęły się bezszelestnie.

Wcisnęła pedał gazu, zaskoczona, że nie musiała pokazać żadnych dokumentów.

Wysypany kruszonym wapieniem podjazd był jak nieskazitelnie biała wstęga rzucona na rozległy, szmaragdowozielony trawnik. Droga wiła się wśród drzew i zarośli posadzonych tak, by dom ukrywał się za nimi aż do ostatniego zakrętu. Widok, który w końcu ukazał się jej oczom, zapierał dech w piersiach.

Jill oczekiwała tradycyjnej japońskiej architektury na wielką skalę, jednak to, co zobaczyła, przekraczało granice wyobraźni. Takahiro Ohnishi mieszkał w domu ze szkła, podobnym nieco do wejścia do muzeum w Luwrze, zaprojektowanego przez I.M. Peia. ale o wiele, wiele większym. Stalowe rozpory dźwigały małe, szklane panele w stalowych ramach. Kule, stożki i grube

prostokątne płyty łączyły się ze sobą, tworząc wielościenną, przyjemną dla oka budowlę. Jill jak na dłoni widziała wszystko, co działo się w płytkiej dolinie poza domem.

Zajechała pod ganek i wysiadła z samochodu. Szła w kierunku szklanych drzwi, a obcasy jej butów stukały miarowo po marmurowej podłodze. Wyciągnęła rękę do klamki, ale ubiegł ją służący.

– Panno Tzu, pan Ohnishi czeka na panią w ogrodzie śniadaniowym. Proszę iść za mną. – Kamerdyner był naturalnie Japończykiem ubranym w ponurą, czarną liberię, przypominającą ubiór z początku zeszłego stulecia.

– Dziękuję – odparła, przerzucając torebkę przez ramię.

Wnętrze domu przecinały surowe, geometryczne ściany. Ich struktura nie łączyła się w powszechnie przyjęty sposób z resztą konstrukcji domu. Niektóre wznosiły się na trzy metry albo wyżej, inne można by przyrównać do wybrzuszeń na podłodze. Hol był rozległą otwartą przestrzenią, zwieńczoną kopułą z lekkiej kratownicy ze stali i szkła, która rzucała pajęczynę cieni na marmurową białą podłogę. Schody, ich spoczniki i balkony wznosiły się nad holem, jakby przecząc prawom grawitacji. Z braku punktu odniesienia Jill uznała, że wyraźnie orientalne akwarele i obrazy olejne zdobiące ściany z pewnością są bezcenne.

Kamerdyner poprowadził ją przez kilka pomieszczeń, niektóre były w stylu japońskim. Przy otwartych drzwiach windy uczynił gest sugerujący, że dalej Jill ma iść sama.

– Pan Ohnishi czeka na prawo od wyjścia z windy.

Rozległ się cichy dźwięk i drzwi się zasunęły.

Jill poczuła się jak mrówka na dnie kuchennego zlewu. Gdy stalowa winda ruszyła powoli w górę, płynnym ruchem dłoni rozprostowała kremową spódnicę wokół nóg. Po chwili drzwi się rozsunęły i Jill wyszła na przewiewną loggię, znajdującą się dwanaście metrów nad ziemią. Spojrzała w prawo i zobaczyła stół z nakryciem dla dwóch osób. Srebrna zastawa połyskiwała w porannym słońcu.

– Bardzo się cieszę, że będę mógł zjeść z panią śniadanie, panno Tzu – powiedział Takahiro Ohnishi, wstając.

– A ja bardzo się cieszę, że pan mnie zaprosił. – Jill, podchodząc do stołu, wyciągnęła rękę, ale Ohnishi zignorował jej gest. Wkurzona na własną głupotę, przypomniała sobie, z kim ma do czynienia. Skłoniła się nisko, a Japończyk odwzajemnił jej ukłon ledwie zauważalnym skinieniem głowy.

– Proszę usiąść.

Ohnishi nie wyglądał na przemysłowca. Był szczupły i delikatnej budowy, a z powodu wieku jego głos brzmiał niepewnie i słabo. Spod resztki białych włosów prześwitywała łysina, ziemista, mizerna twarz zastygła w masce obojętności. Kościste, pokryte plamami wątrobowymi dłonie Japończyka przypominały szpony małego ptaka.

– Panno Tzu, nie zapraszałem pani. Ja tylko ugiąłem się pod pani uporem. Sto czternaście telefonów i siedemdziesiąt osiem listów wystarczy, by każdego zmusić do kapitulacji.

Jill chciała wierzyć, że ta uwaga miała być zabawna, ale beznamiętny ton głosu siedzącego po przeciwnej stronie stołu mężczyzny sprawił, że poczuła się niezbyt zręcznie. Tak na-

prawdę to sam Ohnishi sprawiał, że czuła się niepewnie i mało komfortowo. Wyglądał jak zwłoki, które nie chciały przestać się ruszać.

– Tym bardziej mi miło, że pan się zgodził. – Jill posłała mu najlepszy dziennikarski uśmiech. – Jeszcze chwila, a stacja zaczęłaby obciążać mnie kosztami znaczków.

Wszedł służący i nalał jej kawy, wsypując łyżeczkę cukru. Jill popatrzyła na niego zdumiona; skąd wiedział, jaką pije?

– Wiem o pani o wiele więcej niż to. W przeciwnym wypadku nigdy nie weszłaby pani do mojego domu – odezwał się Ohnishi, odczytując w jej oczach nieme pytanie.

– Czy dlatego przy wejściu nikt nie sprawdził, jak się nazywam, ani mnie nie przeszukał?

Chciała, by pytanie zabrzmiało przyjaźnie, ale ton jej głosu sugerował raczej obronę.

– Kazałem panią śledzić od chwili wyjścia z domu na 1123 Blosson Tree Court. W zasadzie była pani obserwowana od chwili, gdy zgodziłem się na ten wywiad – dodał jakby od niechcienia i z taką swobodą, że Jill przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć.

– Dowiedział się pan czegoś ciekawego? – zapytała w końcu z sarkazmem. Poczwała, że wzbiera w niej gniew.

– Owszem. Taka ładna kobieta sukcesu jak pani powinna częściej wychodzić z domu.

Wraz z tą odpowiedzią gniew Jill rozwiął się jak mgła.

– To samo ciągle powtarza mi mama.

O wiele później Jill dowiedziała się, że użycie słów jej matki nie było dziełem przypadku.

– Przykro mi, jeśli swoim postępowaniem sprawiłem pani jakiś kłopot, ale moja pozycja zmusza mnie do ostrożności.

– Rozumiem. Niespecjalnie popieram, ale rozumiem.

Służący pojawił się po raz wtóry i postawił przed Jill półmisek z owocami. Tak jak poprzednio, gospodarzowi nic nie podał.

– Jak już mówił pani przez telefon mój współpracownik, Kenji, nie pozwalam filmować posesji, także nasza rozmowa nie będzie nagrywana.

– Nie będzie, proszę mi wierzyć – zapewniła Jill, stawiając filiżankę z kawą na spodeczku, ostrożnie, żeby nie poplamić śnieżnobiałego obrusa ani nie wyszczerbić półprzezroczystej porcelany. Nie zdawała sobie sprawy, że odkąd weszła do budynku, dwukrotnie została prześwietlona rentgenem po raz pierwszy w wejściu, a później w windzie. Jej zapewnienia były więc zbędne. – Muszę przyznać, że ma pan niezwykły dom – powiedziała, żeby przerwać milczenie.

– Trudno będzie pani w to uwierzyć, ale tę bryłę zaprojektował mało znany tokijski architekt w 1867 roku na długo, nim powstała technologia umożliwiająca jej zbudowanie. Odebrał sobie życie ledwie kilka miesięcy po ukończeniu projektu, wiedząc, że jego geniusz nie zostanie doceniony w czasach współczesnych. To tylko moje przypuszczenie, ale wydaje mi się, że przez samobójstwo chciał zapewnić swojemu dziełu nieśmiertelność, której nie zyskałoby nawet poprzez budowę.

– Nic wiedziałam, że pasjonuje się pan historią.

– Wszystko, co wiemy, panno Tzu, jest historią. To, że o pewnych sprawach nie ucą w szkole z zakurzonych ksiąg, nie czyni ich mniej ważnymi.

– Chyba nie nadążam.

– Wyjaśnię to pani. Każda, nawet najświeższa informacja, jest już historią. Mogę patrzeć na najnowsze dane dotyczące handlu i dane, które widzę, to historia. Może ma tylko parę sekund, ale dotyczy przeszłych już wydarzeń i nic tego nie zmieni. Jeśli zdecyduję się sprzedać lub kupić na podstawie tych danych, będę opierać swój wybór na historii. Cała wiedza jest właśnie taka, wszystkie decyzje są tak podejmowane.

– A jeśli zrobię coś dla kaprysu?

– Na przykład co?

– Nic wiem, może zrezygnuję z pracy.

– Wtedy pani przeszłość byłabyznaczona niezadowoleniem z pracy. Na podstawie przeszłych doświadczeń wiedziałyby pani, że będzie w stanie znaleźć inną pracę, i byłaby pani pewna swojej przyszłości, mając świadomość, że oszczędności zapewnią pani byt aż do chwili podjęcia pracy na nowo. Te wszystkie czynniki sprawiają, że pani decyzja nie jest wcale rezultatem kaprysu, a raczej wynikiem kalkulacji.

– Nigdy o tym w ten sposób nie myślałam – przyznała Jill zaintrygowana.

Dlatego nie ma pani majątku wartego osiem miliardów dolarów, a ja mam – zauważył Ohnishi. Nie chełpił się tym, po prostu stwierdził fakt.

– Pytałam pańskiego asystenta, czy są jakieś tematy, na które nie zechce pan rozmawiać. Zapewnił mnie, że nie ma pan nic do ukrycia.

– To prawda.

Służący sprzątnął półmisek z owocami, następnie przyniósł srebrną tacę z surową rybą i cienkimi plastrami wołowiny. Włożył potrawę na talerz Jill, po czym dodał trochę ryżu oraz różnych odmian wodorostów.

– A pan nie je? – zapytała, gdy służący odszedł, zostawiwszy talerz swego pana pusty.

– Kilka lat temu usunięto mi żołądek i część jelita cienkiego. Rak. Jestem karmiony dożylnie, panno Tzu. Później być może spróbuję, jak smakują te potrawy, ale nie będę mógł ich połknąć. To niezbyt przyjemny widok, zapewniam panią.

Jill była wdzięczna, że nie wdawał się w szczegóły.

– Panie Ohnishi, w ogólnych zarysach znam pana biografię.

– Zaczęła właściwy wywiad, trzymając pióro nad notatnikiem.

– Urodził się pan w Osace, ale pańscy rodzice wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych wraz z pańskimi dwiema siostrami, gdy był pan niemowlęciem. Pana ojciec, inżynier chemik, pracował dla UC w San Diego.

– Zgadza się – przerwał jej. – Straciłem całą rodzinę podczas II wojny światowej, gdy Roosevelt uwięził wszystkich obywateli Japonii. Moje siostry zmarły na tyfus, miały niewiele ponad dziesięć lat. Wkrótce po nich na tę chorobę zmarła matka. W dniu, w którym odebrał sobie życie, ojciec powiedział mi, że bym nigdy o nich nie zapomniał. Miałem siedemnaście lat.

– Pana prawnym opiekunem został wuj?

– Tak, nazywał się Chuichi Genda.

– O ile wiem – mówiła Jill, przeglądając notatki – został wypuszczony z obozu dla internowanych w styczniu 1943 roku, a tydzień później go aresztowano. Pod koniec wojny wyszedł z więzienia i przez resztę życia WTacał co jakiś czas za kratki.

– Tak, wuj miał niezachwiane przekonanie co do sposobu, w jaki Ameryka potraktowała nasz naród w czasie wojny i po niej. Często prowadził brutalne kampanie przeciwko różnym rodzajom polityki. Trzykrotnie oskarżano go o wywoływanie zamieszek i dwa razy go za to skazano. Bez wątpienia ten człowiek miał największy wpływ na moje życie.

– W jakim sensie?

– Chodzi mi głównie o poglądy rasowe.

– A jakie one są? – zapytała, zdejmując nogę z nogi. Wiedziała, że doszli do najważniejszej części wywiadu.

– Jest pani dziennikarką, więc z pewnością zna je pani.

– Wiem, że niemal wszystkie grupy społeczne w Stanach uważają, że jest pan rasistą. Twierdzą też, że pana polityka zatrudniania przypomina nazistowskie prawo czystości.

Ohnishi roześmiał się. Wysoki ton jego głosu zaskoczył Jill.

– Oględnie powiem, że jest pani bardzo naiwna, panno Tzu. Nie istnieje coś takiego jak rasizm. – Zanim zdążyła zaprotestować, Japończyk kontynuował: – Zdaniem antropologów na naszej planecie są tylko cztery rasy: mongoidalna, negroidalna, europeidalna i australoidalna. Jednak między setkami różnych grup dochodzi do napięć i walk. Zgadza się? – Nie czekając na

odpowiedź, ciągnął: – Skoro rasa jest czynnikiem motywującym, jak twierdzicie w gazetach, to dlaczego w Afryce nie ustają walki? Dlaczego Anglicy i Irlandczycy bez przerwy wysadzają się nawzajem w powietrze? Dlaczego naziści zagazowali sześć milionów Żydów? Odpowiedzią jest trybalizm, a nie rasizm. Być może są tylko cztery rasy, ale istnieją setki, jeśli nie tysiące różnorodnych plemion. Wiele grup zachowało plemienne nazwy, jak na przykład Apacze czy Zulusi. Liczne grupy nie używają już jednak tradycyjnych nazw, takich jak biali Anglosasi w Ameryce, północnoirlandzcy protestanci czy klasa wyższa w Brazylii. Każda grupa walczy o zachowanie integralności swojego plemienia. Francuzi i Niemcy to dwa odrębne plemiona, różne pod względem kulturowym i religijnym, chociaż oba należą do rasy europeoidalnej. Jest tylko jeden czynnik sprawiający, że zaledwie w ciągu ostatniego stulecia stoczyli cztery wojny: trybalizm, potrzeba ochrony i zapewnienia trwałego bezpieczeństwa grupy, do której należymy. Fakt, że konflikty międzyrasowe dobrze wyglądają w nagłówkach, nie sprawia, że są najbardziej powszechne. Do ostatniego tchu będę zaprzeczać, że jestem rasistą. Nie obchodzi mnie rasa. Jestem trybalistą. I dbam tylko o swoje plemię. Japończyków. Plemiona to tak naprawdę bardzo rozległe i wielopokoleniowe rodziny, więc gdy mianuję na wysokie stanowisko Japończyka, to po prostu pomagam swojemu krewniakowi. Nie różni się to niczym od sytuacji, gdy ojciec przekazuje firmę synowi, a przecież na całym świecie jest to praktyka powszechna. Prawie trzysta razy musiałem w sądach bronić swojego prawa

do mianowania na stanowiska i awansowania tych osób, które chcą, i na razie nikt mi tego prawa nie odmówił.

– Skoro ma pan taką projapońską wizję świata, dlaczego niedawno zdecydował się pan osiedlić w Stanach Zjednoczonych? – Jill próbowała zachować zawodowy spokój mimo uczucia odrazy, które nią zawładnęło.

– Zbudowałem ten dom sześć lat temu – uściślił.

– Ale mieszka w nim pan dopiero trzy miesiące – odparowała.

– Czuję, że jestem tu potrzebny. Jak pani wie. Japończycy są obecnie największą grupą etniczną na Hawajach i być może zabrzmi to arogancko, ale uważam, że potrzebują mojej pomocy.

– Pomocy?

– Pragnę, by Japończykom wiodło się jak najlepiej wszędzie tam, gdzie zagna ich praca. Media koncentrują się na ujemnym bilansie w handlu towarami, ale całkowicie zapominają o potencjale umysłowym, jaki co roku eksportuje Japonia. Do pracy w zagranicznych firmach wysyłamy tylko najinteligentniejszych ludzi, dzięki czemu z roku na rok umacniamy swoją pozycję w innych krajach. Niech Ameryka wysyła studentów do budowania trzcinowych chat w Afryce. My posyłamy naszych dyrektorów generalnych, żeby tworzyli korporacje. Chcę tylko robić swoje i dopilnować, by ta misja się powiodła.

– A czy wyobraża pan sobie rozszerzenie pomocy na rdzennych mieszkańców Hawajów?

– Ci ludzie cierpią pod jarzmem białych zarządców o wiele dłużej niż my, więc naturalnie chciałbym doczekać dnia, gdy będą mieli większą władzę u siebie, na wyspach. Cokolwiek by

o tym sądzić, rozumując w kategoriach plemiennych, bliżej im do nas. Japończyków, niż do ich obecnych białych władców.

– Zdaje pan sobie sprawę, że używanie wobec rządu takich określeń jak „władcy” jest nadużyciem? – W głosie Jill pojawiło się zdenerwowanie.

– Wprost przeciwnie. Jak inaczej można opisać ciało zarządzające, które nie mówi pani językiem, nic rozumie pani kultury i religii oraz nie zrobiło nic, by zasypać społeczno-ekonomiczną przepaść? Skoro prawdziwi Hawajczycy są tak bardzo zadowoleni z obecnego stanu rzeczy, to dlaczego, według pani, wysepka Niihau, gdzie panują surowe prawa dotyczące języka i kultury, przyciąga swoim tradycjonalizmem tak wielu rdzennych mieszkańców Hawajów? Jednak moja pomoc kierowana jest przede wszystkim do tych, którzy z pochodzenia są Japończykami.

– Czy w ramach tej pomocy wspiera pan też burmistrza Takamorę? Wielu uważa, że jego czyny ocierają się o zdradę.

– Nie ukrywam swojego poparcia dla burmistrza Takamory. Wierzę w jego program poprawy i zapewnienia dobrobytu Hawajom. Nadszedł czas, by prawdziwi właściciele tego kraju upomnieli się o swoje, zamiast płacić nienależne podatki do kasy Waszyngtonu.

Ohnishi miał na myśli wnioskiwane przez Takamorę referendum, o którym właśnie dyskutowano w gmachu władz stanu – miało zwolnić zagranicznych właścicieli nieruchomości w Honolulu z płacenia większości podatków, jeśli zgodzą się przeznaczać pewne kwoty na programy społeczne, których beneficjentami byłiby wyłącznie mieszkańcy pochodzenia ja-

pońskiego lub japońsko-amerykańskiego. Gdyby takie prawo uchwalono, w rękach zamieszkujących wyspę Japończyków znalazłyby się miliony dolarów. Zdaniem niektórych analityków politycznych chodziło o kupowanie głosów, inni widzieli w tym coś groźniejszego: wykupywanie kraju.

Kampania poświęcona Referendum 324 wchodziła w kluczową fazę. Głosowanie miało się odbyć już za tydzień. Jak w wypadku każdej kontrowersyjnej ustawy, emocje mieszkańców całego stanu brały górę i dochodziło do aktów przemocy. Liczba ataków na turystów i białych mieszkańców znacznie się zwiększyła w ciągu ostatnich kilku tygodni. Gangi młodych Japończyków szwendały się wieczorami po ulicach jak współcześni ninja, wzbudzając przerażenie samą obecnością.

– A co pan powie na wzrost przemocy?

– Panno Tzu, oczywiście nie popieram ludzi, którzy pragną osiągnąć swoje cele, stosując przemoc. Rozumiem jednak ich poświęcenie. Tylko my najlepiej znamy specyficzne potrzeby Hawajów i wiemy, jak się o nie zatroszczyć, więc niezwykle istotne jest, byśmy mieli więcej kontroli nad własnym życiem.

Niektórzy ludzie dostrzegają w tych działaniach próbę secesji. – Jill miała na myśli wczorajsze przemówienie wiceprezydenta.

– Niektórzy tak. – Ohnishi uśmiechnął się, ale spojrzenie jego ciemnych oczu pozostało nieodgadnione. – Nasze spotkanie dobiegło końca. Musi pani już iść.

Jill zaskoczyło to nagłe oświadczenie, wiedziała jednak, że nie powinna się sprzeciwiać. Wrzuciła do torebki pióro i notatnik, po czym wstała.

– Dziękuję za poświęcony mi czas, panie Ohnishi – powiedziała chłodnym tonem.

– Tak się zastanawiam – rzucił od niechcienia – która z odziedziczonych ras sprawia pani większy dyskomfort. Ta chińska czy ta japońska, która pozwala chińskiej czasem dojść do głosu?

Później Jill ze zdumieniem skonstatowała, jak łatwo i szybko zdobyła się na odpowiedź.

– Chińska, bo mam cierpliwość do tych wszystkich maniaków, z którymi przychodzi mi pracować.

Jedynym wspomnieniem, jakie zachowała po wizycie w domu Japończyka, był niosący się echem stukot obcasów na marmurowych posadzkach.

– Oprócz tego, że jest urocza, co myślisz o panie Tzu? – zapytał Ohnishi. gdy za dziennikarką zamknęły się drzwi windy.

Z cienia loggii wyłoniła się ciemna postać, która cicho przeszła przez taras i miękko jak kot spoczęła na pustym krześle.

– Moim zdaniem jest niebezpieczna.

– Lubisz się martwić na wyrost, Kenji. Ona jest tylko szeptem na wietrze. Napisze to, co zwykle każdy dziennikarzyna, jakieś brednie pełne półprawd i przerośnięć, które rozmyją się gdzieś wśród doniesień o morderstwach albo wynikach rozgrywek w koszykówkę.

– A jednak...

– A jednak nic. Ludzie, mówię tu o prawdziwych ludziach z tego stanu, o tych, którzy się liczą, mają gdzieś jej pisaninę. Razem z burmistrzem porwaliśmy za sobą tłumy. Jej artykuł nie będzie miał żadnego znaczenia.

– Może się okazać, że wraz z burmistrzem Takamorą tworzy-
cie panowie sytuację, której nie będziecie w stanie kontrolować.
W dodatku nie ma ona nic wspólnego z naszym prawdziwym
celem.

– Mówisz jak sługus Iwana Kerikowa. – Ohnishi zmarszczył
brwi.

W oczach Kenjiego pojawiła się pustka.

– Mamy wobec niego zobowiązania. Pańskie działania, takie
jak finansowanie gangów i rozmówki z dziennikarzami pokroju
Jill Tzu, mogą narazić je na szwank.

– Pracujesz u mnie niemal od dziecka, Kenji. Poznałeś trud
pracy dla jednego tylko pana. Z kolei ja miałem ich wielu. Przede
wszystkim było nim moje sumienie, a teraz przyplątała się ta
świnia Kerikow. Wiem, jak służyć im obu. Kerikow dostanie
swoją bezcenną koncesję, ale na moich warunkach.

– To powstanie wymyka się spod kontroli. Nic jest częścią
umowy z Kerikowem.

– Ale jest częścią mojego planu, i tylko to musisz wiedzieć
– uciął Ohnishi tonem, który od razu pohamował podwładne-
go. – Zastanawiam się, gdzie się podziała twoja lojalność. Nie
zachowujesz się już tak jak mój Hachiko.

Oluiisiii robił aluzję do ukochanego przez Japończyków
psa; jego historia sięga lat dwudziestych XX wieku, gdy czekał
co rano na dworcu na przyjazd z pracy swojego pana. Pewnego
dnia pan nie wrócił. Zmarł za biurkiem na Uniwersytecie To-
kijskim. Wiemy pies przychodził na dworzec przez dziesięć lat,

wyglądając pana, który miał nigdy nie przyjechać. Imię Hachiko do dziś jest w Japonii synonimem lojalności.

– Dwa dni temu zniknąłeś na całą noc bez poinformowania mnie – ciągnął Ohnishi – a teraz kwestionujesz moje polecenia. Zapomnij o Jill Tzu i skup się na swoich obowiązkach. Dziś wieczorem zaczynamy bombardowania. Nic poważnego, ot, taki mały pokaz siły dla tych, którzy sprzeciwiają się naszemu referendum.

Kenji wstał. Poruszał się płynnie jak żywe srebro. Szybko jednak stanął sztywno na nogach, jak przystało na mistrza sztuk walki.

– Zajmę się tym osobiście.

Przemknął przez taras, jego stopy w japońskich tabi ledwie dotykały terakoty. Gdy tylko zniknął z pola widzenia Ohnishiego ulotniła się cała pozorna uległość, a jego twarz zrobiła się jeszcze bardziej zacięta.

– Ty stary głupcze – mruknął do siebie. – Nie masz pojęcia, z kim ani z czym masz do czynienia.

Wrócił do swojego gabinetu, by dopilnować, by Jill Tzu nigdy nie dostarczyła do redakcji swojego wywiadu z Takahiro Ohnishim.

Jill przegarnęła palcami gęste włosy w geście niemej frustracji. Zaciśnęła usta, po czym, wysuwając język, wydała z siebie odgłos obrzydzenia. Siedziała w montażowni i opierała stopy na konsoli sterowniczej, a długie nogi sięgały niemal rzędu mo-

ditorów. Opuściła je na podłogę, nie zważając na to, że szerokie, krótkie spodenki dostarczyły siedzącemu nieopodal technikowi widoku, o którym będzie rozprawał przez tydzień.

– Nic z tego nie wychodzi, Ken – mruknęła ponuro.

– Daj spokój, Jill. Siedzimy nad tym już sześć godzin. Przecież nie dostaniesz za to Pulitzera – odpowiedział brodaty technik.

– No tak, ale może to będzie moja przepustka do wielkich sieci medialnych. Tylko pomyśl, Ken. Jeśli odejdę, nikt już nie będzie cię wkurzał całymi dniami i nocami.

– W tych spodenkach możesz marudzić i psioczyć, ile tylko chcesz. – Ken się roześmiał.

– Uważaj, bo znam dobrego prawnika od spraw o molestowanie. – Jill uśmiechnęła się po raz pierwszy od godziny. – Dobra, jedziemy z tym materiałem jeszcze raz.

Te godziny w montażowni były kulminacyjną chwilą po trzech miesiącach śledztwa dziennikarskiego w sprawie Takahiro Ohnishiego. Jill rozpoczęła pogoń za swym tematem wkrótce po tym, jak japoński miliarder przeniósł się na Hawaje i po raz pierwszy zaproponowano przeprowadzenie Referendum 324. Mając trzydzieści dwa lata, nie wierzyła już w zbiegi okoliczności, dlatego zaczęła szukać związków między Ohnishim a kontrowersyjnym burmistrzem Honolulu Davidem Takamora oraz jego jeszcze bardziej dyskusyjnymi działaniami.

W dokumentacji finansowej swojej stacji znalazła dane świadczące o tym, że Takamora wykupił podczas kampanii więcej czasu reklamowego, niż pozwalał mu na to budżet, co wykazały ogólnie dostępne sprawozdania. W wypadku tylko

jej stacji różnica sięgała niemal stu tysięcy dolarów, a przecież w innych kanałach prowadził równie intensywną kampanię. Skąd miał na to środki?

Jill brakowało twardych dowodów, że Ohnishi potajemnie finansował część kampanii Takamory, ale miała pewność, że tak właśnie było. Swoimi miliardami Ohnishi kupił sobie miasto.

Pewien profesor na wydziale dziennikarstwa powiedział jej kiedyś, że dowodów potrzebuje tylko prokurator w sądzie. Dziennikarz nigdy nie musi nic udowadniać. Jedyne, co powinna zrobić, to rzucić cień podejrzeń i czekać na tłumaczenia. A jak wiadomo, tylko winny się tłumaczy. „Farej lat później starzejący się wydawca oświadczył na mocno zakrapianej imprezie pożegnalnej, że wydarzenia nie dzieją się same z siebie, tylko są tworzone.

Materiał na temat Ohnishiego miała prawie gotowy. Tak naprawdę ten poranny wywiad był zupełnie zbędny, ale chciała poznać człowieka, spróbować wyczuć, co nim powoduje.

Wraz z Kenem obejrzała w ciszy pierwszą część materiału. Ujęcia Ohnishiego, Takamory i brutalnych gangów polujących na białych turystów przeplatały zbliżenia Jill na tle siedziby władz miasta, przybliżającej temat. Gdy dokument zaczął skupiać się na gangach i kamera pokazała brutalny obrazek, jak czterech młodych Azjatów kopało starszą białą kobietę, Jill sięgnęła po mikrofon i zaczęła dodawać nowy komentarz. Nie ten, który wcześniej przygotowała, ale inny, płynący z głębi serca.

– Hawaje to kraina Aloha. W miejscowym języku słowa te znaczą tyle co miłość i pożegnanie. Dziś „aloha” znaczy jedno

i drugie jednocześnie. Pożegnanie miłości. Pożegnanie z tym wszystkim, co było istotą naszej rajskiej wyspy od chwili, gdy dwieście lat temu do jej brzegów po raz pierwszy przybił kapitan Cook. Pożegnanie z tradycjami, które narodziły się wśród jej mieszkańców tysiąc pięćset lat wcześniej. Tu, gdzie wykształcił się jeden naród, ani w pełni europeidalny, ani polinezyjski, ani mongoidalny, zostaliśmy dziś oddzieleni od naszych sąsiadów i przyjaciół. Wystarczy mieć oczy nieco za mało skośne albo zbyt bladą skórę, by stać się celem na ulicy. Nienawiść rasowa rozwija się tu jak nowotwór, jak okropna choroba, której przyczyn i metody leczenia nikt nie zna. Hawaje, wzięte w opiekę przez takich ludzi jak Takahiro Ohnishi, mającego dobrze znane, osobliwe poglądy na sprawy czystości rasowej, oraz opanowane przez agresywne i brutalne młodzieżowe gangi, podzieliły się na dwa nieprzejednane obozy: na tych, którzy chcą Referendum 324, i tych, którzy się go obawiają, jak wielu przed nimi obawiało się rządów tyranii. Wczoraj wieczorem wiceprezydent nazwał to referendum początkiem ruchu separatystycznego i być może ma rację. Ostatni raz, gdy Ameryka przeżywała podobny kryzys, stany południowe wystąpiły z Unii, bo wierzyły w wyższość swojej filozofii życia opartej na przekonaniu, że ludzie innych ras są gorsi. Dziś pewna grupa mieszkańców naszej wyspy uważa, że ma prawo kontrolować życie pozostałych, tych, w których żyłach płynie mniej japońskiej krwi. Twierdzą, że ich samurajskie tradycje są lepsze, i gotowi są uspokoić ulice, jeśli tylko zgodzimy się żyć zgodnie z prawem, które ogranicza wolność słowa i podważa wiarę w to, że wszyscy ludzie są równi. W mojej

opinii mamy do czynienia z poważnym naruszeniem swobód obywatelskich. Gdy bandy współczesnych roninów przeczesują ulice w poszukiwaniu białych, ich wódz siedzi zamknięty w domu ze szkła i stali, oddzielony od świata ścianą nienawiści i uprzedzeń. Odkąd przybył, Hawaje okrył mrok, czarna zasłona, której nikt nie jest w stanie lub nie chce podnieść. Hotele wzdłuż plaż, apartamenty w pobliżu Diamond Head i statki wycieczkowe są dziś puste. Ludzie boją się przyjeżdżać na wyspę. Dowiedziałam się od dyrektora jednego z hoteli, że turyści odwołują już rezerwacje na przyszły rok. Tę samonapędzającą się spiralę upadku wywołały działania tych, którzy kontrolują teraz ulice. Coraz więcej turystów boi się tu przyjeżdżać, więc kolejni ludzie tracą pracę. W konsekwencji będą szukać pomocy u członków gangu, co tylko wzmocni ich zdolność do terroryzowania innych. Dziś rano prezydent postawił w stan pełnej gotowości jednostki stacjonujące w Pearl Harbor, by broniły na wyspach interesów państwa. A kto będzie bronił naszych interesów? Siły policyjne, będące pod kontrolą burmistrza Takamory, nie robią nic, żeby powstrzymać uliczną przemoc. Czy zdobędzie się on na to, by poprosić Gwardię Narodową o pomoc w sytuacji, kiedy sobie nie radzi? To oczywiste, że mamy do czynienia z największym kryzysem, jaki dotknął wyspy od czasu lądowania wojsk japońskich w 1941 roku.

Jill z gniewem odsunęła mikrofon, widząc na ekranie oświadczenie Davida Takamory sprzed czterech tygodni – wyraził w nim chęć ubiegania się o stanowisko gubernatora podczas jesiennych wyborów.

Ken na chwilę zaniemówił ze zdumienia, ale w końcu odzyskał głos.

– Rany boskie, Jill. Nie możesz tego puścić – wyjąkał.

Oczywiście, że nie. To czysta prawda, a w obecnej sytuacji nie wolno nam podawać prawdy – powiedziała z goryczą.

Zadzwoił telefon. Aparat wbudowany był w konsolę, obok której Jill wyciągnęła nogi. Dziennikarka złapała słuchawkę, zarzucając za ucho kosmyk włosów.

– Wiem, wiem. Wchodzimy za czterdzieści pięć minut.

W montażowni tylko sam producent mógł ją niepokoić.

– Masz pięć.

– O czym ty, do cholery, mówisz, Hank? Przecież nie wchodzimy przez najbliższą godzinę.

– Znasz zasady, Jill. Każdy materiał na temat przemocy musi przejść przez ręce Hiroshiego.

Hiroshi Kyoto był szefem redakcji wiadomości.

– Jedno wielkie pieprzenie, i dobrze o tym wiesz. Możesz sobie ten pięciominutowy termin wsadzić. Nie jestem jakąś ofertą drugiej kategorii.

– Zaczekaj, nie chciałem przez to nic powiedzieć, nie chciałem okazać ci braku szacunku dlatego, że jesteś, jaka jesteś. Chodzi o to, że wiesz... – Urwał.

Producent tak bardzo się zaplątał, że Jill naprawdę to zaskoczyło. Problem rasy polaryzował nastroje nawet w stacji. Jill była pół-Japonką, Hank był białym Amerykaninem z New Jersey. Teraz śmiertelnie się obawiał, że ją obraził.

– Posłuchaj, Hank – dodała szybko. – Chciałam tylko powiedzieć, że nie jestem nowicjuszka, która dostała do przygotowania pierwszy materiał w życiu. Wiem, jakie są granice. Nie potrzebuję Hiro i jego wskazówek, co powinnam mówić na antenie.

– Przepraszam, Jill – odparł zmęczonym głosem Hank. – Odkąd Hiro zgodził się pomóc Takamorze w zmniejszeniu napięć w mieście przez puszczenie spokojniejszych relacji, żyję na krawędzi. Jak na razie jesteś jedyną reporterką, która nie nazwała mnie absolwentem goebbelsowskiej szkoły dziennikarstwa.

– Rozmawiałeś o tym z Hiro?

– No jasne. Oświadczył, że mam mu dawać każdy materiał na temat przemocy albo złożyć rezygnację.

– Rozumiem. Spokojnie, Hank, mój materiał nie jest jeszcze gotowy, to znaczy jest, ale nie daj temu skurwielowi go pociąć. Wezmę go dziś do domu i trochę złagodzę. Jeśli ktoś ma być cenzorem moich reportaży, to tylko ja. Przeze mnie nie stracisz pracy.

– Jill, nie możesz tego zrobić, ten reportaż należy do stacji, nie jest twoją własnością.

– Spróbuj mnie zatrzymać.

Odłożyła słuchawkę i wyjęła z magnetowidu kasetę, po czym wrzuciła ją do przewieszanej przez oparcie krzesła torebki i wstała.

– Co teraz zrobisz? – zapytał Ken.

– Jeszcze nie wiem. – Wzruszyła ramionami i wyszła z ciemnego pomieszczenia.

Delikatne brzęczenie cykad tworzyło wspaniały akompaniament dla rozjaśnionej księżycową poświatą nocy. Powietrze było ciepłe, ale przepełniała je wilgoć pozostała po niedawnej burzy. Jill siedziała na patio przed apartamentowcem, w którym mieszkała, opierając boscie stopy o stolik. W dłoni leniwie obracała kieliszek z winem.

Wróciła do domu już kilka godzin temu, ale długa kąpiel i pół butelki wina nie pomogły w uspokojeniu skołatanych nerwów. Trzy miesiące pracowała nad sprawą Ohnishiego. całe trzy pięprzone miesiące, a teraz ktoś chce pociąć jej materiał na kawałki i zrobić z niego opowiastkę o człowieku? Jeśli kiedykolwiek żywiła wątpliwości co do związków Ohnishiego z Takamorą, teraz miała na nie dowód. Jego ręce okazały się dłuższe, niż przypuszczała, sięgały szefa jej redakcji. Czyżby oprócz niej nikt inny nie był odporny na brednie tych rasistów?

Zastanawiała się, czy rzeczywiście warto tak się angażować. Wiele poświęciła w swoim życiu, wiele wysiłku włożyła w rozwój swojej kariery, a tu proszę – wszystko przestaje się liczyć, bo dzięki temu za bardzo zbliżyła się do prawdy.

– Sukinsyn – wycodziła. Wbrew sobie o mało nie płakała.

Całe jej życie kręciło się wokół dziennikarstwa. Z tyłu rzecz zrezygnowała, by osiągnąć szczyt profesjonalizmu. Niewielu partnerów wytrzymało u jej boku dłużej niż miesiąc. Ostatnie wakacje spędziła, pracując jako sekretarka w oczyszczalni ścieków, gdzie szukała dowodów na związki zakładu z zanieczyszczeniem wód gruntowych.

W rzadkich rozmowach z matką niezmiennie wracał temat rodziny, którą Jill dawno powinna założyć. Za każdym razem, gdy chełpiła się nowym reportażem, matka pytała ją o wnuczki. Chociaż Jill zawsze kończyła rozmowę w gniewie, broniąc swojej kariery, jednak dręczyło ją poczucie winy, bo zdawała sobie sprawę, że matka ma częściowo rację.

Jill chciała mieć męża i dzieci, ale chciała też być dziennikarką. Między tymi dwoma aspektami życia istniała równowaga, której ona po prostu nie potrafiła znaleźć. Ile ze swojej kariery powinna poświęcić na rodzinę? Ile z rodziny powinna poświęcić dla kariery?

Teraz zresztą wyglądało na to, że kariera dobiega rychłego końca. Mogła odmówić przekazania opracowanego materiału i liczyć się z prawdopodobieństwem zwolnienia, mogła też sama wyciąć niewygodne sceny z reportażu, zdradzając swoje przekonania i ideały.

Rozważała wysłanie materiału bezpośrednio do Nowego Jorku. Miała tam paru przyjaciół, może ktoś z nich przejrzałby nagranie i ocenił, czy warto je wyemitować w paśmie ogólnokrajowym. Bóg jeden wiedział, jak dawno nic takiego nie przyszło z Hawajów.

Zadzwońnię komórka. Jill wyjęła ją z kieszeni, ale gdy tylko przystawiła telefon do ucha, usłyszała głuchy sygnał. Żartowniś albo pomyłka. Miała to gdzieś.

Jednym długim łykiem dopiła resztę wina i wróciła do mieszkania; zaniosiła kieliszek do zmywarki, po czym oparła się ciężko o wyłożony płytkami kuchenny blat. Wykorzystała już

dwie z trzech tradycyjnych technik relaksacyjnych kobiet: kąpiel i wino. O tej porze nic było już w pobliżu otwartych sklepów, więc nie mogła iść na zakupy. Postanowiła wypróbować męskie towarzystwo, iść na podryw. Siedzenie w domu i zamartwianie się to nie w jej stylu. Głos mogła podłożyć rano, dziś wieczorem chciała zrobić coś innego, coś, co oderwałoby jej myśli od pracy, rodziców i całej reszty.

W hotelach na plaży pełno jest facetów do wzięcia. Nim weszła do sypialni, wrzuciła płytę Aerosmith i podkręciła głośność prawie do maksimum. Mocny bas i ciężkie tempo natychmiast poprawiły jej nastrój. Niegrzeczna muzyka dla niegrzecznych dziewczynek szukających niegrzecznych nocnych rozrywek.

Prawie godzinę zajęło jej wybranie odpowiedniej kreacji i makijaż. W końcu ubrała się, jakby miała popełnić zbrodnię: wszystko było czarne, od bielizny po obcisłą sukienkę od Niny Ricci. Sześć godzin w tygodniu, które spędzała na siłowni, sprawiało, że na jej widok odwróciłby się nawet ślepiec.

W chwili gdy poprawiała ułożenie piersi w wydekoltowanej sukience, rozległ się głośny brzęk tłuczonego szkła, Jill odwróciła się w stronę rozsuwanych szklanych drzwi do sypialni, gdy przez zwiewne zasłony wpadła do środka ciemna postać. Za napastnikiem w czarnej masce wskoczyło dwóch mężczyzn, też zamaskowanych. Ich buty z chrzęstem kruszyły na dywanie rozbite szkło.

Jill krzyknęła przeraźliwie. Przez chwilę paniczny strach wzięł górę nad instynktownym odruchem ucieczki. To wahanie dużo ją kosztowało.

Dwaj mężczyźni rzucili się w jej stronę z bronią w dłoniach. Zaczęła się cofać, ale kolba uniesionego szybkim ruchem pistoletu trafiła ją w podbródek, głowa odchyliła się gwałtownie i Jill runęła na podłogę. Nim łańcuszek z diamentowym wisiorkiem, który nosiła na szyi, opadł na dekolt, straciła przytomność.

Mężczyzna, który ją uderzył, ściągnął z twarzy czarną maskę i w świetle ukazała się twarz Kenjiego, prawej ręki Takahiro Ohnishiego.

– Zwiążcie ją – rozkazał.

Przeszukał kolejne pomieszczenia, aż trafił do gabinetu. Ściany zastawione były drogim sprzętem wideo, służącym do wysokiej jakości edycji materiałów filmowych. Wywiad z Ohnishim musiał gdzieś tu być. Kenji zrećznie przeszukał szafkę z dokumentami i biurko, ale nic nie znalazł. Wrócił wściekły do salonu. Na małym stoliku w pobliżu drzwi leżała gruba szara koperta. Kiedy ją rozerwał, do ręki wsunęła się kasetka wideo. Wrócił do gabinetu i włożył ją do magnetowidu.

Reportaż Jill Tzu pojawił się po raz pierwszy i jedyne na ekranie. Tak jak przypuszczał, był to materiał dokumentujący przypadki naruszania przez Ohnishiego praw pracowniczych oraz popieranie kandydatury burmistrza Honolulu Davida Takamory na gubernatora stanu w najbliższych wyborach. Nie brakowało też odniesień do towarzyszącej kampanii eskalacji przemocy oraz sugestii, że być może i za tym stoją pieniądze Ohnishiego. Kenji wyjął z odtwarzacza kasetę i wsunął ją do wewnętrznej kieszeni wiatrówki, po czym wrócił do sypialni.

Ciągle nieprzytomna kobieta leżała na łóżku, ręce miała skute kajdankami, w umalowane usta wepchnięto jej knebel.

Mimo to Kenji szepnął jej do ucha:

– Wspaniały reportaż, panno Tzu. Ma pani rację, stawiając takie zarzuty. Pan Ohnishi finansuje akty przemocy w Honolulu. Chociaż nie potrwa to już długo, zapewniam panią. – Odwrócił się do swoich towarzyszy. – Idziemy.

Zawinęli Jill w narzutę i wynieśli ją z mieszkania jak zwinęty dywan. Cykady zamilkły na chwilę, gdy trzech mężczyzn przedzierało się przez krzewy w kierunku ukrytego samochodu.

Niewiele ponad trzydzieści kilometrów dalej, przez Centrum Kongresowe w Honolulu przetoczyły się gromkie brawa. Na mównicę wszedł burmistrz David Takamora i samo jego pojawienie się wywołało burzę oklasków, które ciągle rozbrzmiewały echem w ogromnej sali, gdzie zebrało się dwanaście tysięcy osób; powiewały transparenty z hasłami popierającymi kontrowersyjnego burmistrza Honolulu. Gdy bohater spotkania wzniosł do góry ręce w uznaniu dla okazujących mu uwielbienie zwolenników, atmosferę wypełniła energia zebranych tłumnie ludzi.

W blasku reflektorów ekip telewizyjnych Takamora wydawał się przystojniejszy niż w rzeczywistości. Światło i makijaż ukryły ślady po trądziku i przysłoniły cienkie pasemka siwizny, które prześwitywały w gęstych włosach. Trzymał się prosto i pewnie, eksponując płaski brzuch, efekt użycia pasa wyszczuplającego i wstrzymywania oddechu. Wysilek ten z pewnością będzie skutkował dotkliwym bólem pleców po przemówieniu.

Takie małe sztuczki uchodzą płazem większości osób po pięćdziesiątce. o ile nie sięgają po nie zbyt często. Jednak w wypadku Takamory potrzeba było czegoś więcej niż tylko makijażu, by ukryć skazy jego osobowości i morale.

By zdobyć obecną pozycję, chorobliwie ambitny Takamora postawił na ciemną stronę polityki. Od początku kariery członek miejskiej komisji budownictwa jasno dawał developerom do zrozumienia, że niemal z uśmiechem będzie przyjmował łapówki w zamian za szybkie akceptowanie ich projektów.

W ciągu kilku lat zgromadził kilkaset tysięcy dolarów, które wykorzystał w walce o fotel burmistrza. Niektórzy mówili, że wycinał takie numery, by zostać kandydatem w wyborach, że na jego biurku zamiast długopisu leżały nożyczki. Jego kampania należała do najohydniejszych w historii Ameryki. Główna konkurentka Takamory, radna o nieposzlakowanej opinii, wycofała się z wyścigu po tym, jak jej córka została brutalnie zgwałcona pod jednym z nocnych klubów. Takamora nie wiedział, czy gwałt był tylko zbiegiem okoliczności, czy też wyczynem jakiegoś nadgorliwego asystenta.

Teraz stał na podium, gotów sięgnąć po zaszczyty wybiegające daleko poza jego ambicje. Był ostatnim mówcą na wiecu zwolenników Referendum 324, gdzie emocje osiągnęły już temperaturę wrzenia.

– Panie i panowie – zaczął mówić po japońsku. uspokajając gestami rąk falujący tłum. – Panie i panowie, nieco ponad rok temu swoimi głosami daliście mi mandat, bym pomógł temu miastu w dalszym rozwoju, w tworzeniu miejsc pracy,

w zabezpieczeniu waszej przyszłości. Od tamtej chwili robiłem i robię wszystko, co w mojej mocy, by tym wyzwaniom sprostać. Okazało się jednak, że urząd, który mi powierzyliście, ma swoje ograniczenia. Udało nam się zachęcić japońskie firmy do inwestowania w naszym mieście, ale stanowe i federalne ciała nadzorcze niweczą nasze wysiłki. Gdy przedsiębiorstwo Ohnishi Heavy Industries chciało wybudować w Honolulu fabrykę komputerów, rząd w Waszyngtonie nie wydał zezwolenia na import niezbędnych urządzeń. Gdy z waszym błogosławieństwem chciałem sprywatyzować nasze siły policyjne. Sąd Najwyższy nazwał moje działania niekonstytucyjnymi, ponieważ mogą one zostać odebrane jak próba powołania prywatnych jednostek paramilitarnych. Teraz zaproponowałem, żeby pieniądze z naszych podatków zostawały tu, na Hawajach, a nie znikwały w federalnej kloace, więc okrzyknięto mnie secesjonistą. Referendum 324 nie oznacza secesji, tylko równość. Nasz stan jest obecnie całkowicie samowystarczalny. Z Japonią prowadzimy handel na większą skalę niż z Kalifornią, więc dlaczego nie mielibyśmy prawa do zatrzymywania wpływów z podatków, które są wynikiem naszej ciężkiej pracy? Nie widzę żadnej pomocy z Waszyngtonu, a jedynie próby blokowania najlepszych rozwiązań. Widzę za to nas, jak tworzymy system, który jest w pełni niezależny, i mówię: zostawcie nas w spokoju, nie mieszajcie się w nasze sprawy. Podczas gdy kontynentalna część kraju pogrąża się w bezdennej otchłani zbrodni i narkotykowego amoku, gdzie przypadkowe strzelaniny nie są już nawet tematem doniesień, gdzie trzydzieści procent nastolatków rodzi dzieci, gdzie pomoc społeczna wyciąga

rękę do tych, którzy są zbyt leniwi, by pracować, nam udało się rozkwitnąć. Czy to uczciwe, byśmy płacili za ich zepsucie?

– Nie! – odpowiedział krzykiem rozentuzjasmowany tłum.

– Czy powinniśmy płacić za ich wybryki?

– Nie! – Po raz wtóry jednym, przepełnionym nienawiścią głosem wrzasnął tłum.

– Wczoraj wieczorem wiceprezydent Stanów Zjednoczonych określił mnie mianem secesjonisty... – Takamora ledwie panował nad rzeszą ludzi, która powoli zmieniała się w bezmyślny motłoch. – A ja mówię: nie wódź mnie na pokuszenie!

Ostatnie słowa wypowiedział przez zaciśnięte zęby, po czym zszedł z podium, otulony jak płaszczem pochlebstwami zgromadzonych. Jeden ze współpracowników podał mu butelkę piwa i ręcznik. Burmistrz pociągnął spory łyk i starł ze spoconej twarzy makijaż.

– Postuchajcie ich – powiedział do swoich ludzi. – Są gotowi na wszystko.

Gdy Takamora wsłuchiwał się w dochodzące zza bordowej kurtyny krzyki tłumu, jego współpracownik wyjął z kieszeni dzwoniący telefon, odebrał, słuchał przez chwilę, po czym podał go burmistrzowi.

– Tak?

– Moje gratulacje, Davidzie. Poruszająca mowa.

– Dziękuję, panie Ohnishi. Cieszę się, że jej pan wysłuchał. – Mikrofony Centrum Kongresowego połączone były z nadajnikiem, który wysyłał sygnał bezpośrednio do domu Ohnishiego. – Słyszysz pan ten tłum, sir?

– Tak, jest pan bez wątpienia człowiekiem roku.

– To dzięki pańskiej pomocy, sir – przyznał szczerze burmistrz, doceniając ogromne wsparcie, jakiego udzielił mu stary przemysłowiec.

– Chyba nadszedł czas, by przyspieszyć naszą kampanię, nie uważa pan? – Mimo pytającej formy, zdanie to brzmiało raczej jak polecenie.

– Zgadzam się, sir – odparł Takamora, zachowując pozory niezależności. – Co pan ma na myśli?

– Kilka podłożonych bomb, lepsza broń dla chłopców z gangów i lepiej dobrane cele. Nasz dzień gwałtownie się zbliża, musimy więc być lepiej zorganizowani. Rano skontaktuje się z panem Kenji i przedstawi szczegóły.

– Ale Referendum 324 jest dopiero za tydzień. Nie spieszymy się zbyttnio?

– Zaszły pewne nieprzewidziane okoliczności, które być może zmuszą mnie do zarzucenia podstępu związanego z referendum. Kogo obchodzi, czy ludziom odbierze się prawa wyborcze? I tak damy im to, co chcą. Mnie interesuje tylko, czy pańska Gwardia Narodowa zachowa lojalność przez cały okres naszej kampanii.

– Może pan na nią liczyć, sir, przynajmniej na jednostki, które stworzyłem od czasu objęcia urzędu. Jak pan wie, tutejsze siły porządkowe złożone są z Amerykanów japońskiego pochodzenia, młodych ludzi, którzy czują to samo, co my. Wcześniej czy później zostaną wezwani przez gubernatora. W ten sposób

nieświadomie wypuści na ulice jeszcze więcej naszych ludzi. Zapewniam, że nie będą przeszkadzać pańskim gangom.

– A jeśli prezydent wezwie wojsko?

Takamora zawahał się przez chwilę.

– Gwardziści chętnie stawiają czoło żołnierzom. Proszę pamiętać, że obecność wojskowa na wyspie zawsze stanowiła źródło największych konfliktów społecznych. Zupełnie tak samo jak na Okinawie po gwałcie na tej dziewczynce w 1996 roku.

– Dobrze. I niech pan więcej nie podaje w wątpliwość moich słów, Davidzie. – Głos Ohnishiego ociekał miodem, ale słyhać w nim było napięcie.

Takamora z trzaskiem zamknął telefon, zły, że euforia sprzed kilku minut pierzchła pod wpływem chłodu Ohnishiego. Oddając telefon, próbował zachować spokój, jednak mu się nie udało.

ARLINGTON W STANIE WIRGINIA

Delikatny dźwięk budzika natychmiast obudził Mercera. Wyciągnął rękę spod kołdry i uciszył antyczny chronometr, po czym zrzuciwszy pościel, opuścił nogi na podłogę. Jego ciemnoszare oczy nabrały już blasku i jasności. Reagowały na światło o wiele szybciej niż oczy przeciętnego człowieka. Ledwie je mrużył w jaskrawym świetle, a już przyzwyczajał się do ciemności jak kot. Sprawność tę wykorzystywał w pełni w podziemnym świecie kopalnianych korytarzy.

Ogolił się i wziął szybki prysznic, dopiero potem zszedł krętymi schodami do pokoju rekreacyjnego, przechodząc po drodze przez bibliotekę. Półki z ciemnego dębu zastawione były beżowymi kartonami, w których mieścił się okazały zbiór specjalistycznych książek. Po raz tysięczny obiecał sobie, że rozpakuje pudła i poustawia książki na półkach w odpowiednim porządku. Chciał także powiesić dziesiątki zdjęć i obrazów, które zgromadził w ciągu lat pracy i które ciągle leżały w skrzynkach stojących w dwóch wolnych sypialniach.

Z filiżanką kawy w dłoni podszedł do frontowych drzwi i podniósł poranną gazetę. Właśnie przebiegł wzrokiem do artykułów w dolnej części strony, gdy dotarł do barku w pokoju rekreacyjnym. Nagłówek w lewym rogu przykuł go do krzesła.

„Odnaleziono rozbitka ze statku NOAA.

Hawaje.

Doktor Tish Talbot, specjalistka biorąca udział w feralnej ekspedycji na pokładzie statku badawczego NOAA »Ocean Seeker«, została dziś o 12.30 czasu lokalnego uratowana przez fiński frachtowiec. Jest do tej pory jedyną żywą osobą odnalezioną po zatonięciu statku, do którego doszło trzy dni temu. »Ocean Seeker« badał tajemnicze przypadki śmierci dwunastu pływaczy szarych, które w zeszłym miesiącu morze wyrzuciło na północne wybrzeża Hawajów. Lekarze określają stan doktor Talbot jako stabilny, chociaż jest odwodniona i wyziębiona. Dziś rano zostanie przetransportowana samolotem do Szpitala Uniwersyteckiego im. George’a Waszyngtona na obserwację. Statek ratunkowy »September Laure!« pomagał straży morskiej i marynarce w poszukiwaniach rozbitków od chwili zgłoszenia tej tajemniczej katastrofy”.

Nie był to jeszcze koniec artykułu, ale Mercer nie widział już kolejnych słów. Poczucie straty, które odczuwał wczorajszej nocy, ustąpiło miejsca radości i uldze.

– Obudź, się Harry. – Koniecznie chciał się podzielić dobrymi wiadomościami.

Hany budził się powoli. Pierwsze stęknienia i ziewanie po chwili zastąpiło drapanie się i przeciągnięcie.

– Która godzina?

– Za piętnaście szósta – odpowiedział Philip, spoglądając na zegarek.

– Jezu – jęknął Harry, mlaszcząc głośno. – Czuję, jakbym się całował z wełnianym swetrem.

Mercer nalał mu kawy do kubka. Harry przesunął się z kanapy do barku i przysiadł na stołku. Zdążył już przypalić papierosa.

– Pamiętasz, jak mówiłem ci o Jacku Talbocie? O tym faciecie, który uratował mi życie na Alasce? – Mercer nie czekał, aż Harry przytaknie.

– Wczoraj w nocy dowiedziałem się, że jego córka była na pokładzie statku badawczego NOAA, który zatonał na Pacyfiku.

– Rany, przykro mi to słyszeć – szepnął Harry. – Miałem cię nawet wczoraj zapytać, czy słyszałeś o tej katastrofie.

Mercer uniósł pierwszą stronę gazety i Harry przeczytał notkę ciągle sennymi oczami.

– O, w mordę. A niech mnie! To się nazywa szczęście.

– Jak cholera.

– Ciekawe, czy twój przyjaciel już o tym wie?

– Pewnie nie słyszał nawet o tym wypadku. Zdaje się, że ostatnio pracował na jakiejś platformie wiertniczej gdzieś u wybrzeży Indonezji.

Harry popatrzył przez chwilę na Philipa, po czym wstał.

– Lepiej pójść do domu – rzucił. I nim Mercer zdążył coś powiedzieć, był już za drzwiami. Philip zastanawiał się przez chwilę nad nagłym wyjściem przyjaciela, po czym wrócił do czytania gazety.

O 8.30 pomaszerował do swojego biura w siedzibie USGS. Jego sekretarka, Jennifer Woodridge, próbowała się uśmiechnąć i przywitać z ustami pełnymi wiśniowego ciasta. Mercer nie mógł

się nadziwić jej talentowi do obżarstwa. Na biurku Jen zawsze walały się resztki opakowań po fast foodach, jakieś pogniecione torebki z chipsami i co najmniej trzy puste puszkę po napojach. A mimo to ważyła około sześćdziesięciu kilogramów i miała taką figurę, że Mercer gorąco pragnął, by chociaż część z plotek, które krążyły po biurze, stała się kiedyś prawdą.

– Dzień dobry. Jen. Co nowego?

Przełknęła z trudem kolejny kęs i pociągnęła duży łyk kawy.

– Witam. Nawet pan sobie nie wyobraża, jak bardzo się cieszyłam, że poleciał pan do Afryki i nie wsiadł na ten statek.

– Wierz mi, że ja cieszyłem się jeszcze bardziej.

Jen Woodridge nie zawsze tak bardzo troszczyła się o swojego tymczasowego szefa. Dwa miesiące wcześniej, gdy Mercer zaczął współpracę w USGS, przygotowała długą listę rzeczy, które będzie i których nie będzie wykonywać w pracy. Odczytała ją w błyskawicznym tempie dwie sekundy po tym, jak zostali sobie przedstawieni. Mercer wysłuchał jej spokojnie, nie komentując.

– W porządku – powiedział, gdy skończyła.

– Co mam teraz robić – zapytała, myśląc, że ma go w garści.

– Proszę wrócić i usiąść za biurkiem.

– E...

– I to wszystko. Proszę tylko usiąść. Nie odbierać telefonów, nie wypełniać dokumentacji, proszę nie robić nic.

Zaledwie po czterdziestu minutach Jen poddała się i wróciła do biura Mercera. Z jej niebieskich oczu wyczierała nuda.

– Punkt dla pana. Przepraszam. Konsultanci, którzy tu przychodzą, zazwyczaj traktują personel jak niewolników.

– Jest pani moją pierwszą sekretarką, to znaczy asystentką, więc nie bardzo wiem, jak panią traktować.

W ten sposób rozpoczęli świetną współpracę.

– Czytała pani o tej kobiecie, którą w nocy uratowali?

– Tak, wspomniała sprawa, prawda?

– I nieco dziwna, bo znam ją, a raczej znam jej ojca – odparł Mercer, kierując się w stronę gabinetu. – Zapraszam do siebie, powie mi pani, co się wydarzyło podczas mojej nieobecności.

Mercer z ulgą zdjął marynarkę i rzucił ją niedbale na skórzaną kanapę. Położył na biurku aktówkę i opadł na fotel. Z miną zagniewanej mamy Jen powiesiła marynarkę na wieszaku, po czym usiadła na stojącym przed biurkiem krześle i zaczęła pomagać szefowi w przekopywaniu się przez stos papierów.

Około południa Jennifer poszła na lunch, a Mercer został w gabinecie, chcąc nadrobić zaległości w prowadzeniu dokumentacji. Kilka minut po wyjściu sekretarki do drzwi gabinetu zastukał pracownik ochrony.

– Pan doktor Philip Mercer? – Sprawdził jeszcze raz nazwisko na kawałku papieru.

Mercer skrzywił się lekko – nie cierpiał, gdy nazywano go „doktorem”. Uśmiechnął się jednak zaraz do strażnika, mówiąc:

– A więc w końcu nakryliście mnie na kradzieży papieru toaletowego.

Ochroniarz popatrzył na niego w zdumieniu. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że człowiek za biurkiem nie mówi poważnie.

To tyle, jeśli chodzi o poczucie humoru, pomyślał Mercer.

– Recepcja odebrała właśnie telegram. Jest adresowany do pana. – Strażnik wręczył mu kopertę i wyszedł bez słowa.

Telegram nadano z Dżakarty. Mercer instynktownie domyślił się, że wysłał go Jack Talbot. Ogarnęły go złe przeczucia.

– „Tish jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Pomóż jej. »Ocean Seeker« celowo zniszczony. Spróbuję szybko dotrzeć do Waszyngtonu” – przeczytał szeptem.

Pod spodem widniał podpis – Jack.

Podjęcie decyzji zajęło Mercerowi nie więcej niż dziesięć sekund. Znał Jacka Talbota, wiedział, że nie jest to fantasta czy historyk. Jeśli powiedział, że córka jest w niebezpieczeństwie i statek badawczy NOAA zatopiono celowo, wierzył mu bez zastrzeżeń.

Podniósł się szybko z fotela. W spojrzeniu szarych oczu była determinacja, a w całej postaci wyczuwało się lekkie napięcie i gotowość na nieznaną. Złapał marynarkę i szybkim krokiem poszedł do windy. W sześć minut po przeczytaniu telegramu jego czarny kabriolet jaguar XJS pędził zatłoczonymi ulicami centrum do waszyngtońskiego szpitala.

Pielęgniarka w recepcji poinformowała go, że Tish leży w sali numer 404, ale nie wolno jej odwiedzać. Mercer dowiedział się też, że pokój strzeżony jest przez agentów FBI.

Fakt, iż jedyny rozbitek znajdował się pod strażą, uwiarygodniał obawy Jacka, że jego córka znajduje się w niebezpieczeństwie, a katastrofa statku ma złowieszczy wydźwięk.

– No to świetnie – powiedział i rzucił pielęgniarce taki uśmiech, że aż się zarumieniła. – Gdzie mogę się napić kawy?

– Proszę iść w prawo, a potem schodami na górę – wyjaśniła, przyglądając dłonią włosy. – Na pierwszym piętrze jest kafeteria.

Mercer podziękował, ale gdy tylko znalazł się na klatce schodowej, natychmiast popędził na czwarte piętro. Fluorescencyjne światło, malowane na żółto ściany i szpitalny zapach wystarczyły, by nawet u najzdrowszej osoby wywołać mdłości. Po kilku minutach znalazł skrzydło, w którym znajdowała się sala 404. Dwóch zwalistych mężczyzn zmierzyło go wzrokiem tak, jak rekin patrzy na swoją ofiarę.

– Doktor Mercer do pani Tish Talbot – rzucił od niechcienia, pokazując swój identyfikator.

Jeden z agentów zmierzył go od stóp do głów, popatrzył na wystający z kieszeni fartucha stetoskop, który Mercer zabrał z pustego pokoju pielęgniarek. Drugi strażnik spojrział na szpitalne logo na identyfikatorze oraz na zdjęcie, które przedstawiało stojącego przed nim doktora Mercera.

– Po co pan przyszedł, doktorze? – zapytał beznamiętnym tonem.

– Jestem urologiem – odparł Mercer, powstrzymując ziewnięcie. – Muszę sprawdzić, czy nie doszło do uszkodzenia nerek wskutek długotrwałego odwodnienia.

Agent machnął ręką i wpuścił go bez dalszego odpytywania. Identyfikator, który pokazał Mercer, faktycznie został wydany przez szpital, ale było to jedynie potwierdzenie prawa do usług medycznych w tej placówce służby zdrowia. Nawet pobieżne

obejrzenie tego kawałka plastiku zapewniłoby mu szybką podróż do siedziby FBI.

Taką właśnie czujność wykazywało Biuro.

Mercer spojrział przez ramię i zobaczył, jak jeden z agentów zanurza twarz w niemal pustej torbie po chipsach i wysypuje sobie resztę do ust. Skoro Tish najprawdopodobniej groziło niebezpieczeństwo, nie pozwolił, żeby pilnowali jej tacy kretyni.

Tish siedziała na łóżku i na kolanach trzymała gazetę. Pomimo zmęczenia strasznymi przeżyciami, wciąż wyglądała na piękną trzydziestolatkę o krótkich ciemnych włosach, pełnych czerwonych ustach i wystających kościach policzkowych. Jej skóra mocno pociemniała od palącego słońca, ale nie wyglądała na trwale uszkodzoną. Spojrzała na niego oczami ojca. Były nieskazitelnie niebieskie i psotne.

– Panno Talbot, nazywam się Philip Mercer. Jestem przyjacielem pani ojca. Tak naprawdę to zawdzięczam mu życie. Być może nawet o tym opowiadał...

Uśmiechnęła się ciepło.

– Słyszałam tę opowieść chyba milion razy, doktorze Mercer. Muszę powiedzieć, że dobrze jest mieć tu kogoś znajomego.

– Lepiej niż się pani wydaje – odpowiedział szeptem Mercer.

– Jak się pani czuje?

– Zmęczona i poobijana, ale nie najgorzej. Sama nie wiem, po co mnie tu trzymają. – W jej głosie wyczuł irytację.

– Może pani nie uwierzy, ale stała się pani kimś bardzo ważnym. Czy pani wie, że jest pod ciągłą strażą?

– Nie miałam o tym pojęcia. Po jaką cholere? – Mówiła wprost i bez ogródek, jak jej ojciec.

– Myślałem, że dowiem się tego właśnie od pani. Jakąś godzinę temu dostałem od pani ojca telegram. Z Dżakarty. Prosił mnie, bym pani pilnował.

Tish popatrzyła na niego w osłupieniu.

– Jego zdaniem „Ocean Seeker” został zatopiony celowo, a jeśli to prawda, raczej nie jest tu pani bezpieczna. Byłem w Afryce Południowej, gdy doszło do tej tragedii, nie znam więc szczegółów, ale ufam pani ojcu i na chwilę obecną zakładam, że pani życie może być w niebezpieczeństwie.

Tish nie spuszczała z niego zdumionego wzroku.

– Czy to, co mówię, ma jakiś sens? Czy pamięta pani coś albo czy widziała pani coś, co mogło wywołać ten zamęt?

– Po pierwsze, doktorze Mercer... – zaczęła, ale nim zdążyła powiedzieć coś więcej, do środka wszedł mężczyzna w fartuchu włożonym na garnitur.

– Witam. Doktor Alfred Rosenberg, pani urolog. – Wykrzywił usta w uśmiechu, ukazując pożółkłe od papierosów zęby.

Mercer rzucił krótkie spojrzenie na jego buty i zareagował natychmiast – cios, który wyprowadził, wzmocniło pełne nachylenie ciała. W chwili gdy jego pięść wylądowała na twarzy mężczyzny, zgiął rękę i łokieć z głośnym pacnięciem trafił w policzek Rosenburga. Gdy głowa doktora odskoczyła, a on zwałił się na ścianę, Tish zasłoniła dłonią usta w niemym okrzyku.

– Ubieraj się, zabieram cię stąd – zwrócił się do niej, bezwiednie przechodząc na „ty”.

Rosenburg szybko dochodził do siebie, w jego dłoni błysnęła piętnastocentymetrowy sztylet. Mercer ugiął nogi w kolanach i obrócił się, wyrzucając jednocześnie nogę w potężnym kopniaku. Mężczyzna poleciał do tyłu, uderzeniem wprawiając w drżenie całą ścianę. Stopa Mercera trafiła go dokładnie w żołądek. Zgiął się w pół, a wtedy otrzymał kolejne kopnięcie w twarz. Głową huknął o ścianę i nieprzytomny osunął się powoli na podłogę.

Mercer spojrzał na zszokowaną Tish.

– Na pewno nie jest sam. Ubieraj się.

Błyskawicznie zerwała się z łóżka, w ciągu kilku chwil wciągnęła dzinsy i koszulkę. Mercer zdążył jednak dostrzec jej długie, zgrabne nogi i tyłek przysłonięty majteczkami z białego jedwabiu.

Otworzył powoli drzwi i zerknął na stolik agentów FBI. Obaj leżeli na podłodze w kałuży krwi.

– O Jezu – jęknęła Tish, gdy Mercer przeprowadził ją obok stolika. Zatrzymał się na chwilę i znalazł przy jednym ze strażników pistolet automatyczny oraz zapasowy magazynek. Włożył broń dyskretnie pod fartuch, a magazynek wsunął do kieszeni.

Tish trzymała go za rękę, gdy schodzili na parter do holu wejściowego. Jeden rzut oka na znajdujące się tam twarze wystarczył, by stwierdzić, że, jak przypuszczał, zabójca nie był sam. Trzech mężczyzn czekało tuż za automatycznymi drzwiami, a trzech innych wpatrywało się w szklaną tablicę informacyjną, obserwując w niej, jak w lustrze, cały hol.

Uciekinierzy nie weszli do holu. Mercer poprowadził Tish do drzwi z napisem „Tylko dla personelu”, którymi wyszli na

zewnątrz, do strefy załadunku. Mężczyzna stojący niedaleko drzwi popatrzył na Tish nieco zbyt krytycznie, więc Mercer wyprowadził kolanem cios prosto w jego krocze. Jeśli padł ofiarą ktoś przypadkowy, to nie było lepszego miejsca, by opatrzyć jego obrażenia, a jeśli to jeden z pomocników zabójcy, to pieprzyć go. Z taką konkluzją Mercer pobiegł z Tish do samochodu.

Silnik jaguara natychmiast zaskoczył. Mercer miał nadzieję, że uciekną niezauważeni, ale dwie osoby już biegły w ich stronę. Wrzucił bieg i z dymem palonych opon wyjechał na ulicę. W kilku samochodach zatrąbiły wściekle klaksony, a dwie pielęgniarce zdążyły wskoczyć z powrotem na chodnik. Gdy skręcił w Dwudziestą Trzecią ulicę, kierując się w stronę największego waszyngtońskiego ronda, ścigały go już trzy identyczne bmw. Objechał rondo dwa razy, próbując zablokować ścigających w ulicznym korku, a później wyjechał na K Street. Manewr ten dał mu zaledwie sekundę albo dwie.

Położył na kolanach pistolet, Heckler i Koch VP-70, i wjechał przed miejski autobus. Zabójczy, produkowany w Niemczech pistolet kaliber 9 milimetrów mieścił w szerokiej rękojeści osiemnaście sztuk amunicji.

Odbezpieczył broń i nacisnął guzik opuszczający szybę. Do wnętrza samochodu wdarł się hałas miasta. Mercer żałował, że nie złożył dachu, bo miałby wtedy lepszą widoczność, teraz jednak nie mógł już nic na to poradzić.

Pierwszy samochód zbliżał się z lewej. Kierowca skupiał się na drodze, ale siedzący na fotelu pasażera mężczyzna nie spuszczał wzroku z Mercera. Nonszalancko machnął do niego kilka

razy ręką, po czym wyciągnął berettę model 12. Ten niewielki włoski karabin mógł wystrzelić serię dziewięćmilimetrowych pocisków z prędkością pięćset pięćdziesięciu sztuk na minutę. Gdy tylko mężczyzna ujął broń, Mercer wystawił za okno pistolet i zaczął strzelać bez ostrzeżenia.

Naciskał spust tak szybko, jak tylko mógł. Pierwszych pięć kul przeszło ciało strzelca, jego tors i głowa podskakiwały po każdym strzale. Gdy bezwładnie przechylił się na bok, kolejnych pięć kul zamieniło w bezkształtną masę głowę kierowcy. Bmw zwolniło i zaczęło zjeżdżać z ulicy. Po krótkiej chwili otarło się o jedno z potężnych drzew, które rosły wzdłuż K Street, i jak bumerang wróciło na jezdnię. We wstecznym lusterku Mercer zdążył zauważyć, że samochód przeleciał na przeciwny pas ruchu i uderzył w przód zaparkowanej śmieciarki. Przednia szyba bmw dosłownie eksplodowała, gdy siła zderzenia wyrzuciła przez nią dwa ciała.

Tish, blada jak płótno, nie przestawała przygryzać dolnej wargi. Mercer zdjął jedną rękę z kierownicy i uściśnął ją krzepiąco za ramię. Żałował, że nie mógł zrobić nic więcej, ale za nimi wciąż gnały dwa samochody. Zignorował czerwone światło na skrzyżowaniu K Street z Pennsylvania Avenue, to samo zrobili też ścigający. Właśnie mijali budynek Banku Światowego, gdy pierwsze kule zaczęły dziurawić karoserię jaguara. Tish zsunęła się na podłogę, a Mercer lawirował samochodem, jednak pociski trafiały w cel.

Na ulicy robiło się coraz ciasniej. Raz Mercer musiał nawet zatrzymać wóz, ale na szczęście obydwa bmw także utknęły

w korku kilka samochodów za nimi. Gdy z prędkością około siedemdziesięciu kilometrów na godzinę dojechali do ruchliwego skrzyżowania z Siedemnastą ulicą, światła zmieniły się na żółte. Zdecydowanym ruchem wrzucił bieg jałowy, nie zważając na opadającą strzałkę prędkościomierza, po czym wcisnął pedał gazu aż do leżącej na podłodze wykładziny. Wycie silnika stawało się nie do zniesienia, gdy w końcu wrzucił bieg. Nie było już odwrotu, światła zmieniły się na czerwone i samochody ruszyły jak stalowa lawina.

Mercer gwałtownym ruchem kierownicy skręcił w prawo, spod piszczących na asfalcie opon wytrysnął kłęb dymu. Piesi zeskakiwali z drogi pędzącego jaguara, który wjechał na chodnik i jechał nim przez kilkadziesiąt metrów, wpadając z impetem na ulicę niemal na wprost Białego Domu. Jedno z bmw próbowało wykonać ten sam manewr i podążyć za nim, ale z hukiem giętej blachy uderzyło w grube, betonowe zapory przeciwczołgowe, chroniące rezydencję prezydenta. Drugi samochód ścigających utknął w korku.

Mercer zatrzymał jaguara na rogu Pennsylvania Avenue i Szesnastej ulicy.

– Weź to – powiedział, podając Tish swój portfel. – Mój adres jest na prawie jazdy, masz też pieniądze na taksówkę. – Jednym szarpnięciem odczepił z kółka przy stacyjce klucz od mieszkania. – Po prawej stronie drzwi jest centralka alarmu: 36-22-34, w ten sposób go rozbroisz. Przyjadę, jak tylko będę mógł.

– Dasz sobie radę? – W jej oczach malował się strach.

– Nie martw się. Idź.

Kiwnęła głową, po czym wyskoczyła z wozu i natychmiast wtopiła się w tłum przechodniów.

Gdy tylko z trzaskiem zamknęły się drzwi. Mercer wjechał na Szesnąstą ulicę, obok hotelu Waszyngton i zawrócił na Pennsylvania Avenue, na wprost budynku Departamentu Handlu. We wstecznym lusterku dostrzegł bmw. Ciągłe za nim jechali, więc Tish była na razie bezpieczna.

Hotel Willard i budynek poczty mignęły w pędzie jak rozmazane plamy, gdy Mercer, wykorzystując moc i stabilność jaguara, przemykał zwinnie między coraz liczniejszymi samochodami. Nagle po raz kolejny usłyszał charakterystyczny odgłos strzałów z automatu. Pierwsza seria zrobiła sito z karoserii i w kilkunastu miejscach podziurawiła tylną szybę. Po kolejnej eksplodowała lewa tylna opona.

Stracił panowanie nad samochodem. Kierownica wydawała się w jego rękach oślizgłą żyjącą istotą. Wiedział, że los jaguara jest przesądzony. Szalone zachowanie samochodu szybko oczyściło wokół niego ulicę, z czego Mercer natychmiast skorzystał, zjeżdżając na przeciwległy pas ruchu i odbijając się od innych pojazdów jak kula bilardowa. Zatrzymał się w końcu przy zejściu na stację metra obok Archiwum Państwowego. Po kolizji zapanowała względna cisza, dzięki czemu był w stanie usłyszeć odgłos szybko zbliżających się syren policyjnych, dochodzący od strony centrum.

Mercer załadował do pistoletu nowy magazynek i wyskoczył z samochodu. Zbiegł po ruchomych schodach, roztrącając ludzi, i skierował się w stronę miejskiej kolejki podziemnej.

Większość osób patrzyła w zdumieniu, padały mocne słowa pod jego adresem, gdy przepychał się przez tłum, a potem dał susa za obrotową barierkę. Strażnik w szklanej budce był jego najmniejszym zmartwieniem. Gdy dobiegł do peronu, mocno się zaniepokoił, widząc puste tory w obie strony i niewielu ludzi na peronie; zbyt mało, by wśród nich zniknąć. Odwrócił się i zobaczył trzech mężczyzn, którzy biegli w jego kierunku, ledwie skrywając pod marynarkami broń.

Światła wzdłuż torów zaczęły pulsować, co oznaczało, że pociąg nadjeżdża. Rozległo się dudnienie, gdy skład coraz bardziej zbliżał się do stacji, pchając przed sobą ścianę powietrza. Drugi tor był ciągle pusty. Mercer wiedział, że jeśli wsiądzie do wagonu, nie ujdzie z życiem. Ścigający go nie mieli skrupułów przed popełnieniem morderstwa w miejscu publicznym.

Hałas na peronie stał się niemal namacalny, gdy pociąg wypadł z tunelu. Trzej mężczyźni znajdowali się dwadzieścia metrów od niego i jeden z nich sięgał już po broń. Mercer miał tylko jedną szansę i skorzystał z niej bez chwili wahania. Podbiegł do skraju peronu i skoczył ledwie dwa metry przed nadjeżdżającym pociągiem.

Motorniczy włączył sygnał ostrzegawczy i zaczął gwałtownie hamować, ale Mercer nawet tego nie zauważył, skupiony tylko na skoku. Gdyby skoczył za daleko, mógłby upaść na drugi tor i poraziłby go prąd, co zaoszczędziłoby kłopotu prześladowcom.

Na szczęście wylądował bezpiecznie na niskiej platformie oddzielającej obydwie tory. Gdy siła impetu pchała go do przodu, z przerażeniem zauważył zbliżające się z naprzeciwka światła

drugiej lokomotywy. Zaczął machać rękami, rozpaczliwie starając się odzyskać równowagę, co prawie mu się udało. Nadjeżdżający pociąg otarł się o jego ramię, odtrącając go do tyłu, na okna stojącego składu.

Mercer położył się między stojącymi teraz dwoma pociągami, próbując opanować nerwy. W końcu wstał i nie zwracając uwagi na zszokowanych pasażerów, zaparł się plecami o pierwszy pociąg, a nogami o drugi i spróbował wspiąć się na dach wagonu. Wśród krzyków i policyjnych gwizdów, które echem odbijały się w tunelu, usłyszał cichy, podwójny odgłos sygnału oznaczającego zamykanie drzwi.

Padł strzał i eksplodowało poszycie dachu tuż przy jego głowie. Mercer obrócił się i wyciągnął pistolet w kierunku zabójcy stojącego na mostku nad torami, łączącym przeciwległe perony. Mężczyzna strzelił w chwili, gdy lokomotywa szarpnęła wagony i ruszyła. Kula wyłobowała beton daleko od celu. Prześladowca złożył się do kolejnego strzału i pociągnął za spust. Mercer omal nic spadł z dachu, gdy toczył się po nim, unikając kuli.

Sekundę później wagon wjechał pod mostek i Mercer odwrócił się na plecy, kurczowo trzymając przy uchu pistolet. Między mostkiem a wjazdem do tunelu była metrowa przerwa. Gdy znalazł się pod nią, zauważył strzelca. Nacisnął spust i w chwili, gdy skład wjeżdżał w ciemny tunel metra, zobaczył, że zamachowiec pada bezwładnie do tyłu.

Podczas jazdy przez tunel z trudem zachowywał zimną krew. Chociaż pociąg jechał z prędkością sześćdziesięciu kilometrów, w ciemności wydawało się, że jedzie sześćset. Postukujący na

łączeniach szyn wagon trząsł się i podskakiwał, co groziło zsunięciem się z dachu. Ciągle też bał się, że zostanie zmiażdżony przez niskie sklepienie. Hałas i wibracje doprowadzały go do szału; zaciskając mocno szczęki, trzymał nerwy na wodzy.

Po kilku minutach, które zdawały się wiecznością, pociąg wtoczył się z łoskotem na stację L'Enfant Plaza. Mercer podpełzł do przodu, aż znalazł się pod mostkiem dla pasażerów. Zdawał sobie sprawę, że na tej stacji, a zapewne też na kolejnych, czatują na niego wspólnicy zamachowców. Mieli go w garści, kimkolwiek byli.

Oczekiwanie przeciągało się, pasażerowie wsiadali i wysiadali. Mercer obawiał się, że ruch mógł zostać wstrzymany, gdy znaleziono trupa na poprzedniej stacji, ale po chwili rozległ się sygnał i z sykiem zamknęły się pneumatyczne drzwi wagonów. Pociąg ruszył powoli i Mercer znów stał się odkrytym celem dla następnego zamachowca, który stał na mostku.

Uniósł swojego VP-70 i wycelował dokładnie w chwili, gdy przeciwnik skierował lufę w jego stronę. Żaden z nich nie zdążył strzelić, nim Mercer zniknął w mroku tunelu. Wzniesiona ręka, w której ścisnął pistolet, uderzyła w betonowy mur. Przeszyte ostrym bólem palce rozwarły się i pistolet wypadł mu z dłoni. Stuknął o dach jeden raz, potem drugi, po czym spadł na tory.

Mercer obrócił się na brzuch, przeklinając ból i własną głupotę. Był bezbronny i musiał stawić czoło nieznaney liczbie przeciwników. Gdy pociąg wyjeżdżał na powierzchnię w pobliżu Jefferson Memoriał, zdał sobie sprawę, że kiedy kolejka wjedzie na most na Potomacu, nadarzy się szansa ucieczki. Natychmiast

sklął siebie za taki pomysł, chociaż wiedział, że nie ma innego wyjścia. Gdy tylko wagon zalało światło dnia, usiadł i zdjął buty. Skład z łoskotem wjechał na stalowy most, który łączył brzegi wolno płynącej rzeki. Mercer wstał. Podmuchy wiatru natychmiast zaczęły trzepotać połami jego marynarki. Zrzucił ją szybko i spojrzał w dół na wodę. Miała kolor rozmytego szafiru.

Skoczył.

Irytujący hałas jadącego pociągu ustał, gdy Mercer spadał jak strzała. Przez chwilę zrobiło się zupełnie cicho, słyszał tylko wiatr świszczący w uszach. Siła zderzenia z lekko wzburzoną wodą niemal pozbawiła go przytomności, ale jej chłód natychmiast go ocucił. Znajdował się głęboko pod powierzchnią. Opróżnione uderzeniem płuca gwałtownie domagały się tlenu, wypływanie na powierzchnię rzeki było męczarnią.

W końcu wynurzył się i głośno kaszląc, wykrztusił wodę. Popatrzył na most, ale pociągu nie było już widać. Dwadzieścia wyczerpujących minut później wypełził na brzeg.

– Witamy w Wirginii – stęknął.

OCEAN SPOKOJNY

Z racji swojej natury współczesne łodzie podwodne o napędzie atomowym są idealnym urządzeniem do zbierania danych wywiadowczych. W pełnym zanurzeniu i w absolutnej ciszy mogą całe tygodnie, a nawet miesiące tkwić bezkarnie u wrogich wybrzeży.

Łódź, która stacjonowała obecnie dwieście mil na północ od wybrzeży Hawajów, czekała tam już od siedmiu miesięcy i oprócz jednego mało znaczącego zdarzenia ani razu nie była narażona na wykrycie. Patrol miał potrwać jeszcze tylko tydzień, może dwa tygodnie, więc posępne nastroje marynarzy powoli się poprawiały.

Załogę, składającą się w większości z mieszkańców północy Stanów, nie rozśmieszał już „ciężki”, południowy akcent kapitana; skończyły się sprzeczki, które nawet wśród tych niezwykle zdyscyplinowanych ludzi stały się codziennością. Marynarze wiedzieli, że wkrótce poczują ciepłe promienie słońca, odetchną świeżym powietrzem i spotkają się z rodzinami.

Kapitan, posępny pięćdziesięcioletni mężczyzna o jastrzębim spojrzeniu, rozejrzał się powoli po centrum dowodzenia. Czerwone kontrolki głowic bojowych, które świeciły się nieprzerwanie od początku misji, rzucały plamy światła na twarze

ludzi i pograżały w cieniu każdy zakamarek pomieszczenia. On też nie mógł już doczekać się powrotu do domu. Żona zmarła wiele lat temu, ale miał przecież córkę. Podczas jego nieobecności urodziła mu pierwszego wnuka.

Chłopiec czy dziewczynka, zastanawiał się. I jeśli to chłopczyk, czy da mu imię po mnie, czy po tym swoim mężu kretynie?

– Panie kapitanie, mam kontakt. Położenie: dwieście pięć stopni, odległość: piętnaście mil – zameldował operator sonaru.

Wśród zgromadzonych na mostku oficerów zapanowało pełne napięcia oczekiwanie. Wszystkie oczy patrzyły na kapitana. Ten spojrzął na zegarek i zdecydował, że prawdopodobnie to statek, na który czekali.

– Sonar, sprawdzić akustykę celu – powiedział c – Jest za daleko, sir. Musimy zaczekać. Trzynaście mil. Jedna śruba, płynię z prędkością trzynastu węzłów.

Kapitan wziął do ręki mikrofon.

– Stanowiska ogniowe, namierzcie cel i dajcie współrzędne. Przedział torpedowy, zalać komorę pierwszą i drugą, ale nie otwierać zewnętrznych pokryw.

Nawet na mostku oddalonym o trzydzieści metrów od przedziału torpedowego kapitan słyszał szum wody zalewającej komory torpedowe. Miał nadzieję, że w pobliżu nie ma nikogo innego, kto także mógłby to usłyszeć.

– Sonar, możecie już zidentyfikować cel?

– Tak jest, sir, właśnie nad tym pracujemy.

Wart kilka milionów dolarów komputer akustyczny analizował dźwięki dochodzące z nadpływającej jednostki, cyfrowo

odsiewał szum śruby i tarcia powodowanego przez prującą wodę kadłub oraz likwidował wszechobecne odgłosy morskich stworzeń. Aż w końcu...

– Mamy cel, generuje bardzo silny sygnał. Powtarzam, to nasz cel.

Wśród wielu różnych odgłosów generator statku emitował charakterystyczny, pulsujący sygnał, który mogli odebrać nasłuchujący. Był to sygnał, którego poszukiwał komputer i na który czekał kapitan.

Dowódca jeszcze raz podniósł mikrofon.

– Stanowiska torped, przygotować się.

– Niech to szlag! – krzyknął operator sonaru i zerwał z głowy słuchawki.

– Co się dzieje? – zapytał kapitan.

Z uszu mężczyzny wypływały cieniutkie strużki krwi.

– Kolejna podwodna eksplozja, sir – powiedział nienaturalnie głośno. – O wiele potężniejsza niż jakakolwiek inna.

– Możesz opuścić stanowisko – zdecydował kapitan.

Bardzo czuły osprzęt sonaru wyposażono w akustyczny bufor, mający stanowić ochronę dla uszu nasłuchujących ludzi. A jednak już czterech najlepszych operatorów doznało trwałego uszkodzenia słuchu, gdyż bufor nie był w stanie wyciszyć potężnych odgłosów podwodnych eksplozji, do których dochodziło gdzieś w pobliżu. Najwidoczniej sprzęt nie wytrzymał tak dużego nasilenia dźwięku. Obsługujący go ludzie też nie.

ARLINGTON W STANIE WIRGINIA

Mercer postukał kierowcę taksówki w ramię i wręczył mu dwudziestkę. – Reszty nie trzeba i przepraszam za siedzenie. Pokryta materiałem tylna kanapa żółtego forda taurusa nasiąknęła wodą tak samo jak ubranie Mercera, który bez butów skierował się w stronę domu. Kiedy szedł po betonie, za każdym krokiem mokre skarpety wydawały nieprzyjemne dźwięki.

Drzwi wejściowe do kamienicy były otwarte. Mercer odechnął z ulgą, zamknąwszy je za sobą. Od chwili, gdy wy dostał się z rzeki w pobliżu Pentagonu, do powrotu minęło niemal półtorej godziny. Pierwsze, co zrobił po wyjęciu ubrania za wrakiem jakiegoś autobusu, to zadzwonił do znajomego w waszyngtońskiej policji. Ten obiecał, że podziurawiony kulami jaguar nie zostanie odstawiony na główny parking depozytowy, ale na parking zapasowy w Anacostii. Zapewnił też, że papiery dotyczące samochodu „zawieruszą się” na parę dni. Trochę potrwa, nim policja go namierzy. Dzięki temu miał trochę czasu, by zastanowić się, o co do cholery w tym wszystkim chodziło.

Usłyszał grający telewizor i wiedział już, że Tish Talbot dotarła tu bezpiecznie. Przeszedł przez dom, nie zwracając uwagi na ślady zostawiane na terakocie i drewnianych schodach. Tish spała na kanapie przy barku, przykryta narzutą, którą kupił na

aukcji pamiątek po liniowcu oceanicznym. Na ciemnej, wełnianej powierzchni widniała wyszyta złotą nicią nazwa statku: „Normandie”.

Tish budziła się powoli, przeciągając się jak kotka.

– Jak się czujesz? – zapytał. Chęć wypicia czegoś mocniejszego wzięła górę nad obawą przez zamoczeniem podłogi, więc ostrożnie wszedł za barek.

– Nie jestem pewna – odparła i dopiero wtedy zwróciła uwagę na jego wygląd. – Mój Boże, nic ci nie jest?

– Powiedzmy, że nieprędko chciałbym to powtórzyć – powiedział, wyciągając z zabytkowej lodówki dwa piwa i otwierając butelki.

– Dzięki, pozwoliłam sobie otworzyć wino. – Pokazała stojący na stoliku kieliszek, w połowie wypełniony szkarłatnym płynem.

– Przecież nic ci nie proponowałem. – Philip przechylił butelkę i opróżnił ją kilkoma potężnymi łykami. – Muszę się wykąpać i przebrać. Zaraz wracam. – Postawił na kontuarze pustą butelkę.

Dziesięć minut później wrócił ubrany w dżinsy i koszulę. Tish zdążyła złożyć narzutę i siedziała przy barku.

– Masz piękny dom. Popełniłam błąd, skupiając się na wystrój zamiast na aspektach praktycznych, gdy kupowałam swoje mieszkanie w San Diego. Jest mniejsze niż ten pokój.

– Pewnego dnia w końcu przyznam, że tu mieszkam, i jakoś je urządzę – Fakt, zauważyłam absolutny brak talentów dekoratorskich. – Uśmiechnęła się ciepło. – O mój Boże, twoja ręka!

Popatrzył na wierzch prawej dłoni, z której chropowata powierzchnia tunelu zdarła naskórek. W łazience trochę nieudolnie założył opatrunek, bo plaster odkleił się i widać było rozcięcia. Choć bolesne i krwawiące, nie stanowiły większego zagrożenia. Mercer wyciągnął rękę po czystą ścierkę, ale Tish go uprzedziła.

– Ja to zrobię.

Gdy tylko dotknęła dłoni, wycierając krew, krzyknęła cicho. Odwróciła powoli jego rękę, poddając oględzinom jak naukowiec, którym zresztą była.

Ręce Mercera wyrzeźbiły ciężka praca i ból. Zrogowaciała skórę znaczyły pobladłe linie – ślady dawnych skaleczeń i blizn. Paznokcie, chociaż czyste i zadbane, nosiły ślady urazów, największe na małym palcu, gdzie paznokieć pękł na całej długości. Mimo wszystko były to piękne ręce, surowe jak nowy łańcuch górski, ale nie bez męskiej elegancji.

Tish puściła jego dłoń i popatrzyła mu w oczy.

– Pracuję na życie – rzucił swobodnie – a to moje narzędzia.

– Więc tym zadrapaniem pewnie niespecjalnie się przejmujesz?

– Przejmuję jak cholera, ale się do tego nie przyznam.

Odwróciła wzrok i jej głos przybrał poważny ton.

– Chciałam ci podziękować za uratowanie życia. – Zaśmiała się nerwowo. – Jezu, co za banał.

Mercer się uśmiechnął.

– Chociaż tyle mogłem zrobić za to, że twój ojciec mnie uratował życie. Jak on się ma?

– Mój ojciec nie żyje od roku. Nie wiedziałeś?

Twarz Mercera zrobiła się szara.

– Próbowałam ci to powiedzieć jeszcze w szpitalu, ale wszedł ten facet.

– Jak? – zdołał wychrypieć przez zaciśnięte gardło.

– Zginał na platformie wiertniczej gdzieś w pobliżu Indonezji. Wywróciła się podczas potężnego tajfunu.

Drętwienie, które pojawiło się u podstawy czaszki Mercera, błyskawicznie ogarnęło całe ciało. Oparł się o barek, by nie upaść. Bez słowa pobiegł do sypialni i zaraz wrócił, trzymając w ręku przemoczony kawałek papieru – telegram wysłany przez Jacka Talbota. Podał go Tish. ona jednak zawahała się na moment, jakby bała się wiadomości. W końcu wzięła do ręki telegram i szybko przeczytała. Oszołomiona podniosła wzrok na Mercera.

– Nic nie rozumiem.

– Ja też nie – powiedział powoli Mercer. – Ja też nie. Ale ktoś chce mnie w to wplątać, czymkolwiek „to” jest. I miał rację, grozi ci niebezpieczeństwo. – Wypił resztę piwa i wyciągnął z lodówki jeszcze jedną butelkę. – W szpitalu powiedziałaś, że nie masz pojęcia, dlaczego jesteś pod strażą ani dlaczego twój ojciec, czy ktokolwiek to był, wysłał telegram, że jesteś w niebezpieczeństwie?

– Tak powiedziałam. Posłuchaj, jestem tylko biologiem morskim. Kto by chciał mnie zabić? I skąd wiedziałeś, że ten facet w szpitalu nie jest prawdziwym lekarzem?

– Mówił, że jest urologiem, czyli wymyślił to samo, co ja, gdy zmyliłem agentów FBI. Jeden z nich powinien przyjść i sprawdzić mnie jeszcze raz. Poza tym, który lekarz, godzinami

obchodzący chorych, zakładałby na dyżur takie niewygodne buty? – Mercer wzruszył ramionami. – A jeśli chodzi o to, kto próbuje cię zabić, tego właśnie musimy się dowiedzieć. Oczywiście jest, że ma to coś wspólnego z ostatnim rejsem tamtego statku. Opowiesz mi o nim?

Tish była już na granicy płaczu i musiała wykonać kilka głębokich oddechów, zanim mogła znów mówić.

– Myślisz, że wszyscy ci ludzie zginęli z mojego powodu? – zapytała, pociągając nosem.

Mercer wyszedł zza kontuaru i wziął ją w ramiona. Wtuliła się w niego z wdzięcznością. Jej włosy pachniały szpitalnym mydłem, wydawały się takie gładkie i śliskie. Trwało to chwilę, po czym wyprostował się i spojrzał jej głęboko w oczy.

– Nie sądzę, by ktokolwiek miał przeżyć tę podróż. Teraz opowiedz mi o tym.

Tish zebrała się w sobie.

– Parę tygodni temu na plażach w pobliżu Hana na Maui znaleziono siedem pływaczy szarych. Wszystkie martwe. Biolog z Uniwersytetu Hawajskiego przeprowadził nekropsję.

– Co takiego?

– Autopsję zwierzęcia – wyjaśniła takim tonem, jakby każdy miał obowiązek znać to słowo. – Odkrył, że ich przewody pokarmowe były zatkane jakimiś minerałami. Około pięćdziesięciu pięciu procent krzemionki, trochę magnezu, wapna, żelaza oraz śladowe ilości złota.

– Opisujesz skład mineralny lawy.

– Tak też uważał biolog. Według niego wieloryby zwały się do siebie wielkie ławice planktonu, które z powodu ciepła otaczały nowo powstały wulkan. W czasie żerowania wieloryby połykały też zawieszony w wodzie cząsteczki lawy. W końcu ich przewody pokarmowe wypełniły się minerałami i zwierzęta nie mogły dłużej przyswajać pokarmu.

– Co się wtedy stało?

– Sprawę przekazano NOAA. Obserwacja z powietrza, prowadzona na północ od Maui, nic nie wykazała. Żadnej nowej wysypki, chmury popiołów, nawet pary. Wtedy zrzucano boje z sonarami i w ciągu dwunastu godzin znaleźliśmy nasz nowy wulkan. Dwieście mil od Hawajów. „Ocean Seeker” został wysłany w zeszły czwartek w nocy. – Tish zamilkła na kilka sekund. – Dwadzieścia cztery godziny później na statku doszło do eksplozji. Do chwili, gdy mnie uratowano, uważałam, że był to wypadek. Teraz jednak sama nie wiem, co o tym myśleć.

Mercer nalał jej wina, a sobie otworzył kolejne piwo. Poziom adrenaliny spadał, powodując pragnienie.

– Co znaczą te wszystkie pinezki na mapie? – Tish, zmieniając temat, pokazała na wielką mapę świata, wiszącą na ścianie za barkiem.

Mercer czuł, że rozmowa o czymś innym pozwoli Tish opamiętać się na tyle, by mogła odpowiedzieć na dziesiątki pytań, które ciągle chciał zadać.

– To miejsca, w których byłem. Różne kolory mówią, dlaczego do nich pojechałem. Zielony oznacza przyjemność, czyli na przykład większość wysp karaibskich. Czerwony pracę za granicą

na zlecenie USGS, głównie w Europie i Afryce. A niebieski to prywatne wyjazdy w charakterze konsultanta, którym czasami jestem dla różnych firm wydobywczych.

Tish zauważyła, że ta ostatnia kategoria obejmowała dość egzotyczne miejsca, takie jak Tajlandia, Namibia, Afryka Południowa, Alaska, Nowa Gwinea i co najmniej piętnaście innych.

– Dlaczego w Afryce Środkowej jest przezroczyta pinezka? Nie wiem, jaki to kraj.

Na twarzy Mercera pojawił się wyraz bólu.

– Rwanda. Spędziłem tam sześć miesięcy w 1994 roku, gdy świat przyglądał się, jak plemię Hutu wyrzyna osiemset tysięcy członków plemienia Tutsi. Prowadziłem właśnie prace konsultingowe, gdy wybuchł ten konflikt, i zamiast uciekać, przyłączyłem się do grupy żołnierzy próbujących bronić uciekających wieśniaków.

– Boże, dlaczego to zrobiłeś? Toczone walki pełne brutalności i okrucieństwa.

– Urodziłem się w tamtej części świata. Moi rodzice i ja mieszkaliśmy w Rwandzie w pierwszych latach niepodległości. Byłem zbyt mały by pamiętać masakrę z 1964 roku, ale nigdy nie straciłem poczucia lojalności wobec moich przyjaciół Tutsi, z którymi się wychowywałem.

Tish wiedziała, że nie mówi wszystkiego, ale nie naciskała.

– A ta przezroczyta pinezka w Iraku?

Uśmiechnął się.

– Nigdy tam nie byłem, a nawet gdybym był, nie mogę o tym rozmawiać.

Rzuciła mu zawadiackie spojrzenie.

– Prawdziwy James Bond, co?

– Tak jakby. – Mercer ciągle miał na ciele blizny, ślady po tamtej misji. Informacje, które stamtąd przywiózł, bezpośrednio przyczyniły się do rozpoczęcia operacji „Pustynna Burza”. – Opowiedz mi teraz, jak cię znalezione.

– Wybuch nastąpił w piątek, późno w nocy. Stałam na rufie, mocowałam sprzęt akustyczny. Nie słyszałam ani nie widziałam eksplozji. Stałam na pokładzie i w jednej chwili znalazłam się w wodzie. Buchnęły płomienie. Pamiętam, że nic nie słyszałam. Chyba na jakiś czas ogłuchłam.

– Siła wybuchu cię ogłuszyła. To się często zdarza. Mów dalej.

– Obok mnie pojawiła się tratwa ratunkowa i podpłynęłam do niej.

– Była nadmuchana? – przerwał jej.

– Tak. Kiedy się na tym zastanowić, to bardzo dziwne. Tratwy przechowuje się w wielkich plastikowych cylindrach. Może wybuch uwolnił dwutlenek węgla, który je wypełnia. – To raczej nie wchodzi w grę, pomyślał Mercer i postanowił wrócić do sprawy. – Dryfowałam przez cały kolejny dzień, aż w końcu znalazł mnie „September Laurel”.

– Ten frachtowiec?

– Tak. Parę godzin później przyleciał wojskowy śmigłowiec i zabrał mnie ze statku. Lekarz na pokładzie zrobił mi zastrzyk i gdy się ocknęłam, byłam już w Waszyngtonie.

– Jak wyglądał frachtowiec?

– Czyja wiem? To był zwykły statek. Nie znam jego wymiarów ani nic takiego. Miał na pokładzie dźwig i wysięgniki. Na kominie w pobliżu rufy znajdował się czarny okrąg z żółtą kropką w środku.

– Co jeszcze możesz mi powiedzieć?

Tish zamilkła na chwilę, marszcząc gładkie czoło. Zastanawiała się nad czymś, ale chyba nie miała pewności co do zaistnienia pewnych faktów.

– Słyszałam, że rozmawiano po rosyjsku – wypaliła.

– Po rosyjsku? Jesteś pewna?

– Nie, nie do końca.

– Kiedy to słyszałaś?

– Gdy wciągano mnie na pokład frachtowca i załoga wydawała sobie komendy.

– Skąd wiesz, że mówili po rosyjsku? Wiele skandynawskich języków brzmi bardzo podobnie.

– Rok temu wraz z grupą naukowców prowadziłam w Mozambiku badania nad koloniami krewetek. We wspólnym przedsięwzięciu uczestniczyli NOAA, Woods Hole*, rząd Mozambiku i ekipa rosyjska. Tam spotykałam się z pewnym Rosjaninem. Kiedy byliśmy razem, zawsze mówił do mnie po rosyjsku. Chyba nigdy nie zapomnę brzmienia tego języka. – Spojrzała na Mercera pytająco, jakby chciała, by ocenił jej postępowanie.

– No dobrze, słyszałaś rosyjski, ale niewykluczone, że w skład załogi wchodził tylko jeden Rosjanin, może jakiś imigrant. Co się stało, gdy znalazłaś się na tratwie?

– Nic. Byłam nieprzytomna aż do chwili, gdy zaczęli mnie ratować.

– Nic nie pamiętasz?

– Zdmuchnęło mnie ze statku, co do cholery mam pamiętać?

– Zmęczenie już dawało o sobie znać.

– Przepraszam, z pewnością jesteś wyczerpana. – Zerknął na zegarek. Była 16.30. – Prześpij się trochę. Obudzę cię o siódmej. Założę się, że marzysz o nieszpitalnym jedzeniu.

– Tak, byłoby cudownie.

Philip poprowadził ją do jednego z dwóch pokoi gościnnych, po czym pokazał jej łazienkę i dał kilka ręczników. Nim dotarł z powrotem do barku, doszedł go szum płynącej z prysznicza wody.

Wyciągnął z lodówki kolejne dwa piwa i poszedł do gabinetu. Włączył stojącą na biurku lampę i złapał za słuchawkę.

– Berkowitz. Saulman i Little – zaszczebiotał po chwili kobiecy głos.

– Poproszę z Davidem Saulmanem. Z tej strony Philip Mercer.

Spśród dziesiątków prawników, z którymi miał w życiu do czynienia. lubił tylko Davida Saulmana. Saulman, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych oficer na statku, doznał tak poważnego urazu ręki, że trzeba było ją amputować. Zmuszony do odejścia z marynarki handlowej, skończył studia prawnicze i w ciągu zaledwie kilku lat stał się ekspertem od prawa morskiego.

Trzydzieści lat później jego kancelaria w Miami współpracowała z ponad setką prawników, a ceny jego porad kształtowały się na poziomie pięciuset dolarów za godzinę. Pomimo swoich siedemdziesięciu pięciu lat Saulman zachował lotność umysłu i mógł imponować wiedzą o statkach i transporcie morskim.

– Mercer, co słysząc? Nie słyszeliśmy się od ładnych paru miesięcy. Powiedz jeszcze, że jesteś w Miami i masz kłopoty.

– Przykro mi, Dave, jestem w Waszyngtonie. Ale faktycznie, mam kłopoty.

– Tylko nie mów, że gliny w końcu nakryły cię na pokazaniu turystom przyrodzenia przed Białym Domem.

– Co ty, nikt nie zwraca uwagi na coś takiego w moim wykonaniu. Dave, co wiesz o statku „September Laurel”?

– To rozmowa oficjalna, tak?

– Tak, na rachunek NOAA.

– NOAA? A wiedzą o tym?

– Jeszcze nie, ale jeśli mam rację, nie będą mieć nic przeciwko.

– „September Laurel” to jednostka, która wczoraj w nocy uratowała tę kobietę z NOAA, tak?

– Zgadza się.

– Statek należy do Ocean Freight & Cargo z siedzibą w Nowym Jorku, ale wszystkie ich statki zarejestrowane są w Panamie i mają włoskie załogi. To taki frachtowiec włóczęga, zazwyczaj pływa po północnym Oceanie Spokojnym. Niech sobie przypomnę, ma jakieś sto dwadzieścia metrów długości, trzydzieści tysięcy ton wyporności. Jedyne, o czym warto wspomnieć, to udział w tej akcji ratunkowej.

– Dave, musisz go dla mnie sprawdzić. Rodzaje przewożonego ładunku, duże kontrakty, chcę też mieć najważniejsze informacje o armatorze. Kop jak najgłębiej. 1 jeszcze jedno: mógłbyś zdobyć dla mnie informacje na temat wszystkich statków, które zatoniły na tych samych wodach co „Ocean Seeker”?

– Co się dzieje w tym twoim pokręconym umyśle?

– Jeszcze nie wiem i nie za bardzo mogę mówić o swoich podejrzaniach. Wiesz może, jaki wzór na kominie ma „September Laurel”?

– Gałązki wawrzynu.

– Jesteś pewien?

– Tak. to znak firmowy tego armatora. „August Rose” ma na kominie motyw bukietu róż, a „December Iris”^{*} – irysy.

– A więc to niemożliwe, żeby na jego kominie namalowano czarny okrąg z żółtą kropką w środku?

– Jeśli firma nie zmieniła czterdziestoletniej tradycji, to nie.

– Dzięki, Dave, mam u ciebie dług. Przefaksuj mi informacje do domu, tak je odbiorę.

– Gotowy na małą zgadywanke? – zapytał Saulman. To już należało do tradycji, odkąd poznali się w 1983 roku na przyjęciu ku czci nielicznych ocalałych pasażerów „Titanica”.

– Dawaj.

– Kto był ostatnim właścicielem statku „Queen Elisabeth” i jak zmienił jego nazwę?

– C.Y. Tung i nazwał go „Seawise University”.

Mercer ledwie usłyszał, jak Saulman rzuca pod jego adresem przekleństwo, zanim się rozłączył. Po chwili zaczął przerzucać

karteczki obrotowego notatnika w poszukiwaniu numeru telefonu do instytutu oceanograficznego w Woods Hole.

– Pora zadzwonić po kolejną przysługę – mruknął, słysząc w słuchawce sygnał połączenia.

– Hejka! – odezwał się znajomy, niski głos.

Mercer natychmiast rozpoznał nonszalancki ton powitania. Tak mógł mówić tylko ktoś, kto wychował się w Harlemlie.

– Hej, Spook, nic łaska powiedzieć „halo”?

– Tylko jeden człowiek śmiałyby tak do mnie powiedzieć. To ty, Mercer?

– Nie, z tej strony kapituła Ku-Klux-Klanu z Massachusetts. Zwracamy się z prośbą o skromną darowiznę.

– Cholera, więc to ty. Co słychać?

Trzy lata temu pewne przedsiębiorstwo górnicze z Pensylwanii zgłosiło się do Mercera w sprawie nieruchomości, którą właśnie zakupiło na północy stanu Nowy Jork. Firma miała nadzieję na ponowne uruchomienie kopalni antracytu, z której po raz pierwszy zaczęto wydobywać ten rodzaj węgla w 1890 roku. Podczas wstępnych badań na wpół zalanych sztolni Mercer i niewielka ekipa pracowników przedsiębiorstwa natknęli się na ławicę zwinnych, ale ślepych ryb. Nic widząc u nich podobieństwa do żadnego pospolitego gatunku, Mercer zadzwonił do Woods Hole, żeby zbadali te zmutowane stworzenia. Instytut przysłał na miejsce dwóch biologów morskich i kilku asystentów. Kopalni nigdy nie otwarto, ale badania nad rybami pozwoliły młodemu absolwentowi uniwersytetu, Charlesowi Washingtonowi, napisać rozprawę doktorską i uzyskać etat w Woods Hole.

Mercer nadał mu przydomek Spook nie dlatego, że miał czarną skórę, ale z powodu jego miłości do powieści Stephena Kinga i przerażających opowieści, którymi zabawiał ekipę podczas pracy w ciemnych tunelach kopalni.

– Co dzień robię się coraz starszy i wpadam w większe długi.

– Jasny gwint, stary, nie dowiesz się, co to długi, póki nie zobaczysz harmonogramu spłaty mojej nowej beemki.

– Gdzie się podziali naukowcy ubrani w marynarki ze skórzanymi łatami na łokciach, źle przyciętymi brodami, jeżdżący rozklekotanymi saabami?

– To dobre dla starych, białych pierdzieli, a nie dla smukłych i wrednych czarnych braci. Poza tym zdaje się, ostatnio jeździłeś jaguarem.

– Tylko na dowód, że nie jestem starym białym pierdzielem.

– Chrzanisz, ale i tak cię Kocham. To nie rozmówka towarzyska, co?

– Rok temu z Woods Hole poleciał do Mozambiku zespół naukowców. Mieli badać kolonie krewetek. Słyszałeś coś o tym?

– Nie, ale zaczekaj. Znam kogoś, kto słyszał.

Mercer słyszał, jak Charles krzyczy do kogoś w innego w pokoju. Chwilę potem w słuchawce rozległ się delikatny kobiecy głos.

– Halo? Mówi doktor Baker.

– Dzień dobry, pani doktor, nazywam się Philip Mercer. Jestem geologiem z USGS. – Mercer uznał, że oficjalny ton będzie najlepszy. – Próbuję uzyskać informacje na temat wy-

prawy, w której w zeszłym roku uczestniczyli między innymi pracownicy z Woods Hole.

– Tak, Charlie właśnie mi to powiedział. Brałam udział w tej ekspedycji jako kierownik laboratorium.

– Czy pamięta pani jakichś rosyjskich naukowców? Chodzi mi zwłaszcza o młodego mężczyznę. Niestety, nie wiem, jak miał na imię.

– Ma pan pewnie na myśli Walerego Borodina. Podobno był biologiem, ale wiedział więcej o geologii niż o czymkolwiek innym. Większość czasu spędzał z jedną z dziewczyn z NOAA. Szczęściara.

– Dlaczego?

– Mam co prawda te swoje sześćdziesiąt sześć lat, panie Mercer, i czwórkę cudownych wnucząt, ale moje stare oczy ciągle potrafią docenić męską urodę. A Walery Borodin był bardzo przystojnym mężczyzną.

– Więc mówi pani, że wiedział więcej o geologii niż o czymkolwiek innym?

– Dokładnie tak. Gdyby chciał się pan dowiedzieć o nim czegoś więcej, powinien się pan skontaktować z tą dziewczyną z NOAA. Nie pamiętam, jak się nazywała, ale jeśli da mi pan chwilkę, to gdzieś sprawdzę.

– Nie trzeba, pani doktor. I tak nadużyłem pani uprzejmości. Dziękuję pani i proszę też podziękować doktorowi Washingtonowi. – Mercer rozłączył się i wyciągnął na fotelu.

Jeszcze raz przeanalizował zebrane informacje. Kilka martwych wielorybów. Eksplozja na statku badawczym. Próba zabój-

stwa jedyne go uratowanego rozbitka. Telegram od nieżyjącego przyjaciela. Frachtowiec z dwoma różnymi wzorami na kominie. Włoska załoga mówiąca po rosyjsku. Rosyjski biolog, który nie zna się na biologii i który zapewne nie ma nic wspólnego z tym, co się obecnie dzieje. No i początek małego kaca, pomyślał Mercer, patrząc żałośnie na puste butelki.

BANGKOK, TAJLANDIA

Wielu odwiedzających wyspy Oceanu Spokojnego opisuje je jako klejnoty połyskujące wśród bezmiaru wód, ale każdy, kto choć raz zobaczył wyspy Spratly, musiał przyznać, że to tylko garść żwiru rzucona na oślep w sam środek Morza Południowo-chińskiego. Wysepki rozrzucone są na obszarze równym Nowej Anglii, ale ich całkowita powierzchnia nie przekracza dwóch i pół kilometra kwadratowego. Ponad sto niewielkich wychodni koralowych i atoli nie budzi żadnych emocji, poza tym że za swoje terytorium uważa je nie mniej, tylko sześć różnych państw.

Chcąc legitymizować swoje roszczenia, posunęły się nawet do tego, że ulokowały na kilku większych wyspach stanowiska ogniowe, a na mniejszych – garnizony. Wysepki te są tak małe, że w czasie przyływu zalewa je ocean i żołnierze muszą wtedy stać niemal po pas w wodzie. Wietnam zajął dwadzieścia pięć wysp. Chiny – siedem, Filipiny – osiem, Malezja – trzy, a Tajwan – jedną. Sułtan Brunei także chciałby mieć jedną konkretną wysepkę, ale ten mikroskopijny kawałek skały przez ponad sześć miesięcy w roku znajduje się pod wodą.

Z początku wielu zachodnich obserwatorów drwiło z roszczeń skonfliktowanych nacji, nazywając je imperializmem biedoty. Jednak starcie zbrojne między okrętami Chin i Wietnamu,

do którego doszło w marcu 1988 roku i kosztowało życie siedemdziesięciu siedmiu żołnierzy wietnamskich i nieujawnioną liczbę Chińczyków, zmieniło ich nastawienie.

Te dwa ortodoksyjnie komunistyczne państwa nie startyby się ze sobą tylko i wyłącznie z powodów nieporozumień terytorialnych czy dumy narodowej. Przyczyna konfliktu była najbardziej prozaiczna z możliwych: chciwość. Od chwili, gdy w połowie lat osiemdziesiątych na południe od wybrzeży Wietnamu odkryto ropę, państwa otaczające basen Morza Południowochińskiego zaczęły wykazywać ogromne zainteresowanie i ciekawość, jakie jeszcze bogactwa naturalne mogą znajdować się pod powierzchnią tych ciepłych wód. Węglowodory, ogromne obszary połowów ryb, no i oczywiście położenie wysp Spratly w samym środku szlaków morskich, łączących Ocean Spokojny z Indyjskim, uczyniły z nich jedno z najbardziej pożądanych miejsc na kuli ziemskiej.

Rząd Indonezji, chcąc rozpocząć dialog między będącymi w sporze stronami, zaprosił je w 1992 roku do Bandungu, miasta położonego sto kilometrów od Dżakarty. Ministrowie poszczególnych rządów przez kilka tygodni prowadzili rozmowy. Chiny obiecały rozważyć wspólny rozwój ekonomiczny regionu wysp, o ile pozostałe strony wycofają się ze swoich roszczeń. W odpowiedzi Malezja zakupiła od Wielkiej Brytanii dwie korwety uzbrojone w pociski samonaprowadzające.

Negocjacje nic nie rozstrzygnęły.

Od tamtej pory sytuacja tylko się pogarszała. Wietnam zaczął ostrzeliwać jednostki, które zanadto zbliżały się do wyspy Am-

boyna Cay, a Malezja umacniała swoją pozycję, budując lotniska na Trumba Layang--Layang. Tajwan zajął kolejne dwie wysepki i umieścił na nich placówki wojskowe. Tajwańczycy musieli też stawić czoło chińskiej kanonierce, co niemal doprowadziło do wojny między tymi krajami.

Agresywne działania Tajwanu, połączone z wielkim napływem gotówki od amerykańskich i europejskich kompanii naftowych, skłoniły rząd Tajlandii do podjęcia kolejnej próby pokojowego obniżenia napięcia. Ministrowie sześciu rywalizujących ze sobą krajów oraz przedstawiciele Stanów Zjednoczonych i Rosji spotykali się właśnie w Bangkoku na zaproszenie ministra spraw zagranicznych rządu tajlandzkiego.

Negocjacje odbywały się w hotelu Shangri-la, przy ulicy Sathon Road, nad brzegiem rzeki Chao Phraya. Rzeka ta przepływa przez rozległe dzielnice Bangkoku jak aorta biegnąca przez ludzkie ciało.

Za zamkniętymi drzwiami nowego centrum konferencyjnego ośmiu przedstawicieli swoich rządów oraz ich doradcy i tłumacze już od sześciu tygodni pracowali nad osiągnięciem porozumienia. Rozmowy trwały po dziesięć godzin dziennie i wydawało się, że tym razem spotkanie zakończy się sukcesem.

Przedstawiciel Chin, minister Luijan, gotów był uznać pełną suwerenność wysp, jeśli Stany Zjednoczone utrzymają wobec jego kraju klauzulę najwyższego uprzywilejowania. W zamian za to przedstawiciel Stanów Zjednoczonych, podsekretarz do spraw handlu Kenneth Donnelly, otrzymał gwarancje, że kilka

amerykańskich kompanii naftowych dostanie prawo eksploatacji niektórych złóż w obszarze wysp.

Wszyscy delegaci zgodzili się na takie rozwiązanie, jednak Tajwańczycy i Rosjanie ciągle podnosili drobne kwestie prawne: grali na zwłokę. Porozumienie było o krok, ale minister Tren i ambasador Gicnadij Perczenko ciągle odwlekali złożenie podpisów końcowych.

W ciągu ostatnich tygodni Perczenko zachowywał milczenie, ale tydzień temu zajął swoje miejsce za okrągłym stołem w bogato zdobionej sali i zaczął przemawiać. Od tej chwili zwiększył aktywność i jego wystąpienia nie miały końca. Z początku minister Luijan myślał, że Perczenko i Tren próbowali zyskać czas w celu wzmocnienia armii tajwańskiej, ale zdjęcia satelitarne i dane wywiadowcze zebrane przez agentów ulokowanych w okolicy baz morskich w Kao-hsiung i Chi-lung nie wykazały wzrostu siły militarnej. Kenneth Donnelly doszedł w końcu do wniosku, że Rosjanie chcieli w zamian za ugodę ubić na obszarze wysp jakiś interes ekonomiczny.

Bazując na dwudziestopięcioletnim doświadczeniu i dyplomatycznej zręczności, Perczenko z obserwatora stał się osobą dominującą, gotową dyktować warunki.

Jeden z członków osobistej ochrony króla zamknął z cichym szcęknięciem ciężkie drzwi do sali konferencyjnej i nie zdejmując z ramienia połyskującego karabinu M-16, zajął miejsce na lewo od negocjujących. Minister spraw zagranicznych Tajlandii, Prem Vivarya, przerwał na chwilę, by pozwolić zgromadzonym w sali politykom usiąść wygodnie i przygotować się do porannej sesji.

Przed azjatyckimi delegatami postawiono filiżanki z delikatnej porcelany, zdobione kwiatami lotosu, do których nalano gorącej herbaty. Amerykanie i Rosjanie popijali mocną kawę z pospolitych, białych kubeczków, jakie można znaleźć w hotelach na całym świecie.

Przez lekko przyciemniane szyby sali minister Prem widział lśniąca wieżę hotelu. Za nią sennie rozlewała się rzeka, po której pływało mrowie motorówek, barek, taksówek wodnych i długich skifów. Nawet tam dawał się we znaki tłok godzin szczytu. Minister miał nadzieję, że dzisiejsze negocjacje nie utkną w martwym punkcie jak niektóre łodzie na rzece.

– Panowie – rozpoczął Prem, a tłumacze zaczęli szeptać do swoich podopiecznych – na wczorajszym spotkaniu przedstawiciel Federacji Rosyjskiej pan ambasador Perczenko przedstawił nam obawy, jakie jego rząd żywi wobec porozumienia tu omawianego.

Minister spraw zagranicznych nic krył oburzenia na stanowisko Rosjan. Perczenko, ciężki i postawny mężczyzna grubo po pięćdziesiątce, ściągnął usta w wymuszonym uśmiechu.

Jako doradca, Perczenko brał udział w przełomowej konwencji ONZ poświęconej prawu morskemu zorganizowanej w 1982 roku w Caracas. Na konwencji reprezentowanych było ponad sto pięćdziesiąt państw, co czyniło z niej największy tego typu zjazd w historii, wydarzenie na skalę globalną. Napisanie dokumentu końcowego zajęło dziewięć wyczerpujących miesięcy i dotyczył on każdego zagadnienia związanego z oceanami, od ochrony środowiska morskiego, po korzystanie z jego zasobów;

od wolnego przepływu statków, po górnictwo podmorskie. Na koniec dokument został podpisany przez każdego przedstawiciela, a mimo to sukces konwencji nie trwał długo, gdyż Kongres Stanów Zjednoczonych odmówił wprowadzenia w życie postanowień.

Chociaż konwencja okazała się fiaskiem, dała Perczenc najlepší z możliwych lekcję prawa morskiego. Teraz korzystał z tej wiedzy podczas negocjowania porozumienia. A raczej, by je odwlec.

Po wstępnych uwagach ministra Prema, ambasador Federacji Rosyjskiej rozpoczął dziesięciogodzinny monolog, który przerwał tylko na jednogodzinny lunch. Przemowa, choć przemyślana, nie miała żadnego związku z przedmiotem dyskusji. Perczenko rozprawiał o historycznych problemach z suwerennością tego rejonu, sięgając wstecz ponad sto lat; i chociaż konflikt wokół wysp Spratly istotnie wynikał także z historycznych podziałów, omawiano je do znudzenia podczas wcześniejszych spotkań. Nie zachodziła więc potrzeba ponownego poruszenia tych kwestii. Gdy tylko reszta delegatów zdała sobie sprawę z tego, że Perczenko znów próbuje grać na zwłokę, szybko wyciszyli w słuchawkach głosy tłumaczy i obserwowali pustym wzrokiem cienie, które przesuwają się po pokoju wraz z upływem godzin.

Był to trzeci dzień, który mijał pod znakiem monologów Perczenki, tak samo bezsensowny jak poprzednie dwa.

O osiemnastej minister Prem grzecznie przerwał Rosjaninowi.

– Panie ambasadorze, robi się późno. Szef hotelowej kuchni poinformował mnie, że dzisiejsze potrawy nie mogą zbyt długo na nas czekać, więc najlepiej będzie, jeśli teraz przerwiemy spotkanie i wznowimy je jutro rano.

– Naturalnie, panie ministrze. – Perczenko zmusił się do uśmiechu. Mimo tylu godzin przemawiania, w przeciwieństwie do reszty uczestników nie zdradzał najmniejszych oznak dyskomfortu lub znudzenia.

Delegaci wstali pospiesznie i wyszli z sali. Perczenko pozostał i ostentacyjnie zapalił cienkie holenderskie cygaro. Podsekretarz stanu do spraw handlu Donnelly poklepał przyjaźnie Rosjanina po ramieniu, ale wielka ręka Teksańczyka zniknęła w miękkich mięśniach ambasadora.

– Do zobaczenia na kolacji, współniku.

Perczenko zaczekał, aż wszyscy opuszczą salę, i dopiero wtedy skrzywił się boleśnie, próbując rozmasować obolałe ramię.

– Pieprzony kowboj – mruknął pod nosem.

Szybko wyszedł z hotelu, rezygnując z kolacji, co zresztą zazwyczaj robił. Wezwał gestem taksówkę rzeczną, podał chłopcu hotelowemu cel podróży, a ten z kolei przetłumaczył go ubranemu w liberię sternikowi łodzi. Ambasador ostrożnie wszedł na pokład siedmiometrowej łodzi motorowej i rozparł się na szerokim siedzisku, tuż za pracującym na jałowym biegu silnikiem.

Sternik włączył się do gęstego ruchu na rzece, skierował na północ i przepłynął obok hotelu Oriental, pięknego budynku w stylu wiktoriańskim, który, tak jak hotel Shepherds w Kairze

czy Mount Nelson w Cape Town, przypominał o potężnym i rozległym Imperium Brytyjskim.

Motorówka, rozwijając zawrotną szybkość, omijała inne łódki z lekkością rasowego rumaka. Barki przycumowane do nadbrzeży, po cztery lub pięć, tworzyły dla samych siebie zatłoczone sąsiedztwo. Liczne kanały, które niegdyś wrzynały się głęboko w miasto, dzięki czemu Bangkok nazywano Wenecją Wschodu, zniknęły, zmienione w zapchane samochodami ulice. Jednak różnorodność Bangkoku ciągle widoczna była z rzeki: bogactwo piętrzyło się błyszczącymi budowlami, a skrajna nędza chowała się w skleconych z patyków i kawałków blachy budach, upchniętych gdzieś między warsztatami a magazynami.

Na rzece ostry zapach wody sprawiał, że prawie nie czuło się odoru cuchnącej chmury zanieczyszczeń, która jak całun okrywała miasto. Sprawcami były zakłady przemysłowe, liczne ze względu na tanią siłę roboczą, oraz samochody, w liczbie porównywalnej z tymi z Los Angeles albo Meksyku.

Łódź śmignęła pod mostem, na którym samochody i trzykołowe taksówki, zwane tuk-tuk, stały w długich kolejkach jak koraliki nanizane na sznurek. Po chwili przemknęli obok Wat Arun, czyli Świątyni Brzasku, w kształcie ściśniętego stożka, typowego dla tutejszej architektury sakralnej. Ostatnie promienie słońca odbijały się od jej złoconych ścian.

Taksówka rzeczna minęła zamek królewski. Świątynię Szmaragdowego Buddy i Wat Po. Im bardziej zmierzali ku północy, tym bardziej miasto traciło swój nowoczesny charakter, a wpływy Zachodu były coraz mniej widoczne. Domy i kamienice stały tak

blisko siebie, że dosłownie opierały się jeden o drugi. Wydawało się, że jeśli jeden z nich się zawali, pociągnie za sobą resztę jak domino.

W końcu dotarli do Royal River, jedyne go porządnego hotelu na zachodnim brzegu rzeki. Nowoczesny obiekt zyskał sobie dobrą renomę wśród turystów z Europy i Australii. Goście hotelowi siedzieli grupkami wokół białych stolików na tarasie. Mieli na sobie szorty i rozpięte koszule ostro kontrastujące krzykliwymi barwami z ich spaloną słońcem skórą.

Gienadij Perczenko wstał i powlókł się w stronę burty łodzi. Zignorowawszy wyciągniętą dłoń portiera, wygramolił się na pomost i po angielsku oraz łamanym tajskim kazał sternikowi czekać. Szybko podszedł do kierownika sali nadbrzeżnego baru. Był nim mężczyzna w smokingu o twarzy znaczonej śladami po ospie lub trądziku i włosach gładko zaczesanych do tyłu.

– Nie mamy jeszcze żadnych informacji, powinieneś czekać – powiedział cicho, ledwie poruszając ustami, po czym zaprowadził Rosjanina do jedyne go wolne go stolika Perczenko zjeżył się, słysząc polecenie z ust człowieka, który nie liczył się w świecie agentów; bezwartościowy śmieć, nie brali go w ogóle pod uwagę, nic sobą nie przedstawiał. Mimo to wiedział, że tamten ma rację. Musiał czekać.

Gdy szczupła kelnerka postawiła przed nim rum, Perczenko zaczął po raz setny od przyjazdu do Bangkoku zastanawiać się, jak został wplątany w tę sprawę.

Za czasów radzieckiego reżymu był odnoszącym sukcesy dyplomatą, funkcjonariuszem o ugruntowanej pozycji, który

pewnego dnia mógł zostać członkiem gabinetu. Wielki przewrót i upadek rządu oraz utworzenie Federacji Rosyjskiej obróciły wniwecz jego plany i zrujnowały karierę. Gwałtowna fala zmian, która niczym tsunami przetoczyła się przez jego ojczyznę, wyrzuciła go na brzeg jak rozbitka. Dawni przyjaciele z Polit-biura zniknęli, inni tak szybko zmieniali orientację polityczną, że sami nie wiedzieli już, w co wierzą. Gienadij patrzył, jak kolejne zadania otrzymuje ktoś inny, stare kumoterstwo zastąpił twardszy, ale bardziej subtelny system politycznej protekcji. On stał z boku, a inni pięli się w górę i zbierali zaszczyty.

Właśnie wtedy na horyzoncie pojawiła się pomocna dłoń, która wyciągnęła go z niebytu. Poniewczasie zdał sobie sprawę, że to dłoń samego szatana, pułkownika Iwana Kerikowa, szefa Departamentu 7. KGB, czyli Wydziału Operacji Naukowych. Kerikow pozostawał tajemniczą postacią w mrocznym świecie wywiadu; do znajomości z nim nikt się nie przyznawał, jednak lista tych, którzy się go bali, była bardzo długa.

Miesiąc przed ogłoszeniem rozpoczęcia negocjacji w Bangkoku Kerikow zaprosił Perczenkę do swojego biura mieszczącego się w zwykłym budynku w pobliżu hotelu Moskwa, z dala od kwatery głównej KGB. Poinformowano go o zbliżającym się spotkaniu i dano wybór: uczestniczy w rozmowach jako agent Kerikowa albo pożegna się z jakąkolwiek posadą w służbie zagranicznej.

Perczenko nie pytał, skąd Kerikow wie o planowanych negocjacjach, nie wnikał też, co w tym wypadku rozumie pod słowem „agent”. Po prostu zgodził się i zaczął przygotowania do wyjazdu.

Pięć tygodni później zwierzchnik Perczenki w Ministerstwie Spraw Zagranicznych poinformował go, że będzie przedstawicielem Federacji na spotkaniu w Tajlandii. Gienadij z niewinną miną zapytał, czy Kerikow ma dla niego jeszcze jakieś polecenia. Szef rzucił mu wtedy jadowite spojrzenie, po czym zaprzeczył, by kiedykolwiek słyszał o jakimś Keri-kowie.

O zasięgu władzy Kerikowa Gienadij przekonał się, gdy w Bangkoku ambasador Tajwanu wziął go na stronę i powiedział, że on też pracuje dla Kerikowa i czeka na rozkazy swojego rosyjskiego odpowiednika. Wtedy Perczenko zaczął się obawiać o swoje życie. Zaaranżowanie jego wyjazdu na konferencję to jedno, ale wiele wskazywało, że Kerikow ma kontrolę także nad ludźmi spoza Federacji Rosyjskiej. Perczenko nie potrafił i nie chciał zrozumieć, o jaki rodzaj zależności chodzi.

Z początku jego zadaniem było uczestnictwo w kolejnych spotkaniach i uważne słuchanie, ale tydzień temu sytuacja uległa zmianie. Kerikow skontaktował się z nim przez kierownika sali i polecił odwlec podpisanie porozumienia. Perczenko nie usłyszał żadnych wyjaśnień, a strach przed Kerikowem, który zdążył już w nim zakiełkować, nie pozwolił nawet o nie poprosić. Skoro Iwan Kerikow chciał, by rozmowy w Bangkoku przedłużały się, to Gienadij Perczenko o to zadba.

Odwlekał więc podpisanie porozumienia wszelkimi sposobami i czekał na pytania ze swojego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ta cisza, jak przypuszczał, była kolejnym przejawem wpływów Kerikowa. Perczenko mógł z łatwością znieść presję, wywieraną na niego przez innych delegatów, a pomoc

ambasadora Tajwanu jeszcze bardziej mu to ułatwiała. Jednak brakowało mu jasności co do planów Kerikowa. Jak długo miał blokować negocjacje i w jakim celu?

Przyglądając się, jak mężczyzna w smokingu przeciska się między zatłoczonymi stolikami, by znaleźć miejsce dla holenderskich turystów, Perczenko zdał sobie sprawę, że tu nie znajdzie odpowiedzi na dręczące go pytania.

– Tak – mruknął pod nosem – muszę zaczekać.

MOSKWA

Pułkownik Iwan Kerikow odwrócił ciężkie, beznamiętne spojrzenie od twarzy mężczyzny, który siedział po drugiej stronie biurka; przypalił tłącym się petem wciśniętego między wąskie wargi papierosa. Zaciągnął się, zdusił niedopałek w przepelnionej popielniczce i znów przyglądał się mężczyźnie, a ten błady jak płótno zdawał się kurczyć pod wpływem jego wzroku.

Kerikow oceniał swojego gościa, obserwując go przez chmurę gryzącego dymu. Chociaż nigdy wcześniej się nie spotkali, wiedział, że jest ulepiony z tej samej gliny, co wielu jemu podobnych, którzy ugrzęźli w biurokracji księgowych, czuł więc, że dobrze go zna. Audytor nosił mundur majora z KGB, ale niezbyt dobrze skrojony, bo zwisał luźno z jego szczupłych ramion i źle leżał na zapadniętej klatce piersiowej. Nieliczne odznaczenia miały raczej usprawiedliwiać noszenie munduru niż świadczyć o zasługach ich właściciela. Kerikow był pewien, że gdyby rosyjscy lekarze nie opanowali wprost perfekcyjnie sztuki zabiegów okulistycznych, ten człowiek nosiłby teraz okulary o szklach jak denka butelek.

Przypomniawszy sobie z obrzydzeniem słaby uścisk dłoni księgowego; miał wrażenie, że ścisnął torbę pełną wnętrzości.

Kerikow nie czuł się zaskoczony, gdy mężczyzna godzinę wcześniej przedstawił się jego sekretarce. Właściwie oczekiwał

generalnego audytu Centralnego Biura KGB, którego zapowiedzią był jego gość. Miał on tylko przetrzeć szlak dziesięciu albo i więcej jemu podobnym szczirom; kontrolerzy przewertują sprawozdania budżetowe, rozochoceni jak psy gończe, które wpadły na świeży trop.

Audyt wisiał nad nim od dawna. Po upadku Związku Radzieckiego prześwietlano wszystkie obszary działalności rządowej. Budżety, którym w czasach Breżniewa i Andropowa hojnie przydzielano środki państwowe, za Gorbaczowa i Jelcyna znacznie ograniczono, zaczęto też bardziej kontrolować wydatki. Każdy rubel, każda kopiejka musiały zostać zaksięgowane i wydane zgodnie z przeznaczeniem. Nie mogły pojawić się rozbieżności w rozliczeniach. Kiedy i oni padali ofiarą audytorskich piór, dowodziło to, że KGB była ostatnią z wielkich organizacji, które zachowały resztki swojej potęgi.

Kerikow już pół roku wcześniej otrzymał informację, że zespoły audytorów bardzo interesują się finansami jego wydziału. Departamentu 7. Zapewne zupełnie przypadkowo kontrola wypadła akurat wtedy, gdy miał spore wydatki, i właśnie z nich musiał teraz wytłumaczyć się chudemu majorowi, siedzącemu po drugiej stronie biurka.

Audytor grzebał w aktówce ze sztucznej skóry, a Kerikow wspominał w duchu lepsze czasy, gdy jego Wydział Operacji Naukowych cieszył się większą swobodą.

Zadaniem stworzonego przez samego Stalina – w okresie chaosu wielkiej wojny ojczyźnianej, prowadzonej przeciwko nazistom – Departamentu 7. było zabezpieczenie zdobytych

na wrogu technologii na potrzeby armii sowieckiej. Gdy siły radzieckie ruszyły w kierunku Niemiec, wyzwalając kolejne zakłady i laboratoria, towarzyszący im oficerowie nowo powstałego Wydziału Operacji Naukowych dbali o to, by tajne projekty nie ulegały zniszczeniu i zostały bezpiecznie przetransportowane do Odessy, ogromnego centrum leżącego w pobliżu portu nad Morzem Czarnym.

Jeśli agenci Departamentu 7. uznali, że zdobyta fabryka jest z jakichś względów obiektem niezwyklej wagi, to na ich rozkaz wszystkie budynki rozbierano, pakowano i wysyłano do Rosji, nierzadko z całym personelem, który traktowano jak niewolników. W taki właśnie sposób spod Berlina wywieziono zakłady produkcji deuteru, które po dostarczeniu na miejsce zmontowano, dzięki czemu Rosja zdobyła pierwsze źródło ciężkiej wody, składnika niezbędnego do produkcji bomby atomowej. Znajdujące się pod Warszawą zakłady produkujące cyklon B, wykorzystywany w obozach zagłady gaz paraliżujący, przewieziono do odległego miejsca na Uralu, gdzie je zmontowano i uruchomiono produkcję broni gazowej, gromadząc jej zapasy aż do lata 1945 roku. Oficerowie Departamentu 7. zajęli także warsztaty Heinkla w chwili, gdy pracownicy niszczyli zgromadzone wyniki badań. Dokumentacja i przechwycone modele pozwoliły opracować prototyp samolotu MiG-15, pierwszego sowieckiego myśliwca odrzutowego.

Jako że Penemunde, w którym mieściły się zakłady i poligon doświadczalny niemieckich rakiet, zostało wyzwolone przez aliantów, Departament 7. stracił okazję przejęcia technologii

rakietowej. Nie przeszkodziło to jednak oficerom Wydziału Operacji Naukowych dotrzeć do wielu wybitnych naukowców i projektów, nad którymi pracowali dla Rzeszy. Jednak największe niespodzianki przysły wraz z okupacją Berlina.

Podczas gdy alianci zajęci byli tropieniem w mieście zbrodniarzy wojennych, Sowieci szukali tajemnic. W sejfie znalezionym w domu inżyniera pracującego w zakładach lotniczych Messerschmitta odkryto skład chemiczny oleju syntetycznego, niezbędnego do prawidłowego działania silników turboodrzutowych. Zapiski w pamiętniku jednego z dyrektorów fabryk Kruppa ujawniły klucz do stworzenia stopu metali, z którego Niemcy robili dysze raket V-2.

Departament 7. wysyłał tajne projekty do Rosji, dając radzieckim naukowcom gotowe fabryki, by mogli wykorzystywać je na potrzeby Armii Czerwonej. Do lata 1952 roku całość zdobytej niemieckiej technologii została poddana gruntownemu sprawdzeniu, po czym wiele elementów wdrożono do produkcji. Odrzucono jedynie niewielką część, jako mało przydatną.

Po zakończeniu pierwszej, najważniejszej misji szef Departamentu 7. Borys Uliniew postanowił zmienić cele działania tej komórki KGB. Wydział Operacji Naukowych był agencją pasywną. Nie miał agentów w potocznym tego słowa znaczeniu, nie zajmował się też niczym specjalnym. Uliniew postanowił to zmienić. Departament 7. zawsze miał do czynienia z technologią znacznie wyprzedzającą swój czas, więc Uliniew zaczął przygotowywać operacje, których plon można by zebrać dopiero w odległej przyszłości. Mając do dyspozycji miliony rubli, które

zapewniał mu rząd radziecki, polecił ośmiuset swoim naukowcom, by skupili wysiłki na znalezieniu metody przeskoczenia obecnej technologii i opracowaniu urządzeń o wiele bardziej zaawansowanych niż wszystko to, co widniało na deskach kreślarskich ówczesnego świata.

Podobnie jak zespół „Skunk Works” Kelly’ego Johnsona w zakładach lotniczych Lockheed’a, który opracował samolot szpiegowski SR-71, na długo wcześniej nim pojawiły się materiały niezbędne do jego produkcji, tak samo Wydział Operacji Naukowych rozpoczął projektowanie i testowanie pierwszych wielogłowicowych pocisków balistycznych na długo przed stworzeniem Sputnika. Jeden z teoretyków Departamentu 7. dosłownie otarł się o odkrycie włókna węglowego, a zespół ekspertów zaczął prace nad płytkami obwodów drukowanych do komputerów w czasach, gdy reszta świata ze zdumieniem rozwodziła się nad potęgą lamp próżniowych.

Jeden projekt w szczególności stał się oczkiem w głowie Borysa Uli-niewa, a w konsekwencji potencjalnym źródłem triumfu Iwana Kerikowa. Projekt przedstawiony przez młodego geologa Piotra Borodina był najśmielszy ze wszystkich, którymi zajmował się Departament 7. Bez wątplenia mógł stanąć w szranki z największymi osiągnięciami ludzkości.

Początki przedsięwzięcia pod kryptonimem „Kuznia Wulkan” sięgały 25 czerwca 1946 roku, gdy na atolu Bikini przeprowadzone zostały przez Amerykanów pierwsze podwodne testy nuklearne, będące częścią operacji „Crossroads”. Dopiero w roku 1950, czyli w cztery lata po zakończeniu prób, wyniki testów

dotarli do Departamentu 7., wykradzione przez agentkę, której udało się uwieść jednego z laborantów z poligonu doświadczalnego w White Sands w Nowym Meksyku, gdzie znajdowały się tysiące dokumentów i gdzie przechowywano tony próbek.

Piotr Borodin wpłatał się w sprawę szczęśliwym zbiegiem okoliczności, gdy kolega wspomniał mu, że próby nuklearne na atolu Bikini doprowadziły do powstania nieznanego dotychczas stopu metali. Miody naukowiec szybko dostał obsesji na punkcie tej informacji, posunął się nawet tak daleko, że pod koniec 1951 roku poprosił o potajemny rekonesans okolic Bikini w łodzi podwodnej, by pobrać próbki piasku, wody i szczątki po siedemdziesięciu czterech amerykańskich statkach, celowo zatopionych w ramach prób.

Jeszcze przez półtora roku Borodin opracowywał dokumentację, aż w końcu gotów był zaprezentować swój dalekosiężny plan szefowi Departamentu 7. Wydawało się, że jego założenia pasowały jak ulał do nowego kierunku działań, który miał obrać Wydział Operacji Naukowych.

Faza wstępna „Kuźni Wulkana” wymagała zdetonowania bomby atomowej głęboko pod powierzchnią Oceanu Spokojnego. Jako że wszelkie materiały nuklearne znajdowały się pod bezpośrednią kontrolą wojska, Uliniew nakazał swojemu zespołowi potajemnie taką broń zbudować. Trwało to ponad rok. W tym czasie Departament 7. zarejestrował dużą fikcyjną korporację, z której na różne konta w Europie i Azji wyciekały pieniądze. Jednak dopiero wiosną 1954 roku operacja „Kuźnia Wulkana” mogła się rozpocząć.

Po wykonaniu pierwszego ruchu należało czekać już tylko na matkę naturę. Trwało to czterdzieści lat. Minęły czasy zimnej wojny, nastąpiło otwarcie Europy Wschodniej na Zachód, upadł Związek Radziecki. Borys Uliniew umarł, na jego miejsce przyszedł ktoś inny, kto też został wkrótce zastąpiony, i tak dalej, aż w końcu na czele znacznie ograniczonego departamentu stanął Iwan Kerikow. Ze wszystkich projektów uruchomionych w latach pięćdziesiątych przez Uliniewa, tylko operacja „Kuznia Wulkana” pozostawała realnie wykonalna.

Niestety, zniknęła przyczyna, dla której powołano ją do życia. Potężne zmagania komunizmu z kapitalizmem odeszły w przeszłość, a koszty wyścigu zbrojeń z lat osiemdziesiątych XX wieku rzuciły Związek Radziecki na kolana. Chociaż Rosjanie dzielnie starali się dotrzymać kroku w produkcji broni konwencjonalnej i nuklearnej, ogłoszenie przez Reagana rozpoczęcia programu „Gwiazdnych Wojen” oznaczało początek końca rosyjskiego imperium, które wobec tej inicjatywy mogło tylko skapitulować. Ameryka zapłaciła za zbrojenia czteroletnią recesją, Rosja swoim istnieniem.

Krok za krokiem Rosja zaczęła się wycofywać. Zmniejszono pomoc dla Kuby, by wkrótce całkowicie ją wstrzymać. Wycofano wojska z okupowanego przez pięćdziesiąt lat Berlina, a rosyjskie linie lotnicze Aeroflot zawiesiły większość połączeń międzynarodowych. W samej Rosji zlikwidowano wiele departamentów i wstrzymano sporo programów rozwojowych. Należące do państwa kopalnie diamentów w Ajchale na Syberii zostały dyskretnie sprzedane londyńskiemu konsorcjum. Programy budowy

bombowca Blackjack, MiG-a-29 Fulcrum i lotniskowca trafiły na półkę. Oficerowie popełniali samobójstwa, dla swych rodzin bowiem więcej byli warcy martwi niż żywi. Liczbę etatów w KGB obcięto o ponad połowę.

Śmiałe projekty, takie jak na przykład „Kuźnia Wulkana”, nie znalazły miejsca w nowej rzeczywistości. Przez pierwsze cztery lata na stanowisku szefa Wydziału Operacji Naukowych, jeszcze przed upadkiem Związku Radzieckiego, Kerikow z czystego patriotyzmu i poczucia obowiązku czuwał nad „Kuźnią Wulkana”. Teraz jednak, gdy wszystko to, w co wierzył, odeszło w niebyt, ze zwykłego wyrachowania pułkownik zaczął chronić projekt przed kontrolerami. Postanowił ukraść „Kuźnię Wulkana” dla siebie w sposób równie genialny, jak genialnie czterdzieści lat wcześniej opracował go Piotr Borodin.

Czas, którego jeszcze niedawno Kerikow miał aż nadto, biegł teraz niezwykle szybko. Propozycja rozpoczęcia negocjacji w Bangkoku wydawała się darem losu, jednak koniecznie trzeba było opóźnić rozmowy, choćby za cenę okazałych łapówek dla ambasadora Tajwanu i Giena-dija Perczenki oraz jego zwierzchnika w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

Departament 7. z trudem radził sobie z takimi wydatkami. Kerikowo-wi udawało się zwodzić audytorów przez długie miesiące, w końcu jednak się zjawili, a jeden z nich siedział w jego gabinecie i zadawał niewygodne pytania.

– Ach, tu jesteście. – Kontroler wyciągnął z aktówki plik notatek. – Wygląda na to, że cztery lala temu pański wydział pokrył koszty remontu statku chłodni „August Rose”. Dwa-

dzieścia siedem milionów dolarów. Z pisemnego oświadczenia brygadzisty stocznego wynika, że sonar zamontowany na tej jednostce jest o wiele lepszy niż systemy, jakie widział na naszych strategicznych łodziach podwodnych. Może pan to wyjaśnić?

Kerikow czuł z tyłu głowy, jak wzrasta mu ciśnienie, z siłą grożącą rozsadzeniem czaszki. W czasie wyposażania statku w nowoczesny sprzęt podjęto niespotykane środki bezpieczeństwa, a jednak widział czarno na białym relację z tych prac. Pętla presji czasu, którą czuł jeszcze przed chwilą, zacisnęła się na jego szyi.

– Mam tu coś, co wiąże się istotnie z tą sprawą – powiedział, otwierając górną szufladę biurka.

Kontroler pochylił się na krześle. W oczach pojawiło się niecierpliwe oczekiwanie.

W półautomatycznym pistolecie była tylko jedna kula, którą Kerikow przeznaczył dla siebie, gdyby kiedykolwiek zaistniała taka potrzeba. Pocisk wyłobził w czole księgowego idealnie okrągły otwór, po czym rozbryzgał zawartość jego czaszki na ścianie i drzwiach za opadającym bezwładnie ciałem.

Pułkownik poszperał w biurku, aż w końcu znalazł niewielkie pudełko z nabojami. Załadował jeden do pistoletu i odłożył broń z powrotem do szuflady. Dopiero wtedy nacisnął znajdujący się na czarnym telefonie guzik interkomu.

– Tak, panie Kerikow? – usłyszał głos swojej sekretarki.

– Mała zmiana planów, Anno. – Przypalił papierosa. – Poinformuj Evada Lurbuda, że majak najszybciej przybyć do Kairu. Zdaje się, że ciągle przebywa w mojej dacy. Zarezerwuj mi

też najbliższy lot do Bangkoku. Polecę na paszport Johanna Kreigera.

– A co z księgowym z KGB? – zapytała Anna. Z tonu jej głosu wywnioskował, że słyszała strzał.

– Odpocznie tu sobie jakiś czas. Gdy tylko skontaktujesz się z Lurbudem i zarezerwujesz mi bilet na samolot, opuść budynek. Kiedy będą cię przesłuchiwać, powiedz, że wyszłaś trochę wcześniej na lunch i nie masz o niczym pojęcia. Powodzenia, Anno. I ... – żegnaj.

– Rozumiem. – Jeśli była rozczarowana, że ich czteroletni romans właśnie się zakończył, nie dała tego po sobie poznać.

Kerikow przejrzał jeszcze tajne dokumenty znajdujące się w sejfie ściennym i wyciągnął kilka, które pewnego dnia mogły okazać się użyteczne bądź cenne. Wchodząc na pokład samolotu do Bangkoku, wiedział, że już nigdy nie wróci do Rosji.

OCEAN SPOKOJNY

Walery Borodin usiadł gwałtownie na koi. W jego gardle uwiązał stłumiony krzyk. Ciało miał mokre od potu, ciemne włosy lepiły się do czoła, a serce waliło jak oszalałe w unoszonej ciężkim oddechem piersi, gdy próbował zachować spokój.

Prawie dwie minuty zajęło mu uświadomienie sobie, że nie jest już sześćioletnim chłopcem ze snu, w którym pozbawione twarzy postacie w mundurach informują, że jego ojciec zginął w wypadku, do którego doszło w laboratorium. Był już dorosłym mężczyzną i szanowanym naukowcem. A jednak wydawało mu się, że w przytulnej kajucie statku „August Rose” ciągle rozlegają się ciche pojękiwania jego matki.

Ten sen dręczył go od dnia tamtych wydarzeń. Budził go niemal każdej nocy, ale Walery zachowywał spokój, bo tuż obok, w drugim pokoiku ich maleńkiego mieszkania w Kijowie – Wydział Operacji Naukowych pozwolił zachować je po tragedii w ramach rekompensaty – upust swojej rozpaczcy dawała matka.

To było dla niego najgorsze: musiał dusić w sobie krzyk; musiał go poskramiać, hamować, żeby nie niepokoić matki. Rosjanie manifestują żalobę otwarcie na zewnątrz, żarliwie, on jednak nie mógł jej wyrazić. Nie chciał też, by jego ból wzmagął cierpienie matki. Gdy wiele lat później opowiadał tę historię,

zawsze spotykał się ze współczuciem słuchających. Nie wzbudzał jednak ich zrozumienia. Zamiast tego podświadomie czuł, że zdaniem ludzi coś jest z nim nie tak, że ma jakąś skazę na charakterze.

Dopiero w zeszłym roku w Mozambiku Borodin poznał kogoś, kto go rozumiał. Ta młoda Amerykanka też straciła jednego z rodziców w dzieciństwie.

Zsunął nogi z wąskiej koi w swojej prywatnej kajucie. Gdyby rządził radziecki nie rozwinął w nim innych zainteresowań, Walery bez wątpienia zrobiłby karierę w balecie. Był dobrze umięśniony, ale bez grama zbędnego tłuszczu. Tak idealnie wyrzeźbionej sylwetki nie zapewnią godziny spędzone na siłowni, tylko błogosławieństwo genetycznego dziedzictwa.

Przeczesał palcami włosy, odgarniając je z czoła, ale natychmiast gęsty kosmyk wrócił znów i zawisł nad prawym okiem.

Koszmarne sen, nękający go w dzieciństwie, powrócił w zeszłym roku w gabinecie Iwana Kerikowa. Młody Borodin nigdy wcześniej nie słyszał o tym człowieku, ale on znał go dobrze. Walery dowiedział się, że pułkownik jest szefem departamentu, w którym pracował jego nieżyjący ojciec, a także tego, iż Wydział Operacji Naukowych interesował się nim przez wiele lat i kilka razy nawet mu pomógł. Gdy z niedowierzaniem próbował przetrawić tę informację, szef wydziału ujawnił kolejną rewelację.

Kerikow wcisnął guzik brzęczyka i do pokoju wszedł mężczyzna. Walery ledwie słyszał słowa pułkownika, który przedstawiał mu Piotra Borodina. Minione trzydzieści lat postarzały ojca, dorzucając mu parę kilogramów wagi, przybyło też siwizny

na brodzie i w rozwianych włosach. Pozostał jednak tym mężczyzną, który spoglądał ze zdjęcia wiszącego nad kuchennym stołem w mieszkaniu matki.

Tamtej nocy, po raz pierwszy od czasów dzieciństwa, Walerego nawiedził ten sen.

Dopiero podczas następnego spotkania młody Borodin pozbiierał się na tyle, by wysłuchać tego, o czym rozmawiał jego ojciec z Kerikowem.

Wiele lat temu Piotr Borodin sfingował swoją śmierć ze względów bezpieczeństwa. Prowadzone przez niego badania były tak tajne, że tylko równie drastyczne środki mogły zapewnić jemu i projektowi ochronę. Po tym, jak w lecie 1963 roku większość jego współpracowników stracono w trybie przyspieszonym, Borodin pracował sam, nadzorując tajny eksperyment.

Kerikow wyjaśnił, że teraz potrzebują nowego zespołu naukowców, którzy dopilnują realizacji końcowego etapu projektu. Czy Walery zgodziłby się przyłączyć do ekipy jako zastępca szefa?

Młody Borodin pracował wtedy w Państwowym Biurze Energetyki i zajmował się badaniem potencjału potężnych rosyjskich rezerw metanu, które zalegały pod powierzchnią wiecznej zmarzliny zachodniej i środkowej Syberii. Jego wykształcenie geologiczne było tak samo solidne, jak wszystkich innych młodych rosyjskich naukowców, których wartość wyznaczały osiągnięcia i wyniki badań, a nie bezmyślne powtarzanie partyjnych dogmatów.

Walery wyraził zgodę na dołączenie do zespołu dopiero po uzyskaniu zapewnienia, iż o jego wyborze zdecydowały przesłanki merytoryczne, a nie rodzinne koneksje. Jednak katgoriczny ton, jakim Piotr Borodin odrzucił te insynuacje, dotknął boleśnie Walerego. Zabrzmiało to tak, jakby nic przyznawał się do własnego syna.

Dwa tygodnie po tych pierwszych spotkaniach pod przykrywką udziału w ekspedycji biologicznej Walery wyjechał na urlop do Mozambiku. Miał czas na rozgrzanie ciała po wielu miesiącach spędzonych na Syberii i na przygotowanie się do pracy, która go czekała.

Od tamtego momentu to, co robił, było pasmem nieprawdopodobnych działań. Kerikowowi udało się pozyskać kilka najwybitniejszych umysłów Federacji Rosyjskiej i oddać do ich dyspozycji najnowocześniejszą technologię.

Walery wciągnął na siebie amerykańskie džinsy i zielony T-shirt. Minęła północ, ale wiedział, że i tak nie zaśnie do rana. Okrętowy kambuz, znajdujący się o jeden pokład niżej od jego kajuty, świecił pustkami, ale duży dzban kawy na stole był ciągle podgrzewany. Walery napełnił biały kubek i ostrożnie pociągnął łyk mocnej, gorzkiej cieczy. Kiwnąwszy głową kuchcikowi, który hałaśliwie zmywał naczynia w kuchennym zlewie, skierował się ku newralgicznej części „August Rose”.

Masowiec oznaczony symbolem UT-20 zbudowało przedsiębiorstwo Hitachi-Zosenm w 1979 roku, a przerobiony został na chłodnicowiec w roku 1983, gdy kupiła go firma Ocean Freight & Cargo. Trzydzieści dwa tysiące metrów sześciennych

przestrzeni ładunkowej zmniejszono o niemal jedną trzecią, by zrobić miejsce na sprzęt chłodniczy i specjalne urządzenia, niezbędne podczas transportu mrożonych produktów.

Remont został dobrze udokumentowany przez japońską stocznię, przeprowadzającą pracę, przez firmę ubezpieczeniową oraz przez bank fiński, obsługujący większość kredytów udzielonych nabywcy statku. Kolejny remont „August Rose” trzymano w tajemnicy.

Na wiosnę 1990 roku statek spędził siedem tygodni w bezpiecznym suchym doku we Władywostoku. Z wyglądu ciągle przypominał jednostkę, którą zawsze był: ładowność dwadzieścia tysięcy ton, długość sto pięćdziesiąt metrów, nachylony pod ostrym kątem dziób i rufa przypominająca stalowe pudło wznoszące się na wysokość czterech pięter. Jednak wnętrze stalowego kadłuba przekształcono w najnowocześniejsze na świecie pływające laboratorium.

Wielką ładownię zmieniono w pracownię geofizyczną, a do niej przylegały mniejsze laboratoria, biura i sale, w których gromadzono dane. Sprzęt chłodniczy pozostawiono na miejscu, teraz jednak służył on do utrzymywania stałej temperatury, niezbędnej do prawidłowej pracy skomplikowanego systemu komputerowego.

Zainstalowano olbrzymie komputery. Jednostki główne zajmowały niemal dwieście metrów kwadratowych powierzchni, a peryferia dodatkowe sto. Moc obliczeniowa sprzętu na pokładzie „August Rose” była większa niż w kosmodromie Bajkonur, rosyjskim odpowiedniku ośrodka lotów kosmicznych na przy-

ładku Canaveral. Na statku zostało jeszcze wystarczająco dużo przestrzeni ładunkowej, by mógł działać jako chłod-nicowiec, jednak przewożenie takiej ilości mrożonek mogłoby przynosić tylko straty. Ale dzięki temu mógł bez przeszkód żeglować po Oceanie Spokojnym.

Przez płataninę korytarzy i grodzi Walery dotarł do głównego laboratorium. Dostępu do wejścia bronił zamek otwierany kartą magnetyczną. Strażnik odnotował czas jego wejścia i wziął na przechowanie kartę, której zawartość uległaby skasowaniu w wyniku oddziaływania pola elektromagnetycznego wytwarzanego przez sprzęt laboratoryjny.

Było już po północy, ale mimo to dziesięciu naukowców, techników i asystentów pracowało, monitorując czujniki umieszczone pod kilem statku. Środek sali zajmował wielki metalowy stół stanowiska badawczego. Nad nim, z przegubowego ramienia zwiisał laserowy projektor holograficzny, jak monstrualnej wielkości wiertło dentystyczne. Wiązki przewodów światłowodowych biegły od projektora do głównego komputera, a także do samego stanowiska. Piotr Borodin, ubrany w luźny biały fartuch, siedział przy konsoli w pobliżu radaru. Walery głęboko odetchnął przefiltrowanym, sterylnym powietrzem i wszedł na wyłożoną gumowanymi płytkami podłogę.

– Znów pracujesz do późna, tato?

To prawda, że Piotr Borodin był o dwadzieścia lat starszy od najstarszego członka swojego zespołu, ale utrzymywał tempo, które znacznie przewyższało pozostałych, łącznie z jego zastępcą. Zazwyczaj spędzał trzydzieści sześć godzin w pracowni kom-

puterowej, zanim niechętnie pozwalał sobie na sześciogodzinną przerwę na sen. Teraz jego mizerny wygląd zaniepokoił syna.

– Tato, brałeś lekarstwa?

– Nie – burknął naukowiec z irytacją. – Ten cały coumadin to nic innego niż trutka na szczury, a po vasotecu, czyli beta-blokerze, źle mi się oddycha przez klimatyzację. Ale wystarczy już marudzenia o moim sercu. Popatrz na to. Znowu mamy podgląd z kamer.

Walery spojrział na ekran i jego oczom ukazało się w dużym powiększeniu piekło na ziemi. Kamera, zamknięta w pojemniku z włókna węglowego wyposażonym w szafirową osłonę soczewki, wisiała na kevlarowym przewodzie tuż nad kraterem najszybciej na świecie rosnącego wulkanu. Płynne masy stopionych skał, wypychane w górę przez straszliwy żar jądra Ziemi, wylewały się niemającym końca strumieniem przez wąski otwór w dnie oceanu wśród skłębionych chmur trujących gazów i stopionych minerałów. Kamera nie była wyposażona w mikrofon, ale Walery niemal słyszał skargi umęczonej Ziemi, która z jękiem wypływała wnętrzości.

– Tempo znowu wzrosło – zauważył.

– No i?

– Strumień lawy kieruje się teraz bardziej na zachód.

– Zgadza się, dostał się w obszar przepływu jednego z prądów oceanicznych, dokładnie tak jak przewidywaliśmy.

– Ale ten prąd płynie z prędkością co najwyżej pięciu kilometrów na godzinę. Z pewnością nie będzie to mieć znaczenia dla tworzenia się stożka.

– W normalnych warunkach nie, ale erupcja jest tak potężna, że pod działaniem tych dwóch sił lawa płynie na ukos. Prosta kwestia wektorów. Cieszę się, że tu jesteś, Walery. Komputer prawie skończył przetwarzanie wczorajszych danych i za chwilę będzie gotowy do pokazania nam budowy stożka.

Ogromna liczba surowych danych, przekazywanych przez czujniki, oraz z natury chaotyczny ruch wszystkiego, co dzieje się w żywym świecie. sprawiały, że „August Rose” trzeba było wyposażyć w potężne komputery. zdolne to przewidzenia z dużą dozą prawdopodobieństwa wyglądu wulkanu. Mimo gigabajtów pamięci maszyny potrzebowały pełnych dwudziestu czterech godzin, by zmapować co do milimetra wznoszący się pod statkiem stożek i przewidzieć, w którym miejscu Oceanu Spokojnego przebiję jego powierzchnię.

Zegar odmierzający czas na jednym z monitorów wskazywał, że tworzenie projekcji holograficznej zakończy się za minutę i dwadzieścia sekund. Walery i jego ojciec czekali w milczeniu. Obaj woleli wpatrywać się w obraz z kamery niż wdawać w sztuczną, bezsensowną rozmowę. Piotr Borodin jakby nie dostrzegał napięcia, które istniało między nimi, ale Walery doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

W końcu zegar na monitorze pokazał zero i Borodin uruchomił projektor holograficzny. Na tle stołu ukazał się model wulkanu. Z początku mglisty zarys stożka wyostrzył się i naukowcy wyraźnie mogli rozróżnić granie, rozchodzące się jak fale nasypy i wyloty mniejszych kominów. Projekcja holograficzna

dawała złudzenie oglądania gipsowego odlewu, w rzeczywistości składała się jednak całkowicie z promieni lasera.

– Aktywuję logarytmy ekstrapolacyjne.

Komputer wykonał już dziesiątki miliardów obliczeń niezbędnych do przewidzenia wielkości wulkanu, więc obraz natychmiast zaczął się zmieniać. Pojawiła się połyskująca niebieska płaszczyzna, przedstawiająca powierzchnię oceanu. Wkrótce przebił ją wznoszący się szybko szczyt wulkanu, o którego ponure bazaltowe stoki zaczęły uderzać małe, sztuczne fale.

Borodin wcisnął jeszcze kilka przycisków na konsoli i na hologramie pojawiły się południki i równoleżniki rozmieszczone z dokładnością do jednej sekundy.

– To trzeci test z rzędu, w którym stożek wynurzył się z wody jakieś tysiąc metrów poza dwustumilową strefą wokół Hawajów – zauważył naukowiec z nutą satysfakcji w głosie. – Chyba czas zawiadomić Kerikowa. – Odwrócił się do swojej asystentki. – Powiedz kapitanowi, że chcę zostać w tym miejscu jeszcze przez dwadzieścia cztery godziny.

Kobieta prawie się skłoniła, wychodząc z laboratorium. Borodin podszedł z powrotem do konsoli i zawołał do wszystkich:

– Zresetujcie czujniki i komputery. Chcę przeprowadzić natychmiast kolejny test.

Gdy Walery odwrócił się, żeby wyjść, ojciec złapał go za ramię.

– Musisz jeszcze zobaczyć ostatnie wyniki spektrometrii gazowej.

Kiedy wychodzili z laboratorium, Borodin ciągle trzymał rękę na ramieniu syna, jakby się bał, że ten może w każdej chwili uciec.

Pracownię spektrometrii wypełniały połyskujący sprzęt ze stali nierdzewnej i monitory komputerów. Spektrometr gazowy był wielkości samochodu, ale o niebo bardziej skomplikowany. Urządzenie badało widmo powstałe w wyniku rozpraszania się promieniowania przechodzącego przez gazowe zawiesiny analizowanej substancji, by określić jej skład chemiczny. Jako zabezpieczenie system połączono też z tomografem sejsmicznym.

– Wasilij, zaprezentuj panu zastępcy to, co pokazałeś mi dziś rano. – Borodin nigdy nie nazywał Walerego swoim synem.

Płachty papieru, które naukowiec wcisnął w ręce Walerego, pokrywały wielobarwne smugi przerywane gdzieś czarnymi liniami różnej grubości. Odpowiadały one długościom fal światła pochłanianego przez postać gazową badanych materiałów.

Z łatwością geografa rozszyfrowującego miriady linii na mapie topograficznej Walery przewracał kartki, zauważając brak odchyień od typowego składu magmy astenosferycznej, aż w końcu dotarł do ostatnich spektrogramów.

Rozpoznał linie oznaczające bazalt, krzemionkę i rudy manganu, ale znajdowały się tam również linie oznaczające obecność wanadu, a obok nich bezładna mieszanka na przemian cienkich i grubych linii, których nigdy wcześniej nie widział.

– Najwcześniejsze zapiski dotyczące alchemii datowane są na połowę V wieku naszej ery. Znalezione je w chińskich i arab-

skich, a także w europejskich manuskryptach – mówił cicho Piotr Borodin, patrząc ponad ramieniem syna na wydruki. – Przez kolejnych dwanaście stuleci alchemicy byli najtęższymi umysłami swoich czasów. Przyczynili się do powstania współczesnej chemii i farmakologii, a jednak nic udało im się osiągnąć celu, który sami sobie obrali. Teraz, w epoce superkomputerów, satelitów i możliwości rozbijania atomu, powróciliśmy do korzeni nauki. Udało nam się osiągnąć to, o czym marzyły całe pokolenia. W czasach największych alchemików prawdziwą potęgę świata stanowiło złoto. Dziś siłą w dosłownym tego słowa znaczeniu jest to, co napędza naszą planetę. Osiągnęliśmy to, co ludzkość uznała za niemożliwe do osiągnięcia. Zamieniliśmy kawałek skały w najcenniejszą substancję we wszechświecie. Nie jakiś pospolity metal o ograniczonym zastosowaniu, ale źródło energii, które może samo się odnowić, nawet gdy zużyjemy je w całości. Dzięki takiej potędze. Walery, nikt nie będzie śmiał zwrócić się przeciwko nam.

Walery poczuł się nieswojo, słysząc słowa ojca. Cicho odłożył papiery na biurko i wyszedł z laboratorium. Przypomniał mu się fragment z mitologii hinduskiej, gdzie Śiwa obwieścił: „Jam jest śmiercią, niszczycielem światów”. Były to te same słowa, które wypowiedział Robert Oppenheimer, gdy jego dzieło obróciło w pył sporą część pustyni w Nowym Meksyku.

ARLINGTON W STANIE WIRGINIA

Mercer obudził się tuż przed szóstą rano. Zmęczenie po podróży, którego następstw oczekiwał, zmył przyływ nadmiaru adrenaliny wywołany wydarzeniami poprzedniego dnia. Podniósł się sztywno, delikatnie macając fioletowe siniaki na ramionach. Ogolił się i wziął gorący prysznic, potem udał się do pokoju rekreacyjnego, gdzie z kubkiem mocnej gorącej kawy w dłoni próbował bez powodzenia skupić się na lekturze porannej prasy. Przez całą noc sen przerywały mu coraz to nowe pytania dotyczące sprawy Tish, ale nie znajdował na nie odpowiedzi. Postanowił poczekać na informacje od Davida Saulmana z Miami.

Piętnaście po siódmej, z zimną kawą w kubku, Mercer niecierpliwie złożył gazety i rzucił je na blat barku. Za kontuarem, między butelką remy martina a johnny walkerem, leżał trzydziestocentymetrowy odcinek szyny kolejowej. Jedną połowę pokrywała rdza, druga była wypolerowana jak lustro. Podeszedł i wziął ją do ręki, po czym ułożył ciężki kawał żelaza na rozłożonej na blacie szmatce. Obok szyny postawił pudełko, w którym znajdował się zestaw do czyszczenia metalu, stojący zazwyczaj obok zabytkowej lodówki, i z ogromnym skupieniem zaczął polerować żelazo, jakby nic więcej na świecie się nie liczyło. Gdy rdza i brud powoli ustępowały pod wpływem chemikaliów

i jego pracy, w duszy podziękował Winstonowi Churchillowi za podsuniecie pomysłu na tak pełne refleksji zajęcie. Gdy brytyjskiego premiera dopadał stres, z którym nie radziła sobie nawet jego legendarnie silna psychika, budował na podwórku za swoją siedzibą przy Downing Street 10 ściany z cegieł. Monotonne kładzenie zaprawy i ustawianie cegieł pozwalało umysłowi oderwać się od szalonego tempa wypadków II wojny światowej i skupić na jednym konkretnym problemie. Gdy w taki sposób udawało mu się go rozwiązać, współpracownicy rozbierali ścianę, oczyszczali cegły z zaprawy i układali je równo, gdzie czekały na nadejście kolejnego kryzysu.

Mercer poszedł w ślady Churchilla, ale dostosował jego pomysł do warunków mieszkaniowych. Polerowanie kawałka szyny zaczął w czasach studiów w Colorado School of Mines. Przed każdym trudnym egzaminem zabierał się do dzieła i przez godzinę zajmował się tylko oczyszczaniem kawałka żelaza. Dzięki temu oczyszczał swój umysł i kierował energię na czekające go wyzwanie. Studia ukończył z jedenastą lokatą i zawsze twierdził, że kluczem do sukcesu był ten rytuał sprzyjający koncentracji.

Naturalnie, zaśmiał się sam do siebie, trąc chropowate żelazo, niemal fotograficzna pamięć też nie zaszkodziła. Szacował, że od czasu ukończenia studiów wypolerował niemal pięćdziesiąt pięć metrów torowiska.

Ciągle jeszcze oczyszczał szynę, gdy nieco po dziewiątej do pokoju weszła Tish.

– Dzień dobry – powiedziała.

Mercer odłożył do pudełka nasączoną polerką szmatkę, nie czując potrzeby, by cokolwiek wyjaśniać.

– Dzień dobry. Widzę, że ubrania pasują.

Tish obróciła się na palcach. Cienka czarna spódnica załopotała wokół jej zgrabnych nóg. Oprócz niej miała na sobie jeszcze zwykły biały T-shirt od Armaniego. Wczoraj po południu, gdy zasnęła, Mercer kupił jej trochę ciuchów w miejscowym centrum handlowym.

– Uznałam, że nie jesteś transwestytą i kupiłeś je dla mnie.

– Uśmiechnęła się szeroko, wygładzając spódnicę na udach.

– Nie, dałem sobie z tym spokój dawno temu. Trafiłem w rozmiar?

– Łącznie ze stanikiem 34C. Gratuluję spostrzegawczości.

– Rzuciła mu zalotny uśmiech. – Czyżbym czuła zapach kawy?

– Tak, ale zaparzę ci świeżej. W dzbanku mam prawdziwą siekierę, obudzi umarlaka.

– Może być. – Spróbowała i skrzywiła się z niesmakiem. Mercer nastawił czajnik. – Dlaczego nie obudziłeś mnie na kolację?

– Wydawało mi się, że bardziej potrzebujesz snu niż degustacji moich dań.

– O ile wiem, większość kawalerów świetnie gotuje.

– Niestety nie ja. Tak często podróżuję, że nie mam czasu, by się tego nauczyć. Żyję według zasady, że jeśli czegoś nie da się zrobić w mikrofalówce, to jest niejadalne.

Mercer zauważył, że Tish pobiegła wzrokiem do wiszącej za barkiem mapy.

– Ja byłam tylko na kilku wyprawach. Większość czasu spędzam w laboratorium w San Diego. Podróżowanie musi być fascynujące...

– Z początku było. teraz kojarzy mi się tylko z ciasnymi fotelami w samolocie, plastikowym jedzeniem i nudnymi spotkaniami.

Popatrzyła na niego kpiąco, ale nie naciskała.

– Masz jakieś nowe wskazówki co do tej historii?

Zanim odpowiedział, popatrzył na zegarek – 9.30, jego własna górna granica czasu dawno minęła. Leniwie wszedł za barek i wyciągnął z lodówki piwo.

– Wykonałem wczoraj parę telefonów. Już spałaś. Myślę, że wkrótce sytuacja nieco się wyjaśni. Na razie powinnaś chyba tu zostać. Jest ktoś, z kim chciałabyś się skontaktować? Chłopak, przyjaciółka?

– Nie.

– Dobrze. Mam nadzieję, że do południa dowiemy się czegoś, co pozwoli nam wpaść na jakiś trop. Tymczasem możemy tylko czekać.

– Nie musisz iść do pracy?

Roześmiał się.

– Przecież jestem konsultantem USGS. Oczekują, że będę nieodpowiedzialny.

Rozmawiali jeszcze godzinę. Mercer zręcznie zrzucił z siebie ciężar prowadzenia konwersacji i sprawił, że głównie mówiła Tish. Dziewczyna miała zaraźliwy śmiech i, jak zauważył, kilka uroczych piegów wysoko na policzkach. Nigdy nie wyszła za

mąż, chociaż kiedyś, we wczesnej młodości, nawet się zaręczyła. Była demokratką i działaczką ekologiczną, nie ufała jednak kandydatom lansowanym przez swoją partię ani głównym ugrupowaniom walczącym o ochronę środowiska. Nigdy nie znała matki, o czym Mercer wiedział już wcześniej, i idealizowała ojca, czego się domyślił. Lubiła pracę w NOAA i nie zamierzała jeszcze ustatkować się i zająć tylko wykładami dla studentów. Jej ostatni poważny związek zakończył się siedem miesięcy temu, więc obecnie jedyną rzeczą, o którą mogła się martwić, były domowe kwiatki, chociaż w trakcie jej wyprawy na Hawaje sąsiadka obiecała zaopiekować się roślinami.

O jedenastej w gabinecie zadzwonił telefon. Mercer nawet się nie ruszył, by go odebrać. Parę sekund później zaczął szumieć i terkotać podłączony do tej samej linii faks. Gdy się wyłączył, Mercer wstał i wyciągnął z tacki odbiorczej tuzin kartek. Wolnym krokiem wrócił do barku ze wzrokiem utkwionym w pierwszą stronę. Gdy skończył czytać, podał ją Tish.

To samo robił z każdą następną. Czytanie zajęło im dwadzieścia minut. Co jakiś czas Philip burczał coś pod nosem z powodu jakiejś informacji, innym razem Tish wzdychała po cichu.

– Nie rozumiem tego pytania na końcu raportu.

– To taka zagadka, rodzaj wyzwania, które od lat rzuca mi Dave. Muszę przyznać, że tym razem jestem w kropce.

Tish przeczytała pytanie na głos.

– Jak nazywał się kapitan statku „Amoco Cadizo”? W życiu nie słyszałam o takim statku.

– To wypełniony po brzegi supertankowiec, który osiadł na mieliźnie w kanale La Manche w marcu 1978 roku. Za nic nie przypominę sobie nazwiska kapitana.

Popatrzyła na niego dziwnie, ale zmieniła temat.

– Co sądzisz o tych informacjach?

– Na razie nic – odparł, sięgając po kolejne piwo.

Ocean Freight & Cargo, czyli firma, której statek uratował Tish, miała siedzibę w Nowym Jorku, jednak pieniądze na jej działalność pochodziły od fińskiego konsorcjum, którego największym udziałowcem było przedsiębiorstwo uważane w przeszłości za przykrywkę dla operacji KGB. „Lepszy numer niż ten z Air America”, jak to określił David Saulman. Ich statki pływały głównie po Oceanie Spokojnym, transportując tradycyjne ładunki do portów przeznaczenia. Saulman dowiedział się, że Ocean Freight & Cargo wprowadzała do wszystkich kontraktów związanych z „August Rose” dziwną klauzulę, umożliwiającą zerwanie kontraktu między stu pięćdziesięciometrowym chłodniowcem a klientem na dwanaście godzin przed wypłynięciem, o ile ładunek nie znajdował się już na pokładzie. Saulman od lat zajmujący się prawem morskim nigdy nie widział podobnego zastrzeżenia i nie potrafił sobie wyobrazić, czemu miałyby służyć. Od 1989 roku przedsiębiorstwo kilka razy skorzystało z tego zapisu, odmawiając załadunku towarów na „August Rose” w Stanach Zjednoczonych. Zastrzeżenie osobliwe, konkludował Saulman, ale nie bezprawne.

Obecnie statek znajdował się na północ od Hawajów. Stał na kotwicy z powodu problemów z silnikiem. Źródła Saulmana

twierdziły, że ma ruszyć w ciągu piętnastu godzin, a przedsiębiorstwo nie zwracało się do nikogo z zewnątrz z prośbą o pomoc dla unieruchomionego statku. Transport wołowiny, który miał zostać odebrany w Seattle, właśnie przeładowywano na jednostkę należącą do firmy Lukes Brothers.

Prośba Mercera, dotycząca informacji o statkach, które zatonięły w tym samym rejonie co „Ocean Seeker”, otworzyła prawdziwą puszkę Pandory.

W ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat w tym rejonie poszło na dno co najmniej czterdzieści jednostek, chociaż od lat siedemdziesiątych ich liczba stopniowo się zmniejszała. Mercer przypuszczał, że stało się tak dzięki nowoczesnej technice, pozwalającej śledzić zmiany warunków atmosferycznych. Zauważył też, że większość przypadków stanowiły wycarterowane łodzie rybackie, statki wycieczkowe i niewielkie jachty. Wyjątki od tej reguły podkreślił czarnym piórem.

„Ocean Seeker”, statek badawczy NOAA, czerwiec tego roku. Jeden rozbitek.

„Oshabi Maru”, japoński trałowiec, grudzień 1990. Nikt nie przeżył.

„Philippe Santos”, chilijski statek meteorologiczny, kwiecień 1982. Nikt nie przeżył.

„Western Passage”, amerykański frachtowiec, przerobiony na kablowiec, maj 1977. Nikt nie przeżył.

„Curie”, francuski statek oceanograficzno-badawczy, październik 1975. Nikt nie przeżył.

„Colombo Princess”, lankijski kontenerowiec, marzec 1972.
Trzydziestu jeden rozbitków.

„Baltimore”, amerykański tankowiec, luty 1968. Dwudziestu czterech rozbitków.

Pomiędzy zatonięciem „Baltimore” w 1968 roku a katastrofą „Grandam Phoenixa” w 1954 żaden duży statek nie poszedł na dno na północ od Hawajów. A przed 1954 takie wypadki zdarzały się tylko w czasie II wojny światowej

– Ja też nie wiem, co o tym myśleć – powiedziała Tish.

– Jeśli statek, który cię uratował, jest w jakiś sposób powiązany z KGB. to wyjaśniąoby, dlaczego słyszałaś na jego pokładzie rosyjski.

Mercer jeszcze raz przejrzał kartki, ale ciągle wracał do statku o nazwie „Grandam Phoenix”, zwracając uwagę, że zatonął wraz z całą załogą. Coś mu tu nie pasowało...

– Jezu...

– Co?

Mercer nie wiedział nawet, że mówił na głos.

– Muszę iść do biura.

– Poco?

– Mam przeczucie.

Sięgnął po słuchawkę telefonu. W chwilę po wybraniu numeru usłyszał niewyspany głos Harry’ego White’a.

– Halo?

– Harry, tu Mercer. Przyjdź do mnie, musisz się zaopiekować moją znajomą... Nie, nie przyprowadzaj gościa, i tak, mam jeszcze whisky... Dobra, czekam.

Rozłączył się i odwrócił do Tish.

– Za parę minut będzie tu mój przyjaciel. Zostaniesz z nim. Nie możesz wyjść jeszcze na ulicę. Muszę najpierw dowiedzieć się więcej.

W oczach Tish zobaczył nieme pytanie. Nie wiedział, czy czekała na słowa otuchy, czy na jakieś wyjaśnienia.

– Wrócę za parę godzin. Jeśli to, co podejrzewam, okaże się prawdą, do wieczoru będzie po sprawie i rano będziesz mogła wsiąść w samolot do domu. Poza tym Harry zapewnia lepsze towarzystwo niż ja.

Dziesięć minut później zadzwonił dzwonek i wszedł Harry. Gdy stanął w drzwiach pokoju rekreacyjnego, w jego ustach tkwił kilkumilimetrowy niedopałek papierosa bez filtra.

– Rany boskie, Mercer, nic dziwnego, że mnie wezwałeś. Ta dziewczyna jest zbyt śliczna, żeby tu być z własnej woli. Na pewno ją porwałeś.

– W rzeczy samej, Harry. Panno Talbot, ta żalosna kreatura to Harry White. Harry, poznaj Tish.

Harry przeczesał palcami włosy.

– Nawet gdybym miał dwadzieścia lat mniej, to i tak mógłbym być twoim ojcem. No, ale mimo wszystko miło mi cię poznać.

– Wracam za godzinkę albo dwie.

– Nie musisz się spieszyć – odparł szybko Harry. – Nie mam na dziś żadnych planów i jestem pewien, że ta urocza dama nie może się doczekać mojego towarzystwa.

– Harry, jesteś uosobieniem dobra. Tish, niedługo będę z powrotem. Postaraj się go nie prowokować. To stary drań, mówię ci.

– Idź już – warknął Harry i spojrzał głęboko w oczy Tish.

Mercer usłyszał jeszcze piskliwy chichot dziewczyny, nim zamknął za sobą drzwi domu.

Jennifer Woodridge popatrzyła w zdumieniu na wchodzącego Mercera.

– Gdzie się pan od wczoraj podziewał?

– Miałem przydługi lunch i straciłem poczucie czasu.

– Jasne, ale następnym razem proszę dać mi znać, żebym mogła pana kryć. Richard dostawał szału, próbując się z panem skontaktować.

Jakby za sprawą czarów, rozległ się sygnał telefonu. Dzwonił Richard Harris Howell, korpulentny i marudny zastępca szefa USGS, bezpośredni zwierzchnik Mercera.

– Doktorze Mercer, proszę natychmiast przyjść do mojego biura. Mam przed sobą listę rachunków z pana podróży, które musimy omówić. – Howell brzmiał teraz bardziej jak księgowy niż naukowiec. – Wygląda na to, że w czasie tego wyjazdu do Afryki nadużył pan rządowych pieniędzy.

Mercer odstawił na minutę słuchawkę od ucha, a Howell na próżno kontynuował swój wywód.

– Masz rację, Rich. – Mercer wiedział, że Howell nienawidził tego zdrobnienia. – Posłuchaj, muszę załatwić tu parę spraw. Będę u ciebie za dziesięć minut.

Odłożył słuchawkę, ubiegając ewentualne narzekanie.

– Założę się, że tu przyjdzie. Powiedz mu, że poszedłem do łazienki.

– A gdzie pan naprawdę idzie?

Mercer usiadł na brzegu jej biurka i śmiertelnie poważnym tonem oświadczył:

– Jen, nie mogę cię w to wciągnąć. A co, jeśli Howell weźmie cię na tortury? – Kobieta zachichotała. – Gdy ta ropucha stąd wyjdzie, zrób sobie dziś wolne. A zresztą, weź wolne do końca tygodnia, pewnie i tak mnie nie będzie.

– Mogę panu w czymś pomóc?

– Trzymaj tylko Howella z daleka ode mnie.

Wziął ze swojego gabinetu aktówkę i poszedł do piwnic budynku, gdzie znajdowało się obszerne archiwum USGS.

Chociaż nie poznał osobiście szefa archiwum, Chucka Lowry'ego, słyszał o nim co nieco. Większość ludzi walczących w Wietnamie przyznawała, że przeżycia wojenne bardzo ich odmieniły. Personel USGS uważał, że dwie zmiany, które odsłużył w Wietnamie Chuck, uczyniły z niego w miarę rozsądnego człowieka, ale to wcale nie znaczyło, że uznawano go za całkowicie normalnego człowieka. Do płaszcza za osiemset dolarów nosił znoszone dżinsy. Jego twarz skrywała się za wspaniale wypielegnowaną brodą, ale włosy na głowie miał zmierzwione i w totalnym bezładzie. Na wielkim nosie tkwiły czarne oprawki okularów bez szkielek. Lowry także strasznie kłął, chociaż słownictwo, jakim się oprócz przekleństw posługiwał, było niesamowite.

Gdy Mercer wszedł do pracowni komputerowej archiwum USGS, Lowry siedział przy biurku ze szmirowatym roman-sidłem w ręku. Na mosiężnej tabliczce obok telefonu widniał napis: „Wystrzegaj się kręcenia”.

– Kupiłem to wczoraj – powiedział Lowry, podnosząc książkę i pokazując gościowi krzykliwie zdobioną okładkę – razem z paczką prezerwatyw i dużym słoiczkiem wazeliny. Pieprzony kasjer nawet nie mrugnął. Nasza epoka obfituje w prawdziwie nadnaturalny brak zainteresowania między ludźmi. Książka jednak jest zachwycająca. Tylko autorka ciągle opisuje biust bohaterki jako jędrny, a tors bohatera jako lśniący od męskiego potu. Jeśli zrobi to jeszcze raz, namierzę ją i urwę łeb. A ty kto?

– Philip Mercer. Jestem tu tymczasowym konsultantem.

– No tak, Jen Woodridge z tobą pracuje.

– Znasz ją?

– Tylko jako potencjalną ofiarę gwałtu. – Mercer miał nadzieję, że Lowry żartuje. – To ty ciągle wkurzasz Howella, tak?

– Powiedzmy, że współpraca nie układa nam się najlepiej.

– To jego problem, odkąd tu przyszedł. Facet pogrywa sobie z innymi. To irytujący dyletancik z ustami wiecznie złożonymi do całowania kogoś w dupę. Co cię sprowadza do mojej dziupli?

– Potrzebne mi są dane sejsmiczne Hawajów z maja 1954 roku.

– Nieco głupia prośba, ale ją spełnię. Przyjdź jutro, wyciągnę wszystko, co chcesz.

– Przykro mi, Chuck, nie mogę czekać. Howell znów siedzi mi na karku, więc muszę stąd spadać jak najszybciej.

– Czy chociaż trochę wkurzysz tego sukinsyna?

– O tyle, że to w ogóle nie ma nic wspólnego z kontraktem, który podpisałem.

– Wystarczy, wejdź tędy.

Lowry zeskoczył z krzesła i powłókł się na zaplecze. Usiadł naprzeciwko terminalu podłączonego do centralnego serwera i z szuflady wyciągnął ciężką księgę referencyjną. Cicho pogwizdując, zaczął powoli przewracać kartki. Minęło kilka minut, nim odłożył ją na bok i zaczął głośno stukać w klawiaturę.

– Zawsze uderzam w klawisze fortissimo, nie pianissimo. Niech ta cholerna maszynka wie, kto tu jest maestro.

Mercer nie mógł się nie uśmiechnąć, słysząc głupstwa wypowiedziane przez Lowry’ego, który po kilku minutach wprowadzania danych odsunął się od terminalu.

– Oto one, dane sejsmiczne Hawajów z maja 1954 roku. Po jaką cholere są ci one potrzebne, tego nie pojmem nigdy. Pozwolisz, że wrócę teraz do niezwykle fascynującej historii oraz jej bohaterów.

Lowry wyszedł z pomieszczenia i Mercer usiadł przy komputerze. Z powodu wzmożonej aktywności wulkanicznej na Hawajach i wokół nich analiza danych choćby jednego miesiąca zajęłaby wiele dni. Jemu chodziło jednak o konkretny dzień maja.

Dwadzieścia minut później wyłączył komputer i podziękował Lowry’emu za pomoc. Ten odpowiedział mu cytatem z czytanego romansu: „I wtedy zdarł z jej młodego ciała sukienkę, wystawiając na widok pirackiej braci jej jędrne piersi”.

Podniósł wzrok.

– Zatrąkę tę cholerną pisarkę.

Mercer roześmiał się, zamykając drzwi archiwum, i po chwili szedł już schodami prowadzącymi na ulicę. Jaguar, czy też to, co z niego zostało, był ciągle uszkodzony, musiał więc pojechać do domu taksówką.

Tish i Harry przykleili kartkę do telewizora z informacją, że poszli do baru U Tiny'ego. Mercer się wściekł, lecz po chwili zdał sobie sprawę, że Tish jest tam tak samo bezpieczna jak w domu. Zanim do nich dołączył, musiał zadzwonić do Nowego Jorku, by wdroić w życie coś, co – miał nadzieję – było początkiem planu.

Ocean Freight & Cargo, KGB czy cokolwiek tam stało za tą sprawą, wciągnęło Mercera w wir walki. Przyszedł czas, by odpłacić pięknym za nadobne.

BIAŁY DOM

Nasz człowiek nazywa się Mercer. Doktor Philip Mercer – obwieścił Dick Henna, wchodząc do Gabinetu Owalnego.

– Kurwa, nareszcie! – Paul Barnes, tymczasowy szef CIA, z trudem panował nad nerwami. Obaj serdecznie się nienawidzili.

W gabinecie oprócz prezydenta był też admirał C. Thomas Morrison, drugi w historii Afroamerykanin na stanowisku szefa połączonych sztabów, człowiek, który nie ukrywał swoich ambicji politycznych.

– Kto to taki, Dick? – zapytał prezydent.

– To konsultant do spraw górnictwa, obecnie pracuje dla USGS. Namierzenie go trwało tak długo dlatego, że kumpel Mercera w policjiodstawił jego samochód na zapasowy parking w Anacostii. Gdybym nie przydzielił do tej sprawy dodatkowych ludzi, w życiu byśmy go nie znaleźli. – Henna usiadł w fotelu. – Mogę tylko zakładać, że kobieta jest razem z nim.

– Skąd ja znam to nazwisko? – Prezydent zapytał raczej siebie niż siedzących wokół niego mężczyzn.

– Sir – odezwał się Barnes – ten facet brał udział w operacji CIA tuż przed wojną w Zatoce. Jestem pewien, że jego nazwisko padło podczas odprawy u mojego poprzednika.

– Tak jest. Pracowałem wtedy w komisji sił zbrojnych Senatu.

– Dokładnie tak, sir. Doktor Mercer towarzyszył niewielkiemu oddziałowi Delta Force, który przerzucono do Iraku w celu sprawdzenia, czy Irakijczycy są w stanie wydobywać uran o odpowiednim stopniu przydatności do celów wojskowych. Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej potwierdziła, że nie mogli otrzymać go z zewnątrz, ale musieliśmy wiedzieć, czy ruda uranu wydobywana pod Mosulem jest wystarczająco czysta, by otrzymać z niej pluton 239. Dane, które zgromadził Mercer, potwierdzały, że nasi żołnierze nie musieli obawiać się ataku nuklearnego. To była ostatnia informacja wywiadowcza, której potrzebował prezydent Bush przed rozpoczęciem operacji „Pustynna Burza”.

– O ile pamiętam, podczas tej misji ponieśliśmy jakieś straty – wtrącił prezydent.

– Tak. Czterech komandosów zginęło w zasadzce urządzonej na terenie kopalni. Podczas składania raportu dowiedzieliśmy się, że doktor Mercer objął dowództwo nad resztą grupy i wyprowadził ją bezpiecznie z Iraku.

– Wygląda na zaradnego faceta – zauważył prezydent.

– To prawda, ale ciągle nie znamy odpowiedzi na pytanie, dlaczego porwał Tish Talbot, zabijając po drodze sześć osób, łącznie z dwoma agentami FBI, którzy mieli ją chronić.

– To nie on ich zabił – prychnął Henna. – Trup znaleziony w sali Tish Talbot miał pod paznokciami krew. Pasuje do próbek krwi pobranych od moich ludzi przy drzwiach.

– Kim więc do cholery był gość w szpitalu? – zapytał admirał Mor-rison.

– Nie mamy go w żadnej kartotece – odparł Henna. – Ale Interpol chyba coś ma. Być może uda im się też zidentyfikować ciała znalezione na ulicy i w metrze. Za jakąś godzinę będę wszystko wiedział.

– Ciągłe jednak nie wiemy, dlaczego – powiedział Bames, wzburzony tak, że łysina na jego głowie poczerwieniała.

– Niedługo zatrzymamy Mercera – warknął Henna. – Prawie dopadliśmy go w biurze, ale trochę się spóźniliśmy. Dziesięć minut temu obstawilem agentami jego dom w Arlington. Gdy go dorwiemy, będziemy wszystko wiedzieć. Aha, i jeszcze jedno. NOAA otrzymało rachunek od jednej z kancelarii prawa morskiego z Miami za informacje, których faksem udzieliła Mercerowi.

– Jakie informacje? – zapytał prezydent.

– Nie wiemy, sir. Kancelaria nas zwodzi i unika odpowiedzi na pytania, więc załatwiamy nakaz sądowy, żeby przeszukać ich biura. Jeszcze dziś będziemy wiedzieć, o co chodziło Mercerowi.

– Muszę przyznać, że jak do tej pory pan Mercer okazuje się sprytniejszy niż ktokolwiek z nas. – Prezydent mówił cicho, co oznaczało, że ledwie trzyma nerwy na wodzy. – I jeśli doktor Talbot jest z nim, to pewnie ma większe poczucie bezpieczeństwa, niż my moglibyśmy zagwarantować. Co najmniej raz uratował jej życie i jak na razie udaje mu się wymykać, co dowodzi, że nie jesteśmy skuteczni. Facet uruchomił prywatne śledztwo, które,

zdaje mi się, podąża we właściwszym kierunku niż nasze. Nie mam racji?

Odpowiedzią na wymówki prezydenta była głucha cisza.

– Gdy znajdziecie doktora Mercera, macie przyprowadzić go do mnie. Nikt nie postawi mu żadnych zarzutów. Może on rzuci trochę światła na to, co się dzieje na Pacyfiku. Ktoś chciałby coś dodać?

– Po naszej wczorajszej rozmowie – zaczął admirał Morrison – postawiłem Flotę Pacyfiku w stan pogotowia. Dwa lotniskowce wypłynęły z Morza Koralowego i kierują się na Hawaje. „Kitty Hawk” jest już na swojej pozycji, okręt desantowy „Inchon” też. Obydwa okręty i statki pomocnicze znajdują się trzysta mil na południe od Hawajów.

– Nie wiem, czy będą potrzebne, ale nie zaszkodzi mieć jakąś siłę ognia w pogotowiu. – Prezydent potarł palcami skronie. – Panowie, mamy do czynienia z zagadką, co do której brakuje nam wskazówek. Jeśli Ohni-shi stoi za katastrofą statku NOAA, doktor Talbot jest zapewne jedyną osobą, która może dostarczyć nam jakichkolwiek dowodów przeciwko niemu. Musimy sprawdzić, co wie. Do tego czasu trzeba grać w ciuciubabkę z przeciwnikiem, który zaatakował dwa razy, ale jeszcze się nic ujawnił. To wszystko na dziś.

Gdy zaczęli wychodzić, prezydent poprosił Dicka Henne o pozostanie.

– Dick – powiedział, gdy za Bamesem i Morrisonem zamknęły się drzwi – jako że cała ta sprawa dzieje się na terenie

kraju, ty ją prowadzisz. Chcę wiedzieć, i to natychmiast, co o tym wszystkim sądzisz.

Henna zastanawiał się przez chwilę, po czym szczerze odparł:

– Nie wiem. – Zamilkł na kilka sekund. – Notka, którą otrzymaliśmy parę dni temu, niczym nie różniła się od pierdół, jakich w tygodniu dostajemy setki. Aż do chwili, gdy „Ocean Seeker” poszedł na dno, oczywiście. Wtedy zaczęliśmy działać. Dwa dni później jedyna ocalała z katastrofy osoba zostaje porwana przez faceta, który w mojej ocenie jest patriotą. On zostawia za sobą stos trupów, prosi prawników z Miami o jakieś informacje dotyczące oceanu oraz sprawdza zapisy sejsmografów z maja 1954 roku w archiwum USGS. Proszę nie pytać, dlaczego. Moi najlepsi ludzie nawet nie zbliżyli się do odpowiedzi na to pytanie. Wpadł na jakiś trop, nie mam co do tego wątpliwości.

– Ale jakim cudem? Dlaczego w ogóle się w to wplątał?

– Jego motywacją może być zemsta. Proszono go, by przyłączył się do ekspedycji organizowanej przez NOAA na pokładzie tego statku, ale nie było go w kraju. Zwróciłem się do Paula Bamesa, żeby wyszperał raport CIA dotyczący przeszłości Mercera, który przygotowali przed jego misją w Iraku. Może jest tam coś, co nam pomoże.

– A co z listem od Takahiro Ohnishiego?

– Jeśli czytamy obecnie gazety, możemy mieć wrażenie, że każda mniejszość etniczna na świecie deklaruje swoją niezależność i niepodległość, choćby nie wiem jak długo współlistnieli z sąsiadami. Afryka, Europa, nawet Azja. Kto powiedział, że nam to nie grozi? Większość mieszkańców Hawajów ma pochodzenie

japońskie, większość z nich nigdy nie była w kontynentalnej części Stanów. Może nie mamy prawa bronić tam rządów opartych na zachodnich ideałach. Sam już nie wiem.

– Dick, czy ty wiesz, co wygadujesz?

– Wiem, panie prezydencie. Wcale mi się to nie podoba, ale wiem, co mówię. Być może stanie pan twarzą w twarz z sytuacją, z jaką prezydent miał wcześniej do czynienia tylko raz. – Henna wstał, gotując się do wyjścia. – Tamta sytuacja rozpoczęła wojnę secesyjną, która przyniosła więcej ofiar niż wszystkie wojny w historii Ameryki razem wzięte. Lincoln został bohaterem, ale może tylko dlatego, że został męczennikiem.

HAWAJE

Takahiro Ohnishi postukał widelcem ze stali nierdzewnej w talerz, roz-smarowując sos wokół sporego kawałka wołowiny. Włożył do ust odkro-jony kawałek i gryzł go powoli, z namysłem. Burmistrz Honolulu, David Takamora, obserwował starego przemysłowca z dobrze skrywaną odrazą.

Ohnishi przeżuwał jedzenie jeszcze kilka sekund, po czym pochylił się i wypluł gęstą papkę do srebrnego kubelka na wino. Naczynie w jednej czwartej wypełnione już było pogryzionym i wyplutym pożywieniem. Ohnishi delikatnie wytarł usta serwetką i skinął na kamerdynera, żeby sprzątnął naczynia.

– Powiedz kucharzowi, że szparagi były nieco przywiedłe i jeśli to się powtórzy, zostanie zwolniony. – W zmęczonym starością głósie nie wyczuwało się wrogości, ale człowiek o jego pozycji nie musiał używać ostrego tonu, by mieć pewność, że polecenia zostaną wykonane. – Nie do wiary, że nic zjadł pan więcej, Davidzie. Ta wołowina przyleciała dziś rano z mojej farmy w Japonii.

– Nie mam już takiego apetytu jak kiedyś. – Takamora wzruszył ramionami.

– Pozostaję w nadziei, że to nie z mojej winy.

– Ależ skąd. – Burmistrz zaprzeczył niezbyt szybko. – To z powodu presji, której ostatnio jestem poddawany. Planowanie cichego przewrotu nie jest takie proste.

Ohnishi korzystał w domu z elektrycznego wózka, co umożliwiała mu łatwiejsze poruszanie się, i teraz odjechał od mahoniowego stołu. Burmistrz rzucił na stół serwetkę i poszedł za nim, przeklinając w duszy budzące obrzydzenie widowisko, które, sposobem jedzenia, zafundował mu Ohnishi.

Chociaż Takamora nie przekroczył jeszcze sześćdziesiątki, jego twarz z wolna zaczynała przypominać woskową maskę, charakterystyczną dla starzejących się Japończyków. Oczy z widocznymi workami zapadały się coraz głębiej. Kiedyś zawsze zachowywał prostą postawę, był smukły i gibki dzięki latom ćwiczeń, teraz przygarbił się. Dostał też brzuszka, przez co tułów wydawał się zbyt duży przy podtrzymujących go cienkich nogach.

Ciepłe światło odbijało się od ram obrazów i wydobywało z cienia połyskującą boazerię z drewna wiśniowego, którą wyłożone były ściany pracowni Ohnishiego. Takamora rozsiadł się w skórzanym fotelu, a przemysłowiec wjechał wózkiem za szerokie biurko.

– Proszę zapalić, jeśli ma pan ochotę – powiedział.

Takamora bez zbędnej zwłoki przypalił sobie marlboro.

– Co ma mi pan do powiedzenia?

Burmistrz zaczął mówić powoli, chcąc zamaskować napięcie, które zawsze czuł w obecności Ohnishiego.

– Jesteśmy niemal gotowi do wysłania prezydentowi ultimatum – dobiegł zza chmury niebieskoszarego dymu jego głos. – Mam dwa lojalne oddziały Gwardii Narodowej, gotowe blokować Pearl Harbor i lotnisko. Gubernator wraca z kontynentu w przyszłym tygodniu. Gdy tylko wyląduje, zostanie zatrzymany. Naszych senatorów i przedstawicieli możemy odwołać w ostatniej chwili. Jeśli nie zechcą nas poprzeć, także zostaną zatrzymani. Chociaż muszę powiedzieć, że senatora Namurę mamy już po swojej stronie. Wszystkie organizacje społeczne zaangażowane w tę sprawę zapewniają, że są w pełni przygotowane to realizacji przypisanych im zadań. Prasa też. Od chwili rozpoczęcia, przez czterdzieści osiem godzin będzie trwała blokada informacji. W wiadomościach nadawanych jak zawsze nie znajdzie się żadna wzmianka o przewrocie. Mam tu – ciągnął Takamora, sięgając do kieszeni marynarki i wyjmując kartkę papieru – nazwiska techników telewizyjnych na wyspie, którzy mogliby puścić nieautoryzowane materiały. Każę ich zatrzymać albo zniszczyć im sprzęt. Zobaczymy, co lepsze.

– A operatorzy telefoniczni?

– Główne wieże przekaźnikowe i połączenie kablowe z kontynentem zostaną zajęte przez nasze oddziały, które od tej pory przejmą kontrolę. To, że pewne informacje o przewrocie wyciekną z wysp, zanim nadamy swój program, jest nieuniknione, ale w większości będą to informacje niepotwierdzone.

– Dobrze się pan spisał, Davidzie. Wydaje się, że wszystko przebiega jak należy. Jest jednak mały problem.

– Jaki? – zapytał burmistrz, pochylając się w fotelu.

Drzwi pracowni uchyliły się i do środka wszedł Kenji, osobisty asystent i ochroniarz Ohnishiego. Stał za fotelem Takamory, trzymając ręce wzdłuż boków.

– Jaki problem? – powtórzył Takamora nieco bardziej nerwowo, gdy zauważył wchodzącego.

– Listu, który w formie ultimatum napisałem do prezydenta, nie ma już w moim gabinecie. Mogę przypuszczać, że został wysłany do Waszyngtonu.

Takamora nie był w stanie ukryć zaskoczenia.

– Potrzebujemy jeszcze czasu. Dlaczego pan go wysłał?

– Nic powiedziałem, że to ja wysłałem. Powiedziałem tylko, że nie ma listu w moim gabinecie. Jediną osobą, która wiedziała o tym liście i która sama przebywała w moim biurze, jest pan. Dlatego też muszę zapytać, czy wysłał pan ultimatum do prezydenta bez konsultowania tego ze mną?

– Widziałem ten list jeden jedyny raz, przysięgam! – Burmistrz szybko zdał sobie sprawę, w jakim niebezpieczeństwie się znalazł. – Nigdy bym go panu nie wykradł.

– Chciałbym panu wierzyć, Davidzie, naprawdę, ale niestety nie mogę. Nie wiem, co chciał pan zyskać takim działaniem, ale zapewniam pana, że wiem, jaki będzie ono miało finał.

– Przysięgam panu, że nie wzięłem tego listu. – Na woskowym czole Takamory pojawiły się krople potu.

– Tylko pan miał dostęp do tego pomieszczenia i tylko pan znalazł położenie sejfu. Gratuluję talentu do pokonywania szyfrowanych zabezpieczeń. Jestem pod wrażeniem. Ale jeśli wydaje się panu, iż może pokrzyżować moje plany, jest pan

w wielkim błędzie. W chwili gdy rozmawiamy, pewni ludzie szykują już broń. Poczyniłem przygotowania, by zjawiała się tu wysoce zmotywowana armia najemników. Oczywiście, łatwiej byłoby skorzystać z pańskich oddziałów Gwardii Narodowej, ale i bez nich sobie poradzę. Davidzie, mógł pan być prezydentem najnowszego i prawdopodobnie najbogatszego kraju na tej planecie, gdyby tylko nie pańska pazerność i obrócenie się przeciwko mnie.

– Jestem po pana stronie! – W głosie Takamory już po-brzmiewały nuty rozpacz.

– Utrzymywanie własnej niewinności do samego końca jest godne podziwu – powiedział ze smutkiem Ohnishi.

Po tych słowach Kenji zaatakował. Błyskawicznym ruchem okręcił wokół szyi burmistrza nylonową żyłkę i z niesamowitą siłą ją zacisnął. Takamora próbował szarpnąć pętlę, ale żyłka wbijała się coraz głębiej. Język, wciśnięty między poźółtkę od dymu zęby, zaczął puchnąć, a urywany oddech stawał się coraz płytszy, gdy duch powoli opuszczał ciało. Ohnishi siedział spokojnie z pomarszczonymi dłońmi na biurku, nie okazując żadnych emocji na widok potwornej zbrodni.

Kenji mocniej zacisnął pętlę i walka Takamory o życie dobiegła końca.

Kenji zdjął żyłkę z szyi trupa, odsłaniając cienką nitkę krwi w miejscu, gdzie zaciskająca się pętla przecięła skórę. Wytarł żyłkę o marynarkę Takamory, zwinął i wsunął do kieszeni.

– Dobrze, że nie popuścił w spodnie – odezwał się Ohnishi, pociągając lekko nosem. – Rzuć go psom i przyjdź do mnie.

Kenji wrócił, spełniwszy ponury obowiązek po pół godzinie. Pomimo zmiany ubrania Ohnishi zauważył, że odór śmierci nie opuścił jego asystenta. Jak zawsze.

– Gotowe – oznajmił.

– Co się dzieje? – zapytał Japończyk, wiedząc, że coś gryzie tego młodego mężczyznę, którego uważał za syna. – Chyba nie gnębią cię zbyt wysokie ambicje Takamory?

– Nie jego ambicje mnie martwią, tylko pańskie.

– Nie zaczynaj od początku, Kenji – ostrzegł go starzec, ale asystent mówił dalej.

– Mimo że wypełniam pańskie polecenia dotyczące tej operacji, nie zgadzam się z nimi. To, co panowie planowaliście wraz z Takamora, jest tylko zastoną dymną dla naszych prawdziwych celów, a jednak poświęca im pan całą swoją uwagę. Nasze priorytety dotyczą czegoś innego. Zdrada Takamory powinna być sygnałem, że czas zakończyć ten idiotyczny przewrót, który z początku miał być tylko planem awaryjnym. To się nie może udać, musi pan zdawać sobie z tego sprawę. W dodatku naraża pan na niebezpieczeństwo wszystko, nad czym naprawdę pracujemy.

– Czyżby nasz rosyjski przyjaciel tak cię wystraszył, że już mi nie ufasz?

– Nie, Ohnishi-san. Ale najpierw musimy się skupić na wypełnieniu zobowiązań wobec niego.

– Powiem ci coś o naszym rosyjskim sojuszniku. Zdradzi nas tak szybko, jak my zdradzimy jego. Jesteśmy dla niego tylko narzędziami. Musimy być przede wszystkim lojalni wobec

obywateli Hawajów, a nie jakiegoś białego nadzorcy, nad którym nie mamy kontroli.

– Ale przecież obiecaliśmy...

– Te obietnice nie mają już znaczenia. Ambicje Takamory wszystko zmieniły. Gdy napisałem list, w którym deklarowaliśmy naszą niepodległość, wiedziałem, że zostanie wysłany, czy to na rozkaz Kerikowa, czy wbrew niemu. Musimy kontynuować nasze dzieło. Zdrada Takamory tylko przyspieszyła ostateczny termin. Jestem pewien, że prezydent planuje jakąś formę odwetu. Dlatego musimy uderzyć natychmiast. Przewrót powiedzie się i bez Takamory. Jesteśmy w stanie kontrolować jego ludzi.

Kenji milczał przez chwilę ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– A broń, o której pan wspomniał?

– Zajął się nią mój siary przyjaciel, Egipcjanin Suleiman el-aziz Su-leiman.

– A najemnicy?

– Też organizuje ich Suleiman. Twarda waluta jest w takich wypadkach najlepszą zachętą. Najemnicy będą wsparciem dla oddziałów Gwardii Narodowej Takamory albo je zastąpią, jeśli odmówią wypełniania moich poleceń.

– Nie zdawałem sobie sprawy... – W głosie Kenjiego słychać było przygnębienie.

– Jesteś dla mnie jak syn, ale nawet ojciec musi czasem załatwiać pewne sprawy bez wiedzy dziecka. Nic to między nami nie zmienia, Kenji. Nie czuj się urażony.

– Nie żywię do pana urazy.

– To dobrze – powiedział Ohnishi z cienkim uśmiechem na ustach. – Mam dziś ochotę na świętowanie. Jesteś w nastroju?

– Tak, oczywiście – odparł Kenji na to retoryczne pytanie.

Ohnishi wyjechał wózkiem z za biurka i skierował się w stronę sypialni na samej górze szklanej rezydencji. Tam Kenji pomógł mu się przebrać do snu, po czym bez wysiłku uniósł jego wątłą postać i ułożył go na łóżu z baldachimem, podkładając pod głowę kilka poduszek. Ohnishi położył na policzku Kenjiego wysuszoną dłoń i podziękował mu uśmiechem. Oczywiście miał błyszczące, jakby trawiła go gorączka.

– Jesteś dla mnie jak syn, powinieneś o tym wiedzieć.

– Wiem. – Kenji delikatnie pogładził starczą rękę. – Proszę mi dać kilka minut na przygotowanie.

Gdy wyszedł z pokoju, Ohnishi sięgnął do znajdującego się przy łóżku panelu sterującego i nacisnął szybko kilka guzików. Zrobiony z elek-trochromicznego szkła sufit sypialni pociemniał, zasłaniając tropikalny blask księżyca. Ściany i dach w całym domu także pociemniały, skrywając wnętrze rezydencji w czarnym kokonie.

Ciężkie aksamitne zasłony na wprost łóżka rozsunęły się, odsłaniając ścianę z krystalicznie przezroczystego szkła oraz znajdującą się za nią sypialnię. Na narzucie łóżka leżała na wznak naga kobieta. Jej małe piersi unosiły się w równym oddechu.

Z racji wieku Takahiro Ohnishi nie mógł już doświadczać przyjemności uprawiania seksu, ale mimo upływu lat nie zmniejszyło się jego libido. Zamiast pogodzić się z faktem, że ciało nie jest już w stanie odpowiednio reagować. Ohnishi wymyślił

pewną formę podglądactwa, które częściowo zaspokajało jego żądze. Cieszyło go patrzeć na innych.

Przyglądając się z zadowoleniem jędrnemu ciału śpiącej dziewczyny, cierpliwie czekał. Gdy Kenji w końcu wszedł do pokoju, był nagi. Zbliżył się do śpiącej kobiety, a właściwie dziewczyny, bo nie miała nawet piętnastu lat, i obudził ją, dotykając dłonią rozchylnych ust. Ohnishi wcisnął guzik na panelu i czułe mikrofony umieszczone w sypialni zaczęły przekazywać odgłosy, jakie wydawała. Starzec pochylił się na łóżku, gdy powieki Japonki zatrzepotały i dziewczyna otworzyła oczy. Kenji położył się przy niej tak, by Ohnishi miał najlepszy widok. Błądził ręką po ciele dziewczyny, a ta cicho pojękiwała. Japoński miliarder szybko jednak znudził się tym widokiem, nie dostrzegając żadnej reakcji swojego ciała, i całkowicie stracił zainteresowanie przedstawieniem, które ciągle trwało za szklaną ścianą. Po chwili nacisnął przycisk i gdy zasłony się zaciągnęły, położył się na łóżku. Odgłosy seksu ciągle wypełniały jego sypialnię. Zасыpiając, Ohnishi pomyślał, że może z inną dziewczyną pójdzie lepiej.

Spędziła w tym pomieszczeniu dopiero dwadzieścia cztery godziny, jednak czuła się, jakby przetrzymywano ją tu od roku. JiII zaliczyła wszystkie klasyczne etapy, przez które przechodzi chyba każda uwięziona osoba. Najpierw była wściekła na porwaczy, krzyczała i tłukła dłońmi w stalowe drzwi, odgradzające ją od wolności. Gdy opadła z sił, następných kilka godzin spędziła na obchodzeniu celi i szczegółowych badaniach betonowych ścian, sufitu tak wysokiego, że nie mogła go dosięgnąć, pustej tablicy na narzędzia, na której widniał jeszcze ich zarys. Pomiesz-

czenie o powierzchni dwóch metrów kwadratowych cuchnęło mieszaniną nawozu, benzyny i oleju. Jill doszła do wniosku, że był to kiedyś schowek na narzędzia ogrodnicze.

Po kolejnej godzinie bezcelowego chodzenia usiadła na betonowej podłodze obok ciekącego kranu. Znużonym wzrokiem wpatrywała się w małe kropelki, które zbierały się w kałużę i cienkim strumykiem wpływały do zardzewiałego odpływu na środku celi. W końcu, gdy zmęczenie ciała wzięło górę nad rozgorączkowanym pytaniami umysłem, zasnęła.

Gdy się obudziła, obok drzwi stała taca z jedzeniem. Leżały na niej dwie pomarańcze, połowa bochenka chrupiącego francuskiego chleba i ćwiartka kostki masła. Obok jedzenia stał papierowy kubek z wystygłą już kawą. Żadnego z przedmiotów na tacy nie mogła wykorzystać jako broni. Żadnego szkła, żadnych puszek, żadnych sztuców, które dałoby się naostrzyć przez pocieranie o podłogę.

Doznała ulgi, widząc że wiaderko, służące za toaletę, zabrano w nocy i zastąpiono nowym.

Jill zachowywała stoicki spokój jak więzień, który spędził w celi już dwadzieścia lat i na nic nie czeka. Przez chwilę próbowała zrozumieć, dlaczego ktoś chciałby ją porwać. Podejrzewała, że stoi za tym Takahiro Ohnishi, zdała sobie jednak sprawę, że poznanie prawdy w tej sytuacji nic by nie dało. Jedyne, co ją teraz interesowało, to przeżycie.

Skoro Ohnishi zadał sobie tyle trudu, żeby wykraść ją z domu, to z pewnością nie dlatego, żeby zabić. Czegoś od niej chce, czegoś, co może mu dać tylko ona. Bardzo prawdopodobne,

że chodziło o jej dziennikarską wiarygodność. Jeśli miała rację, że Ohnishi wraz z Takamora chcą oderwać Hawaje od Unii, będzie im potrzebna legitymizacja, którą zapewnić mogą tylko media, łagodny głos dziennikarza, że wszystko jest w porządku i pod kontrolą. Nietrudno będzie skłonić ją do przekazywania nieprawdziwych wiadomości i nikt, kto ufał jej jako dziennikarce, nie dowie się, że został oszukany.

Był to ten sam problem etyki i moralności, który podniosła, wychodząc ze studia, tym razem jednak stawka jest o wiele wyższa. Wczoraj chodziło o jej pracę, o karierę. Dziś istniało zagrożenie życia. Długo myślała tylko o tym, aż w końcu, znużona, popadła w odrętwienie. Chciała tylko spać. Oparła się plecami o ścianę, zmorzona snem.

Drzwi otworzyły się bez ostrzeżenia. Jill otrząsnęła się z leżanki, przesuając się wzdłuż ściany, by zwiększyć dystans między sobą a ciemną postacią, która weszła do celi. Zauważyła, że zapadła noc, chociaż nic wiedziała, która jest godzina, bo przed zamknięciem w celi zabrano jej zegarek i buty.

– Nie chciałem pani przestraszyć, panno Tzu. Bardzo przepraszam. – Głos mężczyzny był monotony, pozbawiony emocji.

– Znam pana, prawda? – Jill stanęła na nogi.

– Nie spotkaliśmy się osobiście, ale miałem przyjemność kilka razy rozmawiać z panią przez telefon. Nazywam się Kenji.

– Wiedziałam, że to sprawka Ohnishiego – powiedziała tonem stanowczym z nutką triumfu.

Kenji wszedł dalej do pomieszczenia. Wydawało się, że jego stopy nie dotykają podłogi, poruszał się płynnie jak rozlana rtęć.

Były w tym budząca grozę osobliwa elegancja i demoniczny urok, jaki roztacza wąż. Powolny, kuszący, zły. Usiadł na podłodze, dokładnie tam, gdzie wcześniej siedziała Jill.

– Jest pani bardzo spostrzegawczą kobietą i świetną dziennikarką. Oglądałem pani najnowszy materiał. Muszę przyznać, że dokonała pani śmiałej i trafnej oceny mojego pracodawcy i jego współpracy z burmistrzem Takamorą. Ma pani rację, twierdząc, że obaj chcą uczynić z Hawajów niepodległe państwo, aczkolwiek silnie związane z Japonią. Myli się pani jednak, sądząc, że to Ohnishi stoi za pani uprowadzeniem.

– Więc to pan? – Kenji przytaknął. – Ale dlaczego?

– Jest pani wystarczająco inteligentna, by wiedzieć, dlaczego została porwana.

– Chce pan, bym przekazywała w mediach jakieś informacje propagandowe.

– Zgadza się. Tyle że propaganda, jak to pani ujęła, nie będzie zbyt odbiegała od prawdy. Może pani nawet puścić ten materiał, który sama przygotowała.

Jill była zaskoczona i zmieszana.

– Dlaczego miałby pan na to pozwolić? Przecież w pełni odsłania wasz podły spisek.

– Nic nasz, panno Tzu, tylko Ohnishiego.

– Nie rozumiem. – Chociaż nie chciała, Jill powoli wcielała się w rolę, w której czuła się najlepiej. Znowu była dziennikarką i próbowała dotrzeć do prawdy.

Kenji wpatrywał się przez chwilę niewidzącym wzrokiem w jakiś nieokreślony punkt, jakby widział słowa, które rodziły się w jego głowie.

– Niemal całe życie pracuję dla Takahiro Ohnishiego. Za-
wdzięczam mu wszystko. Jest moim panem, a ja jego niewolni-
kiem. Zabijam dla niego i dla niego gwałcę małe dziewczynki.
Dzisiejszej nocy po raz kolejny zrobiłem i jedno, i drugie. Nie
ma rzeczy, której bym nie zrobił na jego prośbę. Jest jednak coś,
czego o mnie nie wie, coś, do czego nie przyznawałem się przed
samym sobą przez wiele lat. – Przerwał na chwilę i zaśmiał się
nerwowo. – Kierując się jego pojmowaniem honoru, jestem
pewien, że zrozumiałby moją zdradę. Moi rodzice spotkali się
tylko dwa razy w życiu – ciągnął. – Po raz pierwszy, gdy ojciec
zgwałcił matkę, wtedy, gdy stacjonował w czasie II wojny świa-
towej w Korei. Była dziewczyną do towarzystwa, prostytutką
z przymusu, jak wiele innych młodych kobiet, które podczas
japońskiej okupacji miały nieszczęście nie mieć nic prócz urody.
Jej własny ojciec sprzedał ją do burdelu, żeby rodzina mogła prze-
trwać. – Kenji zamyślił się, ale po chwili kontynuował. – Drugi
raz moi rodzice spotkali się sześć lat później, gdy ojciec wrócił
do Korei, by mnie od niej kupić. Rana odniesiona na wojnie
zrobiła z niego impotentą, więc tylko ja zostałem, jedyna szansa
na nieśmiertelność. Aż do śmierci pracowałem dla Ohnishiego.
Odziedziczyłem po nim to stanowisko. Przez całe lata uważałem
się za czystej krwi Japończyka. Ze wstydem skrywałem w sobie
tę koreańską połowę. Jednak w ciągu ostatnich kilku miesięcy
coś się wydarzyło. Coś, co pozwoliło mi poczuć dumę ze swojego

koreańskiego pochodzenia. Z pewnością pani to rozumie, jest pani przecież w połowie Japonką, w połowie Chinką.

– Jestem Amerykanką – sprostowała dobitnie Jill.

Kenji obrzucił ją chłodnym spojrzeniem. Rysy jego twarzy były jednocześnie ładne i okrutne.

– Miejmy nadzieję, że będzie pani w stanie wyjść poza takie myślenie. W przeciwnym razie nasza znajomość i pani życie zakończą się bardzo szybko. Wkrótce dojdzie do tego, że próba przygotowanego przez Ohnishiego puczu zakończy się fiaskiem. Burmistrz Takamora nie żyje i niebawem jego los podzieli Ohnishi. Gdy to się stanie, będzie nam pani potrzebna, by dzięki swoim wpływom uspokoić ludzi i położyć kres przemocy.

– Jestem dziennikarką. Przekazuję informacje, nie tworzę. – Wymawiając te słowa, Jill pamiętała, co mówił jej były kolega z pracy.

– Dziennikarz może zachwiać opiniami i bardziej zmienić rzeczywistość niż jakikolwiek żyjący polityk. Ma pani moc, z jakiej nie zdają sobie sprawy ludzie, którzy przecież sami ją pani dali. Gdy przyjdzie czas, za kilka dni, najdalej za tydzień, ujawni pani wszystko, co wie na temat Ohnishiego i Takamory. Jako że będą martwi, niczemu, co pani powie, nie da się zaprzeczyć. Podam pani o wiele więcej szczegółów. Ludzie muszą skupić się na próbie zamachu stanu, to musi być temat, którym media będą żyć przez kilka tygodni. – Widząc pytające spojrzenie Jill, pokręcił głową. – Powody, dla których tak ma się stać, pani nie dotyczą. Obiecuję, że gdy wszystko się skończy, nikt nie będzie

już pani niepokoił, a pani udział w tej sprawie pozostanie tajemnicą.

– A jeśli odmówię? – zapytała Jill odważniej, niż się czuła.

– Proszę odmówić teraz, a zabiję panią natychmiast – powiedział bez ogródek. – Ale nie musi pani odpowiadać natychmiast. Proszę się nad tym zastanowić. – Kenji podniósł się, zbliżając do wyjścia, ale dodał jeszcze: – Wybrałem panią, bo wiem, że niełatwo przyjdzie podjąć pani decyzję. Proszę mnie nie zawieść.

ARLINGTON

Bar U Tiny'ego nazywał się tak, co oczywiste, ze względu na przydomek właściciela. Gdy Mercer po raz pierwszy szedł do tego oddalonego od cztery przecznice od jego domu pubu, spodziewał się, że zobaczy za kontuarem wielkiego faceta. A jednak Tiny*. Paul Gordon, był mały, miał nie więcej niż półtora metra wzrostu i ważył ze czterdzieści kilogramów.

W niewielkim barze stało tylko osiem stolików i sześć czteroosobowych boksów. Linoleum na podłodze wyglądało tak, jakby od lat nie miało kontaktu z mokrą szmatą. Ściany zdobiły zdjęcia z wyścigów konnych i puchary z Saratogi, Belmont Park i Yonkers Raceway, zaledwie kilku spośród wielu torów, na których Paul ścigał się jako zawodowy dżokej. Nigdy nie osiągnął pozycji Willy'ego Shoemakera, niemniej jednak był dobrym jeźdźcem o dużym potencjale. Paul za bardzo lubił hazard i niestety nie miał szczęścia do wygrywania. Żeby spłacić długi, lichwiarz nakazał mu przegrać jeden z wyścigów.

Tiny zwierzył się raz Mercerowi, że koń był zbyt waleczny, by pozwolić się wyprzedzić. Paul nie miał serca, żeby ściągnąć cugle i przekroczyć linię mety jako drugi. Tego wieczoru właściciel konia wyprawił na cześć dżokeja wspaniałą bankiet. Rano do drzwi Tiny'ego zapukali ludzie lichwiarza i połamali mu nogi

żelaznym prętem. W czasie długich miesięcy bolesnej rehabilitacji Paul przeklinał głupią szkapę za to, że biegła lak szybko. Wybaczył jej dopiero wtedy, gdy otworzył bar w rodzinnym Waszyngtonie.

Kiedy Mercer wszedł do środka, Tiny machnął do niego ręką i od razu nalał mu drinka z plasterkiem cytryny.

– Dzięki, tego mi trzeba. – Mercer wziął szklankę i skierował się do obitego dermą boksu, w którym siedzieli Tish i Harry White. Oprócz dwóch pracowników pobliskiej pralni w barze nie było nikogo.

– Przepraszam, że wyciągnąłem Tish z domu. ale skończyła ci się whisky.

– Mam awaryjną butelkę w drugim barku.

– Miałeś, Mercer. Miałeś awaryjną butelkę w drugim barku. Poza tym, kto by do cholery szukał jej w tej norze?

– Jasne, nic się nie stało. – Mercer zwrócił się do Tish. – Co słychać?

– W porządku. – Zaśmiała się, lekko wstawiona. – Ale muszę powiedzieć, że nieczęsto zdarza mi się pić w południe.

– Trzymaj się Harry'ego i mnie, to się przyzwyczaisz. – Uśmiechnął się ciepło. Trochę alkoholu dobrze jej zrobi, łatwiej przyjmie do wiadomości to, o co za chwilę ją poprosi.

– Dowiedziałeś się czegoś w biurze?

– Mam więcej poszlak. Jest jeszcze jedna rzecz, którą chcę sprawdzić wieczorem. Potem wydam nas władzom.

– Co to znaczy: „wydam nas władzom”?

– Tish, byłaś pod opieką FBI, gdy cię wyciągnąłem ze szpitala. Jestem pewien, że chcą cię znów zobaczyć. Będę też musiał wytłumaczyć się z trupów, które zostawiłem w centrum.

– Och.

– Hej, Harry, idzie tu dwóch tajniaków – ostrzegł ich Tiny, wyglądając przez brudne okno.

Mercer popatrzył na Harry'ego pytającym wzrokiem.

– Tish opowiadała mi, co się wczoraj wydarzyło, więc podjąłem środki ostrożności i poprosiłem Tiny'ego, żeby się rozglądała.

– Bardzo rozsądnie. – Philip wziął za rękę Tish. – Chodź.

Przeprowadził ją przez salę i wciągnął do małej kuchni. Zatrzymali się przed taflą szkła, wbudowaną w wyłożoną gładką ścianę, i Tish zdała sobie sprawę, że lustro, które wisiało nad barem, było od ich strony przezroczyste. Patrzyła teraz ponad ramieniem Tiny'ego, jak przez drzwi wejściowe wkracza dwóch zwałistych mężczyzn i wyciąga odznaki. Federalni, a nie miejscowe gliny, zgadywał Mercer.

– Philip Mercer? – odpowiedział pytaniem Tiny. – Tak, znam gościa. Nie było go tu jakoś od tygodnia. Dużo podróżuje. – Podniósł o pół tonu swój i tak piskliwy głos. – Gdybym go widział, nie wisiąłby mi ciągle osiemdziesięciu dolców za niezapłacone rachunki.

Podetknął jednemu z agentów pod nos plik kartek. Mercer się skrzywił. Miał nadzieję, że agenci nie będą się zbyt dobrze przyglądać rachunkom, bo wszystkie należały do Harry'ego. Jego przyjaciel nagle wstał i zatoczył się lekko, opierając o ścianę boksu. Mercer zastanawiał się, czy to tylko udawanie.

– Ja go widziałem! – Harry prawie krzyknął, pryskając śliną na wszystkie strony. Udawał, to pewne.

– Gdzie? – zapytał niecierpliwie jeden z agentów.

Dawne czasy, 1943 rok. Ten facet był kucharzem w naszym batalionie. Za cholerę nie umiał gotować. Wszyscy na Tarawie mieliśmy ciągle sraczkę. A może wtedy walczyliśmy na Iwo Jimie. – Harry jednym haustem wypił swojego drinka. – Tak, na Iwo, i raczej w czterdziestym piątym. Biedny Frank Merker oberwą! na Okinawie.

– My szukamy Philipa Mercera.

– Nie przypominam sobie żadnego Philberta Mercy’ego – wybełkota! Harry. Zatoczył mętnym wzrokiem i klapnął bezwładnie na siedzenie. – Znałem kiedyś striptizerkę, nazywała się Phyllis mmm... – Głowa Harry’ego huknęła w stół, jakby spadł na niego orzech kokosowy. Po chwili chrapał jak niedźwiedź.

Obaj agenci wyszli po uprzednim uprzedzeniu Tiny’ego, że ma zadzwonić, gdyby tylko Philip Mercer się pojawił. Tiny i Harry jeszcze przez parę minut odgrywali swoje role, aż mieli pewność, że agenci na dobre odeszli. Gdy Mercer wyprowadził Tish z kuchni, zauważył, że przez cały czas nie puścił jej dłoni. Zwykły dotyk, a jak bardzo był krzepiący.

– Harry, powinieneś dostać za to Oscara. – Mercer nie krył podziwu.

Przyjaciel usiadł i uśmiechnął się promiennie.

– Naprawdę znałem kiedyś striptizerkę o imieniu Phyllis. Phyllis Withluv, tak o sobie mówiła. Mały, gorący rudzielec. Poznałem ją w Baltimore.

– Co teraz zrobimy? – wtrąciła Tish, nim Harry zdołał rozpocząć jakąś obleśną historyjkę.

– Nie możemy wracać do mojego mieszkania, to jasne. – Mercer popijał kolejnego drinka.

– Zatrzymajcie się u mnie – zaproponował Harry.

– Nie, mam alergię na karaluchy. A tak na poważnie, to zmieniłem plany. Jedziemy do Nowego Jorku.

– Co? – Tish zmarszczyła brwi.

– Tiny, zamów nam taksówkę, niech czeka przy Safeway. – Ogromny sklep spożywczy znajdował się kilka przecznic od pubu. – Dzięki za popis aktorstwa, Harry. – Mercer wyjął z portfela studolarowy banknot i położył go na kontuarze. – Powinno pokryć zaległe rachunki.

Philip wyprowadził Tish na zewnątrz przez opuszczoną kuchnię, tylnym wyjściem.

– Po co jedziemy do Nowego Jorku? – zapytała go, gdy przeszli na drugą stronę ulicy.

– Gdy czytałaś faks, na pewno zauważyłaś, że David Saulman uważa Ocean Freight & Cargo za przykrywkę dla Rosjan. Jeśli ma rację, a zapewne ma, skoro słyszałaś rozmowy po rosyjsku, to sprawdzenie ich biur jest logiczną koniecznością.

– Wejdziemy tam ot, tak, i rzucimy na nich oskarżenie?

– Ależ skąd. – Mercer się roześmiał. – Włamiemy się tam dziś w nocy.

Tish przystanęła, żeby mu się przypatrzeć. W szarych oczach Mercera błysnęła stal.

– Mówisz poważnie?

Jego głos brzmiał miękko i łagodnie, ale była w nim pewność siebie, która wstrząsnęła powietrzem.

– Śmiertelnie poważnie.

– Jesteście pewni, że chcecie to zrobić? – zapytał Hat.

– Tak, Hat, jesteśmy pewni – odparł Mercer ze spokojem.

Siedzieli w najnowszym modelu plymutha, zaparkowanym na początku Piątej Alei, dziesięć przecznic od kamienicy, w której miało siedzibę przedsiębiorstwo transportowe Ocean Freight & Cargo.

– Moi ziomale mogą tu wpaść w każdej chwili. Wyniosą, co chcecie, i znikną, zanim ktokolwiek się kapnie. Nie musicie się tam wcale pakować.

– Chodzi o to, że właśnie musimy, Hat. I chcę, żeby o tym wiedzieli.

Po raz pierwszy Mercer mógł dać upust swojej złości, która ogarnęła go z chwilą, gdy w jego życie wkroczyła Tish. Do tej pory reagował po prostu na posunięcia nieznanego przeciwnika. Teraz jednak to on miał wykonać ruch, zaatakować, tak jak obiecał.

– Dzieci we mgle. – Hat machnął ręką z pobłażaniem. Żar papierosa był jak kometa w ciemnym wnętrzu samochodu.

Danny „Hat” Spezhattori, zawodowy złodziej, szefował gangowi włamywaczy, który uszczuplił fundusze najbogatszych nowojorczyków o kilka milionów dolarów w ciągu ostatnich paru lat. Czternastoletni syn Hata popełnił kiedyś błąd, próbując ukraść Mercerowi portfel przed wejściem do budynku ONZ.

Zamiast zaprowadzić chłopaka na policję, wyciągnął od niego telefon do ojca. Godzinę później spotkał się z Hatem.

W świecie, gdzie większość interesów załatwia się poprzez ludzi, którzy mają u siebie długi wdzięczności, Mercer doszedł do wniosku, że przysługa, jaką jest mu winien człowiek taki jak Hat, może kiedyś bardzo się przydać. I nie pomylił się. Dziś w nocy dług sprzed trzech lat miał zostać spłacony.

– Hat. daj nam godzinę na dotarcie na miejsce, a później przyślij swoich chłopaków, dobra?

– Gdy tylko wywalimy drzwi i włączą się alarmy, na pewno zostawią w środku wartownika.

– Na to właśnie liczę.

– Chyba nie chcesz nikogo zamordować, co? Bo jeśli tak, to nic chcę mieć z tym nic wspólnego.

– Mamy układ – rzucił Mercer lodowatym tonem. – Żadnych pytań, Hat. Twoi chłopcy zrobią to, co powiedziałem i od razu mogą wracać do łóżeczek. Nic im nie grozi.

– Ciekawi mnie jedna rzecz. Mercer. Jaki towar może być tego wart? Masz kupę forsy, wiadomo. To tylko jakieś pieprzone biuro morskie, nawet cała kasa na wypłaty to u nich wielkie gównno.

– Nie twój interes, Hat. Zrób, co do ciebie należy, i jesteśmy kwita. – Adrenalina pobudzała jego energię jak działka heroiny w żyłach ćpuna. – Wiem, co robię.

Mercer spojrzał na siedzącą z tyłu Tish. Jej twarz, blada jak płótno, kontrastowała z połyskującą czernią włosów. Mercer

popatrzył w szeroko otwarte, błękitne oczy dziewczyny, ale nie było w nich strachu. Zobaczył ufność.

– Gotowa?

– Tak – odpowiedziała szeptem, lecz zdecydowanie.

Wyszli z samochodu. Oświetlenie wnętrza wozu nie działało, więc tylko delikatny trzask drzwi zdradził ich wyjście. Po kilku sekundach zniknęli wśród cieni parnej nocy.

Godzinę później, tuż przed pierwszą, rozklekotany Chevrolet camaro, którego karoseria miała na sobie więcej szpachli niż lakieru, przemknął Jedenaściami ulicą niedaleko Piątej Alei. Odgłos ryczącego silnika i ujadanie psa zmały ciszę spokojnej do tej pory ulicy.

Kierowca skupiał się na drodze, jadąc podczas lekkiej mżawki po śliskim asfalcie, ale pasażer najwyraźniej delektował się tą chwilą. Wielka strzelba, którą dzierżył w dłoni, była chłodna i ciężka. Wpadający przez otwarte okno ciepły wilgotny wiatr niósł orzeźwienie. Buzująca we krwi adrenalina wyostrzała wszystkie zmysły.

Hat miał u Mercera wielki dług do spłacenia. Kierowanie samochodem mógł zlecić zwykłemu żołnierzowi swojego gangu, ale strzelać wolał sam. Cztery klatki wejściowe od celu kierowca wcisnął ręką klakson samochodu i wrzasnął jak Indianin.

Hat wystawił za okno lufę samopowtarzalnego dwunastostrzałowego remingtona. Sam ładował do niego amunicję i gdy wystrzelił, był bardzo zadowolony z rezultatów. Pierwszy strzał roztrzaskał z ogromnym hukiem i brzękiem tłuczonego szkła okno jednego z mieszkań na parterze. Drugi strzał dosłownie

wepchnął do środka klatki schodowej drzwi wejściowe kamienicy. Po starciu z ołowiem z grubej dębiny zostały drzazgi. Kolejny strzał i kolejne okno zmieniło się w rumowisko strzaskanych szkielec. Kierowca ciągle wrzeszczał i naciskał klakson, ale Hat nic nie słyszał, skupiając się na ostatnim celu.

Strzelił, przeładował strzelbę i niemal całkowicie wychylił się przez okno, by strzelić jeszcze raz. Drzwi do Ocean Freight & Cargo były o wiele mocniejsze niż inne w kamienicy, ale nie mogły wytrzymać udaru podwójnego trafienia pociskami. Spadły z górnego zawiasu, a strzał nabojem z utwardzonego ołowiu, niczym drapieżnik, rozszarpał na strzępy ich drewnianą konstrukcję.

W kamienicy natychmiast włączył się alarm, przesywając ciemność nocy głośniejszą niż klakson camaro. Hat strzelił w jeszcze jedno okno i dopiero wtedy opuścił broń. Kierowca przestał trąbić i samochód odjechał. Za ledwie parę przecznic dalej był już zupełnie anonimowy.

W ciągu sześciu minut ulicę zablokowały policyjne radiowozы. Funkcjonariusze dokonali pobieżnego przeszukania terenu i zaczęli spisywać zeznania ogarniętych paniką mieszkańców. Stwierdzili, że strzelanina to tylko wybryk bandy rozwydrzonych dzieciaków, szukających brutalnej rozrywki; z podobnych zabaw słynęło to miasto.

Greg Russo wiedział, że cokolwiek przydarzyło się jego firmie, nie jest kwestią przypadku. Przyjechał natychmiast, gdy tylko został powiadomiony o aktywacji alarmu. Według dokumentacji Russo pełnił funkcję wiceszefa odpowiedzialnego za

główną siedzibę firmy w Nowym Jorku, ale przedsiębiorstwo Ocean Freight & Cargo nie miało szefa. Szwedzka grupa, nazywana szefami korporacji, istniała tylko jako skrytka pocztowa w Sztokholmie. Jedynym zwierzchnikiem Russo był Iwan Keri-kow, szef Departamentu 7.. czyli Wydziału Operacji Naukowych KGB.

Russo rozmawiał przez kilka minut z policjantami, wypytując o szczegóły zdarzenia, ale tak naprawdę wcale nie słuchał ich wyjaśnień. Dwadzieścia lat pracy w KGB nauczyło go nie wierzyć w pozory.

– Proszę mi wierzyć, panie Russo – przekonywał jeden z funkcjonariuszy – nie mamy się czym martwić. Nieraz widziałem takie wygłupy. To tylko gówniarze, którzy chcieli w nocy zaszaleć. Dopilnuję, żeby przysłano dziś wzmożone patrole. Nikt więcej nie zakłóci tu już spokoju.

– Nasza firma płaci miastu bardzo wysokie podatki, sierżancie. Mam nadzieję, że zapewni pan nam bezpieczeństwo. – Russo mówił beznamiętną, pozbawioną akcentu angielszczyzną.

– Przykro mi, ale nie mogę zostawić tu swoich ludzi, żeby ochraniali pańskie biura. Może zechciałby pan skorzystać z pomocy firmy ochroniarskiej. Przyjadą tu za dziesięć minut. – Sierżant dorabiał sobie u nich w soboty, gdy żona wyjeżdżała w odwiedziny do matki w Trenton.

– W porządku. – Russo udawał, że się uspokoił i zgadza z wersją policjanta. – To na pewno tylko moja wyobraźnia. Ktokolwiek strzelał na tej ulicy, chyba nie wziął na celownik naszych biur. Ma pan rację, to pewnie jacyś gówniarze.

– Wezwałem śmigłowiec, na wszelki wypadek. Powinien tu być za pół godziny. Przecheszą szperaczem tyły budynku i sprawdzą, czy nic się tam nie dzieje.

– Byliście tam chyba, prawda?

– Oczywiście, sprawdzaliśmy tyły. Nic tam nie ma oprócz paru meneli i stert śmieci.

– No tak, ale mimo wszystko powtórne przeszukanie nie zaszkodzi.

Po paru minutach obydwaj radiowozy odjechały. Nieliczni gapie, ci, których zawsze interesuje wszystko, co robi policja, z wolna się rozchodzili. Mieli dość wrażeń jak na tę noc.

Russo – naprawdę nazywał się Grigorij Breżnicow – zaczął czekać, aż ulica opustoszeje. Dopiero wtedy dał znak kierowcy furgonetki, która przyjechała ledwie kilka minut po nim.

Z samochodu wyskoczyło kilku ubranych na czarno mężczyzn. Sztywnym krokiem, jak na paradzie, podeszli do Breżnicowa z bronią w rękach. Ich wzrok bezustannie przeczesywał okolicę i mimo że nie zatrzymywał się w jednym miejscu dłużej niż ułamek sekundy, wydawało się, że nic nie uchodziło ich uwagi. Choćby nie wiem jak długo pozostawali na Zachodzie, pomyślał Breżnicow. Ludzie z oddziałów specjalnych KGB zawsze przestrzegają dyscypliny, to rezultat lat ćwiczeń i szkoleń. To jedni z najlepszych agentów na świecie, zdolni zabijać za pomocą niemal każdej broni, jaką wymyślił człowiek, a także – gołymi rękami. Teraz stanęli naprzeciw Breżnicowa – posępni, mroczni, w ich oczach nie tliła się nawet najmniejsza iskierka życia.

– Przeszukajcie cały budynek, zwracajcie uwagę na wszystko, co wyda wam się podejrzane, a potem zajmijcie ustalone pozycje. Sprawdźcie też tyły kamienicy. Jest tam podobno dwóch pijaczków, wykopcie ich stamtąd. Nikt nie ma prawa wejść do budynku do dziewiątej rano. Ja przyjadę pierwszy.

Nie było powodu, żeby Breżnicow został. Ci ludzie umieli poradzić sobie w każdej sytuacji.

W miniaturowej słuchawce rozległ się cichy pisk i dopiero po nim Mercer usłyszał głos.

– Do budynku weszło dwóch najstraszniejszych gości, jakich w życiu widziałem. A szef chyba zmywa się do chaty.

Mercer wcisnął guzik nadajnika, potwierdzając otrzymanie informacji od syna Hata, Capa, który stał na dachu budynku po przeciwnej stronie ulicy.

– Przygotuj się – szepnął do leżącej obok niego Tish. – Zaraz wyjdą.

Minutę później obydwaj agenci wyszli ostrożnie przez tylne wyjście kamienicy. W rękach trzymali gotowe do strzału pistolety. Omietli wzrokiem pograżone w półmroku podwórko, sprawdzając okna budynków naprzeciwko i penetrując cienie, powstałe dzięki stojącej tam jedynej lampie. Zobaczyli dwóch zapijaczonych meneli, leżących obok przepełnionego kontenera na śmieci.

Człowiek Breżnicowa przeszedł przez podwórko, trzymając się cienia. Obserwujący go Mercer rozpoznał prawdziwego zawodowca. Drugi mężczyzna ukrył się w pobliżu wyjścia i osłaniał

partnera. Mercer spał się w sobie Pierwszy z mężczyzn podszedł do pijaczka i bez słowa, jednym ruchem postawił go na nogi. Mercer skrzywił się, jakby ktoś go uderzył. Mógł sobie tylko wyobrazić siłę, jakiej wymagało podniesienie z ziemi dorosłego człowieka, zupełnie bez wysiłku.

Przynęta, którą ułożył tam Hat, stała bezwładnie w uścisku zabójcy i coś bełkotała. Drugi pijaczek, także członek gangu Hata, powoli zaczął się budzić, jakby dochodził do siebie po najdłuższej w życiu popijawie.

– Won mi stąd – syknął człowiek Breźnicowa, potrząsając pijanym mężczyzną. – Ty też. – Kopnął drugiego z nich. – Won stąd, zanim ukręcę wam te parszywe łby.

Mercer usłyszał ze swej kryjówki w kontenerze, że zabójca mówił po angielsku z silnym akcentem.

– Nic nie zrobiłem – stęknął leżący na ziemi menel, rozcierając sobie szczękę brudną ręką. – Mamy swoje prawa.

– Wypad. już. – Mężczyzna powalił drugiego pijaka i wyciągnął zza pleców pistolet. Na widok broni menele opuścili w pośpiechu podwórko, niemal przewracając się jeden przez drugiego, gdy biegli w kierunku ulicy, prowadzącej do Szóstej Alei.

Gdy ludzie Hata zniknęli, agent zaczął rozkopywać nogą stertę śmieci obok kontenera, aż przekonał się, że nikt się pod nią nie chowa. Wtedy skierował swoją uwagę na kontener. Ukryty w środku Mercer skulił się jeszcze bardziej.

Agent uniósł plastikową pokrywę i wzdrygnął się z obrzydzeniem. Wnętrze pojemnika cuchnęło ludzkimi fekaliami,

zepsutym jedzeniem i zgnilizną. Mężczyzna puścił pokrywę, krztusząc się.

Mercer wyciągnął po omacku rękę, odgarniając śmieci, aż wyczuł ramię Tish i ucisnął uspokajająco. Nie czuł jej skóry, którą osłaniał cienki kombinezon ochronny powlekany gumą, ale wiedział, że może być mokra od potu, zupełnie jak jego. Docisnął do twarzy maskę tlenową i wziął głęboki oddech. Powietrze z niewielkiego zasobnika, który miał przyczepiony do pasa, było rześkie i chłodne. Kombinezony i maski tlenowe, dokładnie takie, z jakich korzystają pracownicy kanalizacji miejskich, dostarczył Hat. Gangster wpadł na pomysł, że wykorzysta je do obrobienia galerii sztuki, przylegającej do chińskiej restauracji, która produkowała wyjątkowo cuchnące odpady.

Agenci Brznicowa, przekonani, że dwaj pijaczkowie to jedyne osoby na tyłach budynku, skończyli obchód i weszli z powrotem do kamienicy.

Dziesięć minut później Mercer otworzył kontener i wyszedł na zewnątrz. Pomógł Tish zejść na ziemię i oboje ściągnęli kombinezony, które wrzucili do kontenera, z ulgą zatrzasnąwszy pokrywę.

– Nie sądziłam, że na pierwszej randce poznam Nowy Jork od tej strony. – Tish uśmiechnęła się szeroko.

Mercer nie upomniał jej, żeby zachowała ciszę. Wiedział, że musiała coś powiedzieć, by choć trochę rozładować napięcie.

– Staram się, jak mogę. Następnym razem pójdziemy nad East River popływać przy świetle księżycy. Znam fajny wylot

rury kanalizacyjnej, o tej porze roku wprowadzi nas w bardzo romantyczny nastrój.

– Jesteś uroczy.

Mercer wyciągnął spod śmieci worek marynarski i rozwiązał go. Wyjął ze środka noktowizor, kupiony od Hata, i przyjrzał się tyłom siedziby Ocean Freight & Cargo.

Była to typowa nowojorska kamienica, czteropiętrowa, z płaskim dachem, z którego wyrastały kominy i anteny telewizyjne. Od sąsiadów odgradzały ją ściany przeciwpożarowe. Na każdym piętrze znajdowały się cztery okna, oprócz parteru, gdzie jedyny otwór stanowiły grube, stalowe drzwi. Dostępu do okien na pierwszym i drugim piętrze broniły kraty z żebrowanych żelaznych prętów. Uniemożliwiały wejście tą drogą. Górne okna nie miały krat, ale Mercer wiedział, że cały budynek chroniony był przez skomplikowany system alarmowy.

Gdy geolog przedstawił swój plan Hatowi, ten powiedział tylko tyle: „Wpadniesz po uszy w gówno, jeśli ten pieprzony system podzielony jest na strefy”. Gdyby system alarmowy kamienicy nie obejmował poszczególnych stref budynku, tylko całość, to zniszczenie drzwi wejściowych uszkodziłoby całą sieć. Ale gdyby okazało się, że naruszenie którejś ze stref nie wpływa na działanie pozostałych obwodów, to próba wejścia do biura firmy od tyłu uruchomiłaby kolejne systemy.

Mercer nie zauważył w żadnym z zaciemnionych okien jakiegokolwiek ruchu, wiedział jednak, że obserwator nie zdradziłby się tak łatwo. Musiał zaryzykować. Spod przesiąkniętej moczem plandeki, umieszczonej tu wcześniej przez Hata, wyciągnął

cztery trzymetrowe rurki. Każda wyposażona była w umieszczone w równej odległości od siebie szczeble, dzięki czemu ze złożonych rurek otrzymywało się prymitywną dwunastometrową drabinę.

Podszedł z drabiną do budynku i podniósł ją prawie bez wysiłku, opierając koniec o ścianę tuż pod zardzewiałą rynną, po czym wyjął pistolet, zgrabnego browninga hi-power. prezent, który dostał w Iraku. Dziewięćmilimetrowy pistolet nie mieścił w sobie tylu pocisków, co heckler i koch VP-70. który zgubił w Waszyngtonie, ale jego siła ognia budziła postrach. Puste w środku, wypełnione rtęcią naboje rozrywały się po osiągnięciu celu. Nieważne, gdzie trafiły, człowiek ponosił śmierć od samej siły, z jaką uderzał pocisk.

Mercer odbezpieczył pistolet. Założony na lufę tłumik utrudniał nieco szybkie wyjęcie broni, ale przez następnych kilka minut potrzebował dwóch rąk. Schował pistolet do kabury i zaczął się wspinać.

W pociągu do Nowego Jorku Mercer wyjaśnił swój plan Tish. Z początku nie przyjmowała go do wiadomości, ale w miarę jak zagłębiał się w szczegóły, nabierała zaufania. Opowiedział jej w skrócie o czterech tygodniach szkolenia, które przeszedł w CIA przed wyprawą do Iraku, co trochę zmniejszyło jej obawy. Chociaż szkolenie skupiało się głównie na taktycznym użyciu broni, przyswoił też podstawy wchodzenia do budynków i czuł się pewnie w tej dziedzinie.

Na wysokości czwartego piętra Mercer przystanął i popatrzył przez okno na pogrążony w mroku pokój. Nie zobaczył nic

podejrzanego. Z kieszeni czarnych spodni wyjął pierścionek z cyrkonią, który kupił po południu, nabywając ubrania dla Tish. Jubiler uśmiechnął się drwiąco, jednoznacznie oceniając mamy wybór, ale nie miał pojęcia, że pierścionek nigdy nie zostanie wręczony na zaręczyny.

Osiem i pół według skali twardości Mohsa wystarczyło, by cyrkonią z łatwością przecięła szkło. Mercer przejechał kamieniem po szybie okna. Świdrujący pisk ciętego szkła wydał mu się strasznie głośny. Mercer uznał, że trzykrotne okrągłe nacięcie wystarczająco osłabiło szybę, schował więc pierścionek i wziął głęboki oddech. Za chwilę miał się dowiedzieć, czy system alarmowy podzielony był na strefy. Jeśli się włączy, ani on, ani Tish nie będą mieć czasu, by uciec przed agentami Breźnicowa, którzy zjawią się tu natychmiast. Odetchnął jeszcze raz. W jego skroniach głośno tętniła krew.

– Pieprzyć to – powiedział, uderzając lekko w szybę nasadą dłoni.

Cienkie jak włos przewody systemu alarmowego zerwały się, gdy wycięta szyba miękko opadła na pokrytą dywanem podłogę. W głowie Mercera rozległo się wycie alarmu, ale w budynku panowała niczym niezmacona cisza.

Wyraźnie słyszał łomot swojego serca, które jak oszalałe tłukło się w piersi, odbijając się echem w upiornym mroku podwórza. Wtedy zdał sobie sprawę, że to nie serce. Uniósł głowę i zobaczył światła nadlatującego helikoptera policyjnego. Śmigłowiec był nie dalej niż dziesięć przecznic od kamienicy,

a jego potężny reflektor halogenowy już przeczesywał pogrążone w ciemności ulice.

Mercer spróbował unieść okno, ale grube warstwy farby, którą malowano ramę, dosłownie skleiły ją z futryną.

– Cholera – zaklął pod nosem i stuknął w okno od środka. Mały odłamek szkła, pozostawiony w oknie, boleśnie rozciął mu dłonie.

Po kilku silnych uderzeniach futryna odskoczyła z trzaskiem do góry. Nie obawiał się, że ktoś w środku usłyszy hałas. Odgłos wirującego śmigła helikoptera zagłuszał wszystko. Jak wąż wsunął się do środka w chwili, gdy huragan wywołany wirnikiem wiszącej w powietrzu maszyny pustoszył już maleńkie podwórko. W górę wzbily się tumany kurzu i śmieci. Ryk silników helikoptera był ogłuszający.

Tish, chodź! – zawołał Mercer, próbując przekrzyczeć przez raźliwy hałas.

Wspięła się po drabinie w ostatniej chwili, nim strumień światła zaczął przeszukiwać zakamarki podwórza, jakby w poszukiwaniu ofiary.

Mercer złapał ją za nadgarstki, gdy znalazła się na szczycie drabiny. Halogenowy szperacz systematycznie oświetlał każde okno kamienicy i dosłownie sekundy dzieliły Tish od znalezienia się w obrębie rozjarzonej plamy światła. Mercer wciągnął ją do pokoju. Dziewczyna zdusiła w sobie okrzyk, gdy pierściami otarła się o twarde drewniany parapet. Mercer rzucił się do okna i zasunął je w chwili, gdy snop światła wpadł do wnętrza gabinetu. Przez chwilę myślał, że policjanci zobaczyli jego twarz.

ale halogen szybko przesunął się dalej. Razem z Tish widzieli, jak jego promień tworzy dziwaczne cienie w korytarzu za gabinetem. Z perspektywy śmigłowca drabina wyglądała jak zwykłe rury kablowe, oplatające niczym bluszcz cały budynek.

– Mocno zabolalo – powiedziała Tish, masując klatkę piersiową.

Mercer popatrzył na nią.

– Mógłbym to za ciebie zrobić, ale pewnie oberwałbym porządnie.

Uśmiech na twarzy dziewczyny dowodził, że nie doznała poważnego urazu. Mercer wyciągnął z kurtki latarkę i włączył ją. Czerwona soczewka rozpraszała światło, ale zapewniała wystarczającą widoczność. Nim zaczął poszukiwania, wyciągnął z kabury browninga.

Nie wiedział, jak długo będą przebywać w budynku, musiał więc wyeliminować obydwu agentów. Nie mógł ryzykować przypadkowego odkrycia. Wynik starcia z dwoma zawodowymi mordercami w uczciwej walce był łatwy do przewidzenia, Mercer nie miał jednak zamiaru grać uczciwie.

– Czy masz jakieś wątpliwości co do naszych planów? – zapytał Tish, oczekując raczej zaprzeczenia niż przytaknięcia.

– Jeśli ci ludzie mają cokolwiek wspólnego z zatopieniem naszego statku, to zasługują na najgorszą karę. – Lodowały ton zmroził Mercera.

– Dobrze. Zaczekaj tu, aż będzie po wszystkim. Przyjdę po ciebie.

Miała w oczach strach, lecz zacięta twarz wyrażała determinację. Gdy uściśliła rękę dziewczyny, nie wyczuł drżenia.

Wszystkie światła na ostatnim piętrze były wyłączone, ale po całej klatce schodowej rozlewała się nikła poświata. Mercer oddał Tish latarkę i zaczął poszukiwania. Gogle noktowizyjne, które miał na oczach, nadawały pomieszczeniom niezziemskiego, zielonego blasku.

Puste pokoje na najwyższym piętrze, głównie magazyny, zakurzone, wręcz zapuszczone, wyglądały żałośnie. Mercer po cichu zszedł na dół. Na trzecim piętrze palił się jeden ścienny kinkiet, oświetlając wąski, wyłożony chodnikiem korytarz. Z zamkniętych drzwi wszystkich pomieszczeń nie dochodził żaden odgłos, nikogo nie było w zasięgu wzroku. Mercer polizał palce i wykręcił nagą żarówkę, pograżając korytarz w ciemnościach.

Stare, drewniane schody skrzypiały, gdy powoli schodził jeszcze niżej. Całe drugie piętro zajmowała jedna wielka sala, podzielona na małe boksy; w każdym stały biurko, krzesło i komputer. Stanowiska pracy miały dobre oświetlenie, więc zdjął noktowizor i położył go na biurku. Westchnął z ulgą, odzyskawszy zdolność szerszego postrzegania.

Mercer przycupnął na podłodze i rozejrzał się po sali. Widział tylko nogi stołów i krzeseł. Jak wąż zaczął pełzać po podłodze, starając się maksymalnie wyżyć wszystkie zmysły.

„Często najpierw znajdziesz wroga węchem lub słuchem, a dopiero potem go zobaczysz”, mawiał jeden z instruktorów w ośrodku szkoleniowym CIA. Gdy nozdrza Philipa podrażnił zapach papierosowego dymu, w duchu podziękował prowadzą-

cemu za te słowa. W pomieszczeniu panowała taka cisza, że słyszał nawet skwierczenie tytoniu, gdy wartownik zaciągał się papierosem. Mężczyzna stał nie dalej jak trzy metry od niego, po prawej stronie, ukryty za cienkim przepierzeniem.

Mercer zerknął na zegarek. Minęło już ponad piętnaście minut, odkąd zostawił Tish samą, więc musiał się pośpieszyć. Wkrótce mogła ogarnąć ją panika.

Po chwili namysłu postanowił iść na całość. Zdjął czarną skórzaną kurtkę w przekonaniu, że czarne spodnie i koszula, które miał na sobie, są na tyle podobne do ubrania agenta, by go na chwilę zmylić. Wstał i zaczął wesoło gwizdać. Natychmiast usłyszał, jak niewidoczny schowany za ścianką wartownik zrywa się z krzesła i idzie w jego stronę.

Strażnik wyłonił się zza rogu dokładnie na wprost Mercera, trzymając w pogotowiu karabin. W ułamku sekundy zorientował się, że Mercer nie jest jego partnerem, ale ten uniósł swój pistolet. Agent padł martwy na moment przed tym, nim nacisnął spust karabinu. Wartownik zwałił się na stalowe biurko, zrzucając na podłogę stertę papierów. Rozległe uszkodzenia ciała, spowodowane strzałem z browninga, przyprawiły Mercera o mdłości. Pocisk wyrwał w korpusie agenta wielką dziurę niemal na wylot.

Mercer włożył kurtkę, wrócił do schodów i ostrożnie zszedł na parter. W ogromnym eleganckim holu na podłodze leżał duży turecki dywan i stały gustowne sofy. Ściany miały spokojny, łososiowy kolor i zdobiły je obrazy, przedstawiające różne rodzaje statków. Kilka przyciemnionych lamp pograżało to pomieszczenie bardziej w cieniu, niż dawało światła.

O futrynę wejściowych drzwi opierał się strażnik. Mercer przez chwilę zastanawiał się, czy byłby zdolny zabić człowieka od tyłu, bez ostrzeżenia.

Jakby pod wpływem pierwotnego instynktu, mężczyzna obrócił się gwałtownie, wyciągając jednocześnie pistolet z kabury i oddał błyskawiczny strzał. Kula szarpnęła nogawką spodni Mercera, gdy uskakiwał w bok. Padł na podłogę i poturlał się pod ścianę, uciekając przed pociskami, które żłobiły marmur w okolicach jego głowy i torsu. Udało mu się wskoczyć za kontuar recepcji, ale gdy wyrżał, żeby zlokalizować strażnika. kolejna seria kul utkwiała w grubym drewnie, wbijając odpryskując drzazgi głęboko w jego podbródek i prawy policzek.

– Skurwiel – mruknął przez zaciśnięte zęby, wycierając krew z twarzy.

Nagle w holu zgasły światła. Mercer wyturlał się ostrożnie zza kontuaru, trzymając się blisko ściany. Chciał podczołgać się do włącznika i zapalić światło w nadziei, że dzięki elementowi zaskoczenia namierzy przeciwnika. W połowie drogi trafił na nogi agenta.

Żaden z nich nie spodziewał się takiego rozwoju wypadków, więc żaden nie miał przewagi. Mercer cofnął się, a potem nisko pochyłony wyrwał do przodu jak amerykański futbolista, trafiając ramieniem w kolano strażnika. Mężczyzna zachwiał się i runął do przodu, ale zdążył jeszcze wymierzyć w głowę Philipa cios pistoletem, zdzierając mu skórę z i tak zakrwawionego policzka. Mercer zadał potężny cios pięścią w udo napastnika, paraliżując na chwilę jego nogę, czym zyskał czas, by wymierzyć broń.

Rosyjski agent zamachnął się sprawną nogą i wytrącił Mercerowi z dłoni pistolet, który z metalicznym stukotem potoczył się po marmurowej posadzce. Geolog odskoczył od strażnika, który próbował stanąć pewnie na obu nogach. W pokoju było zbyt ciemno, by dostrzec, gdzie upadł pistolet, więc Mercer postanowił o nim zapomnieć i skupić się na przeciwniku. Skoczył i zaatakował, wyprowadzając cios w żołądek. Rosjanin natychmiast zgiął się wpół, wypuszczając ze świstem powietrze. Zapierał się nogami, gdy Mercer pchał go w zwarciu przed siebie, ale wykręcił się tuż przed zwaleniem się na kanapę. Geolog przeleciał przez nią jak z procy i z łoskotem wylądował na podłodze, wykręcając sobie boleśnie ramię.

Z tłumika pistoletu Rosjanina wydobyła się maleńka iskra, gdy wypalił w kierunku Mercera, ale chybił. Mercer wykorzystał błysk, by zlokalizować strzelającego i gdy rzucił się w jego stronę, mężczyzna błyskawicznie przesunął się w bok. Mercer padł na podłogę i przeturlał się dwa razy, nim zatrzymał gwałtownie na ścianie. Znow zaczęła się zabawa w kotka, myszkę. Nie widzieli się nawzajem w mroku panującym w holu, jeden też nie słyszał drugiego poprzez własny, ciężki oddech. Mercer przesunął się nieco do przodu, macając ręką po podłodze i znalazł swój pistolet. Chłód stali podziałał na niego jak balsam.

Wtedy właśnie całe pomieszczenie zalał blask światła. Źrenice Mercera zareagowały o tysięczną część sekundy szybciej niż jego wroga. Gdy ,en próbował dostrzec cokolwiek, mrużąc osłepione ostrym światłem oczy, Mercer omiótł już pomieszczenie przenikliwym wzrokiem. Tish stała obok rzędu włączników.

Jedną rękę ciągle trzymała na przycisku, w drugiej ścisnęła gogle noktowizyjne. Rosjanin stał sześć metrów od niej. Kiedy się odwrócił, Mercer nie tracił czasu. Strzelił z biodra, niecelnie, ale za moment sześć pocisków trafiło w sam środek, zmieniając tors agenta w bezkształtną masę.

Mercer podszedł do Tish i wyjął z jej bezwładnej ręki noktowizor.

– Tish... – Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. – Miałaś czekać na górze. Proszę, od tej pory nie słuchaj tego, co mówię. Dobrze?

Objął ją i dziewczyna wtuliła się w niego całym ciałem. Przez chwilę gładził w ciszy jej włosy.

– Jesteśmy kwita. Uratowałem ci życie, a teraz ty uratowałaś moje. Dziękuję.

– Poczekalam, aż znalazłeś pistolet, a on się odwrócił – odezwała się po chwili.

Wrócili na trzecie piętro, gasząc po drodze wszystkie światła, polegając tylko na noktowizorze, który założył Mercer. Dzięki umieszczonym na drzwiach tabliczkach szybko znaleźli zamknięte na klucz drzwi najwyższego w hierarchii firmy pracownika, wicedyrektora. Mercer uśmiechnął się znacząco, przeczytawszy jego nazwisko: Russo.

– Dobrze – mruknął.

– O ile to Rosjanie – zauważyła Tish.

– Na pewno nie są tymi, za kogo się podają, skoro mają taką ochronę.

Kilka pełnych napięcia minut zajęło Mercerowi otwarcie zamka. Chociaż pamiętał, jak to się robi, ze szkolenia CIA, teoria i praktyka to dwie różne rzeczy. Jeden z ludzi Hata mógł to zrobić w dziesięć sekund.

Gabinet wyłożony był bogato zdobioną dębiną, na podłodze leżał miękki dywan. Okno za szerokim biurkiem wychodziło na Jedenastą Aleję. Mercer zaciągnął ciężką kotarę i włączył stojącą na biurku lampkę. Na ścianach wisiały zdjęcia floty przedsiębiorstwa. David Saulman z Miami nie mylił się. Każdy statek miał inny rodzaj kwiatu namalowany na kominie: „April Lilac”*, „September Laurel”, „December Iris” i kilka innych. Pod jedną ze ścian stało akwarium. W bardzo dużym zbiorniku pływała tylko jedna ryba.

Mercer podszedł do czterech niskich szafek na dokumenty, otworzył pierwszą z brzegu szufladę i zaczął grzebać w papierach.

– Otwórz którąś z szuflad, jakąkolwiek – rzucił beztrzesko.

– Czego szukamy?

– Czegokolwiek, co mogłoby odświeżyć ci pamięć. Może trafimy na coś, co zapamiętałaś z chwili, gdy cię ratowano. Jakies nazwisko, cokolwiek...

Tish pokazała palcem wiszące na ścianie zdjęcie statku.

– Chyba ten statek mnie wyciągnął.

Mercer popatrzył na fotografię – „September Laurel” spokojnie pruć wody jakiegoś odległego morza.

– To może być statek, który zgłosił twoje odnalezienie, ale nie sądzę, żeby to on wziął cię na pokład. Zapamiętałaś czarny okrąg i żółtą kropkę na kominie, a nie kwiaty. Poza tym Dave

Saulman powiedział, że większość jego załogi stanowią Włosi, a nie Rosjanie.

– Być może to wcale nie był rosyjski.

– Być może, ale mimo to dzieje się tu coś podejrzanego. Przejrzyjmy te akta, może coś nam wpadnie w ręce.

Przez następne pół godziny Mercer i Tish szperali w plikach papierów, ale nie trafili na nic ciekawego. Jediną ciekawostką była luźna zakładka podpisana „John Dory” – leżała na spodzie szuflady, zawierającej dokumentację własnościową statków firmy Ocean Freight & Cargo. Nigdzie jednak nie znaleźli akt, do których odwoływała się zakładka. Jako że wszystkie statki przedsiębiorstwa zawierały w nazwie miesiąc i kwiat, Mercer doszedł do wniosku, że John Dory to imię i nazwisko jakiegoś kapitana lub oficera, zatrudnionego w Ocean Freight & Cargo.

– Straciliśmy tylko masę czasu, nie? – Z głosu Tish przebijało zmęczenie.

– Wiem, że mam rację. Musi być tu coś, czego nie zauważyliśmy – upierał się Mercer. – Ale musimy się stąd wynosić.

– Zabiłeś tych dwóch strażników bez powodu?

Podniósł wzrok znad papierów. Było to pytanie, którego nie chciał sobie zadawać. Może jednak mylił się co do udziału Ocean Freight & Cargo w zatopieniu statku NOAA?

– Nie, i powiem ci, dlaczego. Rozejrzyj się po tym gabinecie. Nie ma w nim nic osobistego. Żadnych zdjęć, dyplomów, kompletnie nic. Może i ktoś uwierzy, że jesteśmy w legalnie działającej firmie transportowej, ale człowiek, który zajmuje ten gabinet, z transportem morskim nie ma nic wspólnego. – Pod-

szedł do biurka i przejrzał notatnik z adresami. – Ani jednego numeru telefonu do pośrednika w handlu statkami, ani jednego adresu stoczni. Jezu, on nawet nie ma telefonów do kapitanów.

– Może to tylko figurant.

– Oczywiście, że tak! Większość linii oceanicznych tworzą pojedyncze osoby i opierają ich działanie na kontaktach, które posiadają. Założę się, że ten cały Greg Russo nie odróżnia kłuzki od dziury w ścianie. Ktokolwiek zajmuje ten gabinet, musi wykonać jakąś robotę, ale nie ma ona nic wspólnego z żeglugą oceaniczną.

– Nie ruszać się – rozkazał męski głos.

Mercer zamarł w bezruchu, chociaż serce zaczęło walić jak oszalałe. Syn Hata powiedział, że do budynku weszło tylko dwóch mężczyzn i obaj zostali wyeliminowani. Do kogo więc należał głos za ich plecami?

– Odsuńcie się od biurka i odwróćcie przodem. Powoli.

– Rozkaz został podkreślony kliknięciem naciąganego kurka rewolweru.

W drzwiach stał gruby strażnik, wystraszony ochroniarz o bladej, obwisłej twarzy. W jego drżącej dłoni chybotął się rewolwer.

– Będziecie musieli odpowiedzieć na parę pytań. Trzymajcie ręczki na wierzchu. A teraz pod akwariem.

Mercer odsunął się od biurka. Tish nie odstępowała go na krok. Nie krzyknęła, gdy ochroniarz wszedł do gabinetu, wydawało się, że nad sobą panuje. Mercer żałował, że nie podziela jej spokoju. Strażnik niesamowicie go wystraszył. Greg Russo

na pewno wezwał dodatkową ochronę po tym, jak Cap zszedł ze swojego posterunku po drugiej stronie ulicy. Mercer nie miał pojęcia, czy ktoś jeszcze przebywa w budynku.

Strażnik podszedł do biurka, trzymając ich cały czas na muszce. Wolną ręką po omacku poszukał telefonu. To był moment, na który czekał geolog.

W chwili, gdy ochroniarz spojrział na telefon, Mercer rzucił się do przodu. Czas zwolnił. Zmysły Mercera wyostrzyły się tak bardzo, że widział pojedyncze włoski na twarzy mężczyzny. Czuł zapach jego potu, słyszał ciężki oddech. Jak błyskawica przeleciał przez pokój, skupiając całą uwagę na trzymającej rewolwer dłoni, na fałdach tłuszczu wokół nadgarstka, na palcu, który zaciskał się na spuście. Kurek zaczął opadać na spłonkę naboju, a palce Mercera ciągle były o kilkanaście centymetrów od swojego celu.

Broń wypaliła, gdy Mercer chwycił nadgarstek strażnika. W niewielkim pomieszczeniu wystrzał zabrzmiał jak uderzenie pioruna. Chmura gryzącego dymu, powstała ze spalonego prochu, osłepiła Mercera. Tuż obok Tish eksplodowało akwarium, zalewając podłogę kaskadami wody i żwiru.

Siła odrzutu uniosła rewolwer wysoko nad głowę ochroniarza i Mercer mógł uderzyć barkiem wprost w odsłonięty tors przeciwnika. Niemal usłyszał trzask pękających żeber, gdy siła uderzenia rzuciła strażnika na biurko, pozbawiając go broni, która wirując w powietrzu, upadła na podłogę— Mężczyzna całym ciężarem ciała wpadł na ścianę, głośno jęcząc.

Mercer uniosł rewolwer i wymierzył w ochroniarza. Nie pociągnął jednak za spust.

– Nie pracujesz dla nich. Nie musisz umierać. – Opuścił broń i popatrzył na Ttsh. – Wszystko w porządku?

– Zszokowana, ale nie wstrząśnięta.

– Musimy zniknąć. Ktoś na pewno usłyszał strzał.

Mercer wyciągnął rękę. Tish podeszła do niego i wzięła ją w swoje dłonie. Patrzył przez chwilę na konającą rybę, która rzucała się na przemoczone dywan. Ten widok przywołał jakieś odległe wspomnienia.

– Benoit Charlenteaux – wymamrotał.

– Co? – zapytała Tish, gdy zaczęli ostrożnie wracać na czwar-
te piętro, do drabiny.

– Kolejna wskazówka. – W głosie Mercera słychać było triumf.

POTOMAC W STANIE MARYLAND

Richard Henna kładł się właśnie spać po spóźnionej kolacji, gdy zadzwonił stojący obok łóżka telefon. Złapał słuchawkę, nim telefon zadzwonił po raz drugi. Jego żona, na której dwadzieścia pięć lat nocnych telefonów męża nie robiło wrażenia, nawet nie drgnęła.

– Henna.

– Dick, mówi Marge. – Margaret Doyle była zastępczynią szefa biura, a jednocześnie najlepszą i najstarszą przyjaciółką Dicka Henny. Nawet nie przeprosiła, że mogła go obudzić. – Philip Mercer opuścił teren Waszyngtonu.

– Jak? – warknął.

– Pociągiem. Agenci, którzy pilnowali Union Station, nie zauważyli go, bo wszedł do pociągu na dworcu New Carolton. Właśnie sprawdziliśmy jego kartę kredytową. Kupił dwa bilety w jedną stronę od konduktora w pociągu.

– Chryste.

– Co się stało, kochanie? – mruknęła przez sen Fay.

Henna zasłonił mikrofon słuchawki dłonią.

– Nic, skarbie. – Potein cicho, ale wyraźnie, zwróci) się do Marge. – No dobra, skontaktuj się z nowojorskim oddziałem firmy, nich wyślą kilku ludzi na Penn Station, gdyby przypad-

kiem chciał wrócić pociągiem. Wyślij im zdjęcie Mercera, które dostaliśmy z USGS.

– Dzwoniłam już do nich.

– Jeśli go zdejmą, chcę o tym natychmiast wiedzieć. Potem mają od razu odstawić ich samolotem do bazy Andrews.

– Mam odwołać ludzi obstawiających jego dom?

– Nie, załóżę się, że będzie chciał tam wrócić. Zadzwoń, jeśli coś się wydarzy.

– Przykro mi, że to spieprzyliśmy.

– To nie twoja wina. Chyba wszyscy nie doceniliśmy Mercera.

Henna odłożył słuchawkę i wciągnął na siebie szlafrok. Wiedział, że tej nocy już nie zaśnie. Zszedł na dół, zrobił sobie kawę i popijał ją przez kilka minut w ciemnej kuchni, zanim przeszedł przez obszerny dom do swojego gabinetu. Włączył lampkę i zaklął, bo światło błysnęło mu prosto w oczy.

Odwrócił się i ustawił kombinację szyfru na zamku, stojącego za biurkiem sejfu, z którego wyjął folder z aktami. W teczce, podpisanej: „Przed wojną secesyjną”, znajdowały się wszystkie osobiste obserwacje Henny, dotyczące wydarzeń, które zapoczątkował list od Ohnishiego.

Czytał zapiski powoli, dlatego że miał niechlujny charakter pisma. Pierwsza strona była poświęcona wyłącznie chronologii. Dopisał do listy wyjazd Mercera i Talbot do Nowego Jorku, po czym na czystej kartce papieru zaczął rysować diagramy i wykresy, łączące ze sobą wydarzenia. W ciągu kilku minut stworzył płataninę linii, okręgów i bazgrołów, których w żaden sposób nie dało się rozszyfrować. Jedyne, co wiedział na pewno, to, że

Mercer udał się do Nowego Jorku po otrzymaniu informacji z kancelarii prawnej Davida Saulmana.

Henna po raz kolejny przeczytał informacje, o które Saulmana poprosił Mercer, a które dzięki nakazowi sądowemu otrzymało FBI. Kancelaria Saulmana niechętnie przekazała kilka list z nazwami statków oraz kilka podstawowych informacji na temat przedsiębiorstwa transportu morskiego Ocean Freight & Cargo.

Tym razem dostrzegł pewien szczegół. Jednostka, która uratowała Tish Talbot, należała do Ocean Freight & Cargo, mającej siedzibę na nowojorskim Manhattanie. Henna złapał za słuchawkę, rozlewając kawę. Nie zwracając uwagi na bałagan, wybrał numer do biura FBI w Nowym Jorku.

– Federalne Biuro Śledcze – usłyszał w słuchawce zmęczony głos.

Bez zbędnego wstępu podał oficerowi dyżurnemu swój kod identyfikacyjny, dzięki któremu natychmiast ustalono jego tożsamość. W takich sytuacjach kod identyfikacyjny pozwalał oszczędzić cenny czas, potrzebny osobie wysoko postawionej w strukturze firmy do skontaktowania się z oficerem, pracującym w terenie. Ktoś mu kiedyś mówił, że podobny system używany był przez organizacje przestępcze, z którymi walczyło FBI. Henna poprosił o rozmowę z agentem specjalnym Frankiem Little'em.

– Przykro mi, agent Little miał dzienną zmianę. Mogę panu w czymś pomóc? Mówi agent Scofield.

– A kto jeszcze ma teraz służbę? – Henna chciał porozmawiać z kimś, kogo znał osobiście, kto nie będzie chciał za ten telefon jakiejś przysługi w przyszłości.

– Jestem pewien, że ja też mógłbym...

Henna nie pozwolił mu skończyć.

– Proszę mi powiedzieć, kogo tam jeszcze macie.

– Jest agent Morton i agent...

Pete Morton był nowicjuszem, gdy Henna pełnił obowiązki szefa nowojorskiego biura sześć lat wcześniej.

– Świetnie, chcę z nim pogadać.

Chwilę później w słuchawce rozległ się znajomy głos.

– Morton.

– Cześć, Pete. Mówi Dick Henna z Waszyngtonu.

– Jezu. – Henna niemal usłyszał, jak mężczyzna po drugiej stronie zrywa się na równe nogi.

– Spokojnie. Mam do ciebie małą prośbę.

– Oczywiście, panie Henna, co tylko pan sobie życzy.

– Skontaktuj się z kimś z nowojorskiej policji i sprawdź, czy w okolicach Jedenastej ulicy nie działo się dziś nic dziwnego.

– A jak mam to...

– Pete, po prostu to załatw, dobra? – Henna pamiętał, że Morton miał zwyczaj zadawania setek pytań przy każdej okazji.

– Zadzwoń do mnie pod ten numer, kiedy się czegoś dowiesz – poprosił, podając numer domowy. – A potem go zapomnij.

Henna przerzucił kilka kartek, aż znalazł dossier Philipa Mercera, które w 1990 roku przygotowała CIA. Mercer urodził się w Kongu Belgijskim. Jego ojciec, amerykański inżynier

górnictwa, znalazł zatrudnienie w Mines Belgique, przedsiębiorstwie zajmującym się wydobywaniem diamentów z bogatych złóż prowincji Katanga. Z matką Mercera, belgijską modelką, poznali się w czasie sesji zdjęciowej w stolicy Konga, Leopoldville. Philip był ich jedynym dzieckiem. Oboje zginęli podczas powstania, które wybuchło w 1964 roku w Rwandzie. Szczegóły ich śmierci pozostają niejasne.

Mercer dorastał pod opieką dziadków w Barre w stanie Vermont. Jego dziadek pracował w kamieniołomach, babcia prowadziła dom. Jako najlepszy uczeń otrzymał dyplom szkoły średniej, Wydział Geologii Uniwersytetu Stanowego w Pensylwanii także ukończył z wyróżnieniem. Kontynuował studia w Colorado School of Mines w Golden, osiągając znakomite wyniki. Po kolejnych czterech latach studiów w Penn State, w czasie których wykonywał prace kontraktowe dla różnych kopalń z Pensylwanii, Mercer zrobił doktorat z geologii. Jego praca, poświęcona metamorficznej dynamice skał w aspekcie prac w kamieniołomach, ciągle znajduje się na liście lektur dodatkowych dla studentów Penn State.

Po zrobieniu doktoratu Mercer znalazł pracę w US Geological Survey, ale wytrzymał tam tylko dwa lata. Zdaniem dawnych współpracowników, zadania, jakie stawiało przed nim USGS, nie stanowiły dla niego wyzwania.

Henna zauważył, że przypadek Mercera był kolejnym przykładem niezdolności ośrodków rządowych do zatrzymywania najlepszych umysłów w jakiegokolwiek dziedzinie. Trudno zliczyć agentów, którzy odeszli do pracy w prywatnych firmach ochro-

niarskich. Ludzie odchodzili nie tylko ze względu na zarobki i przywileje, rząd po prostu pozbawiał ich ducha.

Po odejściu z USGS Mercer zajął się prywatną działalnością, dokonując na zlecenie przedsiębiorstw wydobywczych oceny złóż i potencjalnych zysków z ich eksploatacji przed inwestycją pokaźnego kapitału. Szybko zdobył sobie uznanie w branży. Po kilku latach dwa tygodnie jego usług kosztowały pięćdziesiąt tysięcy dolarów oraz – w niektórych przypadkach – dodatkowe premie w postaci udziałów, jeśli uznał, że złoża jest wyjątkowo bogate. W roku, gdy CIA dokonywała jego sprawdzenia, dochód Mercera wykazany w urzędzie skarbowym wyniósł nieco ponad siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów. CIA uzyskała także informację od służby celnej, że od czasu otrzymania ostatniego paszportu geolog trzydzieści razy wyjeżdżał za granicę.

Następna część raportu dotyczyła jego zaangażowania w misję CIA w Iraku. Kiedy powstał plan przeniknięcia na teren Iraku, rozpatrzono kandydatury czterdziestu ośmiu osób na stanowisko eksperta od spraw górnictwa i geologii. Mercer był ósmym kandydatem, z którym przeprowadzono rozmowę. Po pierwszej serii testów zrezygnowano z dalszych przesłuchań. W testach na inteligencję uzyskał wynik powyżej poziomu geniuszu, a testy pamięciowe poszły mu wprost idealnie. Jeden z testujących zauważył, że Mercer pamiętał czterdziestocyfrowy numer w dwadzieścia cztery godziny po tym, jak go zobaczył. Gdy zgodził się przyłączyć do zespołu, wysłano go do Wirginii, gdzie doskonale spisał się w strzelaniu i pokonywaniu przeszkód, ale w łączności i orientacji w terenie wypadł już przeciętnie.

Załączony profil psychologiczny stwierdzał, że Mercer woli polegać tylko na sobie, tkwi w nim głęboko zakorzeniony strach przed osamotnieniem, którego przyczynę najprawdopodobniej stanowi utrata rodziców. Jest też naturalnym przywódcą, ale świadomie nie rozwijał w sobie tej sprawności. W opinii psychiatrów motywem jego decyzji o przyłączeniu się do zespołu była potrzeba ciągłych wyzwań. Lekarze obawiali się, iż może to doprowadzić do lekkomyślnych zachowań, ale pozytywnie ocenili osobę Mercera.

W połowie stycznia 1991 roku Mercera i ośmiu komandosów Delta Force zrzucono na spadochronach w północnym Iraku w pobliżu Mosulu. Rejon wybrał Mercer wraz z grupą analityków po obejrzeniu zdjęć satelitarnych, gdyż uznał, że to najbardziej prawdopodobne miejsce wydobywania uranu.

Mercer szybko potwierdził, że tamtejsza kopalnia jest nieczynna, a ruda uranu tak uboga, że nie ma mowy o wykorzystaniu jej do produkcji broni nuklearnej. Gdy oddział przekradał się przez ogrodzenie, zaatakowała ich ochrona kopalni. Oficerowie zginęli w chwilę po wywiązaniu się strzelaniny, kolejny żołnierz padł podczas przedzierania się przez górzystą pustynię.

Helikopter, który miał ich podjąć po wykonaniu misji, nie mógł zejść wystarczająco nisko z powodu ciężkiego ostrzału ze strony irackich wozów patrolowych. Mercer poprowadził pozostałych żołnierzy przez rumowisko skalne, którego nie mogły sforsować samochody pościgu, i zdołali dotrzeć do Mosulu. Tam ukradli furgonetkę i w szalonym pędzie pomknęli ku granicy

z Turcją. Komandosi Deltę przyznali, że misja zakończyła się sukcesem głównie dzięki Mercerowi i bez niego żaden z nich by nie przeżył.

Dwa dni po złożeniu raportu prezydent George Bush wydał rozkaz rozpoczęcia operacji „Pustynna Burza”.

Henna wstał i w zamyśleniu, pochyliwszy głowę, przechadzał się po pokoju. Z akt wynikało, że Mercer znał nieżyjącego ojca Tish Talbot, co wyjaśniało, dlaczego udał się do szpitala. Ale czyny dokonane później nie znajdowały już żadnego wyjaśnienia. Skąd wiedział, że człowiek, który wszedł do sali, nie był lekarzem albo jeszcze jednym agentem FBI? Dlaczego nie skontaktował się z FBI, gdy tylko zapewnił Tish Talbot bezpieczeństwo? Co nim powoduje, że stara się rozwikłać zagadkę na własną rękę? I jeśli pojechał do Nowego Jorku, by przyjrzeć się tej firmie transportowej, to czego się dowiedział?

– Niech to szlag. Za dużo pytań, a za mało odpowiedzi – powiedział na głos.

Rozległ się przenikliwy dźwięk telefonu. Henna podniósł słuchawkę.

– Henna.

– Tu Pete Morton z Nowego Jorku.

– Co masz ciekawego?

– Skąd pan wiedział, że na Jedenastej ulicy coś się stało?

– Nieważne, co jest grane? – Serce Henny tłukło się jak oszalałe, a dłonie miał mokre od potu.

– O godzinie 24.53 Jedenastą ulicą przejechał jakiś wariat i wypalił pięć razy ze strzelby, rozwalając kilka okien i drzwi. Potem odjechał. Nie mamy żadnych podejrzanych ani motywów.

– Czy jeden z ostrzelanych budynków należy do firmy Ocean Freight & Cargo?

– Tak, ale skąd pan to...

– Nieważne. Wyślijcie tam natychmiast paru ludzi, niech zgarną każdego, kto wpadnie im w oko. I daj mi znać, jak tylko to załatwicie.

– Zajmę się tym osobiście.

Henna odłożył słuchawkę i opadł na fotel.

– Co ten Mercer do cholery kombinuje?

BANGKOK, TAJLANDIA

Szkocka w szklance Iwana Kerikowa robiła się coraz słabsza. Lód rozpuszczał się szybko pod wpływem żaru, lejącego się z azjatyckiego nieba. Na powierzchni szkła skraplały się kryształowo czyste krople wody, a małeńka serwetka, leżąca na stoliku, była przesiąknięta. Kerikow pociągnął kolejny łyk rozcieńczonej szkockiej, uważając na wodę ściekającą z przyklejonej do szklanki serwetki.

Przebywał w Bangkoku już od dwóch dni, pławiąc się w luksusach hotelu Royal River, w którym wynajął apartament, oraz zazywając uciech cielesnych na Pat Pong Road, słynnej dzielnicy czerwonych latarni. Trochę czasu zajęło mu też rozpamiętywanie pospiesznej ucieczki z Moskwy i zastanawianie się, czy zastrzelenie w biurze audytora z KGB nie było zbyt nierozważne. Z perspektywy czasu mógł powiedzieć, że należało przebrnąć przez pytania tej gnidy, wytrzymać dochodzenie i wyjechać po wszystkim. Jednak zlikwidowanie go było dla Kerikowa zamknięciem pewnego etapu, którego potrzebował, zanim opuścił kraj rodzinny.

Konieczność wyjazdu z Rosji nigdy nie budziła wątpliwości, ale spiesząc się tak, zostawił kilka otwartych spraw, których być może nigdy nie zdoła zamknąć.

– No i dobra – mruknął w zadumie i zamówił u uroczej kelnerki jeszcze jedną szkocką. Miał powód, żeby być w dobrym nastroju i rozczulanie się nad przeszłością nie mogło mu go zepsuć.

Wczoraj w nocy skontaktował się z nim doktor Borodin z pokładu „August Rose”. Naukowiec potwierdził, że ma dokładną lokalizację szczytu wulkanu, który leży prawie tysiąc metrów poza dwustumilową strefą wokół Hawajów. Usłyszawszy te wieści, poczuł się tak, jakby z jego ramion spadło ogromne brzemię.

Gdy czterdzieści lat wcześniej doktor Borodin po raz pierwszy zaproponował „Kuznię Wulkanu”. jego wybór najbardziej optymalnego geologicznie miejsca nie brał pod uwagę żadnych uwarunkowań politycznych. Wskazany przez niego obszar charakteryzował się odpowiednim połączeniem naturalnej aktywności wulkanicznej, głębokości oceanu, temperatury, zasolenia i prądów, a także niektórych niezbędnych minerałów. Niestety, miejsce to znajdowało się czterdzieści mil od Oahu. Jako że było z oczywistych względów nieprzydatne, Borodin zdetonował bombę tak daleko od Wysp Hawajskich, jak tylko mógł, nie narażając projektu na niepowodzenie.

W tamtych latach włączenie Hawajów do Stanów Zjednoczonych zostało przesądzone i miały one uzyskać prawa terytorialne takie, jak niezależny kraj, a nie kolonia czy protektorat. Jednak wyliczenia Borodina jasno wskazywały, że eksplozja musi mieć miejsce w obrębie dwustumilowego pasa wód otaczających wyspy, jeśli misja „Kuznia Wulkanu” ma się powieść. Borys Uliniew zaufał zapewnieniom Borodina, że prądy oceaniczne zniosą

wulkan wystarczająco mocno, by wynurzył się poza strefą. Mimo to przebiegły szef Wydziału Operacji Naukowych postanowił się asekurować i opracował plan awaryjny.

Upatrzył sobie młodego Amerykanina pochodzenia japońskiego. Był to dorastający chłopak o pełnej udręki przeszłości, ale o niezwykłym umyśle. Uliniew otoczył go dyskretną opieką, z daleka pomagając ukończyć studia i wejść w świat biznesu. Za pomocą środków, będących w dyspozycji KGB, przez wiele lat zapewniał młodemu człowiekowi bogactwo i władzę, aranżując spotkania z ludźmi, którzy kształtowali jego osobowość i życiowe cele. Ten proces trwał niezauważenie całe lata i nie zatrzymał się nawet po śmierci Uliniewa, gdy Departament 7. przeszedł w inne ręce.

Rezultatem tych działań była osoba fanatycznego rasisty i megalomana, Takahiro Ohnishiego. Stał się on działającym na skalę globalną przemysłowcem, posiadaczem olbrzymiego imperium, którego zaprogramowano tak, by celem jego życia stało się oderwanie Hawajów od Stanów Zjednoczonych, gdyby tylko Wydział Operacji Naukowych zdecydował, że będzie to konieczne dla powodzenia misji „Kuznia Wul-kana”.

Gdy po przejściu Departamentu 7. Kerikow przeczytał akta dotyczące planu awaryjnego Uliniewa, podszedł do niego z rezerwą. Z doświadczenia wiedział, że łatwo jest zaprogramować człowieka, zwłaszcza wykorzystując tak niezwykle środki, jak w przypadku Ohnishiego. Jednak doświadczenie podpowiadało mu też, że kontrolowanie tak zaprogramowanych osób jest niesłychanie trudne. Tacy ludzie nierzadko wykazywali aktyw-

ność bez odpowiedniego bodźca albo pozostawali bierni nawet wtedy, gdy wzywano ich do działania. Pomysł z „Mandżurskim Kandydatem” mógł się powieść na kartach powieści sensacyjnej, ale nie w świecie prawdziwych arcyszpiegów.

Kerikow czuł ulgę, iż ten etap pierwotnego planu Uliniewa okazał się zbędny. Wiadomość od Borodina potwierdziła, że rewolucja na Hawajach nie jest konieczna, by zapewnić im kontrolę nad wulkanem. I chociaż KGB wydało miliony dolarów na stworzenie Ohnishiego, Kerikow nie dbał o straty. Wulkan był poza terytorium amerykańskim, w zasięgu jego ręki.

Osiem miesięcy wcześniej Borodin, odbywający na pokładzie „August Rose” regularny rejs kontrolny nad rodzącym się wulkanem, poinformował Kcrikowa, że stożek wyłoni się z głębin oceanu poza dwustumilową strefą, jednak wtedy nie mógł być tego absolutnie pewien. Pułkownik postanowił więc wdrożyć w życie plan awaryjny.

Za milion dolarów w gotówce i za weksel wart kolejnych pięć milionów kupił człowieka z najbliższego otoczenia Ohnishiego, żeby informował go o wszelkich poczynaniach ekscentrycznego miliardera. Teraz jednak przewrót na Hawajach okazał się niepotrzebny i pułkownik chciał dopilnować, żeby Japończyk nie doprowadził swojego planu do końca. Kret w otoczeniu przedsiębiorcy był jego gwarancją, że Ohnishiiti można sterować. Nawet dożywotnio, jeśli zajdzie taka potrzeba.

W tym samym czasie Kerikow zawiązał spisek, dający możliwość przywłaszczenia wulkanu. Gdyby Związek Radziecki pozostał potęgą światową, taką jak w czasach, gdy doktor Bo-

robin rozpoczął badania nad „Kuznią Wulkanu”, Kerikow z dumą przekazałby wyniki tego zdumiewającego osiągnięcia swoim zwierzchnikom. Niestety, kilkadziesiąt lat później Rosja przypominała raczej jeden z krajów Trzeciego Świata, którego przeżycie zależało od gwarancji kredytowych Ameryki i Europy Zachodniej.

Po cichym przegraniu zimnej wojny w 1989 roku Rosja zaczęła doświadczać czasów okrutnego pokoju. Powoli zmieniała się w rynek zbytu towarów i źródło surowców, niemal tak samo, jak kiedyś pewne rejony Azji i Afryki, wykorzystywane przez Europę. W ledwie kilka lat Związek Radziecki z supermocarstwa stał się kolonią, a koniec upadku był ciągle daleki.

Obserwując z niesmakiem zgniliznę toczącą jego kraj, Kerikow zdecydował, że skoro on nie jest w stanie uratować swojej ojczyzny, to może ojczyzna uratuje jego. Ponieważ Rosja nie miała już ani znaczenia politycznego, ani środków, by rozpocząć operację „Kuznia Wulkanu”, Kerikow rozpoczął negocjacje z grupą osób, które takie środki miały.

Dziwiciu członków Hydra Consolidated, koreańskiego holdingu, inwestującego miliardy dolarów w nieruchomości, fabryki i elektronikę, poznało się na wartości „Kuzni Wulkanu”. Nie zraziła ich suma stu milionów dolarów, której zażądał Kerikow w zamian za wulkan i jego niezwykle bogactwo. Strategiczny pierwiastek, wytwarzany w jego piekielnych trzewiach, miał uczynić właściciela wulkanu najpotężniejszym człowiekiem na świecie, dosłownie i w przenośni.

Zaledwie w tydzień po rozpoczęciu rozmów z Koreańczykami, Kerikow dowiedział się o propozycji szczytu poświęconego sytuacji wysp Spratly. Instynkt podpowiadał mu, że rozmowy w Bangkoku mogą pomóc w realizacji jego planu, więc niewielkim przekupstwem i szantażem załatwił Gienadijowi Perczenko udział w rosyjskiej delegacji na szczyt. Udało mu się też skłonić ambasadora Tajwanu do występowania w jego imieniu w zamian za informacje, które niezależnie od okoliczności zapewniłyby ministrowi Trenowi fotel premiera.

Jeszcze przed rozpoczęciem serii spotkań Kerikow wiedział, jak wykorzysta swoich agentów, by umocnić kontrolę nad wulkanem, gdy ten wynurzy się z wód Oceanu Spokojnego.

Kelnerka przyniosła drugą szkocką i Kerikow zerknął na zegarek. Perczenko mógł się zjawić w każdej chwili. Popatrzył na kierownika sali przyhotelowego baru. Była to jego pierwsza noc w Royal River, a mimo to wyglądał na rozluźnionego.

Poprzedni kierownik nie pojawił się dziś w pracy. Jego ciało, obciążone kilkoma cementowymi blokami, spoczywało w rzece jakieś piętnaście kilometrów od miasta.

W godzinę po uzyskaniu od Borodina potwierdzenia, Kerikow zabił przekupionego kierownika sali, by mieć stuprocentową pewność, że nigdy nie wyjawi on układów pułkownika z delegatem Rosji na szczyt w Bangkoku. Potem zadzwonił do przebywającego w Kairze swojego socjopata-tycznego asystenta. Evada Lurbuda. i nakazał mu posprzątać. To oznaczało zabicie pewnego egipskiego handlarza bronią i lot na Hawaje, by zająć się Takahiro Ohnishim i kretem Kerikowa.

Uciekając z Rosji, pułkownik zostawił kilka niezakończonych spraw, ale nie było mowy, żeby coś takiego zdarzyło się po zakończeniu operacji „Kuźnia Wulkana”. Za kilka dni zacznie spokojnie wydawać sto milionów dolarów, które otrzyma od Koreańczyków, a na całym świecie nie zostanie przy życiu nikt, kto będzie wiedział, jak je zdobył.

Kerikow zauważył Gienadija Perczenkę, wyskakującego z taksówki rzecznej na hotelowe moło. Za chwilę nowy kierownik sali miał przyprowadzić rosyjskiego dyplomatę na ostatnie spotkanie.

WASZYNGTON

Wielki autobus linii Greyhound zatrzymał się z sykiem tuż obok największego dworca w mieście, w pobliżu centrum konferencyjnego. Mercer miał zeszywniałe nogi, gdy wychodził za Tish z autobusu wprost na rozpalone od słonecznego żaru płyty chodnika. Czuł się rozbity i obolały, nie tylko z powodu piekła, jakie przeszedł w Nowym Jorku, ale także z powodu męczarni, której doświadcza każdy na fotelach, najwyraźniej preferowanych przez wszystkich producentów środków transportu. Bez powodzenia próbował rozmasować sobie ścierpnięty tyłek, gdy razem z Tish skierowali się w stronę budynku dworca. W środku odbijały się głośnym echem od wyłożonych płytkami ścian zapowiedzi dyspozytorki, zmieszane ze zgiełkiem, czynionym przez pasażerów przyjeżdżających i wyjeżdżających z miasta. Cały terminal cuchnął bezdomnymi, którzy spędzali nocę na stalowych ławkach dworca.

– Ciągłe nie rozumiem, dlaczego musieliśmy wracać do Waszyngtonu autobusem – poskarżyła się Tish, przekrzywiając głowę we wszystkie możliwe strony, by rozluźnić napięte mięśnie szyi. Z nowego Jorku pojechali taksówką do Newark, gdzie złapali autobus.

Mercer skrzywił się, drapiąc po kilkudniowym zaroście.

– Bo do tej pory FBI obstaowało wszystkie dworce kolejowe, a ja potrzebowałem czasu na przemyślenie paru spraw, nim oddamy się w ich ręce. – Powlókł się do rzędu automatów telefonicznych, wybrał numer zagranicznego operatora. – Po tej rozmowie się poddamy.

Czekał pięć minut, nim połączono go z żądanym numerem, po czym zaczął mówić po francusku. Nie rozumiejąc, co mówi, Tish odeszła i usiadła na pierwszej z brzegu ławce. Mercer dołączył do niej w kilka minut później.

– Załatwione – powiedział.

– Gdzie dzwoniłeś?

– Do starego kumpla, z którym razem chodziłem na ryby w Zagłębiu Ruhry.

Tish przekonała się już, że nie należy się dziwić niczemu, co mówi Mercer.

– Dowiedziałeś się tego, czego chciałeś?

– Oczywiście. – Głos Mercera zabrzmiał triumfalnie, co trochę kontrastowało ze zmęczeniem widocznym w oczach.

Przed dworcem zatrzymali taksówkę i Mercer podał kierowcy swój adres.

– Dlaczego nie pojedziemy prosto do FBI? – zapytała Tish, opierając głowę na jego ramieniu, jak to robiła już podczas sześciogodzinnej podróży z Nowego Jorku.

– Gdybyśmy pojawili się w Hoover Building, sprawdzenie, kim jesteśmy i skierowanie nas do oficer, odpowiedzialnej za

twoją ochronę w szpitalu, zajęłoby im parę godzin. A tak agenci, którzy pilnują mojego domu, zabiorą nas do niej od razu.

– Sprytne.

Jazda taksówką w koszmarnych korkach trwała niemal czterdzieści pięć minut. Kierowca nie chciał włączyć klimatyzacji, więc podmuchy gorącego powietrza wpadały do wnętrza samochodu, przyklejając włosy Tish do spoconej twarzy.

– Usnęłaś, gdy tylko rano wsiedliśmy do autobusu, więc dopiero teraz mogę ci podziękować za to, jak się spisałaś w Nowym Jorku. Zachowałaś się jak prawdziwy zawodowiec.

Tish uśmiechnęła się, odsłaniając lśniąco białą zęby.

– Jack Talbot wychował córkę, która potrafi o siebie zadbać. Mercer się zaśmiał.

– Nie wątpię.

– Co się z nami stanie, gdy już nas zgarnie FBI?

– Nie wiem. Moim zdaniem informacje, które w ciągu ostatnich dni udało nam się zebrać, wskazują na ludzi odpowiedzialnych za zatonięcie statku badawczego NOAA. Gdy tylko prześlemy je FBI, nasza rola pewnie się skończy.

A jeśli nam nie uwierzą? – drążyła dalej.

– Musimy zadbać, żeby uwierzyli. Historia, którą im powiem, jest zbyt przerażająca, by można było ją zlekceważyć.

Taksówka zatrzymała się przed domem Mercera. Zapłacił kierowcy, otworzył drzwi domu i wyłączył system alarmowy. Prawie zatrzasnął za sobą drzwi, gdy za jego plecami rozległ się głos:

– Doktorze Mercer, proszę odsunąć się od drzwi i założyć ręce na głowę. Jesteśmy z FBI.

Geolog cofnął się i odwrócił do agenta, uśmiechając się ironicznie.

– Ostatniego gościa, który tak twierdził, zostawiłem związanego w pewnym nowojorskim gabinecie. I w dodatku miał wyciągniętą broń.

Nie załapując ponurego humoru Mercera, agent uznał to za zagrożenie i wyciągnął służbowy pistolet.

– Powiedziałem: ręce na głowę. Pani też, doktor Talbot.

Agent podszedł bliżej. Był w wieku Mercera, ale miał twarz dziecka i szopę jasnych włosów. Mercer zauważył, że bardzo pewnie trzymał pistolet. Po chwili zbliżył się do nich drugi agent.

– Polecono mi zabrać państwa do centrum. Nie jesteście aresztowani, więc proszę nie robić trudności.

– Nic z tego – odparł z uśmiechem Mercer. – Lepiej zróbcie to oficjalnie. – Odwrócił się i położył ręce z tyłu głowy. Jak zaprogramowany, drugi z agentów zatrzasnął wokół jego nadgarstków kajdanki. – Ale zrobicie wrażenie na kumplach, gdy zobaczą, że prowadzicie nas skutych.

Gdy siedzieli już w brązowym wozie, jadącym do centrum, Tish szepnęła:

– Po cholere ci te kajdanki?

– Chcę zobaczyć reakcję człowieka, który nas szuka. To mi o nim wiele powie.

Samochód wjechał do miasta drogą 66 tuż obok pomnika Lincolna, po czym skręcił w Constitution Avenue, gdzie, mimo

upału, mnóstwo turystów zlanych potem oglądało wielką budowlę. Następnie kierowca skręcił w lewo w Piętnastą ulicę, tak jak przewidywał Mercer. Był pewien, że zmierzają do głównej siedziby FBI, ale tuż przed budynkiem Departamentu Skarbu samochód zwolnił i ponownie skręcił w lewo, zjeżdżając na East Executive Avenue. W chwilę później, przez tylną bramę wjechali na teren otaczający Biały Dom. Mercer i Tish spojrzeli na siebie, nie mogąc wydusić słowa.

Samochód zatrzymał się w podziemnym garażu na tyłach siedziby prezydenta. Agenci odprowadzili Tish i Mercera do windy, gdzie dołączyło do nich jeszcze czterech agentów. Uwagę Mercera zwróciło to, że w garażu nic czuć było zapachu benzyny, a całe pomieszczenie lśniło czystością. Wyglądało tak, jakby codziennie je szorowano, na wypadek gdyby gdzieś upadła jakaś zabłąkana iskra z układu zapłonowego.

Winda wjechała na parter, drzwi się rozsunęły i wszyscy wyszli na korytarz wyłożony niebieską wykładziną. Młodzi ludzie z personelu biegali w tę i z powrotem, ściskając w rękach jakieś papiery, jakby od wyników ich pracy zależało bezpieczeństwo świata. W rzeczy samej, taka była prawda. Tylko kilka osób zatrzymało się, ze zdumieniem widząc kajdanki na rękach Mercera. Zastanawiał się, czy brali go za jednego z pracowników, który stał się kozłem ofiarnym dla zatuszowania kolejnego, nieznanego jeszcze, skandalu.

– Nie wydnam was! – zawołał, przekrzykując zgiełk rozmów i dzwoniących telefonów.

Agenci popchnęli go bezceremonialnie do przodu. Minęli kilkanaście niewielkich gabinetów, aż w końcu doszli do zaśmieconego stosem papierów biurka, które broniło dostępu do szerokich drzwi. Na ścianie za biurkiem znajdowało się prezydenckie godło.

– Panno Craig, oto Philip Mercer i Tish Talbot. Czy wszystko gotowe?

Tak – odparła pulchna kobieta. Spojrzała na Tish i uśmiechnęła się słodko. – Biedactwo, słyszałam przez co przeszłaś. Chodź ze mną. Na pewno musisz się odświeżyć.

Tish spojrzała zdumiona na Mercera.

– W porządku. Na pewno nic ci nie będzie.

Dziewczyna odeszła z osobistą sekretarką prezydenta.

– No dobra, panowie. Miejmy to już za sobą. – Mercer zwrócił się do pilnujących go agentów.

Otworzyli drzwi i Mercer wszedł do Gabinetu Owального. Jego pierwsze wrażenie było takie, że gabinet prezydenta jest o wiele mniejszy niż sobie wyobrażał. W myślach zawsze widział prezydenta rządzącego całym krajem ze znacznie większego pomieszczenia. Przekroczył godło, wyszyte na białoniebieskim dywanie i przestudiował twarze obecnych w pokoju osób. Rozpoznał większość z nich. W fotelach siedzieli: admirał C. Thomas Morrison, Richard Henna z FBI i Catherine Smith, szefowa sztabu prezydenta. Mercer domyślił się, że stojący pod ścianą łysy mężczyzna jest dyrektorem CIA. Prezydent siedział za biurkiem z dłońmi na pokrytym skórą blacie. Pani Smith miała na sobie klasyczną garsonkę, białą bluzkę i apaszkę pod

szyją, a zgromadzeni w pokoju panowie byli ubrani w sposób typowy dla administracji waszyngtońskiej – tradycyjny garnitur, biała koszula i stonowany krawat. Tylko admirał Morrison w letnim białym garniturze i Mercer, ciągle w czarnym stroju z nowojorskiej akcji, wyglądali inaczej.

– Panie prezydencie, chciałbym panu pogratulować. – Prezydent popatrzył na Mercera lekko zdziwionym wzrokiem. – Parę dni temu przeczytałem w prasie, że suczka pańskiej żony urodziła szczeniaki.

– Nie zebraliśmy się tu, by dyskutować o szczeniakach, panie Mercer – wycodził Paul Barnes, szef CIA.

– Nie będziemy dyskutować o niczym, dopóki nie dowiem się, dlaczego Tish Talbot ściągnięto do Waszyngtonu i dano pod opiekę FBI.

– Nie musi się pan już o nią troszczyć – rzucił ostro Bames.

– Zaczynam cię nie lubić, kolego. – W głosie Mercera nie było wrogości, ale jego szare oczy pociemniały.

– Doktorze Mercer, odpowiemy na wszystkie pańskie pytania. – Prezydent szybko rozładował rosnące napięcie. – Proszę nam tylko zaufać, że straszne chwile, które przeżyła panna Talbot, to już przeszłość. Teraz jest na górze, razem z moją żoną i szczeniakami, które pan raczył wspomnieć. Zajmiemy się nią.

– Jezu! – wykrzyknął Henna, widząc kajdanki na rękach Mercera.

– Rozkujcie go i zostawcie nas samych.

Agenci zdjęli kajdanki i chyłkiem wyszli z gabinetu. Mercer poczęstował się filiżanką kawy ze srebrnej tacy, stojącej przy kominku i rozsiadł się w ostatnim wolnym fotelu.

– Więc chcieli się panowie ze mną widzieć – zaczął z niewinną miną, popijając kawę.

– Doktorze Mercer, jest wiele spraw, które musi nam pan wyjaśnić – odparł Henna. – Najpierw jednak chcielibyśmy wyrazić naszą wdzięczność za uratowanie w szpitalu życia doktor Tish Talbot. Skąd pan wiedział, że ten typ w szpitalu nie był lekarzem?

– Szczęśliwy traf – odparł wymijająco Mercer. – Obaj użyliśmy tej samej historyjki, żeby wejść do sali. Pomyślałem sobie, że ochrona mogła wpuścić jednego urologa, ale nie dwóch. Poza tym miał nieodpowiednie buty na szpitalne obchody. Skalkulowałem ryzyko, groziło mi co najwyżej oskarżenie o pobicie ze strony rozgniewanego obywatela. Jak widać, nie myliłem się. A tak przy okazji, kto to był?

– Józek Skadra, urodzony w Czechosłowacji agent, który współpracował z KGB.

– Wiecie, dla kogo pracował, gdy przyszedł po Tish Talbot?

– Nie mam pewności – przyznał Henna. – Proszę pamiętać, że zostawił go pan i resztę jego ludzi w stanie uniemożliwiającym składanie zeznań.

– Doktorze Mercer, przyszedł pan tu, by odpowiadać na pytania, a nie je zadawać – odezwał się znów Bames.

– Spokojnie, Paul. – Prezydent starał się łagodzić sytuację. – Pan Mercer jest tu gościem, nie więźniem.

– Nim zaczną panowie zadawać pytania, może powiem, co wiem -zapropował Mercer.

Prezydent przytaknął krótkim skinieniem głowy.

– W nocy dwudziestego trzeciego maja 1954 roku rudowiec „Gran-dam Phoenix” zatonął około dwustu mil na północ od Hawajów, pośrodku pięćsetmilowego łańcucha podmorskich wulkanów. Czy zatopiła ją eksplozja atomowa, do której doszło tamtej nocy, czy też jednostka już tonęła, tego nie wiem. Bomba znajdowała się na głębokości około dwóch kilometrów pod powierzchnią oceanu, gdy doszło do wybuchu. – Słuchający Mercera mężczyźni byli zbyt zszokowani, by mu przerwać, więc geolog mówił dalej. – Zlokalizowałem epicentrum, porównując opóźnienia czasowe oraz różnice zapisów w skali Richtera z sześciu różnych stacji sejsmicznych z Azji i Stanów Zjednoczonych. Ostre wahnięcie zarejestrowane tamtej nocy przez sejsmografy jest identyczne z tymi, jakie dają Podziemne testy nuklearne. Żadne naturalne zjawisko nie powoduje nawet zbliżonych odczytów. Od tamtej pory, w promieniu pięćdziesięciu mil od epicentrum wybuchu, zatoneło siedem statków. Wśród nich był też statek badawczy NOAA, „Ocean Seeker”.

– O czym pan mówi? – Henna w końcu odzyskał głos.

– Proszę pozwolić mi skończyć, a wszystko panowie zrozumieją. Tak duża liczba jednostek, które zatoneły w stosunkowo niewielkim rejonie, już sama w sobie jest zastanawiająca, ale istnieje między nimi pewien związek, wykluczający przypadek. Poszło na dno siedem statków, a tylko z trzech ocalono rozbitków: z tankowca w 1968, kontenerowca w 1972 i z naszego

statku NOAA. Cztery inne jednostki, te, gdzie nikogo nie uratowano, miały coś wspólnego: bardzo dokładny sonar, skanujący dno oce- j aniczne. Trawlery, które toną tam od 1954 roku, używają go do namierzania ławic ryb, kablowiec – poszedł na dno w 1977 – używał go do poszukiwania równego dna, a chilijski statek badawczy – ten w 1982 roku zaginął bez śladu – mapował basen Oceanu Spokojnego.

– Czy te dane otrzymał pan z kancelarii prawnej w Miami?
– chciał wiedzieć Henna.

– Tak. Przyglądałem im się dość długo, nim zwróciłem uwagę na szczegóły, łączący statki, które zatoniły ze wszystkimi osobami na pokładzie. Gdy zorientowałem się, że każda z jednostek wyposażona była w sprzęt do obrazowania dna, domyśliłem się, co mogły zobaczyć. Wydaje mi się, że wszystkie zatopiono dlatego, by nie zgłosiły nowego, rodzącego się wulkanu.

– Czy ten wulkan ma jakiś związek z eksplozją nuklearną?
– zapyta! prezydent.

– Jestem pewien, że tak. Moim zdaniem wybuch wywołał erupcję wulkanu. Obszar wokół Hawajów to miejsce bardzo niestabilne tektonicznie. Krótko mówiąc, jest to strefa, gdzie pod powierzchnią, w płaszczu Ziemi, panuje nieprawdopodobny żar. Dosłownie wypala dziury w skorupie ziemskiej, gdy przesuwana się po niej płyta tektoniczna. W ten sposób powstają łańcuchy wulkanów, tym starsze, im dalej położone od strefy. Detonacja bomby atomowej nad takim obszarem dodatkowo osłabiła wierzchnią warstwę skorupy ziemskiej, dając magmie, zalegającej w litosferze, nowe, sztuczne ujście.

– Po co ktoś miałby to robić?

– Nie mam pojęcia, ale jak widzimy, warto dla tego czegoś zabijać.

– Wróćmy teraz do bardziej aktualnych wydarzeń – proponował Henna.

– „Ocean Seeker” wypłynął w nieplanowany rejs badawczy, którego celem było znalezienie przyczyny śmierci kilku wielorybów. Zwierzętaznaleziono mniej więcej miesiąc temu na hawajskiej plaży, ich przewody pokarmowe wypełniały cząsteczki lawy. Tish Talbot zaproszono do udziału w wyprawie. Dwadzieścia cztery godziny po wypłynięciu z portu statek eksplodował i Tish znalazła się w wodzie. Po uratowaniu została przetransportowana do Szpitala Uniwersyteckiego imienia George’a Washingtona na obserwację. W dzień po umieszczeniu jej tam otrzymałem telegram z wiadomością, że Tish znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

– Kto wysłał telegram?

Został podpisany przez jej ojca, ale później dowiedziałem się, że nie żyje on od roku. Nie mam więc pojęcia, kto go nadał. Jest oczywiste, że ktoś chciał mnie zaangażować w całą tę historię.

– Dlaczego?

– To pytanie warte milion dolarów, panie prezydencie.

– Strata czasu – burknął Paul Barnes. – Ma pan w kieszeni więcej pytań niż odpowiedzi.

– Zgadza się, mam wiele pytań. Dlaczego Tish Talbot celowo uratowano, gdy zatonął „Ocean Seeker”? Ten statek miał najbardziej zaawansowane systemy echolokacyjne w żegludze

cywilnej, więc odnalezienie żywego rozbitka łamie pewien utarty schemat. Dlaczego więziono ją przez kilka dni. zanim oficjalnie „uratował” ją frachtowiec „September Laurel”? 1 dlaczego ktoś próbował ją zlikwidować?

– Ona to panu powiedziała?

Nie, sam na to wpadłem. Gdy statek wyleciał w powietrze, siła eksplozji wyrzuciła ją za burtę wprost do oceanu, a tu nagle obok niej pojawia się niezatopialna tratwa ratunkowa.

– Tratwa mogła znaleźć się tam wskutek wybuchu – zauważył admirał Morrison.

– To niemożliwe. Raczej zostałaaby rozerwana, nie napełniłaby się powietrzem. Panna Talbot powiedziała też, że podpłynęła do niej, ale przyznała, że prawie nic nie słyszała. Jakim cudem udało jej się dopłynąć do tratwy w rozszalałej wodzie wokół tonącego statku, skoro eksplozja niemal ją zamroczyła? Jestem pewien, że na pokładzie statku był ktoś, kto wiedział, co się stanie, i chciał ją chronić.

Zebrani w gabinecie mężczyźni wymienili spojrzenia. Mercer czuł, że wiedzą coś, czego on nie wie.

– Pytał pan, dlaczego Tish Talbot została przywieziona do Waszyngtonu i otoczona opieką FBI. Otóż musi pan wiedzieć, że na kilka dni przed zatonięciem statku NOAA otrzymaliśmy ostrzeżenie – powiedział wolnoprezydent. – Wydawało nam się, że umieszczenie pani doktor w szpitalu uniwersyteckim w Waszyngtonie wzbudzi mniejsze podejrzenia niż przewiezienie jej do Walter Reed*. Widzi pan, to jedyny świadek zamachu terrorystycznego, wymierzonego w samo serce Ameryki. – Z

tymi słowami wyjął list od Takahiro Ohnishiiego i przeczytał go na głos. – Do prezydenta Stanów Zjednoczonych. Po II wojnie światowej Europa, powodowana ekonomiczną koniecznością, wycofała się ze swoich ciemionych przez dziesiątki lat kolonii, dając szansę na odzyskanie rodzącej się z trudem niepodległości. W niektórych z nich proces ten przebiegł bez większych wstrząsów, podczas gdy w innych toczą się wojny domowe lub ciągłe walki z byłymi panami. Jest to bolesny rozdział w historii ludzkości, nieustannie spisywany krwią. Najwyższy więc czas, by także Stany Zjednoczone stawily czoło realiom ekonomicznym. Kolonie, które utrzymuje Ameryka, muszą zostać oddane ich prawowitym właścicielom. Tak właśnie uważamy my, mieszkańcy Hawajów. Dług w wysokości czterech bilionów dolarów, spoczywający na pana barkach, jest zbyt ciężki do udźwignięcia. Tymczasowe rozwiązania, które proponuje pan i próbowali wdrażać pańscy poprzednicy, jedynie odwołują w czasie całkowite załamanie się tego systemu. Podczas gdy pieniądze amerykańskich podatników ratują budżety obcych państw i banków oraz napełniają kieszenie bogatych kontrahentów rządowych, zwykli Amerykanie popadają w coraz większe ośpienie, wywoływane bezsensowną retoryką i zręcznym manipulowaniem faktami. Panie prezydencie, nie pozwolimy, żeby tak samo działo się na Hawajach. Nie pochodzimy od białych Europejczyków, nie powinniśmy też być przez nich rządzeni. Jesteśmy oddzielnym narodem o zupełnie innych przekonaniach. Wyznajemy też inne wartości. Nie zgadzamy się na upadek, który chce zafundować nam wasz umierający system. System, którego się tak kurczo-

wo trzymanie. Musi pan sobie zdawać sprawę, że ludzkość nie rozwija się dzięki różnorodności kulturowej. Jesteśmy gatunkiem plemiennym, najlepiej czujemy się w obrębie właściwie zdefiniowanych grup i błędem jest to kwestionować. Idea „tygła narodów” jest tak samo przestarzała jak „brzemie białego człowieka”. Obawiam się, że wkrótce Stany Zjednoczone dołączą do listy państwa rozdartych wewnętrzną walką i nie chciałbym, by ten ogień ogarnął też mój naród. Przejście Hawajów do niepodległości musi odbyć się w sposób *Walter Reed – popularna nazwa Walter Reed Army Medical Center, szpitala wojskowego w Waszyngtonie, jednej z największych tego typu placówek należących do armii USA (przyp. tłum).

pokoju, ale odbyć się musi. Właśnie wdrażamy plany, które pozwolą nam oderwać się od Stanów Zjednoczonych, dzięki czemu staniemy się suwerennym państwem. Proszę nie podejmować prób sprzeciwu wobec naszych poczynań. Jestem w stanie zapewnić pokój jedynie wtedy, gdy nie będziecie interweniować. Na dowód, że moje obawy i przekonania należy traktować poważnie, mam w swojej dyspozycji niezbędne środki, by zniszczyć jakikolwiek statek, należący do Stanów Zjednoczonych, który zbliży się do wysp na odległość mniejszą niż dwieście mil. Jeśli w ciągu najbliższych tygodni, w czasie których osiągniemy niepodległość, wykryję jakiś statek, nie zawaham się go zatopić. Proszę nie wystawiać na próbę mnie ani narodu zamieszkującego te wyspy. Jesteśmy zjednoczeni wspólnym celem, który ostatecznie przyniesie korzyści wszystkim. Podpisano: Takahiro Ohnishi.

Prezydent spojrział na Mercera. Twarz geologa nie wyrażała żadnych emocji, za to jego umysł pracował na najwyższych obrotach przez cały czas. gdy prezydent czytał list. Znał poglądy ekscentrycznego miliardera, czytał nawet jedną z jego książek, w której nawoływał do jedności rasowej. Nigdy jednak nie wierzył, że japoński przemysłowiec może posunąć się tak daleko. Stosunki pomiędzy zamieszkującą Hawaje japońską większością a białymi były napięte, ale to, co przed chwilą przeczytał prezydent, było równoznaczne z deklaracją niepodległości. Stwierdził to bardzo wyraźnie.

– Okazuje się – mówił prezydent – że w czasie, gdy otrzymaliśmy list, żaden okręt marynarki wojennej nie miał planowanych rejsów z i do Pearl Harbor. Należący do NOAA „Ocean Seeker” płynął jednak na północ. Dick przyniósł mi list zaraz po tym, kiedy statek zatonął. Przedtem myśleliśmy, że Ohnishi to jakiś fanatyk i maniak. Po katastrofie wydałem zakaz przekraczania dwustumilowej strefy wokół Hawajów, o której pisał w liście. Doktorze Mercer, jest pan jedyną osobą spoza tego zespołu, która zna sytuację. Byliśmy pewni – dodał – że to zupełnie świeża historia, ale informacje, które pan nam przekazał, wskazują, że ciągnie się ona już czterdzieści lat.

– Panie prezydencie, to jeszcze nie wszystko. Ta sprawa wykracza znacznie dalej niż jakiś stuknięty miliarder o poglądach Hitlera – powiedział spokojnie Mercer.

Siedzący w fotelach mężczyźni spojrzeli na niego z uwagą.

– „Ocean Seeker” został zatopiony przez rosyjską łódź podwodną „John Dory”, a nie przez Takahiro Ohnishiego.

KAIR, EGIPT

Pomimo nadchodzącego zmroku pałace promienie słońca ciągle były torturą dla tłoczących się na ulicach ludzi. Arabowie ubrani w długie, białe hidżaby* * Hidżab – arabski skromny strój, przypominający długą luźną koszulę do kostek (przyp. tłum.). zdawali się nieczuli na niemal czterdziestostopniowy upał, jednak dla mieszkańców Zachodu życie w mieście było jednym wielkim cierpieniem. Evad Lurbud kupił kubek ciepłego soku daktylowego od przechodzącego handlarza, który dźwigał na plecach ogromną, cynową bańkę. Sok smakował ohydnie, ale mężczyzna musiał nawodnić ciało.

Lurbud stanął na Shari al-Muizz Le-din Allah, głównej ulicy, przebiegającej przez Khan el-Khalili, rozległy targ, oddległy o pięć kilometrów i tysiąc lat od nowoczesnego placu Wyzwolenia, który leżał w samym sercu Kairu. Targ, składający się z labiryntu poplątanych uliczek, jest prawdziwym centrum handlowym miejscowych ludzi. To także obowiązkowe miejsce do zwiedzania dla wymęczonych, spoconych turystów, zaraz po piramidach, nekropolii w Memfis i wiecznie zatłoczonego Muzeum Kairskiego.

Bazar, założony przez emira sułtana Barkuka. Garkasa el-Khaliliego w 1382 roku jako stacja przystankowa dla karawan

wielbłądów, rozrósł się wraz z upływem czasu niepomierne. Jeszcze przed podbojem osmańskim w 1517 roku sprzedawano tu wyroby z tak odległych krajów jak Anglia. Tureckie poczucie porządku doprowadziło do powstania na targu systemu cechów, którego ślady widoczne są do dziś. Sprzedawcy perfum gromadzą się na południe od głównego skrzyżowania na targowisku. Złoto i srebro sprzedaje się w jednym miejscu, a handlarzy dywanów znaleźć można w innym. Przyprawiające o zawrót głowy aromaty, dochodzące z budek z przyprawami i żywnością, walczą o klienta niemal w każdym zakątku bazaru, natomiast sklepy z pamiątkami dla turystów i bibelotami usytuowane są na jego obrzeżach.

Na targu Khan nie było samochodów, ale zgiełk, jaki towarzyszył tłumom. wypełniającym wąskie uliczki, z powodzeniem zastępował hałas silników. Obwoźni handlarze zachwalali swoje towary, a arabska tradycja targowania się zmieniała każdą próbę kupna i sprzedaży w bezładną kakofonię dźwięków. Głośniki na wieżach meczetów, stojących tuż obok bazaru, z nabożną regularnością wykrzykiwały: Allah Akbar.

Lurbud wiedział, że muzułmanie wkrótce pozamykają swoje sklepiak, by udać się na wieczorną modlitwę. Uśmiechnął się drwiąco na myśl o Bogu, zwłaszcza takim, który wymagał odmawiania modlitw pięć razy dziennie, jednak miał szacunek dla ich oddania. Będąc weteranem kampanii afgańskiej, znał doskonale siłę, jaką rebelianci czerpali z wiary. Mudżahedini nazywali swój opór „świętą wojną” i stworzyli z plemion zorganizowaną siłę, która była w stanie oprzeć się najpotężniejszej wówczas armii.

Lurbud pojechał na wojnę z pierwszą zmianą żołnierzy jako agent KGB. Często całe tygodnie i miesiące pozostawał z dala od stosunkowo bezpiecznego Kabulu, przygotowując tajne operacje. Dzięki śniadej cerze i talentowi do języków łatwo mógł wkraść się w łaski bandy rebeliantów i stać się jednym z nich, gromadząc dane dotyczące ich spotkań i słabości, oceniając przyszłe plany innych grup oporu. Po wykonaniu zadania wzywał budzące postrach śmigłowce bojowe. Helikoptery obracały w perzynę obóz, którego Lurbud był zaufanym członkiem, zabijając mężczyzn, kobiety i dzieci. On sam zawsze przebywał wtedy na patrolu. W ciągu dwóch lat takiej działalności afgańscy kompani Lurbuda ani razu nie domyślili się, że to właśnie on stoi za masakrami.

Jego niezwykle opanowanie sprawiło, że zwrócił na siebie uwagę wyższych oficerów KGB, zwłaszcza Iwana Kerikowa. Po jednym z ataków, gdy Lurbudowi nie udało się wymknąć z obozu, ale przeżył piekielny ostrzał ze śmigłowców, Kerikow zdjął go z funkcji agenta terenowego i przyjął do osobistego zespołu w Kabulu.

Tam, w założonych przez Rosjan, zawilgoconych więzieniach, głównym zadaniem Lurbuda było łamanie oporu schwytanych rebeliantów. Szybko zrozumiał, że siła wiary, łącząca mudżahedinów, stała się też skuteczną bronią w pokojach przesłuchań. Islam zabraniał wyznawcom spożywania wieprzowiny i nawet samo słowo „świnia” wystarczyło, by złamać najtwardszego wojownika. Zdumiewał się za każdym razem, gdy najbardziej zagorzały bojownik wpadał w panikę pod wpływem groźby, że za chwilę zostanie włożony do wnętrza gnijącego, świńskiego cielska.

Jaki bóg mógłby kazać ludziom bać się świni? Zwłaszcza że tak wielu z nich żyło jak one? Lurbud nieraz zadawał sobie to pytanie.

Gdzieś wysoko, ponad ulicami, z głośników na szczytach minaretów rozległ się głos muezina, wzywający wiernych na modlitwę. Lurbud przycupnął w jednej z alejek, kryjąc się w cieniu sterty worków z przyprawami. Ulice zaczęły pustoszeć. Zapach szafranu przyprawiał go o mdłości.

Gdy spojrział na buty, zorientował się, że wdepnął w psią kupę. Zaklął pod nosem z obrzydzeniem i wytarł brud o worek.

Lurbud podniósł wzrok i natychmiast rozpoznał swoją ofiarę – mężczyznę, wychodzącego ze sklepu po drugiej stronie głównej ulicy. Szylt nad wejściem do sklepu głosił, że Suleiman el-aziz Suleiman jest jubilerem, a wielkość sklepu wskazywała, że dobrze mu się wiedzie. Evad Lurbud miał inne informacje.

Suleiman był jednym z najbogatszych handlarzy bronią na Bliskim Wschodzie. W przeciwieństwie do innych handlarzy śmiercią nie robił wokół siebie szumu i działał po cichu, dlatego mógł prowadzić interesy nieniepokoiony przez Stany Zjednoczone i Europę Zachodnią. Chociaż korzystano z jego broni w Bejrucie, Włoszech, Irlandii, Niemczech, w pełnych narkotyków miastach Ameryki i niezliczonych miejscach reszty świata, żadne służby nigdy go nie nagabywały.

Otyły Arab kroczył ulicą do meczetu Sayyada al-Husseina. Kołysał się z każdym krokiem, gdy wielkie zwały tłuszczu przesuwwały się względem siebie. Miał okrągłą twarz i dziecięcą szczerłość w spojrzeniu.

Według raportu KGB Suleiman nie był głupcem, za jakiego chciał uchodzić. Wyróżnił się w dwóch wojnach przeciwko Izraelowi, a w kolejnych latach nawiązał kontakty niemal z każdą organizacją terrorystyczną na świecie. KGB szacowało jego majątek na dwieście milionów dolarów.

Zbyt ładna okolica, jak na śmierzącego Araba, pomyślał Lurbud i po przejściu przez pustą ulicę zatrzymał się przy drzwiach. Obserwował sklep Suleimana od południa. W tym czasie zatłoczone ulice tętniły życiem. Teraz gwar ucichł, wszystko zamarło, nawet niezliczone koty, które przemykały alejkami, zniknęły co do jednego. Przestępczość praktycznie nie istnieje na bazarze Khana, więc nikt nie zakładał tu skomplikowanych systemów alarmowych. Lurbud fachowo otworzył prymitywny zamek do sklepu Suleimana.

Z akt wynikało, że arabski jubiler po modłach zawsze na parę minut wracał do sklepu, zanim opuszczał Khan i udawał się do domu na Shari El Haram, drodze wiodącej do Wielkich Piramid w Gizie. Upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, Lurbud zamknął za sobą drzwi i przekręcił zamek.

W środku Lurbud minął szklaną wystawę, połyskującą złotem j w świetle, które wpadając przez niewielkie okna, wydobywało z mroku wirujące w powietrzu drobiny kurzu. Zachodzące słońce rzucało na ściany | pomieszczenia długie cienie. Lurbud wyciągnął z kabury pod marynarką. Gdy spojrział na buty, zorientował się, że wdepnął w psią kupę. Zaklął pod nosem z obrzydzeniem i wytarł brud o worek.

Lurbud podniósł wzrok i natychmiast rozpoznał swoją ofiarę – mężczyznę, wychodzącego ze sklepu po drugiej stronie głównej ulicy. Szylt nad wejściem do sklepu głosił, że Suleiman el-aziz Suleiman jest jubilerem, a wielkość sklepu wskazywała, że dobrze mu się wiedzie. Ewad Lurbud miał inne informacje.

Suleiman był jednym z najbogatszych handlarzy bronią na Bliskim Wschodzie. W przeciwieństwie do innych handlarzy śmiercią nie robił wokół siebie szumu i działał po cichu, dlatego mógł prowadzić interesy nieniepokojony przez Stany Zjednoczone i Europę Zachodnią. Chociaż korzystano z jego broni w Bejrucie, Włoszech, Irlandii, Niemczech, w pełnych narkotyków miastach Ameryki i niezliczonych miejscach reszty świata, żadne służby nigdy go nie nagabywały.

Otyły Arab kroczył ulicą do meczetu Sayyada al-Husseina. Kołysał się z każdym krokiem, gdy wielkie zwąły tłuszczu przesuwwały się względem siebie. Miał okrągłą twarz i dziecięcą szczerłość w spojrzeniu.

Według raportu KGB Suleiman nie był głupcem, za jakiego chciał uchodzić. Wyróżnił się w dwóch wojnach przeciwko Izraelowi, a w kolejnych latach nawiązał kontakty niemal z każdą organizacją terrorystyczną na świecie. KGB szacowało jego majątek na dwieście milionów dolarów.

Zbyt ładna okolica, jak na śmierzącego Araba, pomyślał Lurbud i po przejściu przez pustą ulicę zatrzymał się przy drzwiach. Obserwował sklep Suleimana od południa. W tym czasie zatłoczone ulice tętniły życiem. Teraz gwar ucichł, wszystko zamarło, nawet niezliczone koty, które przemykały alejkami,

zniknęły co do jednego. Przystępczość praktycznie nie istnieje na bazarze Khana, więc nikt nie zakładał tu skomplikowanych systemów alarmowych. Lurbud fachowo otworzył prymitywny zamek do sklepu Suleimana.

Z akt wynikało, że arabski jubiler po modłach zawsze na parę minut wracał do sklepu, zanim opuszczał Khan i udawał się do domu na Shari El Haram, drodze wiodącej do Wielkich Piramid w Gizie. Upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, Lurbud zamknął za sobą drzwi i przekręcił zamek.

W środku Lurbud minął szklaną wystawę, połyskującą złotem j w świetle, które wpadając przez niewielkie okna, wydobywało z mroku wirujące w powietrzu drobiny kurzu. Zachodzące słońce rzucało na ściany | pomieszczenia długie cienie. Lurbud wyciągnął z kabury pod marynarką j pistolet Takarowa i rozchylił zasłonę z koralu w wejściu do gabinetu Suleimana.

Środek pokoju zajmowało stare, drewniane biurko z wagą-jubilerską zawalone książkami. Obok niskiej kanapy pod ścianą stał zakurzony i poobijany ekspres do kawy. W pomieszczeniu unosił się zapach kurzu zmieszany ze słodką wonią haszyszu. Lurbud usiadł za biurkiem z pistoletem na kolanach. Jego wejście do pokoju zburzyło panujący w środku porządek rzeczy, ale gdy siedział nieruchomo, otoczenie wróciło do normy, akceptując jego obecność. Przez dwadzieścia minut nieobecności Suleimana jedynym ruchem w gabinecie było sporadyczne mruganie czarnych oczu Lurbuda. Czekał tak samo cierpliwie, jak stojący za miastem Sfinks.

Umiejętność tę wyrobił sobie na obozie treningowym nad Morzem Czarnym, gdzie uczestników umieszczano w całkowicie zaciemnionym labiryncie. Ten, który wyszedł żywy, zostawał przyjęty.

Nie drgnął nawet wtedy, gdy usłyszał trzask otwieranych i zamykanych drzwi. Chwilę potem potężne cielsko rozgarnęło zasłonę, oddzielającą sklep od biura.

Suleiman nalał sobie maleńką filiżankę kawy i prawie wszedł na Lurbuda, dopiero wtedy zobaczył intruza. Naczynie wypadło z jego tłustych palców, rozbijając się na setki kawałków o kamienną podłogę. Poblądł, i potykając się, cofnął o kilka kroków.

– W twoim dossier wyczytałem, że nie masz na Khana żadnej ochrony – powiedział Lurbud płynnie i bez obcego akcentu po arabsku. Byłeś pewien, że twoja pozycja zapewni ci bezpieczeństwo, tak?

– Kim jesteś? – zapytał Suleiman, odzyskując równowagę po pierwszym szoku.

– Moje imię nic ci nie powie, Suleimanie el-aziz – ciągnął bez emocji Rosjanin. – Wynajęto cię do dostarczenia prawie tysiąca ton broni, amunicji i materiałów wybuchowych na Hawaje. Zgadza się?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– A ja myślę, że masz. Zamówienie złożył Takahiro Ohnishi, najprawdopodobniej kilka tygodni bądź miesięcy temu.

– Jestem zwykłym jubilerem. Nie rozumiem, co mówisz.

Lurbud mówił dalej, jakby w ogóle nie usłyszał Suleimana.

– Reprezentuję grupę, która nie chce, byś zrealizował to zamówienie. Broń nie może popłynąć na Hawaje. Powiem wprost: nie chcemy, żebyś utrzymywał z Ohnishim jakiegokolwiek kontakty.

– Rozkazujesz mi, jak mam prowadzić interesy? – warknął Suleiman z szyderczym uśmieszkiem.

– Ach, więc nie jesteś jednak zwykłym jubilerem. – Lurbud uśmiechnął się smętnie.

– Poznam takiego jak ty na kilometr – rzucił Arab z pogardą w głosie. – Żałosny najemnik, który przypadkiem natknął się na jakąś informację. Myślisz, że możesz ot, tak szantażować Suleimana el-aziz Sulei-mana?

– Nie przybyłem tu, by cię szantażować. Przyszedłem, by powiedzieć, że zamówienie jest nieaktualne.

– Spóźniłeś się więc, najemniku. Broń jest już w połowie drogi do wysp. – Na pomarszczonym czole handlarza perliły się pierwsze krople potu.

Arab kłamał. Suleiman nie kupił nawet jeszcze towaru. Obecnie wykorzystywał zaliczkę Ohnishiego, by wpłynąć na zwykłą cen udziałów w hydroelektrycznym przedsięwzięciu w Sri Lance. Dzięki kontaktom z podziemiem terrorystycznym wiedział, że w ciągu nadchodzących dwóch tygodni separatyści tamilscy planują wysadzenie w powietrze sieci lam. Przez podniesienie cen udziałów, a potem ich sprzedaż z niewielkim rabatem tuż przed atakami Suleiman mógł liczyć na poczwórny zysk. Dopiero wtedy chciał złożyć zamówienie na broń dla Ohnishiego.

– Obawiam się, Suleiman, że kłamiesz. – Lurbud po raz pierwszy podniósł z kolan takarowa. Ale jeśli mam być szczerzy, guzik mnie obchodzi, jaka jest prawda.

Jak na człowieka tak otyłego, czas reakcji Suleimana był niesłychanie szybki. Błyskawicznie rzucił się w bok. Przez moment jego cielsko przypominało szybujący w powietrzu sterowiec. Lurbud wykonał pistoletem łuk w ślad za swoim celem, ale pierwsza kula, o dziwo, nie trafiła w potężnego Araba. Handlarz wpadł na ścianę obok kanapy, przewracając ekspres do kawy. Rozlany napój utworzył na podłodze czarną kałużę. Ręce Suleimana, wyćwiczone przez lata jubilerskiej pracy, zwinnie chwyciły pistolet, przyklejony taśmą do tylnej ścianki obudowy ekspresu.

Lurbud zobaczył błysk morderczej wściekłości w oczach Araba, gdy ten odwrócił się do niego i złożył do strzału. Rosjanin nacisnął spust takarowa na ułamek sekundy przed tym, gdy sam znalazł się na linii ognia. Kula ugodziła Suleimana w ramię, dziurawiąc zwały tłuszczu. Małeńka beretta wypadła mu z ręki i wirując w powietrzu, z brzękiem upadła na podłogę. Lurbud strzelił jeszcze raz, i jeszcze. Zabójczy błysk w oczach Araba zaczął gasnąć.

Rosjanin wyszedł zza biurka, trzymając pistolet wycelowany w głowę handlarza. Wolną ręką wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki niewielką stalową flaszkę. Odkręcił korek i ukląkł obok umierającego muzułmanina.

– Zdechniesz, myśląc o tym – mówił Lurbud, wylewając na Sulei-mana karminowoczerwony płyn – że spotkasz Allaha cały usmarowany świńską krwią.

Suleiman chciał krzyknąć, słysząc o takiej profanacji, ale Lurbud pociągnął za spust, posyłając jeszcze jedną kulę wprost w otwarte usta Araba. Na zimnej, kamiennej podłodze biura krew Suleimana w ciszy mieszała się z krwią nieczystej świni.

Lurbud schował pistolet, zauważając po raz pierwszy gęstą chmurę dymu po spalonym prochu, która wypełniała pomieszczenie. Powietrze cuchnęło, przez zapach dymu przebijała się woń krwi i wnętrzości Suleimana.

Zabójca przystanął przy drzwiach do sklepu. Zauważył na ulicy kilka osób, ale byli to starcy, wracający do kawiarni i fajek wodnych. Grube, kamienne ściany wyciszyły strzały, oddane przez tłumik takarowa. Lurbud wyszedł spokojnie ze sklepu i wmieszał się w tłum. Dziesięć minut później opuścił targowisko i zaczął szukać taksówki. Miał dwie godziny, by pozbyć się pistoletu i dotrzeć do lotniska, skąd miał odlecieć na Hawaje.

BIAŁY DOM

Po oświadczeniu Mercera w Gabinetcie Ovalnym zapadła martwa cisza. Geolog widział, jak wyraz twarzy zebranych zmieniał się od kompletnego zaskoczenia, poprzez zmieszanie i niepewność, aż po niedowierzanie.

– Dlaczego pan sądzi, że Rosjanie mają z tym cokolwiek wspólnego? – przerwał ciszę Paul Barnes. – To, że zabójca, który chciał zabić doktor Talbot, pracował kiedyś dla KGB, niczego nie dowodzi.

Mercer zdał sobie sprawę, że właśnie nadepnął szefowi CIA na odcisk.

– Tish Talbot powiedziała mi, że po wyciągnięciu jej z tratwy słyszała w rozmowie marynarzy język rosyjski.

Jezu – Barnes westchnął, rozglądając się po pokoju. – Powiedział pan, że eksplozja wyrzuciła ją za burtę. Była ogłuszona. Kto wie, co słyszała. Przecież, gdy ją wyciągnęli, ledwie żyła.

– Wątpię czy święty Piotr mówi po rosyjsku, gdy wpuszcza dobre duszyczki przez bramy niebios – zauważył spokojnie Mercer. – Ale nie na tym opieram swoje stwierdzenie. Mój przyjaciel z Miami jest ekspertem od prawa morskiego. Poprosiłem, żeby sprawdził dla mnie firmę Ocean Freight & Cargo, właściciela

statku „September Laurel”. Odkrył, że to przedsiębiorstwo jest przykrywką KGB.

– Miałem nakaz sądowy, nakazujący Saulmanowi przekazanie nam wszelkich informacji, o które pan prosił. – W głosie Henny słyhać było niedowierzenie. – Zataił przed FBI.

– Nie dziwiłoby to pana, gdyby pan znał Dave’a. To twardy drań i chodząca encyklopedia w kwestiach dotyczących handlu morskiego. Jego słowo w tych sprawach jest święte.

– Jeśli na chwilę przyjmiemy, że Saulman ma rację z tą przykrywką KGB – odezwał się Barnes – to ciągle nie widzę żadnego związku między tym a pańskim pomysłem z rosyjską łodzią podwodną.

– Pierwszy dowód wynika ze zwykłego rozumowania. Według przekazów medialnych w poszukiwaniach wzięły udział połączone siły marynarki i straży wybrzeża. Nie wątpię, że wykorzystano najnowocześniejszy sprzęt. A jednak nie odnaleziono żadnych rozbitków. Ostatnia pozycja statku NOAA była dobrze znana dzięki systemowi LORAN* [* LORAN (Long Range Navigation) – system nawigacji, pozwalający na dokładne określenie pozycji statku lub samolotu (przyp. tłum.)], a przecież jednostki poszukiwawcze znalazły tylko plamę oleju i garść szczątków. Wtedy, dwa dni później, zjawia się „September Laurel”, który pomaga w poszukiwaniach i cudem odnajduje Tish. Ten frachtowiec, który w chwili, gdy „Ocean Seeker” szedł na dno, znajdował się setki mil od miejsca tragedii, zdołał osiągnąć to, czego nie mogła dokonać ani marynarka, ani straż wybrzeża.

Nie wierzę w to. W czasie poszukiwań nie było problemów z pogodą, żadnego sztormu ani mgły.

– Tu się pan myli. doktorze Mercer – przerwał mu admirał Morrison. – Na powierzchni oceanu snuła się gruba warstwa mgły, a ze względu na rozkaz prezydenta, żeby nie wysyłać statków, mogliśmy liczyć jedynie na poszukiwania z powietrza.

– Admirale, proszę mi szczerze odpowiedzieć, czy jest jakiś logiczny powód, dla którego wasze samoloty ją przegapiły, nawet podczas mgły?

Przewodniczący Kolegium Szefów Połączonych Sztabów przeciągnął ręką po kędzierzawych włosach.

– Gdyby tam była, moi chłopcy by ją znaleźli.

– Skoro nie ma logicznego powodu, dla którego nie odnalazły jej nasze służby, poszukałem nielogicznego. Jedyne, który tu pasuje, to łódź podwodna.

Morrison zwrócił się do prezydenta.

– To ma sens. sir. Mogła tam być taka łódź i nigdy byśmy jej nie wykryli. Żaden z samolotów poszukiwawczych nie wykorzystał w poszukiwaniach rozbitków boi hydroakustycznych ani innego sprzętu. Łódź mogła czekać tuż pod powierzchnią i słuchać, jak się bezsilnie miotamy.

Prezydent przytaknął.

– Jakie ma pan inne dowody, doktorze?

– Na temat Ocean Freight & Cargo nic więcej się nie dowiedziałem od Dave’a Saulmana, więc było jasne, że potrzebuję informacji z pierwszej ręki. Dlatego razem z Tish włamałem się do ich biur w Nowym Jorku.

– 1 co znaleźliście? – zapytał Dick Henna.

– Po pierwsze, w gabinecie wicedyrektora znalazłem wielkie akwarium, w którym pływała tylko jedna ryba.

– No i?

– Ocean Freight & Cargo ma zwyczaj nazywać swoje statki według nazw miesięcy i kwiatów, które potem zostają namalowane na kominach danych jednostek. Tish pamięta, co widniało na kominie statku, który ją uratował: żółty okrąg z czarną kropką w środku. A przecież „September Laurel” ma na kominie wawrzyn. Wzór zapamiętany przez Tish pasuje do pewnej ryby, którą złapałem kiedyś podczas zawodów wędkarskich we Francji.

– Jaki to ma związek ze sprawą?

– Ta ryba to pioszcz. W akwarium, w biurze firmy był piękny przedstawiciel tego gatunku.

– To najślabszy dowód, jaki w życiu słyshałem – mruknął Barnes.

– Zgodziłbym się z panem, gdybym w szufladzie zawierającej dokumentację własnościową statków nie znalazł zakładki. Podpisano ją „John Dory” [• John Dory] – taką nazwę w języku angielskim ma pioszcz (przyp. tłum.).] . Wtedy myślałem, że zakładka znalazła się tam przypadkowo, teraz jednak wydaje mi się, że firma posiada statek o takiej nazwie, ale nie przechowuje w biurze żadnych dokumentów na jego temat. Gdy wróciłem do Waszyngtonu, zadzwoniłem do znajomego, z którym chodziliśmy na ryby. Potwierdził nazwę ryby. Wzór na kominie wyjaśnia, skąd wzięła się nazwa statku, a jedyne jednostki pływające, które swoją nazwę biorą od ryb, to okręty podwodne.

– Chyba pan żartuje. – Barnes zaśmiał się niepewnie.

Mercer wstał.

– Panie prezydencie, powiedział pan, że jestem tu gościem, a nie więźniem. Jeśli to prawda, chciałbym wyjść. Skoro nie macie panowie zamiaru słuchać tego, co mam do powiedzenia, nie widzę powodu, dla którego miałbym marnować swój czas. W ciągu ostatnich paru dni strzelano do mnie ponad dziesięć razy, i wcale nie dlatego, że jestem powszechnie nie lubiany. Na coś wpadłem, ale skoro nie chcą panowie mnie wysłuchać, to się pożegnaj.

– Doktorze Mercer, proszę zaczekać – odezwał się Henna.

– Proszę powiedzieć, co się stało w Nowym Jorku.

Mercer powiedział im o włamaniu, o uzbrojonych strażnikach pilnujących budynku oraz o własnych wrażeniach po oględzinach gabinetu.

– Ocean Freight & Cargo knuje coś podłego. Na razie wszystko wskazuje na Rosjan – zakończył Mercer. – Nie wiem tylko, dlaczego.

– Panie prezydencie – Henna odwrócił się na fotelu – wkrótce po tym, jak doktor Mercer i Tish Talbot opuścili biura firmy, wysiałem tam kilku naszych agentów. Pomieszczenia zostały wyczyszczone. Żadnych ciał, żadnej krwi. Moi ludzie potwierdzają, że w środku doszło do strzelaniny. Odświeżacze powietrza nie stłumiły zapachu spalonego prochu. Nie mogę potwierdzić tego, co mówi doktor Mercer. ale nie mogę też zaprzeczyć.

– Właśnie coś sobie przypomniałem – wtrącił Paul Barnes, tym razem spokojniejszym tonem. – Nie pamiętam szczegółów, ale kilka lat temu na moim biurku wylądowało sprawozdanie, przygotowane przez jakiegoś metalurga z Pensylwanii. Było w nim coś podobnego do okoliczności eksplozji z 1954 roku, którą opisał doktor Mercer. Facet uzyskał próbkę jakiegoś pierwiastka, nie pamiętam, jak się nazywał, ale miał coś wspólnego z promieniowaniem i wodą morską.

– Pamięta pan coś jeszcze? – zapytał admirał Morrison, gdy szef CIA zamilkł na dłuższą chwilę.

– Abraham Jacobs – odparł w końcu Barnes. – Ten naukowiec nazywa! się Abraham Jacobs. Jestem pewien, że wiedział coś na temat spraw, o których dyskutujemy.

– Może pan go znaleźć?

– Tak.

– Jeszcze dziś przed południem chcę go widzieć w swoim gabinecie. – Sita głosu prezydenta zmroziła zebranych. – Sytuacja na Hawajach jest o wiele poważniejsza, niż przypuszczaliśmy. Jeśli doktor Mercer ma rację i cała ta sprawa sięga dalej niż prywatny przewrót Ohnishiego, jeżeli w jakiś sposób wplątani są w nią Rosjanie, to nawet nie chcę myśleć o konsekwencjach.

– Według mnie teoria, że Takahiro Ohnishi i Rosjanie planowali to w latach pięćdziesiątych, jest mocno naciągana. Świat za bardzo się zmienił, żeby laki spisek mógł się udać – skomentował Henna.

– Może wchodzi w grę sojusz z rozsądku – zaryzykował Mercer. – Z układem, który powstał w nowej sytuacji.

– Jest w tym sens – zgodził się prezydent. – Najpierw musimy się jednak skontaktować z doktorem Jacobsem. Miejmy nadzieję, że powie nam, o co w tym wszystkim chodzi.

– Ma pan na myśli to, co dzieje się ponad możliwym oderwaniem się Hawajów? – zapytał ostrożnie Henna. W odpowiedzi prezydent rzucił mu jadowite spojrzenie.

– Panie prezydencie, czy mogę mieć małą prośbę? – zapytał Mercer.

– Tak, a jaką?

– Nic mogę pozbyć się wrażenia, że pracujemy pod presją czasu. Ohnishi albo Rosjanie na pewno wiedzą, że wpadliśmy na ich trop. Po mojej akcji w Nowym Jorku zapewne muszą przyspieszyć swoje działania. Coś mi się zdaje, że sytuacja na Hawajach wkrótce stanie się krytyczna.

– Wiem, o co pan chce poprosić, i już się tym zajęliśmy. Lotniskowiec „Kitty Hawk” i okręt desantowy „Inchon” czekają w gotowości trzysta mil od Hawajów.

– Świetny pomysł, sir, ale nie o to mi chodziło. Żeby lepiej zrozumieć z czym mamy do czynienia, trzeba zrobić serię zdjęć w podczerwieni rejonu, gdzie zatonął „Ocean Seeker”.

Prezydent spojrział na Bamesa, który zaczął szperać w stojącej obok fotela teczce.

– Popatrzmy: KH-11 przelatuje nad północnym Pacyfikiem za trzysta godzin. Ten satelita ma odpowiednie kamery i nie trzeba będzie zmieniać jego orbity, żeby przeleciał na północ od Hawajów.

– Trzysta godzin. To za późno – stwierdził Mercer.

– Co pan proponuje?

– Albo SR-71 Blackbird, albo jeden z nowych samolotów szpiegowskich, którego obecności nikt nie zauważy.

– Paul?

– W Edwards stacjonuje jeden SR-71 Wraith, ale muszę mieć pańską zgodę na jego start.

– Masz ją. Jak długo musimy czekać na pierwsze zdjęcia?

– Przy prędkości sześciu machów samolot powinien być z powrotem za mniej więcej półtorej godziny. Później jeszcze jakieś pół godziny na wywołanie zdjęć i przesłanie ich tu.

– Doktorze Mercer, nie muszę chyba przypominać, że te rozmowy w ogóle nie było, prawda? – zapytał prezydent – Przepraszam, sir – powiedział z uśmiechem Mercer – ale nie dosłyszałem. Mówił pan coś?

– A więc wszystko jasne, panowie. Mamy co robić.

Zebrani w gabinecie mężczyźni zaczęli się rozchodzić.

– Spotkamy się tu za dwie godziny. Doktorze Mercer, proszę powiedzieć sekretarce, żeby wystawiła panu tymczasową przepustkę, jeśli chce pan opuścić teren.

– Dobrze.

Po rozmowie z panną Craig Mercer dowiedział się, że Tish śpi w jednym z pokoi gościnnych Białego Domu. Na kawałku kartki nabazgrał kilka słów na wypadek, gdyby się obudziła podczas jego nieobecności, i na Pennsylvania Avenue złapał tak-sówkę. Dwadzieścia minut później był już w domu. Po szybkim prysznicu i jeszcze szybszym piwie poszedł do gabinetu, gdzie

pogładził duży, niebieskawy kamień – jego talizman, po czym usiadł za biurkiem.

Wykręcił numer i po dwóch sygnałach usłyszał w słuchawce głos.

– Wydział Geologii Uniwersytetu Carnegie-Mellon.

– Dzień dobry, czy mógłbym porozmawiać z doktorem Jacobsem?

– Chwileczkę. – Na dłuższą chwilę zapadła cisza. – Przykro mi, doktor Jacobs prowadzi w tej chwili zajęcia – odezwał się ten sam głos.

– Nazywam się Vince Andrews z Fundacji Hillera, która wspiera badania doktora Jacobsa – powiedział Mercer, starając się brzmieć jak najprawdziwiej. – Doktor Jacobs ma poważne problemy i najprawdopodobniej straci dotację. Muszę z nim natychmiast pomówić.

– Rozumiem, proszę się nie rozłączać.

Minutę później w słuchawce rozległ się męski głos.

– Nie wiem, kto mówi, bo moje badania finansuje Cochoran Steel, ale muszę przyznać, że wzbudził pan moje zainteresowanie.

– Cześć, Abe, z tej strony Philip Mercer.

– Mogłem się tego spodziewać. – Abraham Jacobs się roześmiał. – Zaczekaj chwilę, przejdę do gabinetu. Wolałbym, żeby moja asystentka nie domyśliła się, jakich miernych mam znajomych.

Parę sekund później Abe Jacobs był już u siebie i asystentka mogła odłożyć słuchawkę centralki.

– Czemu więc zawdzięczam ten telefon? Przy okazji dziękuję, że wyciągnąłeś mnie z zajęć. To banda jeszcze większych kretyków niż ty i twoja grupa z czasów, gdy uczyłem was w Penn State.

Abe Jacobs był opiekunem i promotorem Mercera, gdy ten zaczął pracę i studia doktoranckie na Penn State. Od tamtej pory, mimo upływu lat, często korzystał z porad byłego profesora. Rzadko się widywali, ale silna więź między mistrzem a wybitnie zdolnym uczniem nie osłabła.

– Abe, byłem właśnie na spotkaniu, na którym padło twoje nazwisko.

– Nie mów, że właśnie wyszedłeś z posiedzenia rady etyki mojego uniwerku?

– Abe, obaj wiemy, że żona popuszcza ci smycz tylko na tyle, byś mógł poruszać się między salą wykładową a laboratorium.

– Taka jest brutalna prawda.

– Więc tym bardziej będzie zaskoczona, bo nie wracasz dziś do domu na obiad. Zdaje się, że parę lat temu wysłałeś do CIA jakieś wyniki badań.

– Chwileczkę. Mercer. Skąd o tym wiesz? To była ściśle tajna informacja.

– Paul Barnes, szef CIA, mi powiedział.

– Aha.

– CIA właśnie cię namierza, ale zajmie im to pewnie parę godzin. Uważają, że jesteś metalurgiem, a nie geologiem. Pomyslałem sobie, że ich uprzedzę i jednocześnie dam Bamesowi lekcję pokory. Chcą cię widzieć jak najszybciej w Waszyngtonie, razem z całą dokumentacją dotyczącą twojego raportu.

– Ale o co chodzi? W gruncie rzeczy to praca teoretyczna. Bez dwudziestu lat badań nie da się potwierdzić tego, na co wpadłem.

– Powiedzmy, że ktoś już się zajął potwierdzaniem twojej teorii. Jedź na lotnisko w Pittsburgu, wyczarteruję ci jakiś samolot, którym przylecisz.

– Nie rozumiem, jakim cudem...

– Abe – przerwał mu Mercer – wyjaśnię ci to dziś wieczorem po drodze do Białego Domu.

Przerwał połączenie, po czym zadzwonił na lotnisko. Zarezerwowanie samolotu i pilota wyczyściło dwie karty kredytowe, ale nie przejął się wydatkiem. Pamiętał o długu, jaki miał wobec niego rząd, i cena wycarterowanego odrzutowca była niczym, w porównaniu z kosztami naprawy podziurawionego jaguara.

BANGKOK, TAJLANDIA

Minister Lujian, przedstawiciel Chin, wpisał swoje nazwisko do ciężkiej księgi podsunętej mu przez ministra Trcna z Tajwanu. Lujian złożył zamaszysty podpis i przesunął księgę po błyszczącym blacie stołu do siedzącego po lewej stronie ambasadora Marco Quirino, przedstawiciela rządu Filipin.

Wraz z każdym kolejnym podpisem przytłaczająca atmosfera spotkania robiła się coraz lżejsza. Rozległy się też ciche pomruki aprobaty, dochodzące z niewielkiej galerii widzów, którym pozwolono przypatrywać się ambasadorom, wyrażającym w imieniu swoich rządów zgodę na postanowienia dokumentu. Obserwatorzy nie mieli pojęcia o tygodniach frustrujących opóźnień, które były zmorą szczytu w Bangkoku, mimo to jednak podświadomie czuli, że są świadkami wielkiego sukcesu dyplomatów.

Księga podpisów trafiła teraz w ręce ambasadora Rosji, Gienadija Perczenki. Uważny obserwator z łatwością mógł dostrzec delikatny wzrost napięcia wśród delegatów. Ten podstępny Rosjanin stał się powodem ich parotygodniowej frustracji. I nagle, nie wiadomo dlaczego, tego ranka oświadczył, że nie ma już więcej zastrzeżeń. Dokumenty do podpisu delegatów przygotowano już dawno, więc ambasador Tajlandii, Prem, zaproponował, żeby

wszyscy zebrali się i złożyli podpisy, co spotkało się z aprobatą pozostałych.

Kenneth Donnelly, amerykański podsekretarz do spraw handlu, nachylił się ku Perczence i szepnął, ledwie poruszając ustami:

– Mam szczerą nadzieję, że wiesz, w co pogrywasz, przyjacielu.

– W nic nie pogrywam, panie podsekretarzu. Chciałem tylko mieć pewność, że wszystkie kraje potraktowane zostaną jednakowo.

– Gówno prawda.

Perczenko nie zareagował na ten komentarz.

Gdy tylko złożył swój podpis, w sali rozległy się brawa. Rosjanin uśmiechnął się z wyższością i przesunął księgę do Donnelly'ego. Amerykański delegat podpisał dokument, uśmiechając się cierpko do Perczenki, po czym z głośnym trzaskiem zamknął księgę.

Ciemną noc srebrzyły strugi ulewnego deszczu, którego monotonny szum przerywały jedynie odgłosy grzmotów, wywołujące echo. Burza w niewielkim tylko stopniu złagodziła przytłaczający upał i Perczenko dyszał ciężko, gdy biegł przez dziedziniec Wat Arun w kierunku wejścia do świątyni.

Dostał od Kerikowa jasny rozkaz – miał czekać o ósmej wieczorem obok niskiego kamiennego murku, oddzielającego Świątynię Brzasku od rzeki Phraya, jednak o moknięciu w strumieniach lejącej się z nieba wody nie było mowy.

Gienadij wskoczył w podcień jednej z czterech wyłożonych ceramicznymi kaflami wieżyczek, które otaczały niemal

sześciodziesięciometrową stożkową iglicę świątyni. Marynarka dyplomaty przemokła, rzadkie włosy oblepiały długimi strąkami jego bladą twarz – niegdyś pociągłą i zdrową, teraz znużoną wyczerpaniem tak bardzo, że pod oczami utworzyły się worki, a skóra na policzkach i szyi obwisła.

Perczenko słyszał niewyraźne zawodzenie mnichów, które dochodziło z wnętrza świątyni, ale burza i wiatr pochlaniały wszelkie dźwięki, oprócz jego ciężkiego oddechu.

– Co ja tu, do cholery, robię? – wychrypiął na głos.

– Nie stosuje się pan do poleceń, panie Perczenko. Z głębokiego cienia po prawej dobiegł go głos Iwana Kerikowa.

Rosyjski pułkownik wszedł w okrąg światła, rzucanego przez liczne lampy świątyni. Wydawało się, że deszcz nie robi na nim żadnego wrażenia – stał sztywno wyprostowany, oczy miał szeroko otwarte i czujne. Perczenko zachowywał się zupełnie inaczej. Kulił się żałośnie w podcieniu i patrzył na Kerikowa spod przymrużonych powiek, jakby ten był jakąś niezmierną zjawą.

– Miał pan czekać pod murem. – Gestem ręki wskazał mu miejsce i uśmiechnął się ciepło. – Ale w tych okolicznościach, rozumiem.

Dyplomata rozluźnił się nieco i uśmiechnął, ciągle jednak mierzył pułkownika ostrożnym, nerwowym spojrzeniem.

– Zakładam, że wszystko poszło jak trzeba? – Kerikow podszedł do niego i skrył się pod osłoną masywnego portalu świątyni.

– Tak – mruknął Perczenko. Jego strach przed Kerikowem, przytłaczający już wczoraj wśród tłumów zasiadających w barze, stał się nieznośny, gdy znalazł się z pułkownikiem sam na sam.

Kerikow przerażał go od chwili, gdy zorientował się, że wpływy tego oficera KGB są nieograniczone. Wczoraj zlekceważył obawy Perczenki, dotyczące nieobecności kierownika sali i zapewnił go, że przyszedł czas, by zakończyć negocjacje w Bangkoku. Gienadij chciał zapytać, dlaczego ta zwłoka była tak niezbędna, ale zabrakło mu odwagi. Nawet w rozluźnionej atmosferze nadbrzeżnego baru pułkownik jawił się Perczence jako najbardziej złowrogi człowiek, jakiego w życiu spotkał.

– Spokojnie, Gienadij, już po wszystkim. Odniósł pan sukces – powiedział Kerikow, wyciągając z kieszeni marynarki płaską flaszkę. – Prawdziwa rosyjska wódka.

Gienadij pociągnął spory łyk. Mimo że ciepła, wódka przeszła mu przez gardło jak czysta woda. Kerikow gestem zachęcił dyplomatę, żeby wypił więcej, co ten skwapliwie zrobił.

– Niech mi pan powie, czy udało się panu wprowadzić do porozumienia moją poprawkę?

– Tak, już parę tygodni temu. Łatwo poszło. Więcej problemów miałem z odwlekaniem podpisania dokumentu. Obiecałem tajwańskiemu ambasadorowi parę spraw, które mogą być poza moimi kompetencjami.

– Tak, tak – rzucił Kerikow lekceważąco. – Ale problemów z wprowadzeniem mojej poprawki pan nie miał?

– Musieliśmy ją nieco inaczej sformułować, żeby ten Amerykanin, Donnelly, się nie czepiał, ale wszyscy się na nią zgodzili.

Inaczej sformułować? – W głosie Kerikowa nie było paniki, ale jego ton nieco się podniósł. – Czyli jak?

– Domyślałem się, że pan zapyta, więc przyniosłem ze sobą ten fragment porozumienia. – Perczenko wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki kartkę papieru i przeczytał na głos:

„Żaden kraj nie może ubiegać się o prawo własności nowych terenów, powstałych poza dwustumilowym pasem wód przybrzeżnych danego państwa w wyniku aktywności wulkanicznej lub odkładania się koralowca czy też innych procesów naturalnych, niemających związku z działalnością człowieka. Każdy nowy ład powstały w ten sposób może być badany i eksploatowany przez każdy kraj lub każdy inny podmiot, który jako pierwszy wystąpi o stosowne prawa, co stoi w zgodzie z postanowieniami artykułu 231 niniejszego porozumienia. Kwestie sporne dotyczące wyżej wymienionych terenów rozstrzygał będzie Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Hadze”.

– Donnelly zażądał umieszczenia tego zapisku o trybunale sprawiedliwości. – Gienadij pociągnął łyk wódki, czekając na reakcję Kerikowa.

Pułkownik zastanawiał się przez chwilę nad słowami Perczenki, po czym uznał, że dyplomata dość wiernie oddał treść pierwotnych sformułowań. Dzięki tej jednej poprawce Kerikow mógł przekazać wulkan koreańskiemu konsorcjum, nie obawiając się międzynarodowych głosów sprzeciwu. Stany Zjednoczone i Rosja pozbawiły się właśnie prawa do wulkanu i nieprawdopodobnego bogactwa, jakie w sobie krył.

Gdy Kerikow się odezwał, w żaden sposób nic zdradził przed Perczenką swoich emocji.

– Może być. Proszę ze mną, na rzece czeka łódź, musimy uczcić pański sukces.

Machnął ręką na dyplomatę i wyszedł z podcienia ogromnej świątyni. Niemal biegiem rzucili się w strugach deszczu w stronę kamiennego murku, oddzielającego teren świątyni od rzeki. Pomimo kropel wody, wdzierających mu się do oczu, Gienadij widział wystarczająco dużo, by zorientować się, że na przystani nie czeka żadna łódka. Właśnie odwracał się do Kerikowa, by o to zapytać, gdy ten zaatakował.

Rosyjski oficer natarł z prędkością kobry, uderzając krótką pałką w głowę Perczenki. Krew, która trysnęła z głębokiej rany, zalała mu lewe oko i mieszając się z deszczem, spływała po twarzy różowymi strugami.

Dyplomata zwałił się bezwładnie na ziemię. Kerikow z ławością zaciągnął go pod niski murek, za którym płynęła czarna jak smuga ropy rzeka. W pobliżu murku, ukryty w zaroślach czekał duży pojemnik na lód. Obok niego stały dwa duże cementowe bloki, połączone łańcuchem owiniętym miękką szmatką. Jego końce połączone były nie kłódką, ale sporą bryłą lodu, która spoczywała w pojemniku.

Kerikow wytarł napływającą do oczu wodę. Pochmurna, deszczowa noc sprzyjała mu, nie musiał obawiać się przypadkowych przechodniów, zawsze jednak istniała obawa, że któryś z mnichów przyjdzie nad rzekę, by złożyć ofiarę. Ułożył nieprzytomnego Perczenkę na murku. Dyplomata oddychał płytko, ale równo. Dobrze.

Po umieszczeniu na murku obydwu bloków i pojemnika na łód Kerikow owinął łańcuch wokół szyi Perczenki. Musiał się spieszyć. Łód topniał szybciej, niż się spodziewał. Pułkownik zepchnął rosyjskiego ambasadora wprost do wezbranych wód rzeki. Czarna otchłań wchłonęła go niemal bez plusku – cementowe bloki szybko poszły wraz z nim na dno.

Kerikow wrzucił do wody pojemnik i przyglądał się chwilę, jak unosi go delikatny prąd. Potem odwrócił się i poszedł do hotelu, skulony.

w ulewnym deszczu. Wyobraża! sobie raport policyjny po odnalezieniu ciała Perczenki. Rosyjski dyplomata świętował podpisanie traktatu, badania krwi wykazą obecność alkoholu. Może nie był pijany, ale na pewno wstawiony. Padał deszcz i pośliznął się w pobliżu rzeki. Upadając, uderzył głową o kamienny murek i wpadł do wody. Nie będzie żadnych dowodów przestępstwa, bo owinięty szmatką łańcuch, trzymający go na dnie, nie zostawi żadnych śladów na szyi i zniknie w mule. Łód, który spinał jego końce, rozpuści się w ciągu dziesięciu minut i ciało Perczenki po prostu wypłynie na powierzchnię.

Godzinę później Kerikow siedział ze szklanką szkockiej w salonie swojego apartamentu hotelowego, wykąpany i przebrany w tradycyjny garnitur. Za ukrytymi za zasłoną drzwiami balkonowymi słyszał miarowe bębnienie deszczu o wyłożone płytkami patio. W eleganckim pokoju panował półmrok, paliła się tylko lampa, wisząca nad kanapą, która jasną plamą oświetlała rozłożone na stoliku papiery. Studiował je wiele razy w ciągu ostatnich dni i czuł, że mógłby cytować treść z pamięci. Były

jego przepustką do przyszłości poza Rosją, przyszłości, o jakiej nigdy nie marzył.

Lód delikatnie zastukał o ściankę szklanki, gdy pociągnął mały łyk szkockiej. Odstawił jądokładnie na okrąg skroplonej wody, który został na pokrytym szkłem stole, i podniósł pierwszy z brzegu dokument. Szacunki dotyczące złóż minerału, na podstawie badań z ostatnich kilku miesięcy, przygotował doktor Borodin. Liczby oszałamiały. W każdej tonie wydobytego materiału wulkanicznego znajdowało się ponad trzy i pół kilograma wysokoprocetowej rudy. Po przetworzeniu z tej ilości można było otrzymać około pół kilograma wysokiej jakości metalu, który charakteryzował się niezwykle wprost właściwościami. Dla porównania, Borodin wyjaśnił, że w odkrywkowych kopalniach diamentów trzeba zdjąć dwieście pięćdziesiąt ton wierzchniego materiału na każdy karat diamentu, co daje stosunek rzędu jednego miliarda do jednego.

Kerikow wziął kolejną kartkę. Plan wydobycia minerału opracowany przez Borodina. Według niego statek, wyposażony w potężną pompę, miał zakotwiczyć w pobliżu jednego z mniej aktywnych kraterów wulkanu. Następnie z pokładu statku opuszczono by do wnętrza krateru wolframową rurę i włączono pompę. W ten sposób lava bezpośrednio miałaby być pompowana na statek, gdzie chłodzono by ją i rozbijano na kawałki, które z kolei przeładowywano by na oczekujące rudowce, przewożące wydobyty materiał do huty gdzieś na lądzie. Jedynym poważnym kosztem był statek wyposażony w pompę.

Wkrótce po zaakceptowaniu pomysłu Kerikowa Koreańczycy zlecieli budowę takiej jednostki w Pusan.

Rozległo się pukanie do drzwi. Kerikow ułożył równo papiery, pociągnął jeszcze łyk szkockiej i poszedł otworzyć. W progu stało dwóch młodych Azjatów, każdy z nich trzymał wypchaną walizkę. Rosjanin bez słowa zaprosił ich do środka.

Koreańczycy otworzyli walizki, w których znajdował się sprzęt elektroniczny. W pośpiechu podłączali urządzenia: kamerę, monitor i podłączony do laptopa aparat nadawczo-odbiorczy. Jeden z nich ustawił na drewnianej balustradzie patio rozkładany talerz niewielkiej anteny. Ze znajdującej się dwadzieścia metrów niżej ulicy stalowa siatka talerza była zupełnie niewidoczna.

Gdy sprzęt mógł już pracować, mężczyzna zaczął wystukiwać na klawiaturze komendy. Urządzenia szumiały i popiskiwały, a na kolorowym ekranie pojawił się obraz kontrolny. Drugi mężczyzna trzymał przed obiektywem kamery tekturową kartę, której obraz wypełnił ekran wielkiego, zawieszzonego na ścianie telewizora gdzieś w Pusan. Technicy spojrzeli na siebie, skinęli głowami i wyszli z pokoju. W sekundę później obraz kontrolny zniknął z ekranu monitora i zastąpił go widok pięknego pomieszczenia.

Kerikow usiadł na kanapie na wprost cyklopowego oka minikamery. Na ekranie monitora dziewięciu starszych dżentelmenów zasiadało wokół połyskującego czarno stołu. Żaden nie miał mniej niż siedemdziesiąt lat, ale w ich oczach widać było czujność i rozwagę. Twarze każdego z nich znaczyły głębokie zmarszczki, a głowy srebrzyła siwizna. Na ścianie za ich plecami

wisiał gobelin, upamiętniający podbój Azji przez Czyngis-chana. Z obu jego stron stały dwie ogromne terakotowe wazy.

Kerikow skinął lekko głową w geście szacunku wobec dziesięciu szefów Hydra Consolidated. W odpowiedzi każdy z nich ledwie zmrużył oczy. Po zakończeniu nonsensownego wschodniego rytuału Kerikow powiedział:

– Dobry wieczór, panowie.

– Dobry wieczór, pułkowniku Kerikow. – Łącze satelitarne kodowało ich głosy i automatycznie tłumaczyło z koreańskiego na rosyjski i odwrotnie. System działał całkiem niezłe, o ile rozmówcy nie używali zbyt zawiłych sformułowań i podtekstów. Tak jak w czasie poprzednich negocjacji, w imieniu syndykatu mówił Way Hue Dong. – Ufam, że taka forma rozmowy jest dla pana do przyjęcia.

– Jestem już gotów przejść do realizacji naszych uzgodnień. – Chcielibyśmy wiedzieć, skąd takie opóźnienie? – Elektroniczny syntezator mowy maskował irytację w głosie Waya, ale pytanie samo w sobie zdradzało jego emocje.

– Zapewniam panów, że ma ono uzasadnienie. – Kerikow wiedział, że dobrotliwy uśmiech na nic się nie zda, więc go sobie darował. – Gdy zobaczycie, w którym miejscu zlokalizowane są złoża rudy, zrozumiecie, że ich zabezpieczenie wymagało podjęcia odpowiednich kroków.

– Liczę, że nasze przyszłe działania nie zostaną zakłócone?

– Nie, nie zostaną – pospiesznie zapewnił Kerikow. Zawarte w Bangkoku porozumienie wiązało ręce Amerykanom i Rosjanom. Jediną przeszkodę stanowił Takahiro Ohnishi,

ale zanim Koreańczycy dotrą do wulkanu, Japończyk zostanie wyeliminowany.

Układ z pełnym rasistowskich uprzedzeń miliarderem był koniecznym ryzykiem, które Kerikow musiał podjąć w grze o „Kuznię Wulkanu”. Ohnishi został zaprogramowany, by podjąć próbę oderwania Hawajów od Stanów Zjednoczonych, i Rosjanin potrzebował go aż do ostatniej chwili. Teraz jednak mineralne bogactwo wulkanu leżało poza strefą wpływów Amerykanów i poza kontrolą Ohnishiego, nawet gdyby udało mu się wywalczyć niepodległość.

– Więc wszystko jest w porządku? – Pytanie Waya przywróciło Keri-kowa do rzeczywistości.

– Tak, jestem gotów wysłać panom ostatnie dane. – Pułkownik starannie ukrył napięcie, ściskające mu żołądek.

– A my jesteśmy gotowi podać panu numer konta. – Kerikow widział bezdźwięczny ruch warg Koreańczyka na długo przedtem, nim jego uszu dobiegał beznamiętny głos komputera. – Na znak dobrej woli podamy go pierwsi.

Way skinął na stojącego poza obiektywem kamery asystenta. Chwilę później podłączony do odbiornika dalekopis zaczął miarowo stukać. Kerikow postanowił nie odrywać wzroku od kamery. Odwrócenie głowy w stronę dalekopisu oznaczałoby utratę twarzy.

Gdy maszyna ucichła, pułkownik włożył kilka kartek do przenośnego faksu, podłączonego do łącza satelitarne. Zawierały one ostatnie szacunki i raport dotyczący tempa wnoszenia wulkanu, a także jego dokładne współrzędne.

Kerikow zauważył, że spojrzenie Waya utkwione jest w kimś poza polem widzenia kamery, rzucił więc okiem na wydruk dalekopisu. Do jednego z karaibskich banków przelano właśnie sto milionów dolarów. Numer transakcji oraz numer konta widniały na dole strony.

Way Hue Dong otrzymał od niewidocznego technika potwierdzenie i odwrócił się do kamery.

– Informacje brzmią wiarygodnie, panie Kerikow. Teraz już chyba wiem, skąd to opóźnienie, i podziwiam pańską śmiałość. Proszę mi wybaczyć – dodał po chwili – ale pieniądze na koncie są zamrożone. Nie może pan z nich korzystać do chwili, gdy wyślę do banku jeszcze jeden zestaw kodów.

Way nie okazał żadnych emocji w związku z użytym podstępem.

– Gdy tylko moi inżynierowie dotrą na miejsce i potwierdzą pańskie informacje, otrzyma pan dostęp do pieniędzy.

Kerikow słuchał, ale ledwie mógł powstrzymać wzbierającą w nim wściekłość.

– Z pewnością rozumie pan, że musimy zabezpieczyć tę ogromną sumę przed defraudacją – dodał Way. – Nie chodzi o to, że panu nie ufamy. Gdy ocenimy wartość tego nowego minerału, wyślę do banku zestaw kodów i pieniądze będą pańskie. Dobranoc panu, pułkowniku Kerikow.

Monitor zgasł. W apartamencie Kerikowa kamera wciąż przekazywała obraz, więc dziewięciu Koreańczyków widziało, jak Rosjanin kopniakiem rozbija monitor laptopa i z furją ata-

kuje przekąźnik. Obraz na ich ekranie zniknął, gdy rozjuszony Kerikow kopnął kamerę, roztrzaskując ją na kawałki o ścianę.

– Wy skurwysyny! – wściekał się Kerikow, gdy opanował się na tyle, by wydobyć z siebie głos. – Wy zasrane bydlaki!

Rosjanin szalał jeszcze około dziesięciu minut, bluzgając przekleństwami, jak nigdy od czasów Afganistanu. Kiedy trochę się uspokoił, wypił do dna rozcieńczoną szkocką ze szklanki, a potem pociągnął kilka potężnych łyków z butelki. Przestał, gdy mocny alkohol jak ogień palił mu wewnątrz.

Koreańczycy w jakiś sposób odkryli, że działał bez zgody swojego rządu, a sto milionów dolarów miało zasilić jego prywatne konto, a nie rosyjski budżet. Wiedząc, że nie muszą się obawiać reakcji władz Rosji, mogli w nieskończoność opóźniać przekazanie pieniędzy i jednocześnie zbierać plon, jaki wyda wulkan Borodina. Bez wsparcia zbrojnego Kerikow nie mógł im przeszkodzić.

Zaśmiał się, stojąc pośród kawałków rozbitego sprzętu. Musiał przyznać, że został przechytrzony. Ale uśmiech zniknął i w oczach Kerikowa zapłonął ogień piekielny. Nie ma mowy, żeby pozwolił tym koreańskim gnidom wyprowadzić się w pole, gdy w rękawie ciągle ma asa.

BIAŁY DOM

Paul Barnes niemal skulił się w fotelu, siedząc na wprost prezydenta, jakby liczył, że miękka skóra osłoni go przed pogardliwym spojrzeniem szefa. Prezydent, zazwyczaj spokojny i zrównoważony, był wściekły. Szefowi CIA nic udało się znaleźć doktora Jacobsa.

– Sir, ten raport wylądował na moim biurku lata temu – próbowałem wyjaśniać, ale brzmiało to nieprzekonująco.

– Jesteś szefem najpotężniejszej sieci szpiegowskiej na świecie i nie potrafisz znaleźć człowieka, który mieszka niewiele ponad trzysta kilometrów od Waszyngtonu?!

Zadzwoił interkom.

– Tak? – rzucił do mikrofonu prezydent.

– Przyszli pozostali, sir.

– Dzięki, Joy. Niech wejdą. – Prezydent spiorunował wzrokiem Barnes'a. – Porozmawiamy później.

Do Gabinetu Owального wszedł Dick Henna, a zaraz za nim admirał Morrison. Byli przygnębieni, mieli poszarzałe twarze i wyglądali mizernie. Henna nalał sobie do szklanki szkockiej i od razu pociągnął spory łyk.

– Gdzie jest doktor Mercer? – zapytał prezydent.

– Pewnie spóźni się parę minut – powiedział Henna. Zaczekamy na niego?

– Nie, nie mamy czasu – odparł wolno prezydent. – Dick, jak wygląda sytuacja na Hawajach?

– Obawiam się, że nie mam zbyt wiele do powiedzenia, sir. Ohnishi więcej się nie odezwał. Paru agentów ma pod stałą obserwacją jego dom, ale nie zauważyli nic niepokojącego. Podśłuchy także nic nie wykazały, choć wątpliwe, żeby poufne rozmowy odbywały się za pomocą otwartych linii naziemnych.

– Znaleźliście jakieś powiązania między Ohnishim, a burmistrzem Takamora?

– Takamora wszedł wczoraj wieczorem do rezydencji Ohnishiego, ale do tej pory jej nie opuścił. Przepuszczamy, że opracowują wspólnie szczegóły przewrotu. Wiele wskazuje, że Takamora będzie firmować całą tę sprawę, bo jest bardzo popularny na wyspach, a Ohnishi pokieruje z tylnego fotela.

– A co ty masz, Tom?

Morrison odchrząknął.

– No cóż, nawiązałem kontakt z dowódcą bazy w Pearl Harbor. Przekazał mi, że na MacArthur Boulevard, przed główną bramą bazy, zebrał się spory tłum, jakieś trzysta osób. Nie wyglądają na uzbrojonych, ale zdaje się, że wezwana parę godzin temu Gwardia Narodowa stoi po ich stronie. Kazałem wyciągnąć z Pentagonu akta dotyczące poboru do hawajskiej Gwardii Narodowej. W ostatnich latach odrzucono nadspodziewanie dużo podań, przede wszystkich białych, czarnych i Latynosów. W ciągu ostatnich trzech lat odsetek gwardzistów pochodzenia

japońskiego wzrósł tam do osiemdziesięciu sześciu procent. W tej sytuacji nie zawaham się stwierdzić, że Takamora stworzył sobie prywatną armię, i to pod naszym nosem.

– Opracowaliście jakieś warianty działań, gdyby faktycznie chcieli dokonać secesji? – Prezydent przesunął wzrokiem po twarzach zebranych, czekając na odpowiedź.

– No cóż – zaczął admirał Morrison – krążownik „Kitty Hawk” i okręt desantowy „Inchon” zajęły pozycję w bezpośredniej bliskości Hawajów. Pearl Harbor postawiono w stan pełnej gotowości, chociaż na pański rozkaz nic ruszają się z miejsca. Jeśli Ohnishi spróbuje użyć siły w przejmowaniu władzy nad wyspami, z łatwością przerzucimy tam naszych chłopców. Tłumy jego zwolenników i gwardziści nie dadzą rady naszym siłom.

– Rozkaz strzelania do amerykańskich obywateli w ogóle nie wchodzi w rachubę. – Twarz prezydenta wykrzywił grymas bólu. – Niech to szlag. Sprawuję władzę nad najlepiej wyszkolonymi i uzbrojonymi ludźmi i gównu mi po tym.

Mężczyźni obecni w gabinecie obserwowali ze stoickim spokojem wewnętrzne zmagania prezydenta. Każdy w duchu dziękował losowi, że to nie on siedzi teraz po drugiej stronie biurka.

Admirał chrząknął.

– Przeprowadzony z chirurgiczną precyzją atak z powietrza na dom Ohnishiego rozwiązałby problem. Odetnijmy łeb, a wąż zdechnie, że się tak wyrażę.

– A jak to wytłumaczą mieszkańcom Hawajów? Oni go bardzo szanują. Jezu, on co roku daje hawajskim organizacjom

charytatywnym jakieś dwadzieścia milionów dolarów! Jego śmierć wywołałaby oddolną rewolucję.

– A może wyślemy komandosów? – zaproponował Paul Bames. – Potem ujawnimy informacje o udziale Rosjan. Przyznamy się do wszystkiego i postawimy Ohnishiego przed sądem.

Henna miał gotową odpowiedź.

– Nasz wywiad twierdzi, że rezydencja Ohnishiego jest pilnie strzeżona. Taka misja zakończyłaby się regularną bitwą. Rozpętałaby się burza, gorsza niż ta po akcji w Waco w 1993 roku*. [Mowa o nieudanej akcji zajęcia przez FBI farmy położonej w pobliżu Waco w Teksasie, zamieszkaney przez członków sekty Gałąź Dawida. W jej wyniku zginęło ponad siedemdziesiąt osób, w tym ponad dwadzieścioro dzieci (przyp. tłum.)] Biorąc pod uwagę ostatnie sondaże, mocno wątpię, czy obecna administracja by przetrwała. Z całym szacunkiem, sir.

– Nie ma sprawy – odparł prezydent ponuro.

Przez następną godzinę najważniejsi ludzie w państwie omawiali różne wyjścia z sytuacji, ale każdą propozycję po chwili odrzucano, każda niosła ze sobą ten sam skutek: koniec administracji.

– Może to właśnie jest jedyne wyjście – zastanawiał się prezydent.

Zabrzączał interkom i Joy Craig poinformowała, że w końcu pojawił się Mercer i przyprowadził ze sobą gościa.

Kiedy Mercer przedstawił zgarbionego Abrahama Jacobsa, prezydent rzucił Bamesowi wściekle spojrzenie. Henna pozwolił sobie na lekki uśmiech.

– Doktorze Mercer, gdy skończy się panu umowa z USGS, chętnie zatrudnimy pana w FBI.

– Jakoś nie widzę siebie w roli jednego z pańskich blondaszków, panie Henna. Nie za dobrze znoszę też rozkazy.

– Doktorze Jacobs, ma pan obraz sytuacji? – przerwał im prezydent.

Jacobs, ciągle oszołomiony obecnością tak wysoko postawionych osób, ledwie zdołał przytaknąć. Widząc jego zakłopotanie, Mercer pospieszył na ratunek.

– Powiedziałem panu Jacobsowi, że jest tu potrzebny w związku z dokumentem, który kilka lat temu przesłał do CIA.

– Tak, zgadza się. – Jacobs odzyskał głos, ale na jego łysej głowie perliły się krople potu.

– Czy mógłby nam pan przybliżyć założenia pańskiego raportu? – zapytał prezydent.

Po kilku odkaszlnięciach i chrząknięciach Jacobs zaczął mówić.

– Osiem lat temu ośrodek doświadczalny w White Sands poprosił mnie o wykonanie analizy próbek minerałów, które wydobyto w miejscu przeprowadzenia testów nuklearnych w okolicy Bikini w 1946 roku.

Próbki znajdowały się w starym magazynie, który miał zostać zburzony, więc ośrodek skontaktował się z kilkoma niezależnymi ekspertami w całym kraju. Do zbadania było około osiemnastu tysięcy próbek minerałów, niektóre pochodziły z początku lat czterdziestych. – Głos Jacobsa brzmiał już spokojnie i stanowczo. – Wśród próbek, które zgodziłem się dla nich ocenić, znalazł się

zbiór skał. jakieś sześć kilogramów, wydobytych z dna oceanicznego w okolicach atolu Bikini po drugiej serii testów, w czasie których bomba eksplodowała pod powierzchnią wody. Pierwsze analizy wzbudziły moją ciekawość na tyle, że poprosiłem o wszelkie dane, jakie po przeprowadzeniu testów uzyskano w wyniku badań próbek wody, gleby i skał, zebranych wokół Bikini w 1946 roku. Kilka następnych miesięcy spędziłem na analizowaniu dwunastu tysięcy stron dokumentacji. Zdałem sobie wtedy sprawę, że potencjalną wartość ma tylko jedna próbka, kilogramowy kawał skały pobrany bezpośrednio z epicentrum wybuchu. Był to kamień balastowy z LSM-60, statku, pod którym podwieszono bombę. To cud, że skała nie wyparowała podczas wybuchu. Tak wtedy myślałem.

Ostatnie zdanie sprawiło, że wszyscy pochyłili się lekko do przodu.

– Kamień balastowy – mówił Jacobs – składał się głównie z rudy wanadu, co jest zdumiewające o tyle, że wanad występuje głównie w Ameryce Północnej i Południowej oraz w niektórych rejonach Afryki. To, że znalazł się wśród gładów służących jako balast statku na Pacyfiku, jest zapewne jednym z tych dziwnych przypadków, jakie spotyka się podczas wojny. Ale do rzeczy. Być może panowie nie wiedzą, wanad jest stosowany do wzmocnienia stali, służącej do wyrobu urządzeń precyzyjnych oraz wykorzystywanej do ciężkich prac, gdyż jest bardzo wytrzymała. Może dlatego nie wyparował, jednak to mało prawdopodobne. Rozkrużyłem próbkę i umieściłem ją w spektrometrze, żeby sprawdzić, jakie inne składniki zawiera skała. Tych standardowych, na

przykład miki, nie brałem w ogóle pod uwagę. Odkryłem jednak coś ciekawego. Do rudy wanadu przyczepione były śladowe ilości jakiegoś stopu metalu. Z początku myślałem, że jest to czysty wanad, wytopiony z rudy z powodu żaru eksplozji. Gdy jednak poddałem tę teorię próbie, okazało się, że nie mogłem się bardziej mylić. Ten metal okazał się czymś zupełnie nowym, czymś, czego nie potrafiłem wyjaśnić. Rozkruszyłem resztę próbek, otrzymanych z ośrodka w White Sands. i znalazłem więcej tego nowego metalu, w sumie około dwudziestu gramów. Niezbyt wiele, ale wystarczająco, żeby kontynuować badania. Czy któryś z panów wie, co to jest inwar?

Tylko Mercer nie odpowiedział pustym spojrzeniem.

– Tak, jest to stop metali, w trzydziestu sześciu procentach składa się z niklu, śladowych ilości magnezu, krzemu i węgla, a resztę stanowi żelazo – powiedział.

– Mój najlepszy student zasłużył na ocenę celującą. Inwar został wynaleziony przez laureata Nagrody Nobla, Charles'a Guillaume'a. Ten stop metali charakteryzuje minimalny współczynnik rozszerzalności cieplnej, około jednej milionowej centymetra na każdy stopień Celsjusza wzrostu temperatury. Niezwykle wysoka temperatura towarzysząca eksplozji, zapewne około pięćdziesięciu tysięcy stopni albo więcej, kazała mi podczas badań myśleć o inwarze. Zastanawiałem się, czy te dwa metale mają podobne właściwości. Podgrzałem swoje próbki. Przy siedmiu tysiącach stopni metal w ogóle się nie rozszerzał, a przy dwunastu tysiącach zmianę można było liczyć w milionowych częściach milimetra.

Techniczny język zaczynał powoli wprowadzać chaos w umysłach słuchaczy Jacobsa, ten jednak zdawał się nie zwracać na to uwagi.

– Ciągłe go podgrzewałem, ale nie udało mi się osiągnąć temperatury topnienia.

Na twarzy Mercera pojawił się przebiegły uśmiech. Wydawało mu się, że wie, do czego zmierza profesor. A jednak jego mina wyrażała kompletne zdumienie, gdy Jacobs ujawnił kolejny fakt.

– Następny test przeprowadziłem z użyciem prądu. Przepuściłem przez próbkę jeden milidżul i stworzyłem jednokierunkowe pole magnetyczne o sile około sześciu tysięcy gausów.

– Jezu! – wykrzyknął Mercer.

– Nic nie rozumiem. – Prezydent wyraził to, co czuła reszta słuchaczy.

– Panie prezydencie, gdybym wtedy miał na ręku stalowy zegarek, to pole magnetyczne zerwałoby mi go z ręki z odległości trzech metrów.

Teraz na twarzach wszystkich pojawiło się zdumienie.

– Po tym eksperymencie ułożyłem próbkę tak, żeby stanowiła zamkniętą pętlę, po czym przepuściłem przez nią prawdziwy prąd, że tak powiem. Udało mi się utrzymać pole magnetyczne o natężeniu osiemdziesięciu milionów gausów przez siedemnaście sekund. Potem nastąpiło zwarcie w sprzęcie pomiarowym.

– Zawiódł sprzęt, a nie próbka – wtrącił Mercer. I tym razem tylko on cokolwiek pojął z wykładu Jacobsa.

– Wytworzone ciepło stopiło przewody pomimo chłodzenia ciekłym tlenem. Nie udało mi się jednak osiągnąć nasycenia

magnetycznego próbki ani jej temperatury Curie, po której osiągnięciu materiał magnetyczny gwałtownie traci swoje właściwości. Temperatura Curie dla kobaltu wynosi mniej więcej tysiąc sześćset stopni Celsjusza. Najwyższa zanotowana do czasu moich doświadczeń. Eksperyment zakończył się gdy stopiły się przewody. Temperatura wynosiła wtedy siedem tysięcy stopni. W tym momencie ciśnienie magnetyczne w obrębie pola wynosiło jakieś czterdzieści tysięcy ton na cal kwadratowy. Proszę pamiętać, że nie jestem ekspertem w tej dziedzinie. Nie miałem odpowiedniego sprzętu do prowadzenia dalszych badań, ale twierdzę, że ten nowy pierwiastek może generować wystarczająco silne pole, by stworzyć studnię magnetyczną.

– Studnię magnetyczną?

– Coś na podobieństwo czarnej dziury, tyle że z wykorzystaniem magnetyzmu, a nie grawitacji. Pole w obrębie studni jest tak silne, że zakrzywia światło, a czas zwalnia w miarę zbliżania się do horyzontu zdarzeń.

– Chce pan powiedzieć, że można to wykorzystać do zbudowania czegoś w rodzaju wehikułu czasu?

– W rzeczy samej, admirale, chociaż opracowanie tej technologii trwałoby lata. Bikinium może jednak mieć wiele zastosowań tu i teraz. Gdy odkryłem jego znaczenie strategiczne, natychmiast skontaktowałem się z władzami. Konsultowałem kiedyś parę spraw dla Pentagonu, więc przekazałem wyniki swoich badań ludziom, z którymi wcześniej współpracowałem. Parę miesięcy później powiedziano mi, że bym dał sobie z tym spokój, więc już się nad tym nic zastanawiałem.

– Bikinium?

– Tak nazwałem ten nowy metal. Chciałem nazwać go swoim nazwiskiem, ale „jacobinium” brzmiałoby idiotycznie. – Jacobs roześmiał się z własnego dowcipu.

– O jakich zastosowaniach pan mówi? – zapytał prezydent.

– Panie prezydencie, metal, który właśnie opisałem, ma więcej zastosowań w technologiach wojskowych, kosmicznych i energetycznych, niż jestem w stanie wymienić.

– Nie rozumiem.

– Największe wyzwania, z jakimi zmagają się obecnie największe korporacje, polegają na ograniczeniach związanych z materiałami. Naukowcy mają pomysły i technologię, by stworzyć niezwykle wprost wynalazki. Niestety, brakuje im materiału, z którego mogliby je zbudować. Postęp technologiczny musi poczekać na odpowiednie surowce. Proszę tylko pomyśleć o zmniejszeniu wagi pojazdów, gdy silniki ceramiczne staną się rzeczywistością. Ich projekty już istnieją, jednak ceramika nie jest w stanie wytrzymać ciśnień powstających w wyniku wewnętrznego spalania. Rozumie pan?

– Chyba tak.

– Podam panu kilka bardziej egzotycznych zastosowań biki-
nium w już istniejących konstrukcjach: termalne i magnetyczne osłony reaktorów, dysze napędów nuklearnych dalekosieżnych statków kosmicznych, przenośne superakceleratory zderzeniowe, samochody elektryczne albo ponaddźwiękowe pociągi o napędzie magnetycznym, które nie będą potrzebować nadprzewodnictwa.

Wszystko, co wykorzystuje siłę pola magnetycznego albo jest ograniczone tarciem, będzie mogło działać tysiąc razy wydajniej.

– Teraz rozumiem.

– Najlepsze zostawiłem na koniec, panie prezydencie. – Oczy Jacobsa zapłonęły gorączkowym podnieceniem. – Darmowy lunch.

– Słucham?

– Tak fizycy nazywają system, który wytwarza więcej energii, niż jej zużywa. Według teorii Einsteina jest to niemożliwe ze względu na prawo zachowania masy i energii, ale człowiek i tak go poszukuje. To swego rodzaju Święty Graal fizyków. We współczesnej elektrowni spalane są węgiel, ropa naftowa albo rozbijane atomy, żeby wyzwolić energię. Zgadza się?

Wszyscy pokiwali w skupieniu głowami.

– Bikinium, wykorzystane w dynamach generatorów prądu, wytworzyłoby o wiele silniejsze pole magnetyczne niż ilość energii, którą by mu dostarczono.

– Przepraszam, ale znów się pogubiłem.

– Silnik elektryczny i generator prądu to w zasadzie to samo urządzenie. Gdy przyłożymy do silnika napięcie elektryczne, zacznie się obracać. Gdy zaczniemy obracać generatorem, zacznie wytwarzać prąd elektryczny. Każde z nich przekształca energię z mechanicznej na elektryczną, i na odwrót.

– Tak.

– Dzięki zdumiewającym właściwościom magnetycznym bikinium w czasie tej przemiany uwolnione zostanie więcej energii, niż się jej dostarczyło.

– Nie bierze pan pod uwagę energii, której dostarczył systemowi pierwotny wybuch nuklearny – zauważył Mercer. – Tak naprawdę cała rzecz może mieścić się w granicach prawa zachowania masy i energii.

– Nie bądź taki sprytny – zbeształ go Jacobs, jakby na powrót znaleźli się w sali wykładowej.

Dick Henna próbował ubrać w słowa to, o czym myśleli inni.

– Doktorze Jacobs, opisuje pan niewyczerpalne źródło energii...

– Tak, zgadza się – odparł z uśmiechem naukowiec.

– Doktorze... – zaczął z szacunkiem w głosie prezydent. – W jaki sposób można uzyskać bikińium w użytecznych ilościach?

– No cóż, by odpowiedzieć na to pytanie, należałby wiedzieć, w jaki sposób doszło do jego powstania. Nawet moje odkrycia są czysto teoretyczne. Przebadałem wszystkie próbki minerałów, pobrane z miejsc testów nuklearnych w Nowym Meksyku, a nawet z pierwszych prób w Los Alamos, ale nie znalazłem ani śladu tego metalu. Jego powstanie musi więc mieć coś wspólnego z wodą, co do tego mam pewność. Zacząłem poszukiwać innych różnic między próbami atomowymi na lądzie a eksplozjami podwodnymi. Nie znalazłem ani śladu rudy wanadu nigdzie z wyjątkiem atolu Bikini. Można więc stwierdzić, że wanad jest katalizatorem lub może nośnikiem nowego metalu w procesie jego formowania. Co więcej, jak wiadomo, neutrony uwolnione podczas eksplozji nuklearnej mogą zostać wchłonięte przez sól znajdujący się na całym obszarze. Uważam, że wszystkie neutrony uwolnione podczas prób atomowych zostały pochłonięte

przez zawarty w okolicznej słonej wodzie sól. Kolejną różnicą między nimi jest czas schładzania. Dzięki otaczającym Bikini wodom oceanu miejsce eksplozji ochładzało się o wiele szybciej niż po testach lądowych. Istnieje duża możliwość, że gwałtowne schładzanie także pomaga w formowaniu się bikińium. Ciśnienie również może odgrywać pewną rolę. Nie ma oczywiście sposobu na potwierdzenie moich przypuszczeń, ale żeby odtworzyć tamte warunki, należałoby zdetonować bombę atomową w oceanie w pobliżu złóż wanadu.

– Abe – Mercer zwrócił się do Jacobsa – czy ktoś mógł na to wpaść wcześniej od ciebie?

– Nikt. – W głosie naukowca brzmiał stanowczy ton. – Choć w magazynach White Sands brakowało kilku próbek, nie sądzę, by ktokolwiek na świecie mógł dojść do takich wniosków.

– Jesteś pewien? – pytał uparcie Mercer.

– Tak, niemal na sto procent. Tylko Związek Radziecki i Chiny przeprowadzały testy, podobne do tych w okolicach Bikini. Chińczycy nie mają odpowiedniej klasy naukowców, by odkryć bikińium, a jedyny znany mi Rosjanin, zajmujący się badaniem egzotycznych stopów metali, nie żyje od lat.

– Czyli od kiedy? – dociekał Mercer.

– Zdaje się, że zginął w latach sześćdziesiątych. Opublikował kilka odkrywczych artykułów, dotyczących zmian w metalach poddanych testom atomowym, ale jego prace skupiały się głównie na pancierzach czołgów i okrętów. Nazywał się Borodin. Piotr Borodin.

– O Boże – jęknął Mercer. – Mamy już zdjęcia z samolotu?

Paul Barnes wyciągnął z cienkiej koperty fotografie i położył je na biurku prezydenta. Królowały na nich fantastyczne kolory: purpura, ciemny cyjan, oślepiająca biel, błękit, ostry żółcień. Tworzyły one na zdjęciach koncentryczny wzór, jeden kolor okalał drugi, przez co obraz przypominał nieco zniekształconą tarczę strzelniczą. Na spodzie każdej fotografii widniała data, miejsce i wysokość, na jakiej leciał samolot. Mercer z podziwem zauważył, że zdjęcia robiono z wysokości czterdziestu pięciu tysięcy metrów, całe kilometry ponad atmosferą Ziemi. Był pod wielkim wrażeniem nowego SR-1 wraitha.

Czekał cierpliwie na swoją kolej przestudiowania fotografii i zastanawiał się, po co wszyscy siedzący przy biurku oficjele chcieli je obejrzeć. Oprócz Banesa, żaden z nich na pewno nie widział tego typu zdjęć robionych w podczerwieni. Uznał, że powoduje nimi taka sama ciekawość, która każe ludziom zaglądać do wykopów budowlanych.

Mercer popatrzył na niemal jednakowe fotografie, aż w końcu jego oczy wyłapały to, czego szukał. Długość geograficzna i szerokość wmontowane były w negatyw przez komputer, który sterował kamerą.

Geolog mruknął coś pod nosem.

– Co pan powiedział?

– Porozumienia z Bangkoku – szepnął ledwie dosłyszalnie.

– Powiedziałem: porozumienia z Bangkoku.

– Co to...

– To seria spotkań, które właśnie mają miejsce i najprawdopodobniej pozwolą na utratę kontroli nad największym od-

kryciem tego stulecia, a może historii w ogóle – odparł Mercer, przewidując, jakie padnie pytanie. – Abe, czy ten doktor Borodin miał dzieci?

– Nie wiem co to ma...

– Tak czy nie, do cholery? – Ton głosu geologa sprawił, że Jacobs zbladł.

– Tak, miał syna.

– Nabrali nas. – Mercer odchylił się w fotelu, odkładając zdjęcia na blat biurka. W jego oczach był podziw dla człowieka, stojącego za tą misterną intrygą.

– O czym ty mówisz?

– Doktor Borodin żyje i ma się świetnie, panowie. I wyprzedził nas o czterdzieści lat. – Mercer mówił powoli, czekając, aż jego mózg uporządkuje fakty związane ze spiskiem sprzed czterech dekad. – Dajcie mi parę minut, muszę to sobie poukładać... Założmy, że ten Borodin jakimś cudem odkrywa istnienie bikińium jeszcze w latach pięćdziesiątych i sam chce go stworzyć. Namawia Rosjan, żeby dali mu bombę atomową. Pamiętajmy, że coś takiego nie było dostępne ot, tak, dla każdego, więc projekt musiał mieć najwyższy priorytet. Następnie Borodin załadowuje statek wysokogatunkową rudą wanadu, wysyła go do ustalonego miejsca w pobliżu obszaru aktywnego wulkanicznie, i zatapia wraz z bombą. Gdy rudowiec osiada na dnie, Borodin detonuje ładunek. Później finguje swoją śmierć, żeby nikt nigdy nic dopatrzył się żadnych związków między nim a projektem.

– Czy archiwa mówią coś o jakimś zaginionym rudowcu?
– zapytał Jacobs.

– „Grandam Phoenix”, zaginął dwudziestego trzeciego maja 1954 roku – odpowiedział ostro Mercer. – Według dokumentów, wypłynął bez ładunku z Kobe w Japonii do Stanów, ale Bóg jeden wie, co przewoził.

Mercer urwał, jego oczy na chwilę zasłzy mgłą ale szybko rozbliły na nowo.

– Muszę zadzwonić, natychmiast. – Ton głosu był stanowczy i rozkazujący.

Po chwili, którą Mercer zapamięta do końca życia, prezydent Stanów Zjednoczonych podał mu słuchawkę jednego ze stojących na biurku telefonów. Mercer podyktował oficerowi dyżurnemu Białego Domu numer i czekał cierpliwie na połączenie, nieświadom, że skupia na sobie spojrzenia wszystkich uczestników zebrania.

– Berkowitz, Saulman i...

– Wystarczy – przerwał sekretarce – proszę natychmiast dać mi Saulmana. To sytuacja wyjątkowa.

W nieokiełznanym świecie handlu morskiego sekretarka przyzwyczajona była do takich telefonów, od razu więc przełączyła Saulmana, który rozmawiał na drugiej linii.

– Saulman – szybko odpowiedział stary prawnik.

– Cześć, Dave, mówi Mercer.

– Och, masz wreszcie dla mnie odpowiedź?

Mercer natychmiast zorientował się, że Saulman ma na myśli pytanie, które zadał mu na końcu przesłanego dwa dni wcześniej faksu.

– Na „Amoco Cadiz” dowodził Pasquale Bardari – odparł bez zastanowienia.

– Ty sukinsynu.

– Dave, muszę się dowiedzieć, kto był właścicielem rudowca „Grandam Phoenix”.

– W życiu o takim nie słyszałem.

– Był na liście statków zaginionych na północ od Hawajów.

– A, no tak. – Saulman ożywił się. – Dotarcie do tej informacji może mi zająć parę dni. Mam teraz roboty po uszy, obsługujemy umowę na holowanie jednego tankowca z Exxon, który dryfuje u wybrzeży Namibii. Ci popieprzeni Holendrzy wstrzymują holowniki, bo chcą wyciągnąć od Lloyda trochę forsy, a wartość tankowca wraz z ładunkiem to jakieś sto trzydzieści milionów dolców.

– Nie chcę rzucać ważnymi nazwiskami – powiedział z szatańskim uśmiechem Mercer – ale siedzę tu z prezydentem, przewodniczącym Kolegium Szefów Połączonych Sztabów oraz szefami FBI i CIA. Wszyscy czekamy na twoją odpowiedź.

Po drugiej stronie linii zapadła cisza. Mercer z podziwem zauważył, że w telefonie prezydenta nie ma żadnych trzasków. Ale muszą mieć sprzęt, pomyślał.

– Nie stroisz sobie ze mnie żartów, prawda?

– Chcesz z którymś z nich pogadać?

– Nie. Zdobycie tej informacji potrwa parę minut. Mam oddzwonić?

– AT&T ma chyba gdzieś, jak długo prezydent rozmawia przez telefon. Zaczekam.

– O co w tym wszystkim chodzi? – odezwał się prezydent, nie zwracając uwagi, że Mercer siedzi na narożniku jego biurka.

– O dowód ostateczny – enigmatycznie odparł Mercer.

Prezydent wymienił z pozostałymi spojrzenia, ale żaden z nich się nie odezwał. Czekali pięć długich minut, pochrzäkując, zakładając noga na nogę i przekładając papiery, jednak ani na chwilę nie spuszczały wzroku z Mercera.

– Mam. – Saulman dyszał, jakby brakowało mu tchu. – „Grandam Phoenix” należał do przedsiębiorstwa Ocean Freight & Cargo... – Prawnik ciągle mówił, gdy Mercer odkładał słuchawkę.

– Rudowiec zatonął w 1954 roku, a statek, który uratował Tish Talbot, ma tego samego właściciela, czyli Ocean Freight & Cargo. Do budynku tej firmy włamałem się wczoraj w nocy.

– Do tej, która ma być parawanem dla działalności KGB?

– Dokładnie tak.

– Powiedział pan coś o tym, że statek zatopiono w obszarze aktywnym wulkanicznie. Dlaczego? – zapytał Henna.

– Popraw mnie Abe jeśli się mylę, ale im głębiej nastąpi eksplozja i im większe ciśnienie wody, tym czystsze bikińum.

Jacobs przytaknął.

– Chociaż to tylko moja teoria – dodał.

– No cóż, w 1954 roku nie było technologii pozwalającej na wydobywanie jakichkolwiek minerałów nawet z głębokości paruset metrów pod powierzchnią wody, a co dopiero z kilku tysięcy. Nawet dziś metoda Frascha, polegająca na wykorzystaniu rozgrzanej pary wodnej do celów wydobywczych, nie sprawdza

się na głębokościach przekraczających sześćdziesiąt metrów. Doktor Borodin wziął sobie do serca werset z Koranu i kazał górze przyjść do siebie. Detonując bombę ponad obszarem wulkanicznym, zapoczątkowałby erupcję, a lawa wyniosłaby bikinium na powierzchnię.

– Chryste, to by się mogło udać – powiedział Jacobs zduszonym głosem. – Nigdy bym nawet nie rozważał takiej możliwości.

– Ale wulkan nie powstaje z dnia na dzień, ten proces trwa miliony lat – zauważył prezydent.

– Klasyczne procesy geologiczne faktycznie tyle trwają – zgodził się Mercer. – Jednak wulkany, tak jak trzęsienia ziemi, są bardzo dynamiczne. Wulkan w Paricutin w Meksyku wyrósł na polu rolnika na początku 1943 roku. W ciągu tygodnia pole zamieniło się w stu pięćdziesięciometrową górę, która rosła w oczach. Wulkan Borodina miał więcej czasu niż trzeba, by osiągnąć powierzchnię.

– Co teraz zrobimy? – Prezydent popatrzył na zebranych w gabinecie mężczyzn.

– Po pierwsze, musimy zablokować porozumienia z Bangkoku – odparł geolog.

– A co to ma współ...

– Panie Henna, jeśli spojrzy pan na to zdjęcie, zobaczy pan, że środek wulkanu Borodina leży tuż za dwustumilową strefą wokół Hawajów. Założę się, że Borodin tam jest i czeka, gdzie wulkan się wynurzy. Gdy tylko będzie miał pewność, że wierzchołek znajduje się poza strefą, skontaktuje się z rosyjskim ambasadorem w Tajlandii i da sygnał do podpisania traktatu.

– To uczyni z wulkanu własność niczyją, zgadza się? – zapytał admirał Morrison.

– Kto pierwszy go dostrzeże, tego będzie.

– A jeśli wulkan wynurzy się w strefie?

Nikt nie potrafił odpowiedzieć na pytanie doktora Jacobsa. To znaczy odpowiedź na nie była znana, ale nikt nie miał odwagi jej wyartykułować. Mercer rzucił okiem na doktora i zdał sobie sprawę, że naukowiec postawił to pytanie, bo naprawdę nie wie.

– W takim wypadku będziemy mieć wojnę, Abe.

Gdy z ust Mercera padło to słowo, wszyscy w gabinecie zaczęli mówić jednocześnie, przekrzykując się nawzajem. Prezydent uciszył ich, uderzając otwartą dłonią w biurko, ale gdy się odezwał, głos miał spokojny.

– Doktor Mercer ma rację. Nie możemy pozwolić, by tak bezcenny metal mógł należeć do kogoś innego z wyjątkiem Stanów Zjednoczonych. Gdy wiemy, o co toczy się gra, pogrożki Takahiro Ohnishiego nabierają o wiele bardziej złowieszczonego wymiaru. Teraz już wiadomo, dlaczego to robi. Jeśli wulkan faktycznie wynurzy się w dwustumilowej strefie wokół Hawajów, a jego przewrót się powiedzie, stanie się dostawcą prawdopodobnie najdroższego towaru na ziemi. Nie mogę jednak ciągle uwierzyć, że w to wszystko zamieszani są Sowieci. Nigdy nie mieliśmy lepszych stosunków.

Mercer zauważył, że prezydent używał teraz dawnej nazwy do określenia starego wroga. Nie była to już Wspólnota Niepodległych Państw. Teraz na powrót stali się Sowiecami.

– Paul, wykorzystaj wszystko, co masz pod ręką, żeby zdobyć jak najwięcej informacji na temat Piotra Borodina. Dla kogo pracował, zanim zniknął, i co się stało z jego dawnymi szefami. Dick, nie przestawaj węszyć wokół Ohnishiego. Chcę się dowiedzieć, dlaczego okazał się zdrajcą.

– Trochę już o nim wiemy. – Henna sięgnęła do teczki. – O, mam. Jego rodzice urodzili się w Japonii, a do Stanów wyemigrowali w latach trzydziestych. W czasie II wojny światowej zesłano ich do jednego z obozów w Kalifornii, gdzie obydwójce zmarli. Matka trzynastego czerwca 1942 roku, a ojciec pół roku później. Ohnishiego wychowywali krewni, ciotka i wuj, którzy także spędzili wojnę w obozach. Wuj Ohnishiego był notowany przez FBI za udział w antyamerykańskich demonstracjach. Dwukrotnie aresztowany: po raz pierwszy za próbę włamania się na teren Pearl Harbor i ponownie za napaść na policjanta podczas projapońskiego wiecu na Hawajach w lecie 1958 roku. Chyba nie podobał mu się pomysł przyłączenia wysp do Stanów. Widziałem jeden z pamfletów, które drukował. Pełno w nim antyamerykańskiej propagandy. Co chwila nawołuje japońskich mieszkańców Hawajów, którzy wtedy i teraz stanowili większą część społeczeństwa, do odrzucenia w referendum przyłączenia do Stanów Zjednoczonych i stworzenia niezależnego państwa, wiernego Japonii. Facet popełnił samobójstwo tuż po tym, gdy w marcu 1959 roku Hawaje włączone zostały do Unii. Nie mamy żadnych danych, że Ohnishi podzielał radykalne poglądy swojego wuja, ale tego, że ich nie podzielał, też nie wiemy. – Henna uniósł wzrok znad notatek.

– Dzięki, Dick, chyba już mamy odpowiedź.

Jednak wyjaśnienie postępowania japońskiego przemysłowca nie zmniejszyło problemu. Prezydent wyprostował się i gdy po chwili znów przemówił, jego głos dźwięczał jak stal.

– Nie wiem, jakie będzie kolejne posunięcie Ohnishiego, ale proszę o przygotowanie szczegółowego planu bitwy, nic tylko o Hawaje, ale także o ten wulkan. Nie mam pojęcia, jakie prawa, i czy w ogóle jakiegokolwiek, będziemy mieć do tej nowej wyspy, ale nie ma mowy, żebyśmy batalii o nią nie wygrali. Jeśli będzie trzeba, rozkażę rozpieprzyć ten cholerny pagórek atomem. A teraz, panowie wybaczą, muszę zadzwonić do naszych dyplomatów w Bangkoku i zakazać im podpisywania tego porozumienia. – Mężczyźni wstali, zbierając się do wyjścia. – Co godzinę chcę mieć od was raporty. Doktorze Mercer, bardzo proszę pozostać w kontakcie, na wypadek gdyby był pan jeszcze potrzebny. Profesorze Jacobs, dziękuję panu. Dopilnujemy, żeby miał pan szczęśliwą podróż do domu.

Mercer pożegnał się z Jacobsem, zostawił numer telefonu Joy Craig i poszedł po Tish. W taksówce, odwożącej ich do domu, dziewczyna próbowała wyciągnąć z niego jakieś informacje, ale Mercer milczał. Zastanawiał się, patrząc przez brudne szyby na panoramę miasta, jak zareagowałby prezydent, gdyby wiedział, że jego żona właśnie spędziła popołudnie z rosyjskim szpiegiem.

HAWAJE

Lot 217, potężny jumbojet 747 z Tokio, był ostatnim samolotem, który otrzymał zgodę na lądowanie na międzynarodowym lotnisku w Honolulu. Wierni Ohnishiemu i Takamorze pracownicy skrupulatnie wykonali ich polecenia i zniszczyli sprzęt naprowadzający samoloty oraz komputery, zawiadujące innymi skomplikowanymi systemami. Tylko samoloty w których kończyło się paliwo, otrzymały zezwolenie na lądowanie. Hawaje zostały całkowicie odcięte od reszty świata.

Samolot osiadł na pasie lotniska z piskiem kół, spod których wytrysnęły pióropusze gryzącego dymu. Ze względu na niebezpieczeństwa, towarzyszące lądowaniu bez pomocy kontrolera lotów, pilot zapewnił sobie dużo miejsca na bezpieczne hamowanie. Potężne turbiny silników Pratt i Whitney wprawiły cały kadłub maszyny w drgania, gdy pilot włączył ciąg wsteczny.

Trzystu sześćdziesięciu pasażerów nie miało pojęcia, jakie niebezpieczeństwo jeszcze przed chwilą im groziło. Wieża kontrolna zabroniła załodze informowania o jakichkolwiek problemach związanych z lądowaniem, co było jawnym naruszeniem przepisów bezpieczeństwa.

– Witamy w Honolulu – powiedziała po japońsku stewardesa. – Temperatura na zewnątrz wynosi 25 stopni Celsjusza, mamy

godzinę 13.30 czasu miejscowego i bezchmurne popołudnie. Proszę pozostać na miejscach aż do całkowitego zatrzymania się samolotu i zezwolenia na rozpięcie pasów.

Evad Lurbud nic rozumiał, co powiedziała ta drobna kobieta do chwili, gdy powtórzyła to samo po angielsku. Był jedynym pasażerem o zachodnich rysach twarzy; resztę stanowili japońscy turyści i biznesmeni, zwabieni perspektywą korzystnych interesów, które w ostatnich miesiącach intensywnie promowali Ohnishi i Takamora.

Chociaż od momentu opuszczenia Egiptu przekroczył jedenaście stref czasowych i miał dwie kilkugodzinne przesiadki – jedną w Hongkongu, a drugą w Tokio – Lurbud czuł się wypoczęty i odprężony. Lot trwał prawie siedem godzin, z których sześć i pół przespał. Przed każdym etapem podróży brał wynalezioną przez KGB czasową pigułkę nasenną. Zmieniając dawki, mógł zasypiać na określoną liczbę godzin. Jedynym skutkiem ubocznym zażycia tabletki były nudności, które trwały mniej więcej godzinę po przebudzeniu.

Boeing 747, pełen wdzięku w powietrzu, na płycie tomiska wyglądał niezgrabnie i z gracją hipopotama kołował w stronę terminalu, kołysząc skrzydłami na każdej nierówności pasa. Lurbud wołał pozostać w fotelu, przypięty według instrukcji, niż zwracać na siebie uwagę pospiesznym wstawaniem, jak to zrobiło kilku niecierpliwych biznesmenów. Wreszcie samolot się zatrzymał i obroty silników wyraźnie spadły. Do drzwi wyjściowych podjechały samobieżne schody i z samolotu zaczęły wysypywać się podróżni.

Lurbuda zdumiał poziom ochrony wewnątrz pomieszczeń odprawy celnej. Uzbrojeni członkowie Gwardii Narodowej, wszyscy o orientalnych rysach twarzy, patrolowali teren z karabinami M-16 w rękach, nie zatrzymując wzroku na jednej osobie dłużej niż sekundę.

Podczas odprawy znudzony celnik ledwie rzucił okiem na fałszywy niemiecki paszport Lurbuda i nie zadał sobie trudu, by przejrzeć jego walizkę. Lurbud odprężył się, kiedy przeszedł przez kontrolę paszportową, ale natychmiast wzmógł czujność, gdy zauważył przeciskających się do niego przez tłum pasażerów dwóch Azjatów w garniturach.

– Prosimy o paszport – zażądał jeden z nich, wyciągając rękę.

– Przeszedłem już odprawę – odpowiedział grzecznie Lurbud, doprawiając swoją nienaganną angielszczyznę odrobiną niemieckiego akcentu.

Drugi z mężczyzn błysnął srebrną odznaką w tandetnej plastikowej oprawie.

– Ochrona lotniska. Pański paszport.

Lurbud wyjął dokument z kieszeni marynarki i wręczył go pierwszemu agentowi.

– O co chodzi?

– Rutynowa kontrola, panie Schmidt – odparł Azjata, kartkując paszport. – Możemy pana prosić?

Przeszli przez podwójne drzwi i schodzili jasno oświetloną klatką schodową piętro niżej. Po drodze minęli kilku pracowników lotniska, wchodzących na górę. U dołu schodów skręcili

w długi korytarz stanęli przed ostatnimi drzwiami po lewej stronie.

Przekroczywszy próg, Lurbud instynktownie zorientował się, że jest w pokoju przesłuchań i nie chodzi o rutynową kontrolę. W surowym pomieszczeniu stał prosty stół z dwoma krzesłami. Trzecie krzesło ustawiono na środku beżowego dywanu. Wokół unosił się zapach dymu papierosowego i strachu.

Gdy drzwi się zamknęły, jeden z agentów popchnął Lurbuda na środek pokoju. Rosjanin udał, że się zatacza, i z hukiem wpadł na przeciwległą ścianę pomieszczenia, osuwając się z jękiem na podłogę.

Drugi mężczyzna chciał go podnieść i rzucić na krzesło, jednak w momencie, gdy dotknął ręką ramienia obcokrajowca, ten podskoczył z podłogi jak zwinięta sprężyna, ściskając w dłoni niewykrywalny nóż z teflonu. Błyskawicznym ruchem wbił ostrze między żebra agenta, przeszywając serce.

Lurbud wyciągnął nóż z piersi umierającego mężczyzny, zupełnie nie zwracając uwagi na fontannę krwi, która wytrysnęła z potwornej rany, po czym rzucił się w przeciwną stronę pokoju.

Drugi agent sięgał właśnie po schowany pod pachą pistolet, gdy Rosjanin uderzył. Impet, z jakim zaatakował, rzucił ich obu na stół i Lurbud natychmiast przygniótł przeciwnika całą masą swojego ciała. Uniesione w powietrzu ostrze opadło, przebijając krtań i tętnicę szyjną przerażonego mężczyzny.

Konał w mękach. Krztusił się i łapał powietrze otwartymi ustami, przyciskając dłoń do przebitego gardła. Obijał się w kon-

wulsjach o białe ściany, zostawiając na nich oraz na sprzętach i dywanie rozmazane plamy krwi.

Gdy przestał się ruszać, Lurbud wytarł nóż o jego marynarkę i wetknął go z powrotem do przymocowanej nad kostką pochwy. Szybko obejrzał swoje ubranie. Nieliczne plamki krwi były niewidoczne na garniturze z ciemnej wełny. Otworzył drzwi i widząc, że korytarz jest pusty, wyszedł. Po chwili ponownie wmieszał się w tłum podróżnych tuż obok hali głównej.

Po wyjściu z budynku minął klomby pięknych, egzotycznych kwiatów i sadzawki, w których pływały wielkie złote rybki. Zatrzymał taksówkę i upewniwszy się, że nie jest śledzony, podał kierowcy adres w centrum Honolulu.

Po dziesięciu minutach jazdy Rosjaninowi zaczęły drżeć ręce, a żołądek zacisnął się niemal do granicy bólu. Lurbud wiedział, że nie jest to reakcja uboczna zażycia w czasie lotu tabletki nasennej. W głębi serca czuł, że starcie z agentami mocno nim wstrząsnęło. Całe dorosłe życie spędził w sytuacjach podnoszących poziom adrenaliny i, jak we wszystkich uzależnieniach, ten narkotyk powoli zaczynał go niszczyć.

Na lotnisku w Kairze Lurbud otrzymał od kuriera z ambasady zalakowaną kopertę. W środku był dokładny opis sytuacji, przygotowany przez Iwana Kerikowa. Na pierwszej stronie przedstawiono aktualną sytuację na Hawajach, więc wiedział już, że w Honolulu wprowadzono stan wyjątkowy i obowiązuje godzina policyjna od ósmej wieczorem. Lurbud podjął ryzyko przewiezienia dokumentu na wyspę, gdyż zbyt wiele informacji wymagało zapamiętania. By oderwać wzrok od niepokojących

obrazów za szybą taksówki, zaczął ponownie analizować niektóre informacje. W kopercie znajdowały się końcowe rozkazy, nazwiska najważniejszych celów, szacunkowa siła przeciwnika i szyfry niezbędne do skontaktowania się ze statkiem „John Dory”. Lurbud doszedł do wniosku, że Kerikow musi mieć w otoczeniu Ohnishiego swojego człowieka, bo rozkazy zawierały szczegółowy plan domu przemysłowca i informowały, że burmistrz James Takamora nie żyje. Pułkownik KGB nie miał jednak zamiaru pozostawić swojego agenta przy życiu. Lurbud przez chwilę zastanawiał się, że on także stanie się zbędnym balastem po tym, gdy już wyeliminuje Ohnishiego i kreta.

Chociaż było wczesne popołudnie, miasto wyglądało na prawie wymarłe. Po ulicach wałęsały się jedynie oddziały Gwardii Narodowej i grupki uzbrojonych, lojalnych wobec władz, studentów. Mieszkańcy pozostawali w swoich domach, pełni obaw lub nadziei, w zależności od poglądów, jakie prezentowali. Sceneria za oknem przypominała Lurbudowi czas, który spędził w targanym wojną Bejrucie, gdzie grupki przesiąkniętych religijnym jadem małolatów siały terror i przerażenie w każdym zakątku tego najpiękniejszego z miast basenu Morza Śródziemnego.

Słupy dymu, wywołane licznymi pożarami, wznosiły się w niebo i mieszały z błękitem, by zawisnąć nad miastem brudnoszarą chmurą. Skalisty krater Diamentowej Głowy [Diamentowa Głowa – nazwa nieczynnego stożka wulkanicznego na hawajskiej wyspie Oahu (przyp. tłum.)] ledwie majaczył spowity mrokiem. W pobliżu portu przewalały się kłęby czarnego gęstego dymu, który wydobywał się z dwóch płonących zbiorników na ropę.

Toksyczne opary docierały aż do oddalonej o kilka kilometrów taksówki Lurbuda. Budynki pokieroszowane były kulami z broni małego kalibru, taksówka co chwila mijała spalone samochody i autobusy. Tereny wokół Pearl Harbor przypominały gniazdo os – niebo nad bazą należało do śmigłowców, krążących w szalonym tańcu, pozornie bez żadnego ładu.

Po czterdziestu pięciu minutach niespokojnej jazdy Lurbud zapłacił kierowcy i wysiadł w jednej z najgorszych dzielnic Honolulu. Dotarł do celu podróży. W trzypiętrowym gmachu, na parterze był sklep monopolowy, a na pierwszym i drugim piętrze znajdowały się mieszkania. Cały budynek zakupił Departament 7. w chwili, gdy do operacji „Kuznia Wulkana” włączono Taka-hiro Ohnishiego. Rosjanie potrzebowali bezpiecznego miejsca, z którego mogli obserwować rozwój wypadków. Przyszedł czas, gdy po raz pierwszy ludzie Kerikowa musieli skorzystać z kryjóWKI.

Lurbud rozejrzał się po okolicy. Opuszczone, pełne walających się śmieci parkingi, złącząca ze ścian farba, puste spojrzenia nielicznych przechodniów. Rosjanin wiedział, że prawdziwa natura tego miejsca nigdy nie wyszła na jaw. W parnym powietrzu marynarka zaczynała kleić mu się do ciała.

Po wejściu na najwyższe piętro Lurbud dwukrotnie zastukał w masywne stalowe drzwi u szczytu schodów. Po krótkiej przerwie zastukał jeszcze raz.

– Tak? – zawołał z wnętrza jakiś głos.

– Poczta. Mam przesyłkę dla Charlesa Hainesa – odparł Lurbud, rozpoczynając serię hasań i odzewów, które znalazł w instrukcji od Kerikowa.

– Od kogo? – zapytał podejrzliwie głos zza drzwi.

– Kyle Leblanc. – Lurbud dokończył hasło i drzwi stanęły otworem.

Mężczyzna, który otworzył drzwi, trzymał w widocznym miejscu automatyczny pistolet. Schował go dopiero wtedy, gdy z drugiego końca dużego pokoju odezwał się sierżant Dmitrij Demanow – Cześć! Czym się zajmujesz, skoro nie możesz już gwałcić chłopców rozgrzanymi pogrzebaczami? – Demanow miał na myśli jedną z bardziej skutecznych technik przesłuchań z czasów, gdy pracował dla Kerikowa w Afganistanie.

– Obcinam jaja niegrzecznym sierżantom – odparł Lurbud, uściskując i poklepując po plecach dawno niewidzianego kolegę. – Co słyhać, Dmitrij? – Uśmiechnął się po raz pierwszy od zabicia Suleimana.

– Nudziłem się w Mińsku, aż w końcu dostałem polecenie spotkania się z tobą tu – wyjaśnił Demanow, całując Lurbuda w tradycyjny, rosyjski sposób. – Dobrze znów cię widzieć, Evad.

– Ciebie też, przyjacielu.

Obaj walczyli razem w Afganistanie. Wspólnie przeżyli więcej mroźnych nocy i zasadzek, niż mogliby spamiętać. Demanow pozostał na polu walki po awansie Lurbuda i zakończył wojnę jako trzeci zasługujący na najwyższe odznaczenie żołnierza radzieckiego. Później został instruktorem specnazu, czyli radzieckich sił specjalnych, ostatnio jednak wycofał się z czynnej służby.

Wielki jak niedźwiedź, sierżant Demanow miał typowe cechy wojownika w najprawdziwszym tego słowa znaczeniu.

Kryjówka KGB zajmowała całe ostatnie piętro budynku. Ogromny pokój zaprojektowano tak, by można było przebywać w nim przez kilka tygodni bez potrzeby wychodzenia na zewnątrz. W środku stały łóżka dla dwunastu osób i kuchenne szafki pełne konserw i puszek. Kilka wielkich baniaków zostało wypełnionych wodą na wypadek, gdyby odcięto ją od budynku. Przez liczne okna przesączało się światło, ale rozpraszały je warstwy przyschniętego brudu i kurzu, który uniemożliwiał obserwację pokoju z zewnątrz.

– Zakładam, że wszyscy przeszli przez odprawę celną bez żadnych kłopotów? – zapytał Lurbud.

– Bezproblemowo. Przylecieliśmy, zanim zamknięto lotnisko – odparł Demanow.

Lurbud rzucił okiem na ludzi, których przywiózł ze sobą Demanow. Wszyscy byli kiedyś żołnierzami specnazu, bardziej lojalnymi wobec Demanowa niż ojczyzny. Bez wyjątku najlepiej wyszkoleni komandosi, jacy kiedykolwiek służyli w armii rosyjskiej. Potrafili o wiele więcej niż nowojorscy agenci Grigorija Breżnicowa, których dzień wcześniej zamordował nieznany sprawca. Żaden z nich nie miał wzbudzającej respekt postawy, ale otaczała ich groźna aura profesjonalizmu. Ich ciała i umysły wyostrzyły do granic możliwości ciągle ćwiczenia i doświadczenie bojowe.

Chociaż nigdy się do tego nie przyznały, zarówno Stany Zjednoczone, jak i Rosja, „wypożyczały” niektórych żołnierzy

sił specjalnych do udziału w lokalnych konfliktach zbrojnych za granicą, żeby mogli nabrać praktycznych sprawności, niezbędnych podczas operacji zbrojnych. Lurbud nie zdziwiłby się, gdyby powiedziano mu, że ledwie parę lat wcześniej ci żołnierze walczyli z Amerykanami gdzieś na wzgórzach wokół Sarajewa.

– Jakim cudem udało ci się zebrać tylu ludzi w tak krótkim czasie?

– Armia nic płaci już jak kiedyś. Jak dobrze wiesz, w tym kraju pełno jest bezrobotnych żołnierzy. Łatwiej znaleźć w Rosji komandosów niż syfilis w burdelu.

– Był czas na zapoznanie ich w Mińsku z sytuacją?

– Powiedziałem, że będą walczyć razem z tobą. Tyle im wystarczyło.

– Jesteś ich pewien, Dmitrij? Co do jednego?

Demanow zapalił papierosa i zaciągnął się kilka razy z lubością. Dopiero potem odpowiedział.

W swoim życiu trenowałem Egipcjan do walki przeciwko Izraelowi, Angolczyków przeciwko mieszkańcom RPA, Nikaraguańczyków przeciwko Salwadorczykom i jeszcze z dziesięć innych grup przeciwko dziesięciu innym. Od początku wiedziałem, że szkolę substytut armii rosyjskiej do walki z substytutem armii amerykańskiej. Za każdym razem wpadałem na jakiegoś Amerykanina albo dwóch, na „doradców”, którzy taszczyli ze sobą najbardziej zaawansowaną broń, jaką posiadali. To były jednak przelotne kontakty. Chociaż raz chciałbym stanąć naprzeciwko Amerykanów w otwartej walce i dowieść raz na zawsze, kto napakowany jest propagandą, a kto jest najlepszy. Teraz,

gdy w końcu nadarza się okazja, nie wyobrażam sobie lepszego wsparcia. To dotyczy także ciebie.

Lurbud nie krył, że jest pod wrażeniem przemowy Demanowa oraz jego pewności siebie.

– Coś mi się zdaje, że odkąd widziałem cię po raz ostatni, stałeś się filozofem.

– Nie spotkałem żołnierza, który by nim nie był – powiedział Demanow poważnie. – Tak właściwie to dlaczego ten cały Kerikow tyle nam zapłacił za to, żebyśmy tu przyjechali?

– A co ci powiedział?

– Że potrzebuje wyszkolonych komandosów, gotowych walczyć na terenie Stanów w ramach ostatniego etapu bardzo starej operacji.

– I tak, i nie. – Lurbud usiadł na jednym z łóżek. – Jesteście potrzebni, ale wasza obecność to wynik tej starej operacji. Niepokoje na wyspach są bezpośrednim skutkiem najbardziej ambitnego planu Departamentu 7. Planu, który prawie się udał. Hawaje staną się marionetką Rosji, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Jesteśmy tu, żeby posprzątać i zmniejszyć nasze straty.

Demanow nie potrafił ukryć zdumienia.

– Nic z tego nie rozumiem, Evad.

– Parę miesięcy temu Departament 7. zaproponował bardzo bogatemu i ekscentrycznemu miliarderowi, Takahiro Ohnishiemu, by pomógł mu w przeprowadzeniu operacji o kryptonimie „Kuźnia Wulkana”. W zamian za pomoc Kerikow obiecał wykorzystać rosyjskie środki, by wesprzeć przewrót, który oderwałby

Hawaje od reszty Stanów Zjednoczonych. Oczywiście Kerikow nigdy nie miał zamiaru pomóc Ohnishiemu, jednak musiał się w jakiś sposób zaangażować. Należało też zostawić otwarte dwa warianty rozwoju wypadków aż do chwili, gdy otrzymano pewne dane, dotyczące wyspy wulkanicznej tworzącej się na północ od tego miejsca. Mamy te informacje, więc przewrót nie jest już potrzebny. Ohnishi też nie. Niestety, Japończyk wywołał już swoje powstanie. Musimy go powstrzymać.

– I tutaj wkraczamy my – przerwał mu Demanow.

– Tak. Naszym zadaniem jest zlikwidowanie Ohnishiego. Na razie czekamy, aż skontaktuje się z nami Kerikow. Jest jeszcze jeden aspekt tej misji, o którym nie wspomniałem, mianowicie łódź podwodna, która prowadzi ciągłą obserwację wulkanu. Kerikow czeka na wiadomość od załogi. Dopiero wtedy wprowadzimy nasz plan w życie.

Lurbud kłamał. W rzeczywistości to „John Dory” czekał na wiadomość od niego.

– Przykro mi, że musiałem cię rozczarować, Dmitrij, ale nie będziesz miał okazji powalczyć z Amerykanami. Zostaną ci tylko ochroniarze w rezydencji Ohnishiego.

– Którzy są Amerykanami. Dobre i to.

ARLINGTON, WIRGINIA

Gdy tylko Tish weszła do pokoju rekreacyjnego w domu Mercera, natychmiast rzuciła się na skórzaną kanapę, westchnąwszy ciężko.

– Niezbyt wiele mówiłeś w drodze z Białego Domu – powiedziała, patrząc na Philipa. – Na pewno jesteś wykończony. Spałam prawie cały dzień, ty jednak od trzydziestu sześciu godzin nie zmrużyłeś oka.

– Prawie czterdziestu – odezwał się geolog zza barku, gdzie parzył ledwie nadającą się do picia kawę. – Chcesz kawy?

– Oszalałeś? – Tish usiadła i spojrzała na niego karcąco. – Idź spać, ledwo stoisz na nogach.

Mercer poczekał, aż wyciekające z dyszy ekspresu krople kawy spłyną do kubka i dopiero wtedy podstawił pod nią szklany spodek. Uniósł filiżankę do ust, zawahał się jednak chwilę, po czym dolał do niej odrobinę szkockiej. Pierwszy łyk miał wyrafinowany smak.

– Obawiam się, że nieprędko się położę. Musimy porozmawiać.

Ton jego głosu sprawił, że Tish opuściła długie nogi na podłogę i wstała. Podeszła do barku i usiadła na wysokim stołku.

– Coś się stało?

– Opowiedz mi o Walerym Borodinie.

– Nie znam żadnego... – Od razu zauważył, że pytanie wytrąciło ją z równowagi.

– Tish, w każdej chwili mógłbym oddać cię w ręce FBI za twój udział w tej historii. Nie zrobiłem tego, bo jesteś córką Jacka Talbota, ale nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę.

– Powiedz mi najpierw, skąd wiesz o Walerym.

– Rozmawiałem z panią doktor Baker z Woods Hole.

– Pamiętam tę wścibską babę z Mozambiku. Chciała nas wszystkich niańczyć. Normalne, że paple na prawo i lewo. – Tish uspokoila się i popatrzyła na Mercera. – Co chcesz wiedzieć?

– Może najpierw spróbuję zrobić parę założeń. Wiesz, że był geologiem, a nie biologiem, oraz to, że przebywał w Mozambiku na wakacjach, tak?

– Tak, chociaż musiałam przysiąc, że zachowam to w tajemnicy. Powiedział mi, że wkrótce uruchamia nowy projekt i szefostwo dało mu trochę wolnego przed rozpoczęciem prac.

– Mówił ci, kim jest jego ojciec?

Tish wyglądała na zaskoczoną.

– Nie od razu.

– Czy wspominał ci, że jego ojciec sfingował własną śmierć, gdy Walery był jeszcze dzieckiem?

– Skąd o tym wiesz?

Mercer nie miał zamiaru przyznać, że jego wiedza o szczyrych wyznaniach młodego Borodina jest tylko wypadkową domysłowości i zgadywania. Wyrażną ulgę, jaką sprawiła mu jej odpowiedź, zamaskował szorstkim tonem.

– Nie mogę ci powiedzieć. Po prostu odpowiadaj na pytania.

– Jego ojciec miał zginąć w eksplozji, do jakiej doszło w laboratorium; wcześniej go osierocił. Później, na jakiś miesiąc przed naszym spotkaniem, ojciec Walerego ponownie wkroczył w jego życie, jakby te lata w ogóle nie minęły. On także był świetnym geologiem, jak jego syn, i potrzebował pomocy syna w jakimś tajnym projekcie rządowym. Walery nienawidził ojca za to, że zniknął, ale jednocześnie kochał go, bo wrócił. Bardzo cierpiał. Czasami długo w nocy płakał. Myślałam wtedy, że pęknie mu serce. Czul się samotny i bezbronny.

– Co jeszcze mówił o swoim ojcu i projekcie?

– Niewiele, naprawdę. Tylko tyle, że będą pracować razem, on i ojciec. Wyznał, że jest bardzo podekscytowany, ale i przestraszony.

– Czy mówił coś o wyjeździe z Rosji? Tish zbladła.

– Skąd o tym...

– Mówił czy nie?

– Tak, ale nie mógł tego zrobić, dopóki nie zakończą razem z ojcem prac nad projektem.

Mercer potarł oczy, próbując odegnać sen, który zaczynał brać nad nim górę. Wlał sobie jeszcze jeden kubek mocnej kawy, ale już bez szkockiej.

– Powiedz mi, co naprawdę stało się tamtej nocy, gdy eksplodował „Ocean Seeker”.

– Przecież już ci mówiłam – powiedziała z wahaniem, udając zmieszanie.

Czul ogarniającą go wściekłość.

– Powiem ci coś, Tish: przestań w końcu uważać mnie za idiotę.

Nie spodziewała się tak czystego, niczym niezmaconego gniewu. Głos Mercera, choć spokojny, wbił się w nią jak pocisk. Zadrżała i gwałtownie odchyliła się na stołku.

– Twój chłopak i jego ojciec są architektami spisku, mogącego doprowadzić do rozdarcia tkanki tego kraju. Wszystko zaczęło się w maju 1954 roku, gdy Piotr Borodin zdetonował bombę atomową, wywołując reakcję łańcuchową, która doprowadziła do powstania nowego metalu, o nieocenionej wartości. Od tamtej pory Borodin bezwzględnie morduje wszystkich, którzy ocierają się o odkrycie jego tajemnicy. Pamiętasz listę statków, przysłaną przez Dave’a Saulmana z Miami?

Tish pokiwała głową. Wyglądała, jakby zrobiło jej się niedobrze.

– To lista ofiar Piotra Borodina – ciągnął Mercer. – Mam nadzieję, że zwróciłaś uwagę na pierwszy statek na tej liście? To „Ocean Seeker” – wyleciał w powietrze z tobą na pokładzie. Niewykluczone, że Borodin jest też zamieszany w prawdopodobny zamach stanu na Hawajach, który może doprowadzić do zamieszek na tle rasowym w każdym amerykańskim mieście. Spisek zaplanowany przez Walerego Borodina i jego ojca może pogрузić nasz kraj w ekonomicznym i społecznym chaosie, podczas gdy gospodarka reszty świata kwitnie. – Usta Mercera wykrzywił grymas obrzydzenia, ale z oczu bił stalowy chłód. – Nie jestem jakimś ultrapatriotą, który salutuje na widok flagi, ale nie chciałbym też oglądać naszego rządu na kolanach. Masz

wybór. Powiedz mi, co powinienem wiedzieć, albo dzwonię do FBI i następne sto albo dwieście lat spędzisz w pierdlu w towarzystwie jakiejś postawnej lesby.

Tish płakała. Mercer chciał wziąć ją w ramiona, otrzeć łzy i powiedzieć, że jest mu przykro, ale nie mógł. Musiał być okrutny.

– Nic ci to nie da. – Sięgnął po słuchawkę telefonu, leżącą na kontuarze.

– Zaczekaj – powiedziała cicho. – Proszę, zaczekaj.

Nalał do kieliszka brandy i postawił go przed Tish. Pociągając nosem, dziewczyna upiła bursztynowego płynu.

– Co się stało tamtej nocy, gdy zatonął „Ocean Seeker”? – powtórzył ostro.

– Około północy do mojej kabiny przyszedł jakiś facet. Nigdy wcześniej go nie widziałam. Nie był członkiem ekipy badawczej ani członkiem załogi.

– Pasażer na gapę?

– Chyba tak. Mówił, że przysłał go Walery.

Mercer znów jej przerwał.

– Kto to był? Biały? Azjata? Czarny?

– Azjata. Miał może trzydzieści pięć, czterdzieści lat... Twojego wzrostu, ale niezwykle silny. Twierdził, że grozi mi niebezpieczeństwo i muszę z nim iść. Próbowałam zapytać, o co chodzi, ale powiedział, że nie ma czasu. Przerzucił mnie po prostu przez ramię i zaniósł na pokład. Do rufy statku przymocowana była tratwa ratunkowa. Wrzucił mnie do niej, a potem sam wskoczył. Jakies pięć minut po tym, gdy zaczął wiosłować i oddaliliśmy się od statku, nastąpiła eksplozja. Przysięgam, że

od tego momentu nic więcej nie pamiętam. Musiał mnie uderzyć i straciłam przytomność.

– A więc nigdy nie słyszałaś rosyjskiego i nie widziałaś wzoru na kominie jednostki ratunkowej?

– To akurat pamiętam. Musiałam dojść do siebie w chwili, gdy nas wciągali na pokład frachtowca.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

– Nie chciałam utrudnić Waleremu ucieczki, więc milczałam. Zrozum, ludzie, dla których miał pracować, dowodzeni przez jego ojca, są bezwzględni. Podobno każdy członek zespołu zaangażowany w ten projekt musiał przysiąc, że do końca życia zachowa wszystko w tajemnicy. Gdyby ktokolwiek spróbował opuścić grupę bez pozwolenia Piotra Borodina, byłby bezwzględnie ścigany i zabity. Walery twierdził, że ojciec nigdy nie pozwoliłby mu odejść i że na zawsze związał z nim swój los. Mimo to zdecydował się uciec. Według niego stary Borodin jest szaleńcem i to, nad czym pracuje, może doprowadzić do zachwiania równowagi sił na świecie. Przed wyjazdem z Mozambiku Walery powiedział, że skontaktuje się ze mną tuż przed swoją ucieczką. Myślałam, że uratowanie mnie było właśnie nawiązaniem kontaktu.

– Możliwe, ale od tamtej pory także próbował się kontaktować.

– W jaki sposób? – W jej drżącym głosie pojawił się cień podekscytowania.

– Telegram, który otrzymałam. Ten, który miał wysłać twój ojciec. Na pewno wysłał go Walery. Bóg jeden wie, w jaki sposób

się o mnie dowiedział. – Z początku Mercer mówił powoli, ale gdy fakty zaczęły układać się w jego głowie w logiczną całość, przyspieszył. – Historia twojego ocalenia wydawała mi się bardzo podejrzana, wszystko poszło zbyt gładko, teraz jednak zaczyna nabierać sensu. Gdy Walery dowiedział się, że „Ocean Seeker” płynie w kierunku wulkanu i ty jesteś na jego pokładzie, z pewnością wysłał na statek swojego agenta, żeby cię ratował.

Mercer stał w milczeniu za barkiem, trzymając w obu dłoniach kubek z kawą. Jego spojrzenie straciło ostrość, gdy skierował wzrok poza Tish, na litografię Kena Marshalla, przedstawiającą sterowiec „Hindenburg” tuż przed eksplozją nad Lakehurst w New Jersey. Było to jedyne zdjęcie, oprócz tych w gabinecie, które Mercer zdołał zawiesić.

– Walery zamierza ukraść efekty pracy swojego ojca, prawda? Właśnie dlatego nie uciekł z tobą wtedy w Mozambiku.

– Jak na to wpadłeś?

– Takie zachowanie pasuje do jego dotychczasowych działań i stanu psychicznego, który pobieżnie nakreśliłaś. Potrzebuje czegoś znacznej wartości, żeby was oboje utrzymać, a kradzież pracy ojca jednocześnie wypełni potrzebę zemsty za to, że go kiedyś opuścił.

– Tego nie wiesz. – Tish nie czuła się najlepiej, słuchając logicznego wyводу Mercera i starała się ukryć zmieszanie oskarżeniami.

– Pierwszy powód jest oczywisty. Walery chce zapewnić byt tobie i przyszej rodzinie, odwrotnie niż jego ojciec. Dane, które ukradnie, uwolnią was od trosk finansowych do końca

życia. Drugi powód jest mi nawet bliższy. Pamiętasz, jak mówiłem, że w dzieciństwie mieszkałem w Afryce? Że urodziłem się w Kongu? Wyjechałem stamtąd osierocony. Moi rodzice przeprowadzili się do Rwandy, żeby ojciec mógł pracować nad otwarciem kopalni miedzi. Oboje zginęli podczas powstania w 1964 roku. Wpadli w zasadzkę pierwszego dnia walk i spłonęli żywcem. Moja niania, która była z plemienia Tutsi, zabrała mnie do swojej wioski. Mieszkałem tam kilka miesięcy, aż walki się uspokoiły. Wtedy przekazała mnie ludziom z WHO, a ci skontaktowali się z rodzicami ojca w Vermoncie. Mimo że miałem dziadków miłych i kochających, nienawidziłem życia z nimi, a jeszcze bardziej nienawidziłem rodziców za to, że mnie opuścili. Czułem się zdradzony. Pamiętam zimowe noce, gdy zakładałem narty i ruszałem przed siebie. Przystawałem na pustkowiu, całe kilometry od najbliższych domów i krzyczałem. Przeklinałem ich, oskarżałem, że zostawili mnie samego celowo. Byłem wtedy najbardziej samotny w życiu. Jeśli ja mogłem wyhodować w sobie tak wielką nienawiść do rodziców, którzy naprawdę zginęli, to mogę sobie wyobrazić, jak bardzo Walery nienawidzi swojego ojca za to, że opuścił go dla jakiegoś rządowego projektu, a potem, jak gdyby nigdy nic, powrócił.

– Jak udało ci się przeboleć śmierć rodziców? – zapytała cicho Tish. Opowieść Mercera głęboko ją poruszyła.

– Pewnej nocy usłyszał mnie jakiś farmer. Miałem wtedy szesnaście lat. Zaczęliśmy rozmawiać. Przed nim się otworzyłem. Gdy skończyłem opowiadać, powiedział mi, że zachowuję się bardzo głupio i jeśli będę tak robić nadal, to mi przyleje, bo

straszę mu krowy. Przedtem wszyscy tak bardzo mi współczuli, że postrzegałem siebie jako wieczną ofiarę. Ten człowiek powiedział mi wprost, że jestem głupi i dzięki niemu zdałem sobie sprawę, że to prawda. Moi rodzice nie zginęli dobrowolnie, nigdy nie chcieli mnie opuścić. W końcu się z tym pogodziłem.

Mercer dolał do kawy trochę szkockiej, po czym opróżnił kubek trzema dużymi łykami.

Tish milczała, ale wydawała się mniej spięta. Niebieskie oczy się zamglily.

– Należą ci się przeprosiny – powiedział miękko Mercer.
– Myślałem, że masz coś wspólnego z tą operacją, że wiesz wszystko na jej temat.

– Nie – odparła cicho. – Nic o niej nie wiem.

– Ciągłe go kochasz?

– Nie wiem. – Zawahała się. – Spędziłam z nim najcudowniejsze chwile w moim życiu... Ale należą już go przeszłości. To podłe, prawda?

– Nie mnie o tym decydować. – Mercer zręcznie wykręcił się od odpowiedzi. Usiadł obok Tish na drugim stołku i ujął jej dłoń. – Byłem kiedyś zakochany – mówił powoli, ostrożnie dobierając słowa. – Miałem dwadzieścia pięć lat i odbywałem wakacyjne praktyki w szkole górniczej w Anglii. Była o cztery lata starsza ode mnie. Policyjna pani psycholog, właśnie zaczynała staż w Londynie. Spędzaliśmy ze sobą każdą wolną chwilę. Dojeżdżałem sto pięćdziesiąt kilometrów, żeby się z nią zobaczyć. Ona brała tyle zwolnień lekarskich, ile mogła, żeby tylko nie wylecieć z pracy. Pewnego dnia pod koniec wakacji

odprowadziła mnie na Paddington Station. Trochę wcześniej po raz pierwszy zaczęliśmy wspominać o ślubie. – Głos Mercera przypominał szept, ale siła jego słów wypełniała każdy zakamarek pokoju. – Pociąg już ruszał, gdy nagle rozpętała się strzelanina. Jakiś człowiek wbiegł na peron i zaczął strzelać na oślep z karabinu maszynowego. Patrzyłem przez okno wagonu, jak opróżnia magazynek, a potem wyciąga rewolwer. Pojawili się policjanci, ale facet złapał stojącą na peronie kobietę i zasłonił się nią jak tarczą, przystawiając pistolet do jej skroni. Sytuacja bez wyjścia. Wtedy moja dziewczyna, prawie narzeczona, zaczęła rozmawiać z napastnikiem, próbowała go uspokoić i skłonić do poddania się. Na tym polegała jej praca. Później okazało się, że to terrorysta z IRA. Facet był tak naćpany heroiną, że prawdopodobnie nie słyszał ani jednego słowa. Mówiła tylko chwilę, bo napastnik po prostu pociągnął za spust, a potem skierował broń w swoją stronę. Widziałem, jak ich ciała padają jedno na drugie... Pociąg opuszczał właśnie dworzec, a ja siedziałem odrętwiały, nie byłem w stanie go zatrzymać i wysiąść. Nigdy nie wróciłem do Londynu. Nie pojechałem nawet na jej pogrzeb... – Głos uwiązał mu w gardle.

– Jak się nazywała?

– Tori Wilks – odparł spokojnie. – Jesteś pierwszą osobą, której o tym opowiadam. Skończyłem praktyki w Anglii i wróciłem do domu, jakby nic się nie stało.

– Przykro mi.

Mercer popatrzył jej w oczy.

– Nie dano nam szansy, byśmy mogli rozpocząć wspólne życie. Powiedziałem ci o Tori i o tym, co straciłem, bo ty przynajmniej zasługujesz na szansę. Kochałaś Walerego Borodina i straciłaś go z powodu okoliczności, na które nie miałaś wpływu. – Głos Mercera brzmiał stanowczo. – Mam zamiar dopilnować, żeby ci się udało.

– Nie rozumiem – To proste. – Uśmiechnął się ciepło. Bolesne emocje sprzed paru chwil odeszły w niebyt. Znow był sobą. – Pomogę mu w ucieczce.

– Jak? Nie wiesz, gdzie jest.

– Tak sądzisz? – Uniósł kpiąco brwi. – Okoliczności spowodowały, że znam obecne miejsce jego pobytu co do centymetra.

– Gdzie jest? – pytała z niecierpliwym podnieceniem.

– Wszystko w swoim czasie – odparł wymijająco. – Najpierw muszę . rozgryźć parę spraw. Miałaś ochotę na drzemkę, więc prześpij się trochę.

Tish widziała, że nic więcej z niego nie wyciągnie, więc położyła się na kanapie. Spojrzała jeszcze na Mercera, który bazgrał już coś piórem w notatniku. Podciągnęła pod brodę ciepły pled i po raz pierwszy od długiego czasu zaczęła rozmyślać o wspólnej przyszłości z Walerym.

Dziesięć minut później gwałtownie usiadła na kanapie.

– Mercer?

Geolog popatrzył znad notatnika. Jego zazwyczaj ciemna twarz pobladła, a wyraz oczu zdradzał wyczerpanie.

– Tak się zastanawiam... Walery podjął ryzyko, by uratować mnie z pokładu skazanego na zagładę statku i użył podstępny,

byś się ze mną skontaktował. Kto w takim razie próbował mnie zabić w szpitalu?

Wpatrywał się w nią przez chwilę, podczas gdy jego zmęczony umysł i przetrwał pytanie. Po chwili wyrwał z notatnika zapisaną właśnie kartkę, zgniótł ją i wyrzucił do stojącego pod kontuarem kosza.

– A więc zaczynamy od nowa.

Kilka godzin później, gdy promienie zachodzącego słońca wypełniły pokój żółcieniami, Philip w końcu odłożył pióro, pociągnął ostatni łyk zimnej kawy i wstał, przeciągając się. Przez ten czas zdążył zapisać dwanaście stron notatnika i wykonać osiemnaście telefonów. Tish ciągle spała na kanapie.

Mercer rozmasował zdrętwiałe pośladki i mocno zacisnął powieki, próbując oczyścić pozbawiony snu umysł. Kofeina osłabiła go i przyprawiła o silny ból głowy. Wyciągnął z portfela wizytówkę Dicka Henny i zadzwonił do jego biura. Odebrał telefon osobiście.

– Mówi Philip Mercer.

– Ma pan coś nowego?

Mercer lubił szefa FBI za jego obcesowość.

– Muszę dostać się na Hawaje – wyjaśnił bez ogródek.

– Obawiam się, że to niemożliwe. Dwie godziny temu zerwana została wszelka łączność z wyspami. Żadnych telefonów, radia, telewizji. Wszystkie samoloty, które można było skierować na inne lotniska, zawrócono. Żołnierze w Pearl Harbor twierdzą, że tłum zaczyna do nich strzelać na oślep. Mam niepotwierdzone zgłoszenia od radioamatorów, iż na polecenie burmistrza Ta-

kamory w Honolulu wprowadzono stan wyjątkowy, a Gwardia Narodowa strzela do każdego napotkanego białego.

– Jezu! – Mercer westchnął. – Ten popapraniec jednak nie żartował.

– Na to wygląda. Nie ma mowy, żeby tam pana przerzucić, nawet gdybym chciał.

– Proszę posłuchać, mam pewną teorię, która, jeśli okaże się prawdziwa, może rozwiązać ten problem w dwadzieścia cztery godziny. Muszę jednak być na Hawajach. – Mercer nie dopuszczał do siebie przerażających wiadomości od Henny.

– Doktorze Mercer...

– Wolę „panie Mercer” albo po prostu „Mercer”.

– No proszę, a większość gości z doktoratami, których znam. lubi, jeśli ich się odpowiednio tytułuje.

– Ja korzystam ze swojego tylko wtedy, gdy załatwiam rezerwacje w restauracjach.

Henna się roześmiał.

– Doceniam to. Wracając do sprawy, prezydent wydał zgodę na przeprowadzenie tajnej operacji przeciwko Ohnishiemu w świetle jego zaangażowania w przewrót.

– O Boże! – jęknął Mercer – to idiotyczny błąd. Ohnishi jest tylko małym pionkiem w całej sprawie. Wyeliminowanie go nic nie zmieni.

– Wie pan coś, czego my nie wiemy? – W głosie Henny wyczuł zmęczenie.

– Tak, ale będzie to pana kosztować co najmniej bilet na okręt desantowy, który znajduje się niedaleko Hawajów.

– To wymuszenie.

– Użył pan bardzo delikatnego słowa. Raczej szantaż. A jeśli powiem, że podam wam na tacy człowieka, który jest mózgiem całego spisku?

– Słucham.

– Nie usłyszysz pan ani słowa, dopóki nie dostanę gwarancji, że przetrzuci mnie na ten okręt.

– Chryste! – Mercer niemal widział, jak Henna wyrzuca w górę ręce ze złości. – Dobrze, załatwię to. Proszę mówić, co pan wie.

Przez następnych dwadzieścia minut Mercer mówił bez chwili przerwy, a Henna nie przerywał.

– Ma pan na to dowody? – zapytał, gdy Mercer skończył.

– Ani jednego, ale wszystkie elementy tej układanki do siebie pasują.

– Już to mówiłem, ale powiem jeszcze raz: gdyby szukał pan innej pracy, Biuro przyjmie pana z otwartymi ramionami.

– Myśli pan, że Amerykańska Unia Swobód Obywatelskich przełknęłaby agenta FBI, który czyniłby takie oskarżenia? Akurat, obdarliby nas żywcem ze skóry.

Henna znów się roześmiał.

– Ma pan rację. Za godzinę mam spotkanie z prezydentem. Przedstawię mu pańską propozycję. Mogę pana tam przetrzucić, ale tylko w charakterze obserwatora, nikogo więcej.

– W porządku. – Kłamstwo gładko przeszło Mercerowi przez gardło. – O więcej nawet nie proszę. Tylko o telefon, gdy skończy pan naradę z prezydentem.

W minutę po rozmowie z Henną Mercer leżał już w podkołdrą. Choć jego wyczerpany organizm pragnął snu, przewracał się na łóżku jeszcze dwadzieścia minut, zanim w końcu pogrążył się w błogiej nieświadomości.

OCEAN SPOKOJNY

W przeciwieństwie do większości konwencjonalnych śmigłowców Kaniów Ka-26 nie miał na ogonie wirnika stabilizującego. Zamiast tego był wyposażony w dwa wirniki nośne, umieszczone jeden nad drugim. Obracające się w przeciwnym kierunku Śmigła nie pozwalały, aby mały helikopter zaczął niebezpiecznie wirować w powietrzu. Maszyna pracowała przez to znacznie głośniej, chociaż hałas wirnika nie mógł zagłuszyć dwóch silników, podwieszonych na zewnątrz ciasnej kabiny.

Ka-26, którego nazwa wywoławcza w NATO brzmi „Hoodlum” [Hoodlum (ang.) – chuligan (przyp. tłum.)], przesywał bezchmurne niebo z prędkością stu węzłów, czyli niemal maksymalną, do jakiej został przystosowany. Rozlewający się pod śmigłowcem ocean przypominał lazurową równinę, rozciągającą się w nieskończoność. „August Rose”, statek baza śmigłowca, znajdował się niemal dwieście mil za nim i zmierzał w kierunku Tajpej jako prezent dla tajwańskiego ambasadora. Doktor Bordin ustalił dokładną lokalizację wulkanu, więc skomplikowane wyposażenie, zainstalowane na pokładzie frachtowca, nie było już potrzebne.

Helikopter, z łopatomami wirnika złożonymi wzdłuż podwójnego ogona, przechowywano w ogromnym kontenerze na po-

kładzie chłodnicowca. Maszyna pozostała w ukryciu jeszcze długo po tym, jak frachtowiec wyruszył w daleką podróż na zachód, z dala od wulkanu, który już za kilka dni miał wynurzyć się z odmętów oceanu. Już teraz gęste, przesycone siarką obłoki pary słały się po powierzchni wody, oznaczając miejsce erupcji.

Zasięg śmigłowca wynosił trzysta osiemdziesiąt mil, więc maszyna nie opuściła pokładu statku do chwili, gdy oddalili się od wulkanu na niemal dwie trzecie tej odległości. Dopiero wtedy pilot poderwał helikopter wraz z dwoma pasażerami.

Teraz, w trzy godziny po starcie, pilot zaczynał się pocić. Jednak nie z powodu parnego powietrza, wypełniającego maleńką kabinę, ale ze strachu. Przeszarżały radar, będący na wyposażeniu dwudziestopięcioletniej maszyny, nie wykrywał już macierzystej jednostki. Helikopter i tak zresztą miał zbyt mało paliwa, by do niej wrócić. Byli sami, półtora kilometra nad pustym oceanem. Pilot odwrócił się i spojrzął na swoich pasażerów. Starszy z nich najwyraźniej spał, lecz młodszy przyglądał się leżącym poniżej odmętom. Słuchawki skutecznie przytrzymywały mu włosy, ale wiatr szamotał jego luźnym oliwkowym kombinezonem. Pilot popatrzył ponownie na przyrządy, analizując poziom paliwa, wysokość, prędkość i kurs, po czym skierował uwagę na bezkresny horyzont.

Walery Borodin odwrócił się od otwartych drzwi. Dotknął ramienia ojca, który natychmiast otworzył oczy.

– Powinniśmy być nie dalej niż dziesięć kilometrów. Pilot usłyszał tę uwagę przez interkom.

– Dziesięć kilometrów od czego? – zapytał. – Jesteśmy co najmniej trzysta kilometrów od Hawajów i kończy się nam paliwo. Mogą mi panowie powiedzieć, o co tu chodzi?

– Oczywiście, ale najpierw proszę zejść na wysokość około dwustu metrów.

Pilot wzruszył ramionami i zaczął przygotowywać się do manewru. Wątpił, by jego dwaj pasażerowie planowali samobójstwo, musieli więc mieć jakiś plan. Nieco uspokojony, gwałtownie obniżał pułap lotu. Łopaty wirników rozpaczliwie biły powietrze, gdy maszyna zbliżała się do powierzchni wody. W końcu pilot wprawnym ruchem pociągnął drążek i wyrównał lot śmigłowca na wysokości dokładnie dwustu metrów. Odwrócił się i rozczarowany zobaczył, że jego mistrzowskie popisy nie zrobiły na pasażerach żadnego wrażenia.

– Dwieście metrów.

Borodin senior wyjął z kieszeni kombinezonu plastikowy pojemnik. Żółty cylinder miał nie więcej niż osiem centymetrów średnicy i trzydzieści centymetrów wysokości. Naukowiec naciśnął czerwony guzik na wieczku pojemnika i jakby od niechcenia wyrzucił cylinder przez uchylone drzwi śmigłowca. m – Co to było? – zapytał pilot.

– Transponder – odpowiedział, zamiast ojca, Walery. – Niech pan leci po kwadracie o boku jednego kilometra, wtedy zobaczy pan. dokąd lecimy.

Helikopter skręcił ostro w prawo i pilot zaczął wykonywać polecenie. Pokonał dwa jednokilometrowe odcinki, gdy zauważył w jednym miejscu wzburzone wody oceanu. Przejrzysta po-

wierzchnia pieniała się, jakby z głębin wynurzyć się chciał sam Lewiatan. Śmigłowiec zawisł tuż nad kipiela.

Rozszalałe wody oceanu burzyły się coraz bardziej, aż w końcu z odmętów wyłoniła się łódź podwodna; najpierw dziób, a potem cały kadłub. z którego spływały potoki wody. Okręt wynurzył się zwinnie, odsłaniając pokład dziobowy, naszpikowany dźwigami, potem nadbudówkę, zwieńczoną pojedynczym kominem, wreszcie pokład rufowy, na końcu którego sterczał maszt ze zwisającą smutno flagą Panamy. Cała ta scena przypominała agonię tonącego statku, oglądaną od końca. Przez spływniki woda przelewała się z taką siłą, jakby wytryskiwała z węży strażackich, podczas gdy łódź zapadała się w spienione fale, wytworzone jej własnymwtargnięciem na powierzchnię. Po minucie statek osiadł równo na wodzie i fale wokół niego szybko zniknęły.

– Boże! – mruknął pilot.

– Oto strażnik interesów firmy Ocean Freight & Cargo i cel naszej podróży – oznajmił triumfalnie Borodin. – Oto „John Dory”.

Gdyby podczas sprowadzania maszyny na lądowisko tego niezwykłego statku pilot miał czas, by przyjrzeć się wzorowi na kominie, dostrzegłby czarny okrąg otaczający żółtą kropkę.

Ka-26 osiadł na kołyszącym się pokładzie z pozorną łatwością. Pilot był prawdziwym zawodowcem. Obsługa lądowiska zabezpieczyła łańcuchami wszystkie cztery koła helikoptera i dała znak, by wyłączyć silniki. Chwilę potem łopaty wirnika przestały się obracać i opadły jak liście wielkiej palmy.

Pierwszy na pokład wyskoczył Walery Borodin, a po nim, ciężko dysząc, z kabiny śmigłowca wyszedł ojciec. Stary naukowiec wyglądał blado, oddech miał krótki i urywany. Obaj mężczyźni przystanęli, czekając na pilota.

– Co to takiego, do cholery? – Niemal krzyknął, słysząc jeszcze w uszach szum spowodowany hałasem podczas długiego lotu.

– Kapitan za chwilę wszystko panu wyjaśni. – Borodin odwrócił się do dowódcy jednostki i palcem wskazującym przejechał sobie po gardle.

Kapitan skinął głową i gestem przywołał załogę. Marynarze szybko zdjęli zabezpieczenia kół śmigłowca i zepchnęli go za burtę. Helikopter przez kilka minut unosił się na powierzchni, ocierając łopatami wirnika o burtę łodzi, wkrótce jednak wypełnił się wodą i zniknął w otchłani. Pilot ironicznie zsalutował tonącej maszynie, przyglądając się jej dogorywaniu. Jeśli widok ten go poruszył, nie dał nic po sobie poznać.

– W ten sposób już nie uda ci się ode mnie uciec, Walery – powiedział od niechcienia Borodin, odwracając się.

Walery stał na pokładzie, jakby właśnie był świadkiem straszliwego wypadku. Czy miał szeroko otwarte, usta rozchyłały się w bezgłośnym krzyku. Jak się domyślił? – pytał samego siebie. Skąd wiedział, że chciałem stąd uciec helikopterem?

Piotr Borodin odpowiedział na nieme pytanie.

– Kerikow skontaktował się ze mną po tym, jak próbowałeś naciskać na niego, by uratował tę dziewczynę z amerykańskiego statku badawczego. Los wyrzuconych parę tygodni temu na plażę wielorybów i wysiłki, by znaleźć przyczynę ich śmierci, zyskały

rozgłos medialny. Przekazy radiowe i telewizyjne odbierano na statku „August Rose”, który obserwował wulkan. Sprawozdania w mediach na temat misji NOAA, bardzo szczegółowe, często zawierały wywiady z członkami zespołu naukowców. Walery był dumny, że Tish świetnie w nich wypadła. Tylko on i jego ojciec wiedzieli, że „Ocean Secker” płynie ku zagładzie. W pokerowym zagraniu, zrodzonym z rozpacz i niemocy, Walery zagroził Kerikowowi, że jeśli Tish Talbot nie zostanie uratowana, on zniszczy wulkan za pomocą ładunków sejsmicznych, składowanych na pokładzie ich statku.

– Twoje pogroźki nie zrobiły na Kerikowie żadnego wrażenia, Walery. Muszę szczerze przyznać, że na mnie też nie. Wiedziałem jednak, że jeśli zginie, będziesz próbował sabotować naszą operację, więc na moją prośbę Kerikow kazał ją uratować. Widziałem w twoich oczach triumf, gdy w radio powiedzieli, że znaleziono ją żywą. – Borodin roześmiał się chrapliwie i popatrzył znad ciągle mokrej poręczy łodzi na małe pęcherzyki powietrza, które oznaczały miejsce ostatniego spoczynku helikoptera. – Nigdzie się nie wybierasz. Potrzebuję cię. Rosja cię potrzebuje.

Była to najdłuższa przemowa, jaką od czasu ponownego spotkania, czyli od roku. Piotr Borodin skierował do swojego syna. Walery poczuł tak zimną, oślepiającą nienawiść, że usta wypełnił mu smak żółci, zalewającej jego ściśnięty żołądek. Z palców, które zwinęły się pięści, odpłynęła krew. Zaciśnął je tak mocno, że kości o mało nie przebiły skóry dłoni.

Piotr Borodin nie zauważył reakcji syna. Odwrócił się, by pozdrowić kapitana goszczącej ich łodzi. Walery, zgarbiony, podszedł do nich. Drżące ręce wsunął głęboko w kieszenie kombinezonu.

– Witamy na pokładzie, doktorze Borodin. – Kapitan Nikołaj Zwieńkow wyciągnął rękę. – Przepraszam, że nie mogłem powitać pana na lądowisku. ale musiałem dopilnować właściwego położenia statku.

Borodin uściśnął dłoń dowódcy statku i przedstawił swojego syna oraz pilota śmigłowca. Zwieńkow, rodowity Gruzin, nieporadnie mówił po rosyjsku. Mimo to wyglądał na twardego, nieustępliwego zawodowca,.

– Musimy się pospieszyć i zanurzyć ponownie. Nie chcę, żeby zauważyły nas amerykańskie satelity szpiegowskie.

Kapitan poprowadził trzech mężczyzn do wnętrza okrętu. Nie było tam grodzi ani zejściówek, nie było też kajut ani mostka. Pudełkowata struktura stanowiła tylko fasadę, przymocowaną do rozporek wystających z zaokrąglonego kiosku łodzi podwodnej. Burty i główny pokład statku „John Dory” zrobiono po prostu ze stalowych płyt, przyspawanych do kadłuba łodzi, a dźwigi, wciągarki i żurawie były atrapami. Na powierzchni, z odległości około dwustu metrów, jednostka wyglądała jak zwykły frachtowiec i nie zdradzała śmiertelnie niebezpiecznej tajemnicy, którą kryła w swoim wnętrzu.

– Jest podobna do K-boota – zauważył pilot helikoptera, rozglądając się po zimnym, wilgotnym wnętrzu nadbudówki i mając na myśli niemieckie jednostki pływające z czasów I

wojny światowej, które wyglądem przypominały frachtowce, ale w rzeczywistości były uzbrojonymi kanonierkami. Zwabiały swoje ofiary na odległość strzału fałszywymi wezwaniami o pomoc, a potem odsłaniano potężne działa, ukryte za stalowymi płytami. Wiele alianckich statków zapłaciło najwyższą cenę za zbytnią ufność. Po wpadnięciu w pułapkę nie mieli szans na uratowanie życia.

– Zapewniam pana, że łódź jest nieco bardziej zaawansowana technicznie – odparł Borodin, rozcierając sobie ramiona. – Ale zasada działania jest ta sama.

– Chodź, Piotrze. Wyglądasz na zmęczonego podróżą. – Kapitan poprowadził ich do włazu, przez który weszli do wnętrza jednostki – starego, osiemdziesięciopięciometrowego, atomowego okrętu myśliwskiego klasy Victor.

Zwieńkow poruszał się wśród płataniny rur, ciasnych włazów i mnogości sprzętu ze zwinnością dziecka. Dwadzieścia lat spędzone w służbie marynarki wojennej Związku Radzieckiego nauczyło go, jak wystrzegać się nabijania sobie guza na pokładach tych ciasnych łodzi. Poprowadził Borodina i jego syna prosto do swojej kajuty, zostawiając pilota w rękach swoich podwładnych.

Walery siedział bez słowa, podczas gdy ojciec i kapitan rozmawiali. Zwieńkow zamordowałby jego ukochaną Tish Talbot, gdyby Kerikow nie wysłał na statek NOAA swojego agenta i jej nie uratował. Młody Rosjanin chciał uderzyć kapitana za to anonimowe barbarzyństwo, ale wiedział, że nie może go za nie winić. Zwieńkow, będący tylko żołnierzem, robił swoje i wykonywał rozkazy. A wydawał je Piotr Borodin.

Coś w środku ścisnęło go mocno, gdy pomyślał, że tylko krok dzielił go od ucieczki. Ka-26 zdawał się idealnym sposobem na wyrwanie się z obłąkanego świata, w którym się znalazł. Walery był naukowcem, oddanym rozumowi. Jego ojciec zamienił jego czysty świat w zepsutą enklawę zbrodni, zdrady i niewyobrażalnego okrucieństwa. Serce Walerego przepęłniała nienawiść. Nienawiść do ojca, który o mały włos nie zabił jego ukochanej kobiety, nienawiść za niewypowiedziane zbrodnie z przeszłości, nienawiść za to, że kiedyś, wiele lat wcześniej, porzucił przestraszonego małego chłopca.

Jeszcze kilka dni i będzie po wszystkim. Jeśli nie uda mu się uciec, by dołączyć do kobiety, która stała się dla niego źródłem siły od czasu, gdy w jego życie ponownie wkroczył ojciec, to jedynym wyjściem pozostanie samobójstwo. Obiecał sobie, że nie umrze sam.

Ta decyzja przywróciła mu spokój. Jego umysł przejaśniał, zmysły się wyostrzyły i Walery, pochyliwszy się, skupił się na słuchaniu rozmowy pomiędzy kapitanem i ojcem.

– Wiem tylko tyle, że Kerikow przez radio zawiesił wszelkie działania, aż do odwołania. Mamy pozostać na miejscu, w zamyśleniu i z wysuniętą anteną czekać na kontakt.

– Ale dlaczego? To bez sensu. Powinniśmy przygotować się do zgarnięcia nagrody – doktor Borodin mówił raczej do siebie niż kogokolwiek innego. W zamyśleniu potarł szyję i gardło.

– Rozmawiałem z Kerikowem przez radio z pokładu „August Rose”. Wie, że wulkan wynurzy się poza amerykańską dwustu-

milową strefą. Właścicielem zostanie pierwsze państwo, które go odkryje. Według prawa będzie nasz!

– Jest jeszcze coś. – W dudniącym głosie Zwienkowa słysząc było jakby przeprasający ton. – Kerikow zabronił mi mówić ci o tym, ale znam cię zbyt długo, by mieć przed tobą tajemnice. Rozkazał mi uzbroić pocisk SS-N-9 Siren w głowicę nuklearną o mocy trzydziestu kiloton i przygotować go do odpalenia.

Borodin przyjął wiadomość bez emocji. Wydawało się, że sam usiłuje znaleźć odpowiedź na zaistniałą sytuację. Przez kilka długich sekund jedynym dźwiękiem w spartańskiej kajucie był szum klimatyzatora. Borodin spojrział na kapitana, a potem na syna.

– A więc chce zniszczyć wulkan. Tylko dlaczego? – Wyglądało na to, że Borodin bardziej przejmuje się motywami działania Kerikowa niż faktem, że praca jego życia mogła wyparować w kuli atomowego ognia. – Musiał gdzieś nastąpić przeciek i być może dlatego będzie musiał zniszczyć cały projekt, żeby zachować wszystko w tajemnicy.

– Nie rozumiesz, że Kerikow wystawił cię do wiatru? – Wściekłość sprawiła, że głos Walerego przypominał syk zmił. – Nigdy nie miał zamiaru przekazać wulkanu w ręce rządu. Wykorzystywał cię od chwili przejścia Departamentu 7. w nadziei, że pewnego dnia sprzeda twoją pracę, nawet cię nie informując. Dawny reżim oszedł na zawsze. Rosja, dla której zrezygnowałaś z normalnego życia, już nie istnieje. Świat bardzo się zmienił w ciągu tych kilkudziesięciu lat, ty jednak byłaś zbyt zajęta, aby to zauważyć. „Kuznia Wulkana” mogła działać tylko w czasach

stalinizmu, a te dawno minęły. Cała operacja skazana została na klęskę w dniu, gdy Gorbaczow rozpoczął wprowadzanie reform. Zapomnij o starych marzeniach i zacznij żyć dniem dzisiejszym. Rosyjski rząd nigdy nie próbowałby jedną ręką zajmować wyspy tak blisko terytorium Ameryki, jednocześnie wyciągając drugą z prośbą o pomoc gospodarczą. Kerikow doskonale o tym wie i przygotował sobie plan awaryjny.

– Skąd ta pewność, Walery? Jesteś tylko moim asystentem, nie wiesz jeszcze wszystkiego. – Borodin nie zaakceptował oczywiście prawdy, gdyż właściwie w ogóle jej nie rozumiał.

– Zapomnij o tym, ojczu. Nic więcej nie muszę wiedzieć i dobrze o tym wiesz – odpowiedział ze smutkiem Walery.

Po raz pierwszy zobaczył, jak mizernie wygląda ojciec. Schowane za szklami okularów oczy trawiła gorączka, niegdyś korpulentna sylwetka teraz bardziej przypominała zjawę. Naciągniętą na szkielet skórę, bladą szorstką, można by przyrównać do wypalonej modeliny.

– Uda się. – Borodin powiedział to tak cicho, że jego usta ledwie drgnęły.

Nagle zeszczywniał. Jego oczy rozwarły się szeroko, jakby chciały wyskoczyć z oczodołów. Usta rozchyliły się, odsłaniając żółte zaniedbane zęby. Ciałem naukowca wstrząsnęły konwulsje. Próbował nabrać powietrza, ale potężny ból, rozdzierający całe ciało, ponownie zaatakował. Palce przesuwwały się po klatce piersiowej, jakby próbował się w nią wbić i pomóc słabnącemu sercu.

Konwulsje kolejny raz wstrząsnęły ciałem Borodina, który podjął jeszcze jedną próbę walki, ale bez powodzenia. Nie żył.

Mięśnie prostaty rozkurczyły się i w powietrzu ciasnej kajuty zaczął się rozchodzić silny zapach moczu.

Zwieńkow widział w swojej karierze wystarczająco wiele przypadków śmierci, by wiedzieć, że to koniec. Pochylił się tylko i zamknął, wpatrzony w nicość, oczy starca.

– Przykro mi – powiedział cicho do Walerego.

Walery przyglądał się przez długą chwilę ojcu, zanim wyciągnął rękę i dotknął jego pomarszczonej dłoni.

– Mnie też.

Śmierć uwolniła go od nienawiści. Oczyszczyła go wewnętrznie, czuł, jakby narodził się na nowo. Gorycz, która go wypełniała, zniknęła wraz z ostatnim tchnieniem ojca i wiedział, że tak powinno być. Nawet gdyby udało mu się uciec z „August Rose” wraz z danymi, zawsze dręczyłby go tkwiący w nim, demon nienawiści. Teraz jednak demon odszedł. Na zawsze.

ARLINGTON W STANIE WIRGINIA

Natarczywy sygnał telefonu wytrącił Mercera z głębokiego, mocnego snu. Ręką przebiegł nieprzytomnie po stoliku nocnym, zrzucając na podłogę budzik, aż w końcu znalazł słuchawkę i przystawił ją sobie do ucha.

– Halo? – wystękał. Wyschnięty język z ledwością odkleił się od podniebienia.

– Witam, Dick Henna z tej strony.

Mercer niepewnie otworzył oczy. Ze zdumieniem zauważył, że nastąpiła noc. Podwójne okna dachowe nad jego głową jawiły się w suficie jak dwa czarne kwadraty. Rozejrzał się po sypialni i zauważył, że cały dom pogrążony jest w mroku. Tish pewnie też już spała.

– Tak, panie Henna? Co się stało? – Mercer przejechał językiem po ustach i skrzywił się.

– Prezydent przychylił się do pańskiej prośby i, może pan uwierzyć albo nie, Paul Barnes z CIA też pana poparł.

– No proszę. Odniosłem wrażenie, że nie mam co liczyć na gwiazdkowy prezent od niego.

– Też jestem nieco zaskoczony, ale jeśli w grę wchodzi sprawy zawodowe, Barnes odkłada uczucia osobiste na bok. Atak

komandosów, który zlecił prezydent, został odroczony o co najmniej dwanaście godzin.

– Więc co teraz? – Mercer poczuł, że ciało ma lepkie od potu; leżąca w bezładzie na jego nogach pościel też była wilgotna.

– Za mniej więcej półtorej godziny w bazie lotniczej Andrews będzie czekał na pana samolot. Jutro, przed piątą rano, powinien pan już być na pokładzie lotniskowca „Kitty Hawk”.

Mercer rzucił okiem na porysowany i sfatygowany czasomierz: 9.15. h

– Dobra, za jakąś godzinę zjawię się w Andrews – rzucił do słuchawki, spuszcżając nogi z łóżka. Chłodne powietrze sprawiło, że przeszedł go dreszcz.

– Spotkamy się przy głównej bramie. Będę miał zdjęcia ze zwiadu, o które pan prosił.

– Świetnie, dziękuję, Dick. – Mercer po raz pierwszy zwrócił się po imieniu do szefa FBI.

Gdy się rozłączył, zadzwonił do Harry’ego White’a. Po dwudziestu sygnałach przerwał połączenie i wybrał numer Tiny’ego. Tiny kazał mu chwilę zaczekać, aż Harry wróci z toalety.

– Harry, masz ochotę pobawić się jeszcze raz w niańkę?

– To ty, Mercer?

– Tak. Możesz do mnie wpaść i zająć się Tish?

– Czemu? Co ona takiego robi?

– Śpi nago.

– W takim razie chętnie się nią zajmę – odparł z udawaną lubieżnością w głosie. – Będę za piętnaście minut.

Mercer odłożył słuchawkę, podniósł z podłogi budzik i poprawił oprawione w srebrną ramkę zdjęcie matki, które oprócz telefonu było jedynym elementem, zdobiącym stolik. Nacisnął umieszczony przy łóżku włącznik i pokój zalało miękkie światło trzech okrągłych japońskich lamp.

Wstał i jęknął. Ramiona zdobiły purpurowo-fioletowe sińce, pamiątka po otarciu się o jadący wagon metra. Stopy i podudzia reagowały boleśnie przy każdym stąpieniu od pamiętnego skoku w wody Potomacu. Skaleczenia na twarzy pokryły strupy, które pękały za każdym razem, gdy ruszał szczęką. Na łydce, w miejscu, gdzie drasnęła go kula, powstał zaczerwieniony obrzęk.

– Jezu – mruknął, idąc do łazienki.

Wziął gorącą kąpiel, połknął kilka tabletek przeciwbólowych i szybko włożył czarne luźne spodnie i tego samego koloru koszulę z długimi rękawami, skarpetki i buty. Czując się nieco lepiej, choć wcale nie tak, jak zazwyczaj, zszedł krętymi schodami na parter, ześlizgując się po stopniach.

Umiejętności kulinarnych Mercer nie rozwijał, więc szafki kuchenne świeciły pustkami. Dziesięć frustrujących minut zajęło mu przyrządzenie rozbełtanego, rzadkiego omletu z ostatnich trzech jajek, kawałka sera, paru znalezionych w lodówce cebulek koktajlowych i połowy puszki tuńczyka.

Zaniósł talerz z jedzeniem do gabinetu, gładząc po drodze stojący na szafce wielki niebieskawy kamień. Postawił talerz na biurku i włączył zieloną lampkę. Włożywszy do ust potężną porcję omletu, odwrócił się i spod stojącego na półce za biurkiem ciężkiego tomu encyklopedii mineralogicznej wyjął klucz.

Przekręcił kluczem zamek szafy sąsiadującej z drzwiami do gabinetu i dębowe drzwi otworzyły się bez trudu. W szafie znajdował się ogniotrwały sejf, poskręcany i szerniały kawałek duraluminium, który kiedyś był wspornikiem na sterowcu „Hindenburg”, oraz zaopatrzona w wiele szuflad szafeczka, w której Mercer przechowywał ponad sto cennych próbek geologicznych zebranych w ostatnich latach. Na podłodze szafy stał zabytkowy kufer podróżny, wypełniony pamiątkami z jego misji w Iraku.

Mercer wyciągnął ciężki kufer na środek gabinetu i podniósł wieko. Na samym wierzchu sterty różnorakiego sprzętu spoczywał heckler & koch MP-5A3. Ten produkowany w Niemczech niewielki pistolet maszynowy był śmiertelnie niebezpieczną bronią, która mogła wystrzeliwać sześćset dziewięćmilimetro- wych pocisków na minutę. Wziął do ręki broń i sprawdził zamek, upewniając się, że chodzi płynnie, po czym odłożył ją i sięgnął po automatyczny pistolet beretta. Od chwili, gdy zastąpiła niezapomnianego kolta kaliber 45 i stała się podstawową bronią armii amerykańskiej, beretta nieraz dowiodła swojej wartości w warunkach bojowych. Pistolet Mercera był w idealnym stanie, tak samo jak jego heckler.

Potem wyciągnął z kufra lekką, nylonową uprząż – gruby pas zawieszony na szelkach. Kaburę beretty przyczepił do szelek tak, że znajdowała się pod jego lewym ramieniem, skąd z łatwością mógł ją wydobyć. Z pasa zwiślało kilka nylonowych woreczków z zapasowymi magazynkami do pistoletu maszynowego. Do szelek przymocowany był też piętnastocentymetrowy nóż, zwró-

cony ostrzem do góry. Resztę wyposażenia stanowiła przyboczna apteczka i kompas polowy, schowany w miękkim pokrowcu.

Mercer włożył beretę do kabury i wrzucił cały osprzęt do lekkiego nylonowego worka razem z pistoletem maszynowym i paroma innymi drobiazgami. Zsunął suwak, wstawił częściowo opróżniony kufer z powrotem do szafy i przekręcił zamek drzwi. Wetknął klucz pod ciężką encyklopedię, podniósł ze stołu broń, upewniwszy się wcześniej, że jest naładowana. Przeżuwając spory kęs omletu, przysiągł sobie, że więcej nie doda do jajek tuńczyka.

– Mercer? – Z kuchni dobiegł głos Tish.

– Tu jestem.

Tish weszła do gabinetu ubrana w jedną z jego koszulek z logo uniwersytetu. T-shirt zwisał do połowy jej gładkich ud i dumnie unosił się na kształtnych piersiach. Potargane włosy i zaspane oczy sprawiały, że wyglądała zupełnie bezbrinnie i niesamowicie seksownie.

– Ta koszulka leży na tobie o wiele lepiej niż na mnie – zauważył z uśmiechem.

– Nawet na mnie nie patrz. Wyglądam tragicznie. – Tish przeczesła palcami włosy, odgarniając je z twarzy. Spojrzała na nylonowy worek. – Usłyszałam, że wstajesz. Co się dzieje?

– Muszę na parę dni wyjechać. Chyba wiem, jak to wszystko zakończyć i przy odrobinie szczęścia może uda mi się sprowadzić do ciebie Walerego Borodina.

Oczy Tish rozbłyły.

– Zastanawiałam się nad tym i nie mogłam uwierzyć, jak bardzo chciałabym go zobaczyć.

– Daj mi kilka dni i będzie twój. – Mercer autentycznie cieszył się jej radością. – Chodźmy do barku, muszę się napić swojej słynnej kawy.

– Co to jest? – zapytała Tish, gdy jej wzrok padł na wielki kamień przy drzwiach.

– Mój kamyk szczęścia – odparł, głaszcząc nierówną powierzchnię. – To kimberlit, dostałem go od szefa kompanii DeBcers w podziękę za uratowanie mu życia po tym, jak podczas prac w Afryce Południowej zawalił się chodnik. Kimberlit to skała, z której pokładów wydobywa się diamenty wyjaśnił. – Sam w sobie jest bezwartościowy, ale niemal każdy diament, wydobyty w ostatnich stu latach, został znaleziony w wulkanicznych złożach kimberlitu.

Mercer nie powiedział jej, że ten kawałek nie jest taki całkiem bezwartościowy. W spodniej warstwie kamienia zatopiony był około ośmio-karatowy diament o niesamowitej błękitnobiałej barwie. Nieoszlifowany, wart szacunkowo ćwierć miliona dolarów, ale gdyby oddać go w ręce jubilera, trudno powiedzieć, jaką cenę by uzyskał.

Gdy Mercer robił kawę, na dole rozległ się dźwięk dzwonka, zapowiadający przyjście Harry'ego. Przyjaciel wszedł przez bibliotekę do barku i oparł się o futrynę drzwi.

– A ty gdzie się wybierasz? Na bal przebierańców? Jako ninja?

Mercer spojrział na swoje czarne ubranie i wzruszył ramionami.

– Przebrałem się za twój ulubiony temat katastrofy naturalnej. Wyglądam jak plama ropy. Co o tym myślisz?

– Myślę, że pieprzysz od rzeczy – odparł Harry i rozsiadł się za barkiem. Trzymany w ustach papieros podskakiwał przy każdym wypowiedzianym słowie.

Cześć, Harry. – Tish przywitała się ze starszkiem, całując go w pokryty siwizną policzek.

– Oszukałeś mnie. Mówiłeś, że będzie nago.

Tish nie wiedziała, o co chodzi, ale poznała już Harry'ego i Mercera na tyle, by się nie obrażać.

– Nalej mi drinka z łaski swojej.

Mercer sprawnie nalał mu whisky.

– Tak naprawdę zamierzam wbić kolejną pinezkę w mapę – powiedział, pokazując kciukiem wiszącą na ścianie mapę.

– Jaki kolor?

– Przezroczystą.

Harry wiedział, że przezroczysta pinezka w Iraku miała związek z jakąś tajną misją rządową, a ta w Rwandzie oznaczała pełen przemocy epizod w życiu jego przyjaciela.

– Gdzie jedziesz? – Przymglony alkoholem wzrok Harry'ego nieco się wystrzył.

– Nie wolno mi mówić, że na Hawaje – odparł z uśmiechem Mercer – więc nie powiem.

– A więc wracamy do początku tej historii – powiedział miękko Harry, spoglądając na Tish.

Mercer spojrział na zegarek i zarzucił na ramię nylonowy worek. – Muszę iść. Daj mi kluczyki od samochodu.

Harry wyciągnął z kieszeni kluczyki do zdezelowanego forda pikapa i rzucił Mercerowi.

– Wracam za parę dni – powiedział geolog, łapiąc kluczyki w powietrzu. Miejcie oczy szeroko otwarte. A ty – zwrócił się do Tish, całując ją lekko – bądź grzeczna i nie podniecaj zbytnio starszego pana.

Kierując się do wyjścia, przystanął w bibliotece i uśmiechnął się szelmowsko, spojrzawszy na stertę oprawionych w ramki zdjęć. Na pierwszej fotografii byli on i jeszcze jeden mężczyzna. Obaj stali na gąsienicy potężnego buldożera. U dołu widniał odręczny podpis: „Mercer, znów ci się udało. Tym razem jestem ci winien flaszkę. Danny Tanaka”. Wygrawerowany na osłonie silnika ponadstutonowego buldożera rysunek przedstawiał stylizowany kask i koparkę. Logo przedsiębiorstwa Ohnishi Minerals.

– Dług spłacony, mój drogi Danny.

Stanowisko wartownicze u bram bazy sił lotniczych Andrews w Morningside w stanie Maryland przypominało budkę, w której opłaca się wjazd na autostradę. Kilka niewielkich, szklanych pomieszczeń podpierało metalowy dach, rozpięty nad całą szerokością drogi, skąpanej w fluorescencyjnym świetle. Mercer zatrzymał forda. Skorodowane hamulce zapiszczały, jakby ktoś przeciągnął palcami po szkolnej tablicy. Wartownik, Afroamerykanin, wyglądający na niewiele więcej niż osiemnaście lat, przyglądał się podejrzliwie zrujnowanemu pikapowi aż do chwili, gdy stojący za nim Dick Henna położył mu rękę

na ramieniu. Przez otwarte okno Mercer usłyszał, jak szef FBI uspokaja młodego kaprala.

Henna opuścił budkę z kuloodpornego szkła i podszedł do samochodu od strony pasażera. Bez słowa otworzył drzwi i wsiadł do środka. Mercer powoli ruszył.

– O ile wiem, jeszcze niedawno jeździłeś jaguarem cabrio – odezwał się w końcu Henna. Jego głos ledwo się przebił przez hałasujący tłumik. – Spodziewałem się, że sprawisz sobie coś lepszego.

Mercer zakaszał, gdy gaźnik forda strzelił i chmura gryzącego dymu wypełniła kabinę.

– Darowanemu koniowi... – zaczął, uśmiechając się szeroko.

– Nie zagłąda się w zęby – dokończył Henna. – Kapuję.

– Chociaż wydaje mi się, że pod maską tego rżęcha faktycznie jest koń, i to wcale nie mechaniczny. – Mercer popatrzył na szarą kopertę w rękach Henny. – To dla mnie?

– Tak. – Henna położył kopertę na siedzeniu pomiędzy nimi. – Dwa zdjęcia w podczerwieni z samolotu szpiegowskiego i plany domów Takahiro Ohnishiego oraz jego asystenta, Kenjiego, które zdobyliśmy od wykonawcy. Po cholere ci one? Przecież jedziesz tam tylko jako obserwator i doradca.

– Oczywiście – przytaknął szybko Mercer – ale jeśli dojdzie do ataku, muszę mieć jakiś materiał, na podstawie którego będę mógł doradzać, nie?

– Tutaj skreć w lewo – powiedział Henna, gdy wjechali w głąb rozłożystego kompleksu. – Jesteś jednym z najbardziej zaradnych facetów, jakiego w życiu spotkałem, ciągle jednak nie

potrafię rozszyfrować, w jaki sposób zdołasz opuścić „Inchona” i dostać się na ląd.

Mercer popatrzył na niego z udawanym zdumieniem. Na jego twarzy malował się obraz dziecinnej niewinności.

– Zapomnij! Podróż statkiem desantowym zawsze była marzeniem mojego życia. Nie mam zamiaru zejść z pola widzenia opiekuńczego oka marynarki. Poważnie, Dick. Ale powinniście mieć tam kogoś, kto orientuje się w sytuacji i ma jakąś wiedzę na temat bikinium. Nie sądzę jednak, żeby Abe Jacobs się do tego nadawał. Ja wiem sporo na temat tego bałaganu i po prostu chcę zobaczyć, jak to zakończycie.

Henna milczał.

– Wierzysz mi?

– Ani trochę – mruknął Henna.

– I bardzo dobrze, bo to największy kit, jaki kiedykolwiek próbowałem komuś wcisnąć. – Mercer popatrzył na Hennę, którego twarz na przemian to rozjaśniały, to znów pograżały w mroku uliczne światła. – Skoro wiesz, że będę chciał jak najszybciej zejść z pokładu „Inchona” i dostać się na wyspę, to dlaczego pozwalasz mi tam lecieć?

– To proste. Wiem, że zataiłeś przede mną pewne informacje. – W głosie Henny nie było gniewu. – A są one kluczem do zakończenia tej całej historii. Tylko ty wiesz, co jest grane i jesteś wystarczająco stuknięty, by spróbować rozwiązać tę sprawę.

– Doceniam szczerość i zaufanie – odparł Mercer z sardonijnym uśmieszkiem – ale podczas hawajskich wakacji nie mam w planach umierania.

– Teraz w lewo.

Mercer skręcił kierownicą i pojechał równoległe do jednego z betonowych pasów startowych, wzmocnionych stalą. Niebieskie światła wzdłuż pasa zlewały się w jedną rozjarzoną linię. Gdzieś w oddali, z rykiem silników wzbił się w nocne niebo ogromny myśliwiec.

Samochód zbliżył się do kilku potężnych hangarów, których konstrukcję z falistej blachy oświetlały ze wszystkich stron potężne reflektory. Wszędzie krzątali się ubrani w niebieskie kombinezony pracownicy bazy, roznoszący narzędzia, drabiny i inny sprzęt.

– Skręć do pierwszego hangaru – polecił Henna.

Mercer zwolnił, mijając kilka przenośnych generatorów, wykorzystywanych do odpalania silników odrzutowych. Wjechał samochodem do hangaru i nacisnął hamulec, zatrzymując pojazd w miejscu wskazanym przez siwowłosego starszego sierżanta. Naszywki na rękawie munduru, oznaczające czas spędzony w służbie, biegly od nadgarstka aż po ramię.

Henna podał żołnierzowi rękę.

– Wszystko gotowe?

– Tak jest, sir. – Sierżant wypowiedział słowo „sir” tak, jak większość mężczyzn wypowiada słowo „impotent”, czyli ledwie słyszalnym szeptem. – W biurze jest dodatkowy kombinezon lotniczy, a latająca cysterna KC-135 czeka na rozkaz startu w bazie w Omaha. Inna czeka w pogotowiu w pobliżu San Francisco. Nigdy nie pojmem, dlaczego lotnictwo ma płacić za przerzucenie cywila na samolot marynarki.

Mercer dostrzegł odrzutowiec, gdy tylko wjechali do hangaru, teraz jednak poświęcił chwilę, by przyjrzeć się dokładnie swojemu środkowi transportu, którym miał lecieć nad Ocean Spokojny. McDonnell Douglas F/A-18 Hornet stał lekko na wysuniętym podwoziu i przypominał lamparta, który przysiadł na zadzie, prężąc się do skoku. Pod ostrymi niczym brzytwa skrzydłami nie było bomb. Zamiast nich jak pijawki zwisały dwa odrzucane zapasowe zbiorniki na paliwo. Mercer przyglądał się z zachwytem łagodnej linii kadłuba, ostrej szpicy dzioba, podwójnemu, wychylonemu na zewnątrz ogonowi, sześciu krótkim lufom działka systemu Gatlinga, umocowanego pod kabiną pilota. Dwa miejsca w samolocie oznaczały, że jest to wersja szkoleniowa maszyny.

– Leciał pan kiedyś myśliwcem? – zapytał sierżant z protekcyjnym uśmiechem.

– Nie.

– Bubba będzie w siódmym niebie.

Mercer spojrział z góry na sierżanta. Był od niego o dobre trzydzieści centymetrów wyższy, ale szerokie bary i silna budowa ciała żołnierza sprawiały, że wydawali się równi.

– Bubba? – zapytał.

– Strzałeczka. – Do ich uszu dobiegł głos, jaki można usłyszeć na zapyziałej farmie gdzieś w południowej Georgii.

Mercer odwrócił się gwałtownie. Rozmówca stał obok biura, przyklejonego do jednej ze ścian obszernego hangaru. Jego wyposażony w najnowsze zdobycze techniki skafander lotniczy wybrzuszał się w miejscach, gdzie znajdowały się poduszki

powietrzne, które napełniały się podczas ogromnych przeciążeń i chroniły pilota przed utratą przytomności. Pilot miał twarz dziecka i rzadkie rozczochrane włosy. Gdy się uśmiechnął, Mercer zauważył, że brak mu przedniego zęba. Na hełmie, który ścisnął w rękach, pomiędzy biało-niebiesko-czerwonymi paskami, widniał napis: „Bubba”.

Mężczyzna zupełnie nie pasował do wizerunku pilota, jaki stworzył sobie Mercer.

– Billy Ray Young. – Pilot wyciągnął kościstą rękę. – Ale mówią na mnie Bubba. – Uśmiechnął się szeroko, trzymając mocno wypełniającą lewy policzek prymkę tytoniu.

– Mercer.

Podali sobie ręce. Henna nie wytrzymała i roześmiał się, widząc bladeść, która pojawiła się na twarzy Mercera.

– Fajnie, że będę miał jakieś towarzystwo w czasie tego lotu – powiedział Bubba. – Siedziałem jakiś czas w pace i nie miałem do kogo gęby otworzyć.

Mercer spojrział ukradkiem na Hennę. Szef FBI nie odezwał się, ale w jego oczach błyskały ogniki rozbawienia.

Niech pan idzie ze mną, pomogę się panu ubrać.

Poszedł za pilotem do biura. Billy Ray zaczął opowiadać o swoim pobycie w wojskowym areszcie za przelot hornetem pod mostem Golden Gate. Mówił z tak silnym akcentem, że Mercer rozumiał najwyżej jedną trzecią z jego wywodów. Billy Ray pokazał mu, jak włożyć kurczliwy kombinezon i jak pospinać ze sobą różnorodne uprząże. Geolog czuł się jak maskotka firmy Michelin, wciskająca się w pas wyszczuplający.

Gdy wrócili do hangaru, Dick Henna właśnie ważył w dłoni jego worek podróżny.

– Trochę ciężki jak na bieliznę na przebranie.

– Lubię podszewki z dodatkiem ołowiu. – Mercer zabrał worek z rąk szefa FBI.

Mechanik wziął bagaż i postawił w schowku mieszczącym tysiąc trzysta pięćdziesiąt sztuk trzydziestomilimetrowej amunicji działka. Zamknąwszy pokrywę, zabezpieczył ją specjalnym wkrętakiem, poklepując z czułością kadłub przed odejściem.

– Niech pan włazi na górę, panie Mercer, musimy trzymać się grafiku. – Billy Ray siedział już na fotelu pilota.

– Nie martw się, Mercer – powiedział Henna. – To jeden z najlepszych pilotów w marynarce. W czasie wojny w Zatoce nie miał sobie równych.

– To ma być dla mnie pocieszenie?

– Niekoniecznie. – Henna uśmiechnął się i wyciągnął prawą rękę. – Gdy będziesz na lotniskowcu, jego śmigłowiec przrzuci cię na „Inchona”. Skontaktuj się tam z tobą. Powodzenia.

– Dzięki, Dick.

Mercer podszedł do samolotu i po metalowych schodkach wszedł do wnętrza kokpitu. Sierżant osobiście przypiął go do fotela, pobieżnie informując, czego pod żadnym pozorem nie powinien robić i dotykać.

– Jakies słowo na odchodne. sierzancie?

– Tak... Jak się pan tu porzyga, każę oficerowi wachtowemu z „Kitty Hawk” trzymać pana w kabinie dotąd, aż pan posprząta.

Sierżant poklepał Mercera w hełm i wygramolił się po drabinie na płytę hangaru.

– Gotowy? – zapytał przez interkom Billy Ray

– Możemy ruszać, Bubba – odpowiedział zmęczonym głosem Mercer. Nagle poczuł, że pięć godzin snu, które wcześniej złapał, to za mało, wątpił jednak, by choć na chwilę zdrzemnął się podczas lotu.

Pilot zamknął pokrywę kokpitu i odpalił dwie potężne turbiny GE F404. Silniki, wytwarzające ponad siedem tysięcy kilogramów ciągu, zawyły jak stu potępieńców, gdy na chwilę dał im pełną moc.

Z mroku nocy wyłonił się ciągnik i jeden z techników przy-mocował do przedniego podwozia hol. Z lekkim szarpnięciem holownik powoli wyciągnął horneta na płytę lotniska. W słuchawkach Mercer słyszał rozmowy wieży kontrolnej z różnymi samolotami w okolicy. Gdy Billy Ray w końcu wywołał kontrolera lotów, silny akcent nagle zniknął. Mówił wyraźnie i zwięźle, dzięki czemu Mercer poczuł się nieco lepiej. I coraz mniej miał wątpliwości co do lotu i samego pilota.

– Szybko pan rzyga na karuzeli? – Mercer poczuł się lepiej, ale niewiele lepiej.

– Nie martw się o mnie, Bubba.

Ciągnik zatrzymał się tuż przed pasem. Kierowca zesko-czył z pojazdu i odczepił hol. Billy Ray otworzył przepustnicę i dwudziestopięcioletnia maszyna zaczęła drżeć wraz ze zwiększaniem mocy potężnych silników. Samolot podjechał do końca pasa i stanął, czekając na pozwolenie wieży. Pas startowy

wyglądał jak trzykilometrowa wstążka, biegnąca w noc, zdobiona niebieskimi światełkami, które zbiegały się gdzieś na bardzo dalekim horyzoncie.

Gdy kontroler lotów zezwolił na start, Billy Ray wydał z siebie ogłuszający wrzask i maksymalnie zwiększył moc silników, włączając jednocześnie dopalacze.

Z dysz silników wytrysnęły dziewięciometrowe stożki niebieskobiałego ognia, kiedy pompy zaczęły zalewać je czystym paliwem. Samolot przysiadł na pneumatycznym podwoziu, gdy rozpędzał się na pasie. Przyspieszenie wcisnęło Mercera w fotel.

Przy prędkości dwustu węzłów Billy Ray pociągnął za drążek i hornet wzbił się w czarne niebo jak wypuszczona z łuku strzała. Skafander ciśnieniowy Mercera automatycznie ścisnął mu klatkę piersiową, uniemożliwiając odpływ krwi z mózgu i utratę przytomności. Oparł ręce na podłokietnikach i obserwował wysokościomierz, którego igła obracała się z zawrotną prędkością.

Billy Ray wyrównał lot samolotu dopiero na wysokości dziewięciu tysięcy sześciuset metrów i żołądek Mercera potrzebował kilku minut, by opanować wrażenia wywołane tak szybkim lotem. Minutę później rozległ się potężny huk i ogłuszający ryk silników gwałtownie ustał. Mercer był pewien, że Billy Ray rozwalił samolot, po chwili jednak zdał sobie sprawę, że po prostu przekroczyli barierę dźwięku.

– I co o nim myślisz? – Pytanie Billy'ego przerwało niesamowitą ciszę.

– Nie mogę się doczekać chwili, gdy linie lotnicze wprowadzą je do ruchu krajowego – odparł kwaśno Mercer. – Nazwałeś go jakoś?

– No jasne – powiedział z dumą pilot. – Mabel.

– Jak twoja matka?

– Nie, to imię jałówki mojego tatusia – odparł Billy takim tonem, jakby to było coś oczywistego. – To prawdziwa medalistka.

Mercer rozparł się na fotelu najwygodniej, jak potrafił, opierając głowę o osłonę kabiny. Zamknął na chwilę oczy i zdał sobie sprawę, że zaśnie o wiele łatwiej, niż sobie wyobrażał. Trochę mu jednak przeszkadzało nucenie Billy'ego, który fałszował.

Tylko raz, pomiędzy Waszyngtonem a Zachodnim Wybrzeżem, ze snu wyrwał go nagły wstrząs. Była to chwila największego przerażenia, jakiego w życiu doświadczył. Na zewnątrz ciągle panowała ciemność, dlatego wyraźnie zobaczył światła innego samolotu, który znalazł się tak blisko, że Mercer nie mógł dostrzec końców jego skrzydeł. Wydawało się, że Billy Ray chce koniecznie wbić się w lecącą przed nim maszynę. Mimo że lecieli poniżej prędkości dźwięku, drugi samolot niesłychanie szybko wypełniał widok z kokpitu horneta. Mercer skulił się w sobie w oczekiwaniu na nieuchronne zderzenie, ale Billy Ray wleciał swoim F-18 pod ociężałą maszynę, zachowując może siedmiometrowy dystans.

Mercer patrzył z zachwytem, jak z mroku nocy wynurza się wężowate ramię i podpełza do aureoli światła, otaczającego myśliwiec. Dopiero gdy ramię połączyło się z wypustem, umieszczonym po prawej stronie kokpitu, Mercer zdał sobie

sprawę, że właśnie odbywa się tankowanie w powietrzu. KC-135 potrzebował kilka minut, by napełnić zbiorniki hometa. Kiedy wąż chował się do kadłuba cysterny, resztki paliwa zamarzały w rozrzedzonej atmosferze i przelatowały obok myśliwca jak pociski smugowe.

– Dzięki za cytuczka, dzidzia była bardzo głodna – powiedział Billy do załogi latającej cysterny, po czym pomachał skrzydłami horneta i zanurkował pod brzuchem KC-135, otwierając jednocześnie przepustnice. W chwilę potem samolot cysterna pozostał już całe kilometry za nimi, a homet zbliżał się do prędkości dźwięku. Gdy tylko zaczęli lecieć szybciej niż ryk silników, a w kabinie ponownie zapadła cisza, Mercer oparł głowę o pleksiglasową osłonę kabiny. Minęło jeszcze kilka minut, nim i jego serce uspokoiło się na tyle, by mógł spokojnie zasnąć.

JOHN DORY

Radiotelegrafista zerwał z głowy słuchawki i rzucił je na stalowy blat biurka, na którym piętrzył się stos urządzeń komunikacyjnych. Skinął głową do swojego asystenta i wybiegł z ciasnego pomieszczenia, ściskając w dłoni pospiesznie zapisaną kartkę. „John Dory” płynął w zaciemnieniu. Przytłumionym, czerwonym światłem żarzyły się tylko lampy korytarzy, jak to zwykle bywa podczas patroli. Jednak ograniczony świat radiotelegrafisty był rozświetlony blaskiem bijącym od setek wskaźników licznych urządzeń radiowych, dlatego jego oczy potrzebowały długiej chwili, by przystosować się do półmroku, panującego na łodzi podwodnej.

Mężczyzna przeszedł przez niewielki otwór wodoszczelnych drzwi i znalazł się w centrum dowodzenia. Po lewej stronie, w podobnych do lotniczych fotelach, siedziało dwóch sterników. Drażki zawiadujące sterami kierunku i zanurzenia jeszcze bardziej upodabniały to miejsce do kabiny samolotu. Za sternikami stało trzech innych członków załogi, którzy za pomocą konsoli, utkanej ponad dwudziestoma zaworami i wskaźnikami ciśnienia, kontrolowali zbiorniki balastowe łodzi. Przystarzały system technologicznie przypominał najwcześniejsze okręty podwodne z okresu I wojny światowej. Mimo to okazał się bardzo wydajny.

Dopiero ostatnie rosyjskie łodzie wykorzystywały nowoczesne, komputerowe systemy kontroli balastu, których Amerykanie używali już od lat sześćdziesiątych.

Stanowiska ogniowe znajdowały się po prawej stronie. Był to najnowocześniejszy fragment wyposażenia jednostki, dwunastoletni komputer, skopiowany z amerykańskiego UYK-7, czyli pierwszego komputera pokładowego, instalowanego na amerykańskich łodziach podwodnych klasy Los Angeles. Rosyjska kopia została zainstalowana, gdy „John Dory” przechodził we Władywostoku gruntowny remont.

Z tyłu centrum dowodzenia czterech inżynierów monitorowało stan przestarzałego reaktora, znajdującego się na rufie jednostki. Ich oczy i ręce nigdy nie opuszczały miriadów kontrolerek, guzików i przełączników. Identyczny panel znajdował się w pomieszczeniu reaktora i oba były ze sobą połączone. Dzięki temu tak naprawdę osiem par oczu wypatrywało jakiegokolwiek niebezpieczeństwa ze strony nuklearnego pieca, płonącego w osłonie z niszczonego betonu i ołowiu. Peryskop łodzi zwiślał z sufitu jak stalowy stalaktyt. Było to jedyne urządzenie, które pozwalało nie tracić nadziei, że gdzieś na zewnątrz wciąż istnieje jakiś świat. Gdy łódź przemierzała w zanurzeniu wody oceanu, tylko peryskop oraz pasywne i aktywne sonary dostarczały dane na temat otoczenia.

– Panie kapitanie, wiadomość od Matrioszki. – Kryptonim Iwana Kerikowa odnosił się do lalki, cieszącej się popularnością wśród pokoleń rosyjskich dzieci. Taka nazwa świetnie oddawała charakter tej tajemniczej postaci.

Kapitan Zwieńkow stał pochylony nad tablicą kontrolną uzbrojenia, analizując możliwości odpalenia rakiety w kierunku odległego nic więcej jak dwadzieścia mil wulkanu, gdyby zaszła taka potrzeba.

– Świetnie, Borys – pochwalił oficera odpowiedzialnego za naprowadzanie pocisków raketowych i poklepał go po ramieniu, a potem odwrócił się do chudego radiotelegrafisty. – Co tam masz?

– Wiadomość od Matrioszki, towarzyszu kapitanie – powtórzył żołnierz, podając dowódcy kartkę; stał na baczność w oczekiwaniu na odpowiedź.

Zwieńkow uniósł papier bliżej przytłumionego światła lampy i zmrużył oczy, starając się rozczytać napisany odręcznie tekst. Mruknął kilka razy pod nosem, przebiegając wzrokiem po literach, po czym złożył starannie kartkę i wsunął ją do kieszeni bluzy.

– Bosmanie, głębokość peryskopowa. – Zwieńkow wydawał rozkazy cicho, ale bardzo wyraźnie. – Ale nie zrzucajcie balastu, tylko manewrujcie silnikami. Prędkość dwa węzły. Nie musimy się spieszyć. Sonar, zabezpieczyć aktywne systemy. Nie chcę, żeby ktoś odebrał jakiś przypadkowy sygnał.

Zwieńkow rozejrzał się po przyciemnionym mostku, obserwując, jak jego ludzie wywiązują się ze swoich obowiązków. Usatysfakcjonowany ich postawą, wziął do ręki mikrofon i włączył okrętowy interkom.

– Mówi kapitan – powiedział prawie szeptem. Członkowie załogi, stojący nieco dalej od głośników, musieli wytężyć słuch.

– Wiem, że od dawna jesteście zobowiązani zachować absolutną ciszę, ale konieczność przestrzegania tego środka ostrożności wkrótce ustanie. W ciągu dwudziestu czterech godzin opuścimy nasze stanowisko i skierujemy się w stronę domu. W ciągu tych ostatnich kluczowych godzin nie możemy sobie pozwolić na rozluźnienie dyscypliny. Wręcz przeciwnie, musimy podwoić nasze wysiłki. W okolicy znajdują się amerykański lotniskowiec i okręt desantowy. Nie muszę wam przypominać, że lotniskowcowi towarzyszy osłaniająca go łódź podwodna, której sonar słyszy stuknięcie o pokład z odległości dwustu mil. Nie wiedzą, że tu jesteśmy, i nie chcę, by się dowiedzieli. Rozmowy prowadzimy szeptem. Żadnej muzyki w mesie, wszelkie niezbędne naprawy najpierw są zgłaszane do mnie. Prace konserwacyjne zostają wstrzymane do odwołania. To wszystko.

Kapitan odwiesił mikrofon. Wpatrywali się w niego z pełnym podziwu napięciem, wyczekująco. Z wyjątkiem zatopienia w zeszłym tygodniu statku NOAA rejs był niezwykle długi i monotony. Stres spowodowany koniecznością zachowania ciszy przez kilka tygodni mógł zrujnować nerwy nawet najlepszemu podwodniakowi, a oni stacjonowali już w takich warunkach od siedmiu miesięcy.

Teraz kapitan obiecywał członkom załogi, że wkrótce wrócą do domu, co sprawiło, że na ich twarzach pojawiły się ulga i radość. Ostrzeżenie przed grasującą w okolicy amerykańską łodzią wywołało dreszczyk emocji. Byli przecież marynarzami w marynarce rosyjskiej. Mieli walczyć, a nie czekać.

Kapitał Zwiczków zwrócił się do młodego radiooperatora.

– Ustawcie sprzęt na kanał B. Począwszy od północy, co dwie godziny będziecie otrzymywać krótką wiadomość. Kod to słowo „zielony”, powtarzane przez pięć sekund. Jutro w nocy zmieni się na „czerwony”. Może się zdarzyć, że nie zostanie powtórzony w odstępach dwugodzinnych, więc bądźcie na stałym nasłuchu. Za każdym razem, gdy usłyszycie przekaz, proszę mnie powiadomić. Jasne?

– Tak, towarzyszu kapitanie. – Radiooperator zsalutował służbiście i odwrócił się.

– Kapitanie, głębokość peryskopowa – zameldował cicho jeden z oficerów.

– Maszyny stop.

– Tak jest, maszyny stop.

– Wysunąć antenę, ale tak, żeby nie wynurzyła się nad powierzchnię.

– Antena wychodzi. Głębokość jeden metr.

– Zmniejszyć moc reaktora do pięciu procent.

– Tak jest, pięć procent.

Chociaż reaktor atomowy pracuje o wiele ciszej niż silniki diesla, potężne pompy chłodzące wytwarzały dość wyraźny szum, który wprawne ucho operatora sonaru mogło odróżnić od hałasów typowych dla otwartego oceanu. Przez zmniejszenie mocy do niezbędnego minimum Zwińkow zminimalizował prawdopodobieństwo wykrycia swojej jednostki przez czyhającą łódź Amerykanów i jej świetnie wyszkoloną obsługę.

– Anton – powiedział Zwińkow, przeczesując palcami krótkie siwe włosy. W odpowiedzi jego zastępca odszedł od

pokrytego szkłem planszetu radiolokacyjnego, który znajdował się tuż za peryskopem. – Znajdź młodego Borodina i przyprowadź go do mojej kajuty.

– Tak jest.

Oficer zszedł z mostka, kierując się ku tyłowi okrętu, gdzie miał nadzieję znaleźć naukowca.

Zwieńkow poszedł do swojej kajuty, znajdującej się tuż na wprost mostka. Z zamkniętej na klucz szuflady plastikowego biurka wyciągnął napełnioną do połowy butelkę wódki i tanią szklankę z grubego szkła, ozdobioną obrazkiem potężnej wieży telewizyjnej w Berlinie Wschodnim. Szklanka przypominała mu o jedynych wakacjach spędzonych poza Związkiem Radzieckim, w mieście tak samo ponurym i przygnębiającym, jak jego rodzinne Tbilisi w Gruzji. Wlał do niej trochę wódki i wypił jednym haustem, po czym schował butelkę i szklankę do szuflady.

Alkohol był oczywiście surowo zabroniony na rosyjskich jednostkach pływających, zwłaszcza na łodziach podwodnych, ale Zwieńkow uważał, że kapitan może mieć małe przywileje. Pozwalał sobie zazwyczaj na jeden kieliszek raz w tygodniu, chociaż w tym tygodniu wypił już trzy. Drugi zaliczył po tym, gdy dwóch marynarzy zaniósło ciało Piotra Borodina do niemal pustej chłodni.

– Proszę – warknął, słysząc pukanie do drzwi.

Do środka wszedł Walery, ubrany w pożyczony od któregoś z marynarzy codzienny mundur. Wyglądał jak chłopak z plakatu reklamującego armię: ciemna karnacja, wysportowana sylwetka, wyprostowana postawa; do tego wytwarzał wokół siebie aurę

jakiejś tragedii, która dodawała mu tajemniczości. Zwieńkow nie widywał go zbyt często od śmierci starego Borodina, co zupełnie zrozumiałe – Proszę usiąść – zaprosił go. – Napije się pan herbaty?

Walery odmówił ruchem ręki, siadając na krześle obok tego, na którym zmarł jego ojciec. Przez chwilę patrzył na nie, zanim odwrócił się do kapitana.

– Chciał pan mnie widzieć?

Zwieńkow wiedział, że najlepiej jest mówić bez owijania w bawełnę.

– Właśnie otrzymałem instrukcje od Kerikowa. Rozkazał zniszczyć wulkan.

Walery przyjął tę wiadomość bez emocji. Nie mrugnął nawet okiem. Czegoś takiego się spodziewał. Teraz jednak, gdy usłyszał taką informację, zdawał się wcale nią nieporuszony. Po części czuł, że miał rację – ojciec, który opuścił go tak wcześnie, zmarnował całe życie, ścigając sen, który nie mógł się urzeczywistnić. Ale odczuwał ból z powodu porażki starego naukowca. Sprzeczne emocje zmieniły jego twarz w kamienną maskę.

– Czekam na wiadomości od grupy komandosów na Hawajach. Gdy nadejdzie, odpalę raketę i obrócę wulkan w pył. Potem popłyniemy w kierunku wysp, by wydostać naszych ludzi.

– Podał jakiś powód? – zapytał cicho Walery.

– Słucham? O co pan pytał?

Walery chrząknął, ale głos się nie wzmacniał.

– Pytałem, czy Kerikow podał jakiś powód.

– Jestem żołnierzem rosyjskich sił zbrojnych, doktorze Borodin. Gdy otrzymuję rozkaz, nie pytam o powody jego wydania.

– Wie pan, że to błąd, prawda?

– To nie moje zmartwienie – odparł ostrożnie Zwieńkow.

– Słyszałem, co powiedział pan załodze na temat amerykańskiej łodzi w tym rejonie. Gdy odpali pan raketę, znajdą nas natychmiast.

– Pan, być może, zna się na geologii, panie Borodin, aleja się znam na taktyce Amerykanów. Gdy pocisk eksploduje, natychmiast tam popłyną, żeby sprawdzić, co się stało. A my w tym czasie po cichu się ulotnimy. Fale po wybuchu ukryją nasz ślad akustyczny, nawet jeśli popłyniemy z maksymalną prędkością.

Zwieńkow powiedział Borodinowi o odpaleniu rakiety z czystej uprzejmości, jako że młody naukowiec i jego ojciec włożyli wiele wysiłku w powstanie wulkanu. Nie oznaczało to jednak, że go lubił ani że chciał kwestionować otrzymane rozkazy.

Po śmierci ojca Walery' porzucił myśli samobójcze, przyznając sam przed sobą, że ogarniały go one w chwilach słabości. Teraz zdał sobie sprawę, że nigdy nie udałoby mu się odwieść Zwieńkova od zniszczenia wulkanu, ciągle jednak miał szansę ucieczki z teczką swojego ojca.

Gdy „John Dory” podpłyne w pobliże wyspy, by podjąć na pokład członków komanda, Walery znajdzie sposób, żeby wydostać się z okrętu, nawet jeśli będzie musiał wydostać się na brzeg, płynąc wpław. Ucieknie. Wulkanu nie uratuje, ale notatki jego ojca z pewnością będą wiele znaczyć dla Amerykanów.

– Nasza łódź może potencjalnie znaleźć się w sytuacji bojowej – Zwińkow przerwał rozmyślania Walerego – więc pozostanie pan w swojej kajucie. Nic jest pan aresztowany, ale przy drzwiach stanie wartownik, który dopilnuje, by nie przeszkadzał pan w działaniach operacyjnych okrętu.

Nacisnął przycisk interkomu. Zastępca dowódcy zgłosił się natychmiast.

– Tak, kapitanie?

– Przyslijcie tu oficera odpowiedzialnego za ochronę, żeby odprowadził doktora Borodina do jego kajuty. Postawcie tam też wartownika. Bez broni.

Chwilę potem jeden z oficerów wszedł do kajuty kapitańskiej i odprowadził milczącego Walerego. Gdy dotarli do jego pomieszczenia, przed drzwiami stał już muskularny wartownik.

Walery rzucił się na koję zaraz po tym, gdy strażnik z przesadną uprzejmością zamknął za nim drzwi. Zalewały go fale rozpacz, które jak zimowy przybój na morzu niszczyły ostatnie iskierki nadziei.

Był już tak blisko. „John Dory” miał pod osłoną ciemności podjąć komandosów w pobliżu hawajskich wybrzeży. Walery mógł wtedy bez trudu ześlizgnąć się do wody i niezauważony przez nikogo odpłynąć.

Wszystko przepadło. Nigdy nie uda mu się pokonać wartownika za drzwiami i wydostać się z okrętu.

Przegrał.

Walił pięściami w cienki materac, próbując odegnąć od siebie myśl, jak blisko znajdował się moment, gdy mógł znów być

z Tish. Cierpienie było tak silne, że jęczał i wił się na wąskiej koi. Szczęśliwe chwile, spędzone w Mozambiku, przelatywały przez jego umysł jak sceny z romansu. On i Tish... Kąpiący się w błękitnej wodzie oceanu, roześmiani, zakochani, beztroscy i szczęśliwi. Niemal fizycznie czuł, że dziewczyna myśli teraz o nim. czuł to wszystko, co ich łączyło, czuł więź, która nigdy do końca ich nie rozdzieli. Zacisnął mocno powieki w daremnej próbie oddzielenia się murem od cudownych obrazów.

– Niech to szlag! – syknął przez zęby zaciśnięte tak mocno, że lada chwila mogły trzasnąć. – Niech to szlag!

W POBLIŻU HAWAJÓW

Ryk turbodrzutowych silników obudził Mercera, który zorientował się, że F/A-18 zwolnił właśnie do prędkości poddźwiękowej. Geolog mrugnął kilka razy i obrócił zdrętwiałą szyję. Ciasny kombinezon wpijał mu się boleśnie w krocze i pofałdował pod pachami, ale Mercer nie miał możliwości, by przeciągnąć się w kokpicie. Była noc, nad ich głowami połykiwała ogromna tarcza księżyca. Mercer uznał, że przy tym bladym świetle mógłby czytać.

– Gdzie jesteście? – zapytał Billy’ego.

– Jakies pięćdziesiąt mil od „Kitty Hawk”. Już nas namierzają.

Piloci samolotów rejsowych i prywatnych mówią, że najniebezpieczniejszą sytuacją jest lądowanie bez napędu na nierównym terenie. Dla pilotów największe niebezpieczeństwo stanowi nocne lądowanie na lotniskowcu, kołysanym falami niespokojnego morza. Mając tę wiedzę, Mercer doszedł do wniosku, że najlepiej zrobi, siedząc cicho i pozwalając Billy’emu robić swoje.

Billy Ray „Bubba” Young jednak nie przejmował się zbyt ciekawym go podejściem do lądowania. Nie przestawał gadać o farmie, lataniu i wszystkim innym, co przyszło mu do głowy. Mercer widział jego dłonie, którymi gestykulował na wszystkie

strony podczas rozmowy. Dopiero gdy znaleźli się w odległości dziesięciu mil od statku, pilot na powrót przeobraził się w chłodnego profesjonalistę.

– Kontrola lotu, mówi Przewoźnik 1-1-3 – podał kodową nazwę samolotu. – Widzę was.

Mercer popatrzył w mrok, ale dopiero po dwudziestu sekundach dostrzegł słabe światełka lotniskowca, które wyglądały jak maleńka konstelacja punktów świetlnych na czarnej powierzchni oceanu. Nie było wątpliwości, że Billy Ray miał sokoli wzrok.

Homet powoli obniżał pułap lotu. Obroty silnika spadły i samolot leciał z prędkością nie większą niż dwieście węzłów. Gdy zbliżyli się do ogromnego lotniskowca, Mercer zobaczył reflektory rufowe jednostki, światła pasa i systemu VASSI, wskazującego ścieżkę podejścia. Widział też światło wskazujące kołysanie statku, ale ani ono, ani pozostałe nic mu nie mówiły. Ufał, że Billy zna się na tych oznaczeniach i wie, co robi.

– Odległość: jedna mila – poinformował kontroler lotów.

– Potwierdzam – odpowiedział spokojnie Billy. Rozległ się mechaniczny szum, gdy spod kadłuba wysunęło się podwozie.

Poświata rzucana przez nieliczne światła krążownika sprawiała, że ocean wydawał się jeszcze czarniejszy i złowieszczy. Patrząc na rufę okrętu, Mercer zauważył, że kołysze się jak oszaląła. Lądowanie na tak chwiejnym pokładzie wydawało się niemożliwe.

– Gotowy? – zaskrzeczało radio.

Billy Ray wyrównał kurs samolotu, by dopasować go do rytmu kołysania statku. Gdy uznał, że podejście będzie czyste, nacisnął przycisk mikrofonu.

– Gotowy.

Ostatnia faza lotu była teraz całkowicie w jego rękach. Krążownik zbliżał się z każdą chwilą, a hornet leciał ciągle z prędkością przekraczającą sto pięćdziesiąt węzłów, przechylając się na boki, by podchodzić w tej samej płaszczyźnie, co pokład okrętu. Jakies dwieście pięćdziesiąt metrów od rufy w kokpicie rozległo się zawrozczenie systemu alarmowego. Skrzydła traciły siłę nośną z powodu zbyt małej prędkości. Dwieście dwadzieścia metrów od statku Billy Ray uniósł nieco wyżej nos samolotu, czuć było jednak, że hornet ledwie utrzymuje się w powietrzu. Sto pięćdziesiąt metrów od pokładu maszyna zaczęła się trząść, ale Billy utrzymywał ją w górze wprawnie kierowanym ciągiem. Pas lądowiska majaczył w oddali niewyraźną smugą.

Wydawało się, że sytuacja wymyka się pilotowi spod kontroli. Czegoś takiego Mercer nigdy się nic spodziewał. Wyjące alarmy, wściekłe wstrząsy, wojownicze okrzyki Billy'ego.

Koła dotknęły pokładu z piskiem palącej się gumy. Billy jednym ruchem otworzył maksymalnie przepustnice i włączył dopalacze, ale potężna moc silników nie mogła uwolnić samolotu od liny hamowniczej, rozciągniętej w poprzek pokładu krążownika. Pilot wyłączył silniki, gdy nos samolotu pochylił się w dół. Gwałtowne hamowanie ze stu pięćdziesięciu węzłów do zera cisnęło boleśnie zapiętym w pasy ciałem Mercera, wywołując na ramionach rozległe sińce.

Gdy ustał szum turbin silników, Mercer dopiero – chyba po dwu minutach – wypuścił z płuc powietrze.

– Powinienem być pana ostrzec, że po lądowaniu wrzucę maksymalną moc. Muszę tak robić na wypadek, gdybyśmy nie zahaczyli liny i musieli szybko wystartować.

– Nie ma sprawy. – Mercer odczuwał tak wielką ulgę, że nie śmiał narzekać.

– Kontrola? – powiedział przez radio Billy. – Którą linę zahaczyłem?

– Drugą – odparł kontroler lotu.

Billy Ray krzyknął triumfująco.

– Ostatni raz lądowałem na krążowniku dwa miesiące temu, mimo to udało mi się zahaczyć środkową!

By móc lądować na lotniskowcach, piloci marynarki wojennej muszą systematycznie zahaczać podczas lądowania środkową z trzech lin hamujących, rozciągniętych w poprzek pokładu okrętu. Zaczepienie o linę numer jeden lub trzy oznacza, że pilot podchodził zbyt wysoko lub zbyt nisko, a jeśli taka sytuacja powtarzała się zbyt często, musiał przejść na lądzie dodatkowe szkolenie. Billy Ray wykonał idealnie podejście nocne.

Gdy niewielki ciągnik odholował F-18 do jednej z wind. Mercer otworzył osłonę kabiny i wciągnął do płuc świeże, oceaniczne powietrze.

Zapach paliwa lotniczego i dym wydobywający się z ośmiu silników krążownika nie zdołały przyćmić orzeźwiającego tchnienia Pacyfiku. Mercer zdumiał się, widząc, że na pokładzie wre praca. Wszędzie krzątali się marynarze i członkowie

obsługi, wszędzie przemieszczały się samoloty. W czarne niebo, jak zapalona strzała, wzbił się F-14 Tomcat. W pobliżu grzał silniki potężny śmigłowiec.

Do hometa podbiegło kilkunastu techników. Jeden z nich przysunął do kadłuba drabinkę, a dwóch wspięło się na nią, by pomóc Mercerowi i Billy'emu wydostać się z ciasnych foteli.

– Fajnie, że znów tu jesteś, Bubba – ucieszył się technik. – Szef eskadry chce cię od razu zobaczyć na odprawie.

– Dobra – mruknął Billy. – Było mi miło, panie Mercer.

Geolog uścisnął jego rękę i uśmiechnął się szeroko.

– Skoro tak mówisz... Przykro mi, że nie okazałem się dobrym towarzyszem podróży podczas tego lotu. Chyba musiałem się wypaść.

– O rany! A więc spał pan przez cały czas? Nic dziwnego, że ani razu nie odpowiedział pan na żadne moje pytanie. – Pilot roześmiał się.

Ktoś podał Mercerowi nylonowy worek wyciągnięty ze schowka na amunicję. Gdy poczuł pod stopami asfaltowy pokład, przeciągnął się i rozluźnił obolałe mięśnie. Zdał sobie sprawę, że lotniskowiec prawie w ogóle się nie kołysze. Tylko z kokpitu podchodzącego do lądowania samolotu wyglądało to tak, jakby statek miotał się na wszystkie strony.

– Doktorze Mercer, komandor Quintana chciałby się z panem zobaczyć – powiedział jeden z członków załogi. – Zaprowadzę pana. Proszę trzymać się blisko mnie, pokład startowy to niezbyt bezpieczne miejsce.

Gdy tylko odeszli od samolotu, wielki kwadratowy wycinek pokładu zniknął, pociągając hometa do hangaru we wnętrzu lotniskowca. Mercer poszedł za marynarzem w kierunku siedmiopiętrowej wieży, jedyne fragmentu lotniskowca, który wznosił się nad pokładem startowym. W środku dało się rozpoznać przeszklone mostki i niezliczoną liczbę anten, skierowanych w niego. „Kitty Hawk” nie był napędzany paliwem jądrowym i miał jeden komin, który wystawał poza barierką prawej burty statku.

Wiatr chłostał pokład, popychając Mercera i jego przewodnika w kierunku wieży. W wejściu Mercer zauważył majaczącą sylwetkę jakiejś postaci. Gdy się zbliżyli, latynoskie rysy twarzy i ciemne włosy pozwoliły mu rozpoznać komandora Quintanę. Oficer, ubrany w wykrochmalony mundur koloru khaki, chociaż wyglądał na rozluźnionego, trzymał się prosto. Klasyczny przedstawiciel ludzi morza, pomyślał Mercer.

– Witam na CV63 „Kitty Hawk”. Jestem Juan Quintana, komandor. Może wejdziemy? Strasznie wieje. – Quintana nie wyciągnął ręki, by się przywitać i mówił tak, jakby po każdym słowie stawiał kropkę.

Mercer wszedł za nim do środka. Jednolicie szare ściany i przytłumione światło przypominało mu piwnicę w domu dziadków w Vermoncie. Stalowe korytarze, chociaż idealnie czyste, pachniały paliwem i słoną wodą. Quintana poprowadził go trzy piętra wyżej i po przejściu płataniny korytarzy znaleźli się w jego gabinecie. Gdyby Mercer nie nawykł do trójwymiarowych labiryntów i podziemnych kopalń, z pewnością straciłby orientację.

Komandor zajmował małe pomieszczenie, ale na okręcie, liczącym pięć tysięcy członków załogi, przestrzeń jest w cenie. Panele na ścianach i cienki dywan na podłodze można by uznać za dużą zmianę na plus w porównaniu ze stalowymi korytarzami. Biurko Quintany, drewniane, ot, standardowy mebel biurowy, przypominało Mercerowi jego własne biurko w USGS. Geolog uważał, że pusty blat biurka dowodzi choroby umysłowej, uznał więc, że komandor jest stuknięty. Jedyne przedmioty, które tam zauważył, to przykręcona do blatu lampa i czarny telefon.

– Kibelek jest za tamtą zasłoną. – Quintana wskazał ręką przejście.

– Może pan tam też zostawić swój skafander.

– Dzięki. – Mercer uśmiechnął się z wdzięcznością i poszedł do łazienki.

Kilka minut później siedział naprzeciwko komandora, popijając kawę, której ostrożnie nalał mu Quintana.

– Kapitan spotkałby się z panem osobiście, doktorze, ale nie trawi chłopaczków z CIA. Szczerze mówiąc, też za wami nie przepadam – powiedział z lekkim niesmakiem.

– Cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy – odparł z uśmiechem Mercer. – Ja też nie lubię szpiegów.

– Nie rozumiem. Myślałem, że jest pan...

– Z CIA – dokończył Mercer. – Nie, pracuję dla USGS.

– W życiu nie słyszałem o takiej agencji.

– To agencja naukowo-badawcza, zajmująca się między innymi problemami geologicznymi – wyjaśnił Mercer. – Jestem inżynierem górnictwa.

– Przewożenie cywila myśliwcem marynarki jest złe, ale to już szczyt wszystkiego – powiedział kwaśno Quintana. – Jest pan zwykłym inżynierem. O co tu, do cholery, chodzi, panie Mercer?

Arogancka postawa komandora dotknęła Mercera do żywego.

– Nie zachowuj się pan tak, jakbyś z własnej kieszeni płacił za ten lot, dobra? Uczestniczę w misji o takim stopniu tajności, że wie o niej jedynie garstka osób. Nie przypominam sobie, żeby ktoś zezwalał panu zachowywać się jak rozkapryszona primadonna. Ten statek jest dla mnie tylko lotniskiem, gdzie mam przesiadkę, więc wsadź pan sobie gdzieś swoje święte oburzenie, bo nie jestem w nastroju.

W normalnej sytuacji Mercer nie potraktowałby tak ostro Quintany, ale napięcie, które w nim rosnęło, potrzebowało ujścia. Poza tym komandor zachowywał się jak zwykły skurwiel.

– Pańskim zadaniem jest przerzucić mnie na okręt desantowy „Inchon” i nic więcej.

Quintana zmrużył oczy i spojrzał z urazą na Mercera.

– W porządku, doktorze Mercer. Mamy teraz 4.30. Za mniej więcej dwie godziny się rozwidni. Wtedy zabierze pana stąd śmigłowiec.

– Świetnie. A tymczasem gdzie mógłbym coś zjeść?

Quintana wstał, powstrzymując wściekłość.

– Zaprowadzę pana do mesy oficerskiej – powiedział przez zaciśnięte zęby.

– Przy okazji, proszę przekazać kapitanowi, że admirał Morrison przesyła pozdrowienia – rzucił od niechcienia Mercer,

gdy wychodzili na korytarz. Wiedział, że pozornie niewinna wzmianka o szefie połączonych sztabów była dziecinną zagrywką, ale nabrzmiące żyły, które pojawiły się na czole komandora, dostarczyły mu iscie szatańskiej przyjemności.

HONOLULU

Evad Lurbud zawsze budził się wściekły, nawet po krótkiej drzemce. Gniew stanowił integralną część jego osoby, tak jak ciemne oczy czy silne ramiona. Była to złość dzika i niekontrolowana, ale niezwykle istotna. Tylko ona nadawała jego życiu znaczenie. Wtedy, gdy dawał jej upust, wiedział, że żyje.

Gdy zsunął nogi z łóżka, zastanowił się przez chwilę, co by się stało, gdyby pewnego dnia obudził się i stwierdził, że cały gniew go opuścił. Przecież towarzyszył mu od chwili, gdy zaczął go katować ojciec, a matka i ciotka dopuszczały się czynów, które dorośli określają „lubieżnymi”.

Lurbud doszedł do wniosku, że gdyby obudził się i nie poczuł wściekłości, strzeliłby sobie w łeb.

Resztę legowisk w kryjówce zajmowali członkowie jego zespołu. Górna prycza zapadała się pod ciężarem sierżanta Demanowa. Towarzysze chrapali ogłuszająco.

Wszyscy przybyli ledwie jeden dzień wcześniej niż Lurbud, uznał on więc za rozsądne, by umożliwić im przyzwyczajenie się do strefy czasowej, obowiązującej na Hawajach. Dziś wieczorem mieli wyruszyć, a to znaczyło, że musieli być świeży i wypoczęci. Rosjanin spojrzął na zegarek. Była 18.30. Przebywał na Ha-

wajach nieco dłużej niż dwadzieścia cztery godziny i gdy teraz rozciągał mięśnie, wiedział, że jest gotów.

W kącie pomieszczenia dwóch członków zespołu rozgrywało kolejną partyjkę remika, na próżno próbując zabić czas pomiędzy godzinami nadawania przekazów na statek „John Dory”. Gdy zobaczyli, że Lurbud na nich patrzy, stanęli na baczność. Rosjanin uśmiechnął się i skinieniem ręki kazał im usiąść, po czym odwrócił się do łóżek śpiących żołnierzy.

– Panowie – powiedział stłumionym głosem.

Bez chwili zwłoki, szybko i sprawnie, jego ludzie zsunęli się z prycz i w jednej chwili stanęli w szeregu w pełnej gotowości. Natychmiastowy odzew żołnierzy zrobił wrażenie nawet na Lurbudzie. Sierżant Demanow wystąpił z szeregu i podszedł do niego. Był nagi, ale wydawało się, że zupełnie mu to nie przeszkadza. Jego zwaliste ciało pokrywały gęste, ciemne włosy.

– I jak ci się podoba? – zapytał, podnosząc ze stołu papierosa i zapalniczkę.

– Mówisz o żołnierzach czy o tym oklapusie?

Demanow roześmiał się rubasznie, wypuszczając nosem dym papierosa.

– To najlepsi chłopcy na całym pieprzonym świecie.

Lurbud się uśmiechnął.

– Tym razem nawet ty nie przesadzasz, Dmitrij. Do 19.30 mają być gotowi do wyjścia. Dotarcie do domu Ohnishiego i zajęcie pozycji zajmie nam co najmniej godzinę.

– Myślałeś nad moim planem?

– Tak, dziś po południu, gdy wszyscy spali. Pomysł, żebyśmy rozdzielili nasze siły, nie jest moim zdaniem najlepszy. Nie mamy sprzętu komunikacyjnego, żeby zsynchronizować ataki na Ohnishiego i Kenjiego. Uderzymy na nich po kolei. Przy odrobinie szczęścia Kenji będzie ze swoim panem i druga operacja okaże się zbędna. Najważniejsze to utrzymać kontakt z „Johnem Dorym”. Jeśli nie będzie na nas czekać, gdy dotrzemy do wybrzeża, wiesz, co to oznacza.

Gdy sierżant Demanow i jego ludzie sprawdzali sprzęt i broń, przemyconą wiele miesięcy wcześniej w poczcie dyplomatycznej ambasady rosyjskiej, Lurbud rzucił okiem na raporty, które otrzymał w Kairze.

Rezydencji Ohnishiego strzegło dwudziestu strażników. Każdy z nich przeszedł szkolenie wojskowe lub policyjne oraz brał udział w licznych profesjonalnych kursach. Ci ludzie byli lepiej wyszkoleni niż elitarne siły zbrojne niejednego państwa. Lurbud nie miał wątpliwości, że jego żołnierze dadzą sobie z nimi radę, zdawał sobie jednak sprawę, że część z nich zginie w walce. Ohnishi, starzec przykuty do wózka, nie będzie stanowił żadnego zagrożenia, gdy jego ochrona zostanie wyeliminowana.

W wypadku Kenjiego sprawa wyglądała inaczej. Lurbud nie miał planu jego domu ani żadnych szczegółów dotyczących ochrony. O nim samym też wiedział niewiele. Miał pięćdziesiąt cztery lata, ale załączone do raportu niewyraźne zdjęcie, choć zrobione zaledwie rok wcześniej, przedstawiało mężczyznę, który wyglądał na dwadzieścia lat młodszego. Kenji był mistrzem

kendo, taekwondo i kilku innych sztuk walki, o których Lurbud nawet nie słyszał.

Według notatki oficera KGB, który przygotował dossier, Kenji do perfekcji opanował sztukę posługiwania się w walce przedmiotami codziennego użytku. Bez problemu mógł zabić bądź ciężko zranić każdym przedmiotem, który wpadł mu w ręce. Notatka podawała przykład podobnie wyszkolonego zamachowca, który poderżnął gardło węgierskiemu dysydentowi kartką, wyrwaną z londyńskiej książki telefonicznej.

Lurbud miał nadzieję dopaść Kenjiego w domu przemysłowca. Zaatakowanie siedziby zabójcy bez żadnego rozpoznania równało się samobójstwu.

O 7.30 Lurbud wraz z resztą zespołu opuścili kryjówkę, upewniwszy się, że nie pozostawili po sobie żadnych obciążających dowodów. Pomimo wprowadzonej godziny policyjnej bez problemu opuścili miasto va-nem, ukrytym w pobliskim garażu. Gdyby Honolulu przetrwało kryzys, jedynymi dowodami ich pobytu w tym mieście byłyby porzucona furgonetka i puste mieszkanie, które wiele miesięcy wcześniej wynajęło przedsiębiorstwo Ocean Freight & Cargo. A od czasu włamania do biur w Nowym Jorku firma przestała istnieć.

Siedemdziesiąt kilometrów dalej chłodna bryza zbliżającej się nocy owiewała szklaną rezydencję Takahiro Ohnishiego. Stary Japończyk siedział na swoim wózku na otwartym balkonie, wysoko ponad gładkimi jak stół trawnikami i przytakiwał w zamyśleniu, słuchając Kenjiego, który opisywał obecną sytuację na Hawajach.

– Chociaż od jego śmierci minęły cztery dni, wiele jednostek Gwardii Narodowej ciągle uważa, że nadal otrzymują rozkazy od Davida Takamory. Nie wiedzą, że burmistrz Honolulu nie żyje. Szosa MacArthur Drive, która biegnie do Pearl Harbor, została zablokowana przez studentów uzbrojonych w strzelby myśliwskie oraz w pełni uzbrojonych gwardzistów. Lotnisko jest zamknięte i nie przyjmuje żadnych samolotów. Budynek ewakuowano i zostali w nim tylko najemnicy, których opłaciłem. Pasy startowe są zablokowane sprzętem do obsługi lotniska, który zostanie usunięty dopiero na rozkaz mój albo pana. Centrale łączności przewodowej i bezprzewodowej także zostały zamknięte i znajdują się pod strażą. Hawaje są odcięte od świata.

A co z mediami? Stawiały opór?

– Tak – odparł Kenji, patrząc na zegarek. – Miejscowi szefowie sieci telewizyjnych żądają przeprowadzenia wywiadu z Takamorą, najlepiej na żywo, by uspokoić obawy opinii publicznej. Jeden z nich zaczął nawet grozić, że będzie nadawać na cały kontynent informacje o aktach przemocy, jeśli wkrótce Takamora się nie pojawi.

– Jak chcesz rozwiązać ten problem? – Ohnishi nie wyglądał na specjalnie przejętego.

– Mój agent jest gotów zdjąć go zaraz po wyjściu ze studia.

– Świetnie. Jak wygląda sytuacja na ulicach?

– Moi ludzie ulokowani w szpitalach twierdzą, że do tej pory zginęło około dwustu osób, a jakieś pięćset odniosło rany. Większość z nich to ofiary przypadkowych aktów przemocy, podobnych do tych, do których doszło w Los Angeles w 1992* [W

1992 roku sąd uniewinnił funkcjonariuszy policji, oskarżonych o pobicie czarnoskórego mieszkańca Los Angeles. Zdarzenie to zarejestrował przypadkowy świadek. Werdykt wywołał w mieście zamieszki, uważane za największe w XX wieku w USA. Akty wandalizmu i przemocy doprowadziły do śmierci 53 osób (przyp. tłum.)]. Bandy nastolatków biją niewinnych przechodniów, gangsterzy wydają na siebie wyroki śmierci i tym podobne historie. Niektóre z ofiar to nasze cele. Osiemdziesiąt sześć osób z naszej listy, zawierającej trzysta nazwisk, na pewno nie żyje. Prawdopodobnie udało się wyeliminować ich więcej, ale nie mam jeszcze potwierdzenia od naszych agentów.

– Niepokoi mnie nieco fakt, że nie dotarty do nas jeszcze informacje od Suleimana, potwierdzające wysłanie broni.

Kenji spojrział szybko na zegarek.

– Ta broń powinna dotrzeć za kilka godzin, a nie wiemy, jakie samoloty ją dostarczą ani jaki kod rozpoznawczy będą nadawać piloci. Jeśli nie otrzymamy kodu, nie będziemy mogli oczyścić pasów.

– Dochodzimy do momentu krytycznego. Wkrótce ludzie stracą zapał i będą domagać się spokoju. Musimy dostać tę broń, a także pozyskać więcej najemników. Prezydent Stanów Zjednoczonych wkrótce zareaguje, nie mam co do tego wątpliwości. Żołnierze w Pearl Harbor na razie siedzą cicho, ale w każdej chwili ktoś ich może spuścić ze smyczy.

– Prezydent nie odważy się wydać rozkazu otwarcia ognia, bo na kontynencie od razu wybuchłyby protesty. Poparłaby nas każda mniejszość etniczna. Ulice ogarnęłaby anarchia.

– Prezydent może pójść inną drogą, Kenji. Na przykład może zaatakować mnie. Wie o moim zaangażowaniu w ten przewrót, więc może zlikwidować tylko mnie i czekać, że przemoc umrze wraz ze mną. Taka dzicz jak ta zachowuje aktywność tylko wtedy, gdy ktoś nią rządzi. Jeśli urwie się kontakt z naszymi ludźmi na wyspach, szybko stracą zapał.

– To prawda – zgodził się Kenji – ale musimy jeszcze mieć na względzie odpowiedź Kerikowa.

– Nim się nie martwię. Jego możliwości są mocno ograniczone.

– Przewrót jest pomysłem pułkownika i miało do niego dojść tylko na jego rozkaz. Na pewno ma plan, by go zatrzymać. Narazamy powodzenie operacji Kerikowa związanej z wulkanem. Z pewnością zabezpieczył się na taką ewentualność. Na twarzy Ohnishiego pojawił się ojcowski uśmiech.

– Zawsze troszczyłeś się o moje bezpieczeństwo, Kenji. Doceniam to, uważam jednak, że nic nam nie grozi. Ten człowiek nic jest w stanie nas powstrzymać.

Wydawało się, że pewność siebie, bijąca ze słów Ohnishiego, uspokoiła nieco Kenjiego.

– A co zrobimy, gdy Takamora nie pojawi się, by poprowadzić ludzi? – zapytał.

– Senator Namura ukrywa się obecnie poza Waszyngtonem. Miał poprowadzić przewrót, gdyby Takamora odmówił, więc to on zostanie nowym przywódcą. Przyjął już ten zaszczyt. Mój prywatny odrzutowiec przywiezie go na wyspę, gdy tylko będzie to bezpieczne.

– A śmierć Takamory?

– Oskarżymy o nią amerykańskie wojsko. Nie przejmuj się lak, Kenji, wszystko idzie jak trzeba. Broń Suleimana i najemnicy wkrótce tu dotrą, by wzmocnić twoje siły. Namura zjawi się tu pewnie w ciągu dwudziestu czterech godzin i zacznie legitymizować to, co zaczęliśmy. Ani prezydent, ani Kerikow nie będą mieć wystarczająco dużo czasu i siły, by rozpocząć jakąś większą operację przeciwko nam.

Kątem oka Kenji dostrzegł ciemną postać, biegnącą po trawniku w stronę domu. Za nią szybko pobiegło dwóch innych ludzi, którzy wypadli z cieni okolicznej dżungli. Kenji swobodnie skrzyżował nogi, maskując instynktowne napięcie mięśni. Jego ręka spoczęła w okolicy kostki.

– Być może wszystkie ewentualności zostały wzięte pod uwagę – zauważył. – Nigdy nie sądziłem jednak, że zajdziemy aż tak daleko. Jeszcze parę miesięcy temu wydawało się, że przewrót na Hawajach to mocno naciągany pomysł.

– Nawet wtedy nie tak bardzo niedorzeczny. Ten kraj dojrzał do takiego obrotu spraw, rasizm i napięcia społeczne wzmagały się z każdym dniem. My tylko przyspieszyliśmy ten proces, a teraz wszystko koordynujemy.

Eksplozja nie była na tyle silna, by strzaskać grube szkło, ale zatrzęsła balkonem i wystraszyła stado pelikanów, które z głośnym krzykiem wzbiły się z trawnika wysoko w niebo. Ohnishi odwrócił się wraz z fotelem, rozglądając się przez chwilę wystraszonym wzrokiem. Gdy spojrział na swojego asystenta, ten zdążył się już zerwać na równe nogi i wyciągnąć z kabury

na kostce nieduży rewolwer. Jego krótką lufę skierował między wytrzeszczone oczy Ohnishiego.

– Nie waż się drgnąć, starcze – warknął Kenji.

Oslabiony wiekiem pęcherz moczowy Takahiro Ohnishiego oddał swoją zawartość w markowe spodnie garnituru od Armaniego.

BIAŁY DOM

Zdenerwowanie sierżanta Harolda Tompkinsa sięgnęło zenitu. Właśnie pełnił służbę w pokoju sytuacyjnym, gdy transmisja telewizyjna z Pearl Harbor, której podgląd miał na wielkim ekranie, została nagle przerwana.

Przez dłuższą chwilę, czując na plecach uważne spojrzenia prezydenta, przewodniczącego Połączonego Kolegium Szefów Sztabów, sekretarzy stanu i obrony oraz szefów CIA, NSA i FBI, próbował odzyskać łączność satelitarną.

Pojawił się obraz z Pearl Harbor czysty i wyraźny, a chwilę potem ekran zgasł. Gdyby oglądali program telewizyjny i pokazałby się napis „Przepraszamy za usterki”, goście poszliby na kawę albo do toalety. Nie był to jednak żaden film. W momencie gdy obraz zniknął, została właśnie zaatakowana baza w Pearl Harbor, a ci ludzie liczyli na to, że Tompkins naprawi połączenie z satelitą.

– I jak? – zapytał admirał C. Thomas Morrison.

– Jak na razie, nic, sir. – Z gardła Tompkinsa wydobył się ledwie zrozumiały pisk.

– Jezu.

W pomieszczeniu o wymiarach sześć na sześć metrów, znajdującym się cztery piętra pod Białym Domem, powietrze zrobiło

się ciężkie. Dym z papierosów – do palenia ci ludzie nigdy by się publicznie nie przyznali – zasnuł pokój, rozchodząc się błękitnymi smugami. Nawet z kącika ust prezydenta, który siedział u szczytu mahoniowego stołu, zwisało tłące się marlboro.

– Jeśli żona zobaczy mnie z fajką, to mnie zabije – powiedział, chcąc rozluźnić atmosferę. Śmiech, który usłyszał w odpowiedzi, brzmiał dość nerwowo.

Pomimo papierosów, zarostu na twarzach i drżenia rąk, spowodowanego nadmiarem kofeiny, siedzący za stołem mężczyźni mieli umysły tak samo jasne, jak dwanaście godzin wcześniej, gdy stawili się w pokoju sytuacyjnym.

Z windy wyszedł jeden z doradców i zwrócił się bezpośrednio do Sama Beckera, szefa Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

– Mamy najnowsze dane z przelotu KH-11, sir. – Położył na stole plik zdjęć satelitarnych wykonanych w podczerwieni. – Obawiam się, że tak jak w przypadku fotografii z SR-1, także i tym razem analitycy niewiele z nich wywnioskowali. Ciepło, które emituje wulkan, uniemożliwia namierzenie innych obrazów termalnych.

– Niech to szlag. – Becker przerzucał zdjęcia. – Skoro moi ludzie nie wypatrzyli ruskiej łodzi podwodnej, to jakim cudem udało się to Mercerowi? NSA ma najlepszych speców od analizy zdjęć na świecie. Chciałbym wierzyć, że nie mylisz się co do tego gościa, Dick.

Henna spojrzał znad rozłożonych przed nim papierów.

– Trudno mówić o stuprocentowej pewności, ale do tej pory facet mnie nie zawiódł. Powiedział mi przez telefon, że „John Dory” został zlokalizowany w pobliżu wulkanu.

– Skoro tak, to dlaczego nie wyciągnąłeś z niego, jak tego dokonano.

– Rany, Paul, widziałeś go przecież. Myślisz, że powiedziałyby mi cokolwiek?

– Zgadzam się z Dickiem. – Prezydent potarł nabiegłe krwią oczy. – W takich sytuacjach trzeba być delikatnym, a nie rozmawiać z pozycji siły.

– Chyba się udało, panowie – przerwał im Tompkins.

Mężczyźni odwrócili głowy w stronę ekranu. Obraz wyostrzył się i na ekranie pojawił się przystojny Azjata ubrany w mundur maskujący. Widoczni za jego plecami marines zza osłony worków z piaskiem strzelali do niewidocznego przeciwnika. Na środku szerokiego, asfaltowego wjazdu stały dwa czołgi, z wieżyczkami skierowanymi w stronę bramy głównej. Ich studwudziestomilimetrowe działa milczały, ale sprzężone z nimi karabiny maszynowe wściekle pluły ogniem. Była to makabryczna scena, ponieważ przekaz nie zawierał dźwięku.

Tompkins nacisnął jeszcze kilka guzików na pulpicie sterowniczym i panującą w pokoju ciszę rozdarł bitewny zgiełk. Zaciekłość walk zdumiała zebranych.

– Proszę powtórzyć wiadomość, pułkowniku. Straciliśmy na kilka minut łączność – powiedział Morrison.

– ...jakieś dziesięć minut temu, sir. – Usta żołnierza poruszały się, jego wypowiedź tonęła jednak w huku wystrzałów.

– Pułkownik Shinzo, mówi admirał Morrison. Proszę powtórzyć.

Sir, jakieś dziesięć minut temu rozpętało się tu piekło. Bez żadnego ostrzeżenia gwardziści i miejscowi cywile zgromadzeni za bramą otworzyli ogień. Strzelają głównie z broni małokalibrowej, gwardziści natomiast mają wyrzutnie raketowe i pociski przeciwpancerne. Nie próbują na razie atakować, ale to tylko kwestia czasu.

Pułkownik Shinzo wykrzyknął coś niezrozumiale i skrył się za ścianą worków z piaskiem. Kamera musiała stać na statywie, bo nawet nie drgnęła, gdy jakieś dwadzieścia metrów dalej eksplodował granat. Na ekranie ponownie pojawił się Shinzo.

– Co robicie, żeby ich powstrzymać, pułkowniku?

– Zgodnie z rozkazem strzelamy nad głowami, ale moi chłopcy ponoszą zbyt duże straty, by dłużej zachowywać bierność, sir.

– Pułkownik Shinzo, poznaje pan mój głos? – zapytał zdecydowanym głosem prezydent, maskując wyczerpanie.

– Tak, panie prezydencie.

– Pułkowniku, świetnie się spisujecie, ale musicie do minimum ograniczyć ofiary wśród cywili i gwardzistów. Rozumie pan?

– Tak, panie prezydencie – odpowiedział z rezygnacją Shinzo, zdając sobie sprawę, że taka decyzja oznaczać będzie ogromne straty w jego ludziach.

Nagle odgłosy walki wzmożyły się jeszcze bardziej. Shinzo odwrócił się szybko i przekaz satelitarny ponownie uległ zerwaniu.

Zebrani w pokoju mężczyźni znów spojrzeli na Tompkinsa, który rozpaczliwie przyciskał i przekręcał różne przełączniki i pokręta.

– Przykro mi, ale połączenie zostało zerwane po tamtej stronie. Nic nie mogę zrobić.

– W porządku – rzucił admirał. – Możecie odejść.

Tompkins bez żalu szybkim krokiem opuścił pokój.

– Możemy mu ufać? – zapytał Paul Barnes. – Jakkolwiek by było, to żółtek.

– Stul ten zasrany ryj, pieprzony rasisto. – Morrison podeszwał się, nim Barnes skończył mówić. – Shinzo nosi mundur żołnierza Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. Jeszcze raz podważysz uczciwość któregoś z moich ludzi, a przysięgam, że jak tu stoję, wypruję ci flaki.

– Spokojnie, panowie. – Dick Henna próbował załagodzić sytuację. – Admirał Morrison ma trochę racji. Jeżeli zaczniemy doszukiwać się drugiego dna w działaniach naszych ludzi, to spokojnie możemy iść do domu i czekać na Armagedon.

– Chyba już się zaczął – powiedział wolno prezydent. Wszyscy wiedzieli, że ma na myśli wojnę domową. – Zawartość wielkiego tygla gotuje się na wolnym ogniu od ponad dwustu lat i właśnie ma zamiar wykipieć. Jeśli w ciągu kilku godzin sytuacja nie zostanie opanowana, wieści z Hawajów podpalą beczki prochu w każdym większym amerykańskim mieście. W porównaniu z tym, co nas wtedy czeka, zamieszki z Los Angeles z 1992 roku będą wyglądać jak karnawał.

Prezydent zamilkł na pięć długich minut. Najbardziej zaufani doradcy wiedzieli, że właśnie podejmował decyzję, która mogła pchnąć Stany Zjednoczone w wir najkrwawszej wojny, jaką dotychczas widziała zachodnia półkula. Ich współczucie nie ułatwiało mu tego.

Prezydent zwiesił ciężko głowę nad blatem stołu. Jego usta poruszały się w zupełnej ciszy. Modlił się czy prosił o radę ducha Abrahama Lincolna, który podobno nawiedzał Biały Dom? W końcu uniósł głowę i wyprostował ramiona.

– Tom. – Admirał Morrison spojrzał prezydentowi prosto w oczy, czekając na rozkazy. – Wystrzelcie w kierunku wulkanu pocisk Tomahawk, uzbrojony w głowicę atomową. Jeśli pilnuje go rosyjska łódź podwodna, wybuch ją zniszczy.

A więc wojna. Stany Zjednoczone miały zamiar podjąć walkę i być może zniszczyć wszystko, co stworzyła demokracja. Po raz kolejny konflikt na tle rasowym doprowadzi w Ameryce do wybuchu wojny domowej. Tym razem nie będzie już Północy i Południa, nie będzie żadnej linii Masona Dixona*. Od tamtych czasów zatarły się granice. Jutro walki ogarną każdy stan i każde miasto.

– Później wydaj rozkaz, żeby „Kitty Hawk” i „Inchon” wycofały się. Zawieś wszystkie loty, niech się wynoszą z tamtego obszaru. Mają zniknąć z rejonu Hawajów, jasne? Powiedz dowódcy w Pearl Harbor, że mają złożyć broń i poddać bazę.

W pokoju rozległy się westchnienia zgromadzonych.

– Raczej poświęcę Hawaje, niż zaryzykuję wojnę. Być może ich secesja zapoczątkuje reakcję łańcuchową i to państwo się

rozpadnie, ale podejmę ryzyko. Nie pozwolę wojsku strzelać do Amerykanów, choćby nie wiem, jakie konsekwencje to za sobą pociągnęło.

Prezydent nie wstydził się łez, które spłynęły mu po policzkach.

– Sir. – Dick Henna odezwał się pierwszy. – A co z Mercerem? Nie daliśmy mu nawet szansy.

– Dick, to tylko jeden facet. Mówimy tu o potężnej rewolucji, którą wspiera Bóg wie ilu ludzi.

Panie prezydencie – nalegał szef FBI – a jeśli on ma rację, mówiąc, że cały ten przewrót zaplanowała jakaś siła z zewnątrz? Jeśli uda mu się ją wyeliminować, rewolta upadnie.

– Nic dalej jak dwie godziny temu rozmawiałem z prezydentem Rosji. Nie miał pojęcia, o czym mówię. Mercer mylił się, że w tym wszystkim mają swój udział Rosjanie. Za przewrotem stoi tylko i wyłącznie Takahiro Ohnishi.

– A jeśli jest to operacja, której nie autoryzował rosyjski rząd?

– Bzdura, w coś takiego nie uwierzę. To operacja na ogromną skalę. Nie ma mowy, żeby głowa państwa o niej nie wiedziała.

– Proszę więc zapytać swoich poprzedników o aferę Iran-Contras. – Zjadliwa riposta Henny dosłownie ociekała sarkazmem.

Prezydent zignorował uwagę.

– Nie dałbym sobie uciąć ręki, że rząd rosyjski musiałby autoryzować taką operację – powiedział Paul Bames, wycierając okulary.

– Co masz na myśli?

– Dziś po południu z rzeki w Bangkoku wyłowiono ciało Gienadija Perczenki. Jak pamiętacie. Perczenko był rosyjskim ambasadorem negocjującym w imieniu ich rządu postanowienia traktatu. Tego samego, w którym daliśmy się podpuścić i który podpisaliśmy, zrzekając się praw do tego nowego wulkanu.

– Stwierdzono ślady przestępstwa?

– W takich przypadkach nigdy nie ma żadnych śladów, ale stawiam swoją reputację, że faceta zamordowano. W dodatku jeden z naszych informatorów doniósł, że widział, jak na parę dni przed śmiercią Perczenki do Tajlandii przyleciał Iwan Kerikow.

– Co to za jeden, ten Iwan Kerikow?

– Bardzo cwany agent KGB, sir. Mój kontakt w Moskwie twierdzi, że w tej chwili trwa na niego wielkie polowanie. Zdaje się, że facet kombinował coś na boku, poza firmą, i szukają go za sprzeniewierzenie funduszy rządowych, niegospodarność, złe zarządzanie zasobami ludzkimi i parę innych rzeczy, w tym morderstwo. W ciągu kilkunastu ostatnich lat Kerikow wielokrotnie zwrócił na siebie uwagę CIA. Na początku lat osiemdziesiątych dowodził w Afganistanie grupą zabójców i oprawców, zamieszany też był w zestrzelenie we wrześniu 1983 roku samolotu pasażerskiego koreańskich linii lotniczych. Niedawno objął funkcję szefa Departamentu 7. KGB, o którym wiemy bardzo niewiele. Wydaje się, że nie ma w nim żadnych czynnych agentów ani nie stawia sobie jakichś konkretnych celów. Jawią się jako zespół doradców, tak nam się przynajmniej wydaje. Jeśli Kerikow ma coś wspólnego ze śmiercią Perczenki, to mamy bezpośredni związek między wulkanem a Departamentem 7.

Sam Becker zdążył właśnie przeczytać otrzymany wcześniej raport oraz przejrzeć fotografie. Teraz podniósł wzrok znad papierów.

– Taki związek istnieje.

– Co tam masz. Sam? – Prezydent wyczuł, że Becker ma mocny argument na poparcie swojego twierdzenia.

– Na wczorajszą prośbę Paula kazałem przeszukać archiwa Fortu Meade pod kątem radzieckich geologów z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Dane są pobieżne, ale mieliśmy szczęście.

Od początku swojego istnienia Agencja Bezpieczeństwa Narodowego, mieszcząca się w Fort Meade, gromadziła każde, najdrobniejsze nawet skrawki informacji wywiadowczych, otrzymywanych z całego świata. Ten rozległy kompleks mieścił w sobie więcej mocy obliczeniowej niż jakiegokolwiek inne miejsce na ziemi. Wykorzystywano ją do rozszyfrowywania nawet najbardziej skomplikowanych szyfrów i kodów, które przechwytywano zarówno od wrogów, jak i od sojuszników. Jeśli cokolwiek ukazywało się drukiem, pojawiało się w rozmowie telefonicznej czy wyciekło z satelity, znajdowało się w posiadaniu NSA. Od osobistych ogłoszeń w lokalnej prasie, przez nudne rozmowy dwóch sióstr w Madrycie, aż po śmiertelne tchnienia trzech kosmonautów, którzy w 1974 roku udusili się na pokładzie stacji kosmicznej Sojuz. To wszystko można było znaleźć na taśmach magnetycznych przechowywanych w archiwach NSA.

Becker uniósł cienką teczkę.

– Mam to od dyrektora archiwum. Olivera Lee. Według niego, dane personalne z laboratorium badawczego pod Odessą

pokazują, że niejaka Olga Borodin otrzymuje niezłą rentę po mężu, który podobno zginął w wypadku dwudziestego czerwca 1963 roku. Lee szukał według podanych kryteriów, więc zwrócił uwagę na jej nazwisko. Pokopał głębiej i okazało się, że laboratorium jest częścią agencji zwanej Departamentem 7. Wydaje się, że CIA wie o nim więcej niż my, ale związek jest chyba oczywisty. Olga Borodin to wdowa po geologu Piotrze Borodinie.

– Więc Mercer miał rację. Rosjanie maczają w tym wszystkim palce, tyle tylko że nie chodzi o ich rząd. – Prezydent był naprawdę wstrząśnięty. – Kerikow z pewnością jest mózgiem całej operacji. Ohnishi to tylko pionek. Facet z jajami, trzeba przyznać, ale fakt, że o tym wiemy, nic nam nie da. Ciągłe mam na głowie przewrót na Hawajach i cenny metal, który za chwilę wpadnie w ręce Kerikowa. – Prezydent odwrócił się, żeby spojrzeć na Hennę. – Co proponujesz?

– Dajmy Mercerowi czas do świtu – odparł szef FBI. – Jeśli ma jakiś plan, musi dostać choć trochę czasu na jego realizację. Na Hawajach wkrótce zapadnie zmrok. Będzie w miarę spokojnie, bo gwardziści nie mają odpowiedniego sprzętu, by walczyć w nocy. Jeśli do wschodu słońca sytuacja się nie zmieni, wysadzimy wulkan i poddamy wyspy Ohnishiemu.

Prezydent rozparł się w fotelu ze splecionymi z tyłu głowy rękami, wpatrując się w dźwiękochłonne panele, którymi wyposażony był sufit. Decyzja zapadła szybko.

– Dobrze, dam Mercerowi czas do siódmej rano czasu miejscowego. Potem macie rozpieprzyć ten cholerny wulkan.

Szef FBI wstał z zamiarem opuszczenia pokoju. Mercer przybył na pokład „Inchona” przed dziesięcioma godzinami i Henna obiecał, że przekaże mu najnowsze wieści.

– Dick?

– Tak, panie prezydencie?

– Dlaczego tak bardzo ufasz temu Mercerowi?

Henna zatrzymał się przy drzwiach windy.

– Przecież jestem gliniarzem, a gliniarze ufają swoim instynktom.

Pomimo że Biały Dom wyposażony był w najbardziej zaawansowany sprzęt do łączności, Henna czekał na połączenie z okrętem desantowym „Inchon” dwadzieścia pełnych napięcia minut. Kolejnych dziesięć minut trwało odszukanie Mercera na dwustuczterdziestometrowym statku.

– W końcu zadzwoniłeś – rozległ się w słuchawce głos geologa.

– Masz czas do siódmej rano waszego czasu – oświadczył bez zbędnych wstępów Henna. – Lepiej więc, żebyś miał w głowie jakiś plan.

– A co się stanie o siódmej? – zapytał wesoło Mercer.

– Pocisk raketowy rozwali wulkan Borodina i prezydent podda Hawaje bez walki.

– No to mam napięty grafik – powiedział wolno Mercer, chłonąc zaskakujące informacje. – W takim razie uciekam. Jakież wskazówki na drogę?

– Tak. W okolicach Pearl Harbor trwa regularna wojna i przypuszczamy, że w innych rejonach może być równie niebezpiecznie.

– Dziwię się, że i tak bardzo długo panował tu spokój. Co jeszcze?

– Mamy dane, świadczące o zaangażowaniu w spisek jednego z oficerów KGB, Iwana Kerikowa. To on zaplanował całą operację. Ostatnio widziano go w Tajlandii, ale równie dobrze może być już na Hawajach. A właśnie. Moi ludzie od paru dni monitorują transmisje hawajskich radioamatorów. Jeden z nich, niejaki Ken Peters, pracuje dla stacji telewizyjnej. Powiedział mojemu człowiekowi w Kalifornii, że jedna z ich dziennikarek, Jill Tzu, prawdopodobnie została porwana przez Ohnishiego. Gdy zniknęła, robiła właśnie duży materiał na jego temat.

– Zapamiętam. Co jeszcze?

– Rezydencja Ohnishiego jest silnie strzeżona przez prawdziwych fanatyków, więc bądź ostrożny.

– Nie martw się, Dick. Nie interesuje mnie dom Ohnishiego. To tylko pomagier, a nie sprawca zamieszania.

Połączenie ze statkiem zostało przerwane. Henna wiedział, że Mercer się rozłączył. Odłożył słuchawkę i usiadł w zamyśleniu. Jeśli Mercer nie miał zamiaru iść do rezydencji Ohnishiego, to dokąd? I jeśli to nie Ohnishi kierował przewrotem, to kto?

HAWAJE

Evad Lurbud zmysły miał tak wyostrzone, że eksplozja, która rozległa się pod domem i przetoczyła echem po trawnikach, odrzuciła go w tył, jakby fizycznie otrzymał silny cios. Sierżant Demanow uspokajająco położył mu dłoń na ramieniu.

– Co to było, do cholery? – szepnął.

– Nie wiem – odparł Lurbud, wyteżając wzrok i obserwując przez noktowizor fasadę przeszklonej rezydencji Ohnishiego. – Nie widzę tam nic podejrzanego.

Demanow, Lurbud i dwóch innych komandosów przykucnęli za niewielką kępą rododendronów, które niczym wyspa wynurzały się ze środka wielkiego trawnika ścielącego się szeroko przed wejściem do domu. Reszta oddziału kryła się pod osłoną innych krzewów i roślin.

Dotarli do posiadłości Ohnishiego, gdy światło zachodzącego słońca zaczynało igrać z zielenią drzew. Oddział wykorzystał otaczającą posiadłość dżunglę, by zbliżyć się do zabudowań na odległość około dwustu metrów. Potem dużymi skokami przebiegli trawnik, kryjąc się między kępami drzew.

Lurbud i Demanow znajdowali się nie więcej jak czterdzieści metrów od marmurowego wejścia, gdy nastąpiła eksplozja.

Ogromnemu hukowi towarzyszył błysk światła, dochodzący gdzieś z boku pogrążonego w mroku domu.

– Nikogo w środku nie widzę.

Noktowizor pozwolił Lurbudowi zajrzeć przez szklane ściany do wnętrza budynku, ale główne wejście, kręte schody i pokoje na lewo i prawo od nich były puste. Już miał dać znak swoim ludziom, by podbiegli do przodu, gdy jego uwagę zwrócił niewielki ruch.

Ktoś szedł korytarzem w kierunku schodów. Poruszał się ostrożnie, odwracał i rozglądał na boki. Kiedy dotarł do schodów, Lurbud zobaczył w jego ręku karabin.

– Mamy towarzystwo – powiedział. W jego głosie słychać było napięcie.

Obserwował uważnie i wtedy właśnie dostrzegł drugą postać, która wśliznęła się do środka i pobiegła schodami na górę.

– Jest ich dwóch. Coś mi tu jednak nie gra. Zachowują się tak, jakby nie znali rozkładu domu. Dziwne. Ochrona Ohnishiego powinna znać dom na pamięć.

– Może spanikowali po wybuchu? – zasugerował Demanow.

– Nie sądzę. Chyba wiem. Dlaczego nie napotkaliśmy do tej pory żadnych ochroniarzy Ohnishiego.

– Amerykanie przyszli pierwsi?

– Tak myślę.

– To dobrze – mruknął Demanow i po cichu odbezpieczył pistolet maszynowy.

– Kenji, co się dzieje? – jęknął Ohnishi.

– Plan awaryjny, którego nie przewidziałeś. – Rewolwer w dłoni Kenjiego nawet nie drgnął. – Gdy Kerikow cię sprzedał, a ty sprzedałeś jego, ja zrobiłem to samo z wami obydwoma.

– Nie rozumiem, Kenji – powiedział błagalnym tonem stary Japończyk.

– To bardzo proste. Iwan Kerikow zatrudnił mnie osiem miesięcy temu, żebym cię pilnował i donosił mu o twoich poczynaniach.

Ohnishi zapadł się głębiej w wózek. Gdy zrozumiał swoją porażkę, skulił się i jego szyja zniknęła między ramionami. Wiedział już, co powie Kenji, i ciężar prawdy zwałił się na niego jak głąz.

– Kerikow musiał zachować całkowitą kontrolę nad każdym aspektem operacji. Byłeś jedynym graczem, nad którym nie miał bezpośredniej władzy, dlatego więc wynajął mnie. Chciał wiedzieć, co knujesz.

– Przecież znam cię całe twoje życie, jesteś dla mnie jak syn. Dlaczego? Jak mogłeś coś takiego zrobić? – Ohnishi mógł pogodzić się ze zdradą, ale chciał znać jej przyczyny.

– Nie wiesz o mnie nic, oprócz tego, co sam ci powiedziałem. To prawda, że z początku traktowałem cię jak ojca, jak mistrza, ale jak każdy syn, przerosłem cię. Szukałem własnej drogi i znalazłem ją.

– Dzięki Kerikowowi?

Śmiech, który wyrwał się z gardła Kenjiego, nie miał w sobie radości. Był pełen szyderstwa, że brzmiał bardziej jak szczekanie wściekłego psa.

– Kerikow jest takim samym głupcem jak ty, starcze. Wkrótce po tym, jak złożył mi tę lukratywną ofertę, dotarli do mnie ludzie, którzy zaproponowali jeszcze więcej. – Kenji przerwał, by po chwili opowiedzieć historię swojej matki, dziewczyny zmuszanej do dotrzymywania towarzystwa japońskim żołnierzom okupującym Koreę. Powiedział o swoich narodzinach i o tym, jak matka sprzedała go biologicznemu ojcu. – Jestem pół-Koreańczykiem, Ohnishi. Noszę w sobie dziedzictwo, które mój ojciec starał się ukryć. Dla mnie jednak miało ono zawsze ogromne znaczenie. W ciągu tych wszystkich lat, odkąd Kerikow spotkał się z tobą po raz pierwszy, musiał zmienić swoje plany z powodu upadku rządu. Niezbyt dawno temu, ale zanim jeszcze rozpoczęłeś pogoń za swoim skazanym na klęskę marzeniem, Kerikow sprzedał cię grupie inwestorów. Kupili oni wulkan, który, jak zapewniał Rosjanin, miał uczynić z Hawajczyków niezależny, prawdziwy naród. Nie wiedział jednak, że ci koreańscy inwestorzy skontaktowali się później ze mną. Nie wiem, jak dowiedzieli się o moim pochodzeniu, ale dali mi szansę dowieść, kim naprawdę jestem. Od tamtej pory byłem nie tylko szpiegiem Kerikowa przeciwko tobie, ale także szpiegiem przeciwko wam obu, na rzecz moich nowych koreańskich mocodawców. Nie miałeś szans. Każdy twój ruch był natychmiast kontrowany przez jednego z moich sprzymierzeńców. Gdy kupiłeś broń od Suleimana el-aziz Suleimana, natychmiast przekazałem tę informację Kerikowowi. Broń, na którą tak liczyłeś, nigdy nic przybędzie. Nie zjawią się też kolejni najemnicy. Gdy Kerikow poprosił mnie, bym uratował ze statku NOAA pewną kobietę, poprosiłem swoich

koreańskich mocodawców o zabicie jej w Waszyngtonie. Kerikow zmusił cię do napisania listu do prezydenta, który miałeś wysłać w stosownej chwili. Ja jednak wysłałem go wcześniej, wiedząc, że wywoła zamieszanie i doprowadzi do chaosu, który właśnie ogarnął wyspy.

– Ty wysłałeś ten list? – Ohnishi nawet nie próbował ukrywać zdumienia.

– Burmistrz Takamora świetnie sprawdził się w roli kozła ofiarnego, ale to ja wysłałem list. Wulkan był zbyt blisko powierzchni oceanu, by ryzykować jego wykrycie. Uznaliśmy, że twój list skieruje uwagę Amerykanów w inną stronę. „Ocean Seeker” o mało nie popsuł nam szyków, ale Kerikow poradził sobie z nim w znany sposób. Gdy statek NOAA został zniszczony, wiedziałem, że Amerykanie zainteresują się tobą i, jeśli są dość sprytni, także Rosjanami. My jednak, czyli Koreańczycy, nigdy nie znajdziemy się w kręgu podejrzeń. Wulkan będzie nasz i wcale nie musieliśmy go tworzyć i bronić. Daliście się podejść. Podczas gdy ty, Kerikow i Stany Zjednoczone toczyliście bój o Hawaje i wulkan. Hydra Consolidated zgarnie nagrodę i nikt się nawet nie zorientuje.

Kenji naśmiewał się z siedzącego przed nim starca, gdy na balkon wpadła uzbrojona postać, mierząc w obu z odbezpieczonego karabinu.

– W porządku. – Kenji odezwał się po koreańsku. – To Ohnishi. Nie sprawi nam żadnych kłopotów. Jakies problemy?

– Żadnych – odparł krótko koreański komandos. – Bez kłopotu zdjęliśmy ochronę. Sztuczka z eksplozją udała się i od-

wróciliśmy ich uwagę. Żaden z moim ludzi nic został nawet draśnięty.

– Świetnie. Za parę minut pójdziemy do mojego domu. Dopilnujcie, żeby reszta ładunków została podłożona w odpowiednich miejscach.

Koreańczyk zaczął wydawać rozkazy przez krótkofalówkę. Kenji ponownie zwrócił się do Ohnishiego.

– Teraz widzisz, komu dochowałem wierności. Gdy powiedziałem Koreańczykom o twoim przewrocie, uznali, że jest to idealna przykrywka, pod którą bez trudu przejmą wulkan. Amerykanie i Kerikow są zbyt zajęci próbami powstrzymania przemocy i wyeliminowaniem twojej osoby, żeby zauważyć nasze działania.

Odgłos strzałów z broni automatycznej rozniósł się po całym domu, jakby ktoś rozdzierał ogromną płachtę płótna. Kenji rzucił się na podłogę, obierając za cel wejście na balkon. Koreański żołnierz także się odwrócił i uniósł broń, celując w wejście.

– To na dole. Musieliście przegapić jednego z ochroniarzy Ohnishiego. Idź to sprawdzić.

Kenji zaczekał, aż komandos wyjdzie, po czym poderwał starego Japończyka na nogi i niemal powłókł go w kierunku sypialni.

Lurbud po raz kolejny nacisnął spust, gdy jakaś postać wybiegła przez drzwi wejściowe i rzuciła się w kierunku zarośli. Wiedział, że chybił, ale jednocześnie był pewien, że seria z pistoletu przez kilka następnych krytycznych sekund nie pozwoli przeciwnikowi na żaden ruch.

Sierżant Demanow, podążając za Lurbudem i dwoma innymi żołnierzami, szybko przebiegł ostatnie metry trawnika dzielące go od domu Ohnishiego. Gdy razem podeszli do grubych, szklanych bloków, z których zbudowano ściany, Lurbud rzucił granat. Siła uderzenia naruszyła strukturę szkła, ale go nie rozbiła. W sekundę później granat eksplodował, zamieniając trzy szklane bloki w kaskadę kryształowych odłamków i ognia. Lurbud poprowadził swoich ludzi przez dwumetrową wyrwę. Pod ich butami chrzęściły drobne odłamki szkła, rozsypane na pokrywającej podłogę plecionej macie. Jeden z ludzi Kenjiego leżał pod ścianą pokoju. Ciało miał naszpikowane ostrymi jak brzytwa kawałkami szkła.

Reszta oddziału Lurbuda skorzystała z tej samej metody, wyrywając granatami cztery kolejne otwory w ścianach rezydencji. To, co nastąpiło potem, przypominało regularną bitwę. Obydwie strony sądziły, że mają do czynienia z oddziałem amerykańskich komandosów.

Gęsty dym ciągle zalegał w korytarzu wejściowym na parterze, gdy Lurbud ostrożnie wysunął się z ukrycia i wszedł do wysokiego pomieszczenia. Kłębiące się smugi dymu utrudniały rozpoznanie, kto należy do jego zespołu, a kto jest wrogiem. Nagle zza ogromnego wazonu wyskoczyła jakaś postać i skierowała lufę karabinu wprost na Rosjanina. Szybka seria ścięła napastnika z nóg. Sierżant Demanow uniósł kciuk.

Lurbud skinął głową i kontynuował przeszukiwanie rezydencji. W ogromnym domu ciągle jeszcze niosły się echem odgłosy strzałów z broni maszynowej, a smugi ognia, jak ogony

przecinających nieboskłon komet, widoczne były przez przezroczyście ściany. W połowie schodów na górę Lurbud znalazł się pod ostrym ostrzałem. Pociski żłobiły ciężką marmurową balustradę dosłownie centymetry od niego.

Rosjanin poderwał się i wprawnym ruchem przeskoczył poręcz, na ułamek sekundy wystawiając się ukrytemu strzelcowi, nim opadł na twardą marmurową podłogę parteru. Szybko obrócił się, słysząc nad głową świst pocisków. Zrozumiał, że stał się celem więcej niż jednego napastnika. Nie przestając turlać się po podłodze, kierował ogień w stronę niewyraźnego zarysu postaci po drugiej stronie holu. Ostatnia seria trafiła przeciwnika w podbrzusze. Energia wystrzelonych pocisków poderwała go w powietrze i rzuciła o pokiereszowaną kulami szklaną ścianę.

Gdzieś w środku rozległ się huk eksplodującego granatu, wstrząsając całym budynkiem, a za moment trzask rozpryskujących się na twardej podłodze ogromnych kawałów szkła.

Lurbud wprawnie zmienił w biegu magazynek pistoletu. Ktoś się wyłonił z kłębow gryzącego dymu i Lurbud o mało go nic rozpruł, w porę się jednak powstrzymał, widząc, że to sierżant Demanow.

– Straty? – wysapał, dysząc ciężko.

– Dziesięciu do piętnastu. Może dwudziestu – odparł Demanow. – Trudno powiedzieć, bo ta chałupa jest cholernie wielka.

Nad ich głowami świsnęły pociski i obaj rzucili się za stojącą w pobliżu kanapę. Znajdowali się chyba w salonie. Sierżant natychmiast odpowiedział ogniem, jednak kolejna seria przygwoździła ich do wyłożonej białym dywanem podłogi.

Gdy tylko ukryty gdzieś strzelec przerwał ogień, Lurbud zerwał się i rzucił w drugi koniec pokoju. Jego tropem biegły kolejne, coraz bliższe serie z karabinu. Tuż za nim miliardami odłamków eksplodowała ponaddwumetrowa, kryształowa rzeźba. Lurbud rzucił się na podłogę między dwa skórzane podnóżki. Siła uderzenia pozbawiła go na chwilę tchu w piersiach.

Ogień ustał na moment i Rosjanin uniósł się nieco. Miał teraz strzelca jak na dłoni. Pociągnął za spust, dziurawiąc najpierw ogromny obraz, zanim trafił w cel. Napastnik upadł, gdy w jego ciele utkwily trzy pociski.

Podpełzł ostrożnie do strzelca. Oczekiwał, że zobaczy kogoś z Kaukazu lub Japończyka z oddziałów ochrony Ohnishiego. Ku jego zdumieniu zamachowiec był Chińczykiem lub Koreńczykiem.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – zapytał sam siebie.

Usłyszał wystrzał z pistoletu i w ciele zabitego ugrzęzła kula, dosłownie parę centymetrów od jego ręki. Uniósł karabin, strzelił na oślep, ale pociski rozbiły tylko trochę szkła. Napastnik zręcznie skrył się za szklaną gablotą z japońską zbroją, która stała w łuku korytarza prowadzącego do pokoi gościnnych.

Lurbud podniósł się szybko i skierował w dół korytarza, przyciskając plecy do ściany i trzymając broń w pogotowiu. Puścił serię w kierunku bezcennej zbroi, która rozpadła się w starciu z gradem dziewięciomilimetrowych pocisków. Nikt się za nią nie ukrył. Szedł dalej, mijając po drodze ciało jednego ze swoich ludzi. Rosyjski żołnierz miał nienaturalnie obróconą głowę w drugą stronę.

– Jezu – mruknął, pamiętając, że Kenji, prawa ręka Ohnishiego, zdobył czarny pas i był mistrzem niemającym sobie równych. Martwy Rosjanin to z pewnością jego dzieło.

Zacisnął dłonie na pistolecie maszynowym, rozumiejąc, z jak potężnym przeciwnikiem ma do czynienia. Szybko, ale spokojnie, zapominając na moment o szalejącej w budynku strzelaninie, przeszukał każdy z pokoi. Drzwi na końcu korytarza nie prowadziły do pokoju, ale otwierały się na surową, betonową klatkę schodową dla serwisantów i pracowników obsługi.

Lurbud zaczął powoli wchodzić, czując, jak po plecach spływają mu ze strachu strużki potu. Kakofonia odgłosów walki nie pozwalała usłyszeć czegokolwiek innego w odbijającej każdy dźwięk klatce schodowej.

Po kilku minutach Rosjanin doszedł do szczytu schodów, nigdzie jednak ani śladu Kenjiego. Jedyne, co widział, to słabo oświetlony podest i ognioodporne drzwi. Otworzył je gwałtownie, trzymając się z boku.

Gdy nic rozległy się żadne strzały, szybkim ruchem zajrzał do środka. Pokój za drzwiami był mały, miał może piętnaście metrów kwadratowych, ale gustownie urządzonej. W środku stały łóżko i antyczna toaletka, a ściany pokrywała droga tapeta. Przeciwległą ścianę prawie w całości zajmowało ogromne lustro. Z dostarczonych mu planów wiedział, że jest to lustro weneckie.

Zamiast tracić czas na szukanie ukrytego przejścia, z którego musiał skorzystać Kenji, Lurbud wpakował w lustro kilka sztuk amunicji i patrzył, jak spada na podłogę mieniającą się odbitym światłem kaskadą. Za ścianą znajdowała się sypialnia Ohni-

shiego. Na pięknym łożu z baldachimem leżał on sam, nagi. Głowa oraz kończyny zostały odcięte od ciała i chociaż leżały w prawidłowej anatomicznej pozycji, dzieliły je od korpusu jakieś dwa centymetry.

Evad Lurbud był świadkiem wielu wyszukanych tortur, prawdę mówiąc, sam wielokrotnie dopuszczał się ich stosowania, a jednak widok, jaki ukazał się jego oczom, wywołał nagły skurcz żołądka i falę wymiotów, która wstrząsnęła ciałem. Skurczone ze starości genitalia Ohnishiego odcięto i położono kilka centymetrów od krocza. Lurbud wiedział, że taka ilość krwi świadczyła o jednym – tę część ciała odcięto w pierwszej kolejności.

Próbując odzyskać równowagę. Rosjanin doszedł do wniosku, że zadanie takiej śmierci zajęło więcej czasu, niż miał uciekający Kenji. Albo więc Ohnishiego zamordował ktoś inny, albo Kenji uczynił to, zanim grupa Lurbuda zaatakowała rezydencję.

Obecność koreańskich ochroniarzy zaskoczyła go, ale śmierć Ohnishiego wywołała w umyśle Lurbuda prawdziwy zamęt. Kenji był wieloletnim współpracownikiem Ohnishiego, niezwykle lojalnym i zaufanym.

Dlaczego nagle odwrócił się od swojego mocodawcy? Dlaczego go zabił? Lurbud zanotował w myślach te pytania i kontynuował poszukiwania.

Za sypialnią znajdował się pokój dzienny, urządzony w nowoczesnym stylu, wielki jak niejeden podmiejski dom. Lurbud zwrócił uwagę na geometryczne kształty wyrobów artystycznych, stojących na błyszczącej, jasnej, sosnowej podłodze. Wysoko nad jego głową wznosił się strop, zbudowany w kształcie piramidy,

z którego zwieszał się kolorowy mobil autorstwa Caldera. Była to mniejsza wersja tej samej rzeźby, znajdującej się we wschodnim skrzydle waszyngtońskiej galerii sztuki.

Lurbud wybiegł z salonu wprost na otwarty balkon, wychodzący na tyły posiadłości Ohnishiego. Odetchnął głęboko wilgotnym powietrzem, ucieszony, że znalazł się z dala od duszącego dymu zalegającego wewnątrz domu. Ku swojemu zdziwieniu mimo odgłosów strzelaniny, która ciągle trwała na dole, bez trudu słyszał cykanie owadów.

Kenji stał na trawniku. W jasnym świetle księżyca wyglądał jak zjawa. Gdy tylko Lurbud go zobaczył, natychmiast uniósł pistolet, ale Kenji był daleko poza zasięgiem strzału. Kątem oka Rosjanin dostrzegł zwisającą z lewej strony balkonu drabinkę linową, po której zapewne uciekł.

Kenji uniósł ręce i Lurbud mógł przysiąc, że słyszy jego śmiech. Gdy opuścił ręce, czego Rosjanin nie mógł niestety dostrzec, palec Kenjiego nacisnął guzik detonatora na małym nadajniku.

Głuchy huk wstrząsnął budynkiem, wykrzywając całego konstrukcję. Nieliczne ocalałe szyby wyprysły z ram i opadły deszczem odłamków. Huk wzmógł się jeszcze bardziej i dom zaczął drżeć, gdy niewielkie ładunki wybuchowe, założone wokół fundamentów, eksplodowały jeden po drugim.

Odstępy, w jakich wybuchały, odpowiadały drganiom, w jakie wprawiona została konstrukcja budowli, dlatego pomruk detonacji jeszcze się pogłębił, chociaż odgłosy eksplozji ucichły. Gdy budynek zaczął się trząść coraz mocniej, Lurbud chwycił kur-

czowo poręcz balustrady. W głównych kolumnach dźwigających szklany strop pojawiły się głębokie rysy. W ciągu jednej chwili wszystkie runęły, a wraz z nimi dach, który z trzaskiem eksplodował miliardami lśniących odłamków. Wyłożone szklanymi blokami ściany zawaliły się, a cały budynek w jednej sekundzie obrócił się w niemający końca deszcz szkła. Tony przezroczystych odprysków runęły w dół, zabijając wszystkich, którzy znajdowali się wewnątrz domu. bez opamiętania tnąc ich ciała i kości. Jeszcze chwilę wcześniej Koreańczycy i Rosjanie prowadzili ze sobą rozpaczliwą wojnę, a w następnej niewyobrazalna siła rozdarła ich na strzępy.

Gdy runęły wewnętrzne kolumny, Lurbud poczuł, że balkon usuwa mu się spod nóg. Delikatna, niemal krystaliczna piramida nad jego głową rozprysła się jak po trafieniu rakietą. Rosjanin rzucił się pod stół na ułamek sekundy przed tym, gdy kawałki szkła zaczęły ze świstem przecinać powietrze jak pociski. Szybko przycisnął do piersi lewą rękę, której blat stołu nie osłonił przed gradem szklanych odłamków. Jedno spojrzenie wystarczyło, by stwierdzić, że brakuje trzech palców, a środek dłoni przebija piętnasłocentymetrowy kawałek szkła.

W tej samej chwili, gdy z jego piersi wydobył się krzyk bólu, wsparty na dwóch cienkich kolumnach balkon runął w dół. Ostatnim wrażeniem, jakie zarejestrował, nim jeszcze ból okaleczonej dłoni zdołał porazić jego system nerwowy, było uczucie opadania bez końca.

USS „INCHON”

Po zakończeniu rozmowy z Henną Mercer podziękował grzecznie radiooperatorowi i opuścił podobne do grobowca pomieszczenie łączności. Wyraz jego twarzy nie zdradzał żadnych uczuć i tylko wprawny obserwator mógłby dostrzec pewne napięcie, jakie towarzyszyło jego krokom.

Kobieta, z którą spotykał się kilka lat wcześniej, w ostatnim dniu ich znajomości powiedziała, że chcąc się dowiedzieć, o czym tak naprawdę myśli, trzeba go zapytać. To jedyny sposób. Narzekła, że jego wyraz twarzy nigdy niczego nie zdradzał, a oczy, które przecież są zwierciadłem duszy, w jego wypadku były lustrem weneckim, przez które tylko on mógł patrzeć.

Mercer skrzywił się na wspomnienie tych słów, wiedział jednak, że każdy zapytany marynarz zgodziłby się z nią.

Jako że wysłano go na „Inchona” na nieokreślony czas, otrzymał oddzielną kajutę. Jej wygody równe były wprawdzie tym, które oferował podrzędny motel przy autostradzie, ale należała tylko do niego.

Przekręcił zamek w drzwiach, rozebrał się i wziął orzeźwiający, zimny prysznic. Gdy uczucie senności minęło, ubrał się i zaczął ukrywać pod odzieżą sprzęt, który ze sobą przywiózł. Potem stoczył szybką walkę z wyimaginowanym przeciwnikiem,

by sprawdzić, czy sprzęt jest odpowiednio zabezpieczony i nie będzie przeszkadzać mu w ruchach. Jego ciosy były szybkie, umysł skupiony do maksimum. Zadowolony z wyników próby, zrobił kilka głębokich, uspokajających wdechów, po czym wepchnął berettę za pas spodni i przykrył ją wypuszczoną na wierzch czarną koszulą. Następnie złapał swój nylonowy worek, w którym tkwiły uprząż bojowa oraz pistolet maszynowy i wyszedł z kajuty.

Idąc na pokład startowy, minął kilkudziesięciu z tysiąca dziewięciuset żołnierzy piechoty morskiej. Sądząc po ponurych minach, marines nie zachwylił pomysłu atakowania terytorium własnego kraju.

Ja też nie jestem tym zachwycony, pomyślał.

Pokład startowy okrętu desantowego był prawie dziewięćdziesiąt metrów krótszy od pokładu lotniskowca „Kitty Hawk”, ale panował na nim taki sam chaos. W chwili, gdy wychodził na otwartą przestrzeń, w górę poderwał się AV-8B Harrier, odrzutowiec pionowego startu i lądowania. Dzięki unikatowej technologii samolot ten potrzebował do startu minimalnej powierzchni pokładu. Podmuchy wiatru wywoływane przez potężne silniki Rolls-Royce’a wściekle rozdzierały powietrze, wciskając do oczu Mercera drobny piasek.

Na pokładzie stało też kilka ogromnych helikopterów, a łopaty ich śmigieł zwisały bezwładnie. Dookoła krzątali się mechanicy i inni członkowie załogi statku. Każdy gdzieś się spieszył i uważał, żeby nie wpaść pod jakiś niewielki pojazd, bo całe ich mrowie jeździło po pokładzie w tę i z powrotem. Oczywiście,

że prezydent nie rozkazał jeszcze, by ustąpili, załoga bowiem szykowała się do ewentualnej bitwy. Mercer domyślił się, że naczelny dowódca będzie czekać do ostatniej chwili. Oslonił oczy przed wiejącym z prędkością trzydziestu węzłów wiatrem i rozglądał się po zasnutym gęstniejącym mrokiem pokładzie, aż dostrzegł śmigłowiec, którym przyleciał dziś wcześniej rano.

Potężny Sikorsky Sea King. Pilotował go porucznik Edward Rice, żołnierz Korpusu Piechoty Morskiej Stanów Zjednoczonych. Helikopter stał na wprost nadbudówki i Mercer dostrzegł w środku jakiś ruch.

Eddie Rice powiedział mu podczas lotu z lotniskowca, że tuż po zmierzchu będzie wracał, by zabrać jakiś sprzęt. Mercer był wdzięczny Hennie, że zadzwonił, zanim śmigłowiec odleciał. Porwanie powinno pójść trochę lepiej, bo znał pilota.

Nie ma sensu psuć dnia komuś nieznanemu, pomyślał, zbliżając się do wielkiej maszyny. Podszedł z lewej strony i zauważył, że drzwi dla załogi są otwarte. Wyciągnął spod koszuli berettę i rzucił swój worek na niewielką platformę w środku śmigłowca.

Trzymając broń w ukryciu, wetknął głowę do kokpitu.

– Wpadłeś się pożegnać, Mercer? – powiedział z uśmiechem Eddie Rice.

Bez wątpienia miał najbrzydsze zęby, jakie Mercer kiedykolwiek widział u Murzyna. To tyle, jeśli chodzi o stereotypy, pomyślał.

– Tak mi się podobał twój styl latania, że marynarka uznała, iż powinienem z tobą wrócić – odpowiedział.

– Wysłali cię na „Inchona” tylko po to, żebyś za chwilę wracał? – Eddie pokręcił niedowierzająco głową. – Słyszałem o bałaganie, jaki mają tam na górze, ale to już szczyt głupoty. Właż, za chwilę startuję.

Mercer wetknął pistolet za pas i wsunął się na miejsce drugiego pilota. Tak samo jak wcześniej, otoczony przełącznikami i wskaźnikami, poczuł się jak w kokonie. Siedział w napięciu, czekając, aż Eddie wykona wszystkie procedury przedstartowe. Czekanie ciągnęło się w nieskończoność i Mercer ciągle spoglądał na zegarek. Do wystrzelenia rakiety zostało jedenaście i pół godziny.

– Masz randkę, czy co? – zapytał Rice, widząc zniecierpliwienie Mercera.

– Coś w tym stylu – odparł ponuro geolog.

– Jeszcze dwie minuty i już nas nie ma. – Rice przysunął sobie do ust mikrofon i zaczął rozmawiać z kontrolerem lotów.

Chwilę potem dwie potężne turbiny ruszyły z jękiem. Wskazówki na konsoli sterowania drgnęły i powoli zaczęły wychylać się w prawo, wraz ze wzrostem obrotów i temperatury silników firmy General Electric. Rice obserwował uważnie instrumenty pokładowe, biegając wzrokiem od jednego wskaźnika do drugiego.

Gdy wrzucił bieg, szum silników przycichł na chwilę, ale zaraz potem, gdy pięć długich łopat zaczęło się obracać, wzmógł się jeszcze bardziej. Poziom hałasu w kabinie wzrósł tak bardzo, że Mercer wcisnął na głowę hełmofon. Eddie cały czas zwiększał moc silników, łopaty wirnika coraz szybciej łomotały w powie-

trzu. W końcu dziewięcotonowa maszyna wzbiła się w niebo nad Pacyfikiem.

– Bułka z masłem. – Rice uśmiechnął się szeroko, gdy „Inchon” został w tyle za śmigłowcem. Odwrócił się do Mercera, oczekując podobnego uśmiechu, ale spojrział wprost w czamy otwór lufy beretty wycelowanej w jego twarz.

– Przykro mi, Eddie – powiedział Mercer. Przez interkom jego głos brzmiał nieco metalicznie. – Nie lecimy na lotniskowiec.

– Domyślam się.

Mercer chwycił pistolet za lufę i rozwalił jego rękojeścią pokładową radiostację, odcinając śmigłowiec od świata zewnętrznego. Potem znów skierował lufę w stronę Eddiego.

– Posłuchaj, wykonuję tajną misję. Porwanie helikoptera w ostatniej chwili to moja jedyna szansa, by zapewnić sobie bezpieczeństwo.

– Jasne – mruknął podejrzliwie Rice.

– Wiesz, dlaczego marynarka przysłała swoje okręty na Hawaje. – To było stwierdzenie, nie pytanie. Możecie zostać zmuszeni do zaatakowania własnego kraju i zabijania współobywateli. Można temu zapobiec. Muszę się dostać na Hawaje i ty jesteś moją szansą. Nieważne, czy mi wierzysz, czy nie, ale zabierzesz mnie na Hawaje.

– Nie ma mowy, żebyś pracował dla CIA. Tych paru agentów, których znam, wyciągnęłoby spluwy i wydało rozkazy. Oni się nie opieprzają i nie bawią w wyjaśnienia. Więc kim, do cholery, jesteś?

– Nie pracuję dla CIA, Eddie. Nie kłamałem, gdy dziś rano mówiłem ci, że jestem geologiem. Ale jestem też jedynym facetem, który może to powstrzymać.

– Wiesz, że nie mogę ci nic zrobić. Muszę trzymać obie ręce na drążkach, żeby utrzymać tego ptaszka na niebie. Nie musisz się więc o mnie martwić. Moim pasażerom może się jednak nie spodobać ta wycieczka.

– Pasażerom? Myślałem, że wiesziesz jakiś ładunek.

– Gdy ich zobaczysz, zrozumiesz, czemu mówię o nich „ładunek”.

Wiedząc, że Rice nie może opuścić swojego fotela ani skontaktować się z żadnym innym samolotem czy statkiem. Mercer przykucnął i wpełził za fotel, aż w końcu udało mu się zajrzeć do ładowni śmigłowca. Zobaczył tam pięciu uzbrojonych po zęby mężczyzn.

Żołnierze jednostki specjalnej Navy SEAL, najlepiej wyszkoleni komandosi w jednostkach wojskowych Stanów Zjednoczonych, a może i świata. Siedzieli w kamiennym milczeniu, nic zwracając uwagi na huk silników helikoptera ani wiatr, który, wpadając przez otwarty właz, targał ich uniformami. Jak komputer, który pracuje tylko w systemie zero-jedynkowym dowódca oddziału ocenił Mercera pod kątem zagrożenia lub jego braku. Jego przepastne oczy miały jasnyniebieski kolor lodowca. Żołnierz popatrzył na Mercera przez ułamek sekundy. Tyle zajęło mu stwierdzenie, że siedzący w kokpicie mężczyzna nie stanowi zagrożenia. Obojętnie odwrócił wzrok.

Mercer nigdy w życiu nie odczuł tak czystej niechęci, jaka była od tych ludzi. Rice miał rację, że nazywał ich „ładunkiem”. Nazywanie ich „pasażerami” oznaczałoby, że pozostały w nich ślady człowieczeństwa.

Wrócił do kokpitu i usiadł na fotelu, po czym włożył hełmofon.

– Już wiesz, co mam na myśli? – Eddie uśmiechnął się szeroko. – Ja osobiście nie mam nic przeciwko Hawajom, strzeliłbym sobie nawet z chęcią jakieś mai tai. Podaj tylko cel podróży i już lecimy. No i niepotrzebnie rozwalileś radio.

– Tak... A dlaczego?

Rice uśmiechnął się krzywo.

– Bo dwie minuty przed twoim wejściem na pokład dostałem pewną informację. Z moim dowódcą kontaktował się chyba szef FBI. Doszedł do wniosku, że wykręcisz taki numer, a komandosi z SEAL będą kompromisem pomiędzy twoim planem a prezydenta. Ci chłopcy mają rozkaz iść z tobą. Dowódca powiedział, że mogą się dziś przydać.

Mercer śmiał się tak, że aż rozboleł go brzuch.

– A to sukynsyn! – zawołał z podziwem. – Nic dziwnego, że jest szefem FBI. To moje pierwsze porwanie i okazuje się, że ofiary na dzień dobry chcą zostać współnikami. Przepraszam, że do ciebie mierzyłem.

– Nie ma sprawy. Urodziłem się na Południu. To nie pierwszy raz. I pewnie nie ostatni.

Półtorej godziny później helikopter mknął już wzdłuż północnych wybrzeży wysp hawajskich, brzuchem dotykając niemal

rozpryskujących się ledwie półtora metra niżej fal przyboju, a łopaty wirnika dzieliło nie więcej niż sto metrów od wznoszących się pionowo urwistych klifów. Mercer spędził większość lotu w luku bagażowym z komandosami, uważnie studiując plany domu Kenjiego i przygotowując plan bitwy. Nim śmigłowiec dotarł do wybrzeża, wszyscy byli przekonani, że atak się powiedzie.

Wróciwszy na swoje miejsce w kokpicie, Mercer zobaczył światła. Twarz Rice'a była skupiona, dostrzegł jednak, że pilot dobrze się bawi.

Maui, Molokai i Wielka Wyspa zostały już za nimi. Teraz śmigłowiec leciał nad północnym brzegiem Oahu. Mercer pomyślał o martwych wielorybach, które znaleziono tu ledwie miesiąc wcześniej, co wywołało reakcję łańcuchową. Zdziaiwające, jak taki fakt bez znaczenia mógł zapoczątkować jeden z największych kryzysów, wobec którego stanęła Ameryka.

– Masz współrzędne? – zapytał Rice nie spuszczać wzroku ze skąpanych w świetle księżycy fal.

Z mapy, dostarczonej przez Dicka Henę, Mercer przeczytał współrzędne domu Kenjiego. Eddie wprowadził dane do komputera nawigacyjnego, poczekał, aż maszyna je przetworzy, i zerknął na odczyt. Przechyliwszy maszynę w prawo, wzniosł się nad urwiska i skierował w głąb wyspy. Okryty księżycową poświatą teren pod nimi wyglądał jak szara równina. Śmigłowiec leciał z prędkością stu czterdziestu węzłów, czasami poniżej wierzchołków drzew.

Mercer ufał bezgranicznie Eddiemu. Nie miał wyboru.

Przelecieli nad wzgórzami i helikopter gwałtownie obniżył lot po drugiej stronie, lecąc nie wyżej niż trzydzieści metrów nad ziemią.

– Leciałeś już tak kiedyś? – zagadnął Mercer, próbując zachowywać się swobodnie, chociaż palce zbieleły mu od kurczowego ściskania fotela.

– Jasne – odparł Rice. – W Iraku, ale tam nie było tylu wzgórz, drzew i budynków, o które można się łatwo rozwalić.

Mercer jeszcze mocniej ścisnął siedzenie fotela.

– A ty leciałeś już tak kiedyś?

– Jasne – odparł Mercer, naśladowując niski głos Eddiego. – W Iraku, gdzie nie było takich cwanych pilocików.

Rice się roześmiał, gwałtownie podrywając śmigłowiec w górę, by uniknąć zderzenia z kępą drzew wyrastających pośrodku dżungli.

Gdy teren się wyrównał, Rice zaczął sobie pogwizdywać. Mercer rozpoznał Cwał Walkirii z opery Wagnera. Doskonale wiedział, jak czuje się Eddie.

– Zostało piętnaście kilometrów – zameldował parę minut później Rice.

– Dobra, naszym celem są zabudowania w środku starej plantacji ananasów. Jakies trzy kilometry na północ jest polana. Gdy plantacja funkcjonowała, trzymano tam sprzęt. Na południowym skraju polany stoi opuszczona szopa. Tam wylądujemy.

Rice nie odpowiedział. Z uwagą obserwował powierzchnię ziemi pod śmigłowcem. Niska roślinność dżungli stopniowo

przeradzała się w pola uprawne. Pilot zwolnił do trzydziestu węzłów.

– Tam. – Dostrzegł polanę i wprowadził śmigłowiec w lot boczny.

Mercer zauważył otwartą przestrzeń chwilę później. Był to teren o powierzchni około jednego akra. Po jednej stronie stała opuszczona metalowa wiata, której przeżarty korozją dach zapadał się do środka.

– Za trzydzieści sekund lądujemy – powiedział do mikrofonu, informując komandosów w luku bagażowym.

Rice skorzystał z resztki zarośli, by pod ich osłoną zejść do lądowania. Łopaty wirnika wzbily w powietrze chmury drobnego pyłu, ograniczając widoczność do zera. Eddie wylądował na wyzucie, sadzając maszynę jak najbliżej szopy. Gdyby na metalowej wiacie była farba, teflonowe łopaty zdarłyby ją w jednej chwili.

Nim Mercer wyskoczył z kokpitu, komandosi SEAL zabezpieczyli już budynek i otaczający go teren.

Powietrze było gorące i niezwykle wilgotne. Ubranie Mercera natychmiast przykleiło się do ciała. Po paru godzinach spędzonych w śmigłowcu cykanie owadów brzmiało nienaturalnie głośno. Geolog włożył uprząż bojową i zapiął ją wokół szczupłych bioder. Następnie zacisnął paski na ramionach, ale niezbyt mocno, żeby nie wpijały się w ciało. Wyciągnął MP-5, wrzucił pusty worek z powrotem do helikoptera i odwrócił się do Rice'a.

– Wiesz, co masz zrobić?

– Mam czekać, aż nawiążecie ze mną kontakt. – Rice uniósł miniaturową krótkofalówkę, otrzymaną od jednego z żołnierzy.
– Jeśli nie usłyszę was do piątej rano, spadam stąd.

– Dokładnie tak.

Mercer popatrzył na zegarek – 9.35. Za dziewięć i pół godziny prezydent wyda rozkaz odpalenia głowicy nuklearnej i zniszczenia znajdującego się trzysta dwadzieścia kilometrów na północ wulkanu. W kilka minut później Hawaje staną się niepodległym państwem.

„JOHN DORY”

Chociaż znajdował się dwanaście metrów pod powierzchnią, „John Dory” ciągle odczuwał turbulencje na powierzchni, które rzucały nim około piętnastu stopni raz na prawą, raz na lewą burtę. Radiooperator trzymał się przymocowanego do sufitu uchwytu i czekał, aż będzie mógł zwrócić na siebie uwagę kapitana. Zwieńkow tymczasem pograżony był w cichej rozmowie z oficerem odpowiedzialnym za naprowadzanie pocisków raketowych. Po raz dziesiąty omawiali plan wystrzelenia pocisku znajdującego się na dziobie okrętu.

– Panie kapitanie – przerwał im w końcu radiooperator – nadeszła wiadomość.

Zwieńkow odwrócił się, unosząc krzaczastą brew w niemym pytaniu.

– Wiadomość brzmi: „zielony”. Powtarzano ją przez pięć sekund.

– Świetnie. – Zwieńkow rzucił okiem na zegarek: 22.00.

Była to jedenasta wiadomość, jaką otrzymał. Po każdej następnej oczekiwał, że będzie brzmiała: „czerwony”, co oznaczało rozkaz odpalenia rakiety, ale na razie takiej nie dostał. Jeśli nie nadejdzie w ciągu następnych dwóch godzin, ledwie

zdąży dopłynąć przed świtem do brzegu Hawajów, by zabrać komandosów.

– W porządku – zwrócił się ponownie do oficera. – Potwórzmy to jeszcze raz. – I ponownie zaczęli wytyczać tor lotu pocisku nuklearnego.

Evad Lurbud złożył przenośną antenę i wyłączył nadajnik. Musiał posłużyć się też uszkodzoną lewą dłonią, co spowodowało, że spod spiesznie zawiązanego bandaża znów sączyła się świeża, jasna krew. Ostry ból przeszył mu ciało. Zacisnął zęby, by nie krzyknąć.

To, że w cztery godziny po ataku na dom Ohnishiego ciągle żył, zawdzięczał w dużej mierze wszechstronnemu wyszkoleniu, które zapewniło mu KGB. To, że przeżył zniszczenie rezydencji, było niemal cudem.

Gdy eksplodowały bomby i budynek zaczął się walić, życie uratował mu szybki skok pod stół stojący na balkonie. Solidny blat osłonił go przed eksplodującym szkłem. Gdy konstrukcja budowli runęła, balkon poleciał na zewnątrz, unosząc go ze sobą. Lurbud wylądował na trawniku dwanaście metrów niżej, zdumiony, że ciągle żyje. Nie oznaczało to jednak wcale, że umknął śmierci bez zadraśnień.

Miał zwichnięte prawe ramię, a nogi, tułów i twarz straszliwie poranione odpryskami szkła. Prawe oko zostało przebite i wyciekał z niego przezroczysty płyn, który spływał mu po twarzy i kapał na kołnierz wojskowej bluzy.

Tak poważne obrażenia to wstrząs dla organizmu. Ludzie jednak różnie reagują na wstrząsy, wszystko zależy od indywi-

dualnych predyspozycji. Gdy w jego krwi zwiększał się poziom endorfin i adrenaliny, Lurbud starał się zachować świadomość. Po prawie dwudziestu minutach zaczął się poruszać. Najpierw powoli podniósł się na dłonie i kolana, potem stanął na nogach. Ze wspaniałej rezydencji Takahiro Ohnishiego pozostały sterty potłuczonego szkła i pusty szkielet rurowatych podpór. Po chwili, zataczając się, Rosjanin zaczął przeczesywać gruzowisko w poszukiwaniu radia, przez które miał skontaktować się z czekającą niedaleko wyspy łodzią podwodną.

Tam, gdzie ostre jak brzytwa odłamy wbiły się w ofiary, wielkie kupy szkła zalane były litrami krwi. W przytłumionym świetle księżyca szkarłatne plamy wyglądały na czarne, Lurbud jednak wiedział, że takich plam są tutaj dziesiątki.

Metodycznie sprawdzał każde ciało, kolbą pistoletu usuwając z nich szkło, by odkryć rozpoznawalne fragmenty. Rosjanin czy Koreańczyk, każdy z martwych żołnierzy został okaleczony tak bardzo, że szybka identyfikacja okazała się niemożliwa.

Piętnaście minut przed planowanym połączeniem z okrętem Lurbud znalazł krwawe resztki radiowca. Z człowieka zostały tylko skrawki mięsa, ale radio, zabezpieczone hartowaną plastikową obudową, przetrwało nieuszkodzone.

Oparłszy się o stertę gruzu, nadał pierwszą wiadomość, powtarzając przez pięć sekund słowo „zielony”. Gdy skończył, opadł całym ciężarem na gruzowisko, nie czując wbijających mu się w ciało szklanych ostrzy.

Walcząc z ogarniającym go wyczerpaniem, spowodowanym walką i utratą krwi, Rosjanin zajął się opatrywaniem ran.

Zdeformowaną dłoń owiazał bandażem i delikatnie przemył niewidzące oko. By uśmierzyć tępy ból, rozsadzający czaszkę, wstrzyknął w ramię pełną dawkę morfiny, znalezionej w apteczce, którą miał przy sobie radiowiec.

Natychmiast zdał sobie sprawę z tego, jak łatwo można uzależnić się od narkotyków. Pomimo bólu, który wgryzał mu się w ciało, nigdy nie miał lepszego nastroju. Czuł się wspaniale i wiedział, że przetrwa to wszystko, by zemścić się na Kenjim. Cała reszta stała się nagle nieistotna: łódź podwodna, wulkan, nawet jego własny stan. Byle tylko dokonać zemsty. Furgonetka, którą przyjechali w pobliże posiadłości Ohnishiego, znajdowała się tylko półtora kilometra dalej. Mógł jechać do domu Kenjiego i wystawić słony rachunek za cierpienie, którego tamten był sprawcą.

Pozostał jednak wystarczająco świadomy, by wiedzieć, że musi regularnie wywoływać okręt. Ich zachowanie, jeśli nie nawiąże łączności, z pewnością narazi na niepowodzenie jego plany wzięcia odwetu na asystencie Ohnishiego. Prawie dwie godziny zajęło mu przedarcie się chwiejnym krokiem do miejsca, w którym ukryli vana. Każdy krok znaczyły strużki krwi, spływające z okaleczonego ciała. Pokonanie samochodem dwudziestopięciokilometrowego odcinka drogi na północ trwało kolejne półtorej godziny. Lurbud musiał się zatrzymywać mniej więcej co dziesięć minut, by odpocząć i poczekać, aż odzyska ostrość mętniejącego wzroku.

Teraz leżał w płytkim rowie nie więcej niż sto metrów od domu Kenjiego i obserwował go przez noktowizor. Obraz to

ciemniał, to rozmazywał się, gdy tylko wysiłał wzrok, by zachować ostrość widzenia jedyne go sprawnego oka.

Piętrowy dom Kenjiego, mniejszy i nie tak okazały jak rezydencja Ohnishiego, mimo wszystko robił wrażenie. Dwa skrzydła domu, zbudowane z obrobionego kamienia pokrytego beżowym tynkiem, rozchodziły się w przeciwne strony od głównego wejścia jak łopaty bumerangu. Każde okno na drugim piętrze było jednocześnie drzwiami, przez które wychodziło się na wąskie balkony otoczone balustradami z giętego żelaza. Kryty ceramiczną dachówką dach i rozległe trawniki zdradzały, że dom należał kiedyś do zamożnego plantatora i pochodził z innej, dawno minionej epoki. Po drugiej stronie basenu o olimpijskich wymiarach stał oddzielny domek dla gości.

Po nawiązaniu kolejnego kontaktu z łodzią Lurbud wiedział, że ma dwie godziny, by zająć się tylko Kenjim. Jako zawodowiec zdawał sobie sprawę, że w obecnym stanie nie ma szans w starciu z japońskim zabójcą. Musiał więc starannie opracować plan. Kenji był biegły w sztukach walki, a to sprawiało, że każda broń, z wyjątkiem dalekosiężnego karabinu, zdawała się bezużyteczna. Dlatego Lurbud musiał wywabić go z domu i zbliżyć się do niego na odległość strzału.

Podczołgał się bliżej zabudowań, by lepiej widzieć wnętrza. Miał nadzieję, że w końcu coś zauważy.

HAWAJE

Way Hue Dong był szefem Hydra Consolidated, koreańskiego konsorcjum, które kupiło wulkan od Iwana Kerikowa. Jego wnuk, Chin-Huy, siedział za biurkiem Kenjiego, delektując się wonnym cygarem. Chin miał niewiele ponad dwadzieścia lat, ale spostrzegawczość starca. Widział wszystko, co mogło służyć dobru jego rodziny. Gdy dziadek rozkazał mu stanąć na czele pięćdziesięcioosobowego kontyngentu żołnierzy i przerzucić ich na Hawaje, Chin-Huy nie dyskutował, tylko wykonał polecenie.

Rodzina kilkakrotnie już wysyłała go lub jego starszych braci w najbardziej niebezpieczne miejsca na ziemi w poszukiwaniu zysków. Czy chodziło o kość słoniową, zdobywaną przez kłusowników w targanej wojnami Angoli, czy o kamienne posągi, kradzione w pustoszonych przez przemytników dżunglach Ameryki Środkowej – młodsi członkowie rodziny z chęcią podejmowali inicjatywę.

Ta misja, choć potencjalnie niebezpieczna, okazała się dla China dość łatwa. Jego człowiek na miejscu, Kenji, wykonał większość roboty niezbędnej do zapewnienia spokoju rodzinie podczas przejmowania wulkanu. Większość ludzi China, dzięki co bardziej krewkim gwardzistom, trzymała lotnisko pod kontrolą, a kilku innych wznieciło rozruchy pod bramą bazy

w Pearl Harbor i podburzyło studentów do otwarcia ognia do Amerykanów. Jedynym problemem okazał się dom Ohnishiego, gdzie ponad dwudziestu jego żołnierzy zginęło podczas nieudanej próby ataku, przeprowadzonej prawdopodobnie przez amerykańskich komandosów.

Tak czy inaczej rola China w całej operacji była mało znacząca. Teraz pozostało mu już tylko czekać na potwierdzenie ze statku wydobywczego, że widzą cel podróży – wulkan. Do tego momentu pozostało jeszcze co najmniej dziesięć godzin. Gdy jego rodzina przejmie wulkan, Chin odwoła żołnierzy, bacząc na to, by ich wycofanie się położyło kres niepokojom społecznym na wyspie. Przemoc, która ogarnęła Hawaje, miała swój konkretny cel. Gdy tylko zabezpieczą teren wulkanu, najlepiej będzie uciszyć nastroje mieszkańców.

– Zostaniesz sownie wynagrodzony, Kenji. Co zrobisz z pieniędzmi?

Kenjiemu nie podobał się sposób bycia młodego mężczyzny, który w niedbalej pozie rozsiadł się na jego fotelu. Chin był arogancki i nieokrzesany.

– Nie mów hop. Musimy poczekać ze wszystkim do końca.

– Tamten oddział idealnie dał się nabrać na twój podstęp. Zaatakowali nie ten dom, co trzeba. Dokładnie tak, jak zaplanowałeś. – Chin niedbale machnął trzymanym w palcach cygarem.

– Wulkan jest w zasięgu ręki, nie ma się już czego obawiać.

– Iwan Kerikow także wierzył, że ma wulkan w zasięgu ręki, a Ta-kahiro Ohnishi miał pewność, że Hawaje są już jego.

Obydwaj się mylili. Nie uwierzę, że nam się udało, dopóki statek wydobywczy nie rzuci kotwicy obok wulkanu.

– Aha – powiedział Chin, po czym zmienił temat, opowiadając o swojej działalności w obliczu niebezpieczeństw jakiejś wyprawy.

Wcześniej, zanim Kenji wyruszył zamordować Ohnishiego, Chin-Huy opowiedział mu z tuzin podobnych historyjek. Malował w nich tak niestworzone sytuacje i mówił o nich takim tonem, jakby prowokował Kenjiego do podania ich w wątpliwość. Ten jednak nie potrzebował dowodów na poznanie prawdziwego oblicza młodego Koreańczyka. Wystarczyło, że Chin nie wykazał zapału, by poprowadzić swoich ludzi na rezydencję Ohnishiego. Kenjiego znudziły już te opowieści, ale słuchał ich jak urzeczony. Tego po nim oczekiwano.

– Jeśli udało mi się przeżyć coś takiego i przez cały czas trzymać przy sobie diamenty, na pewno z tego też nas wyciągnę – podsumował Chin.

Kenji zacisnął pięści. Bez żadnego wysiłku mógł wypatroszyć tego chłoptasia gołymi rękami. Pomysł przypadł mu nawet do gustu, musiał jednak zachować spokój. Los Kenjiego został zapisany w gwiazdach w chwili, gdy jego dziadek uciekł z Hawajów. Nie mógł wszystkiego zepsuć tylko dla samej przyjemności zabicia nawet tak denerwującego typu.

– Każda operacja jest inna, z pewnością to wiesz. To, że w przeszłości udało ci się parę razy przeżyć, wcale nie oznacza, że teraz też ci się uda.

Chociaż słowa nie zostały wypowiedziane karcącym tonem, Chin zamilkł. Kenji z satysfakcją oparł się o wyłożoną panelami ścianę pracowni, skrzyżował ręce na piersi i przyglądał się, jak Koreańczyk delektuje się cygarem. Napięcie, które odczuwał, kazałoby słabszemu człowiekowi zacząć spacerować w tę i z powrotem, ale Kenji tylko stał, milczący i niebezpieczny.

– A co z tą kobietą? – zapytał Chin, przerywając długie minuty milczenia. – Mówię o dziennikarce, którą trzymasz w schowku ogrodnika.

– Jak to: co?

– Nie zgodziła się nam pomóc, więc najwyższy czas, by ją sprzątnąć.

– Tak, chyba tak – stwierdził ze smutkiem Kenji.

– Ja to zrobię – powiedział ochotczo Chin. – Chcę ją pierwszy.

– Nie ma sprawy – zgodził się od niechcienia Kenji, maskując kielkujący gdzieś w środku ból.

Z początku podobała mu się myśl, że weźmie Jill Tzu do siebie. W wyzywającej urodzie kobiety było coś takiego, co sprawiało, że chciał ją zdominować. Może dlatego, że powiedział jej o swoim koreańskim pochodzeniu? Wiedział, że nigdy nie chciałyby z nim być z własnej woli. Mógł ją oczywiście naszprycować prochami, jak tę Amerykankę, którą uratował tydzień temu. Kenji wiedział jednak, że nie jest to żadne rozwiązanie. Jill musiała zostać wyeliminowana, nie mógł jednak się na to zdobyć. Propozycja China to świetna okazja załatwienia sprawy. Jill umrze, ale to nie on będzie miał na rękach jej krew.

Chin zdjął małe stopy z blatu biurka i mocno postawił je na miękkim dywanie. Kenji oczekiwał, że wybiegnie z pokoju jak rozpieszczone dziecko, któremu pozwolono spełnić kolejną zachciankę. Chin jednak wyszedł spokojnie, spoglądając spod oka na gospodarza, w bardzo dojrzały sposób pokazując, kto panuje nad sytuacją.

Jill nie miała pewności, ale wydawało jej się, że ponownie zapadła noc. A więc siedziała tu już zamknięta od pięciu dni. Gdy przytykała ucho do niewielkiej szpary pod drzwiami, słyszała bezustanne brzęczenie owadów. Szczelina okazała się zbyt wąska, by przez nią wyrzeć, ale to już i tak nie miało znaczenia. Czym w końcu była jeszcze jedna noc?

Wcześniej myślała o tym, żeby ostrym kamieniem wykrobywać na betonowej podłodze jakieś znaki, określające upływ czasu, doszła jednak do wniosku, że nie przyniesie jej to nic dobrego. Wiedziała, że umrze, nim zdoła zrobić kilka rys. Pytała samą siebie, dlaczego wolała zginąć, niż przekazać propagandowe treści podsunięte jej przez Kenjicgo? Czyjej dziennikarska wiarygodność była cenniejsza niż życie? Czy właśnie ona winna stać się priorytetem?

Nie, przyznała. Mogła to zrobić. Mogła powtórzyć wszystko, czego żądał. Mogła zapewnić sobie przetrwanie, później jednak jej życie straciłoby sens. Nie dlatego, że pomogłaby temu bydlakowi Kenjicmu i nie dlatego, że oszukałaby widzów. Rozczarowałaby sama siebie, a tego nie chciała za nic w świecie.

Całe życie stawiała czoło światu według osobistych standardów i ani razu nie złamała ustanowionych przez siebie reguł.

Pamiętała swój reportaż na temat używania narkotyków przez nastolatków w Honolulu. Pewna szesnastoletnia ćpunka, która zarabiała na towar prostytutką, nie chciała przyznać, że jest uzależniona. Oskarżyła Jill, że zmontowała zdjęcie, na którym daje sobie w żyłę na tyłach jakiegoś obscurnego hotelu. Dziewczyna oszukiwała siebie tak bardzo, że nie uznawała nawet tak oczywistych faktów, jak fizyczne ślady jej nałogu. Powiedziała Jill, że ślady igieł na rękach to tatuaże.

Jill obawiała się, że jeśli złamie zasady, skończy tak samo jak tamta nastolatka, okłamując siebie. Pomagając Kenjiemu, nawet w zakamuflowany sposób, naruszyłyby zasady. Nie mogła tego zrobić i nie zawahałaby się oddać za nie życie.

Jej zmysły wyostrzyły się podczas tych kilku dni spędzonych w samotności. Górę zaczynały brać instynkty, które pozwalały przetrwać przodkom człowieka na równinach prehistorycznej Afryki. Jak każde zwierzę, człowiek też potrafi wyczuć zagrożenie na długo przedtem, nim może je zobaczyć lub usłyszeć. Jill wiedziała, że gdzieś niedaleko czai się nowe niebezpieczeństwo, czuła niepokój tak wyraźnie, jakby był wrażeniem fizycznym.

Po raz pierwszy zwróciło to jej uwagę jakąś godzinę wcześniej. Zaczęła wtedy wyczuwać pewne napięcie w atmosferze pomieszczenia. Wkrótce jednak dotarły do jej uszu inne odgłosy, dające powody do niepokoju.

Wcześniej obok schowka, miejsca jej uwięzienia, wyraźnie zwiększyła się liczba strażników pilnujących posiadłości Kenjiego. Zorientowała się, że częstotliwość kroków, z chrzęstem grzęznących w żwirze alejek, znaczenie się zwiększyła. Ci nowi

ochroniarze poruszali się ostrożniej, zachowywali większą czujność niż ludzie Kenjiego. Ale w ciągu ostatnich trzydziestu minut liczba osób chodzących wokół zabudowań regularnie spadała, jakby strażnicy znikali gdzieś w ciemnościach nocy, jakby zacierali w stronę dżungli, ale nigdy nie wracali.

Teraz usłyszała nowe kroki; zdecydowane. Jill instynktownie wiedziała. dokąd zmierza ten człowiek.

Kroki zatrzymały się pod drzwiami i usłyszała wesołe po-brzękiwanie kluczy. Człowiek wsunął klucz w zamek, obrócił go gwałtownie i z hukiem otworzył drzwi. Jill zerwała się na nogi i odsunęła najdalej, jak tylko mogła.

Intruz był młody, o chłopięcej urodzie, ale przyjmował nie-dbałą pozę zmęczonego życiem żołnierza. Rzucił jej pewne siebie spojrzenie i rozchylił usta w pożądlwym uśmiechu. Z kabury wiszącej na kościstym biodrze wystawała kolba pistoletu.

Zgwałci mnie, a potem zabije, pomyślała, jakby przygotowy-wała reportaż ze zdarzenia, które miało przydarzyć się komuś innemu. Wkrótce umrę.

Chin-Huy podszedł do niej, nerwowo zaciskając i prostując palce. Jego oczy wyglądały jak dwa czarne punkty namalowane na twarzy, takie, jakie nieraz widzi się na rysunkach w gazetach. Nie widziała w nich głębi. Mężczyzna zbliżył się jeszcze bardziej, leniwie masując jedną ręką krocze. Na jego twarzy dostrzegła narastające pożądanie.

Mężczyzna, średniego wzrostu, ważył może dziewięć lub dziesięć kilogramów więcej niż ona. Gdyby tylko zostawił pi-stolet w kaburze, istniała szansa, że da mu radę. Z niedowierza-

niem patrzyła, jak odpina kaburę i pozwala jej opaść z głuchym stuknięciem na betonową podłogę.

Drzwi do pomieszczenia zostawił otwarte, wabiło ją ciepłe objęcie nocy. Może zdołałaby przebiec obok niego, zanim zdążyłby sięgnąć po broń? Wzrok Jill pobiegł ku prostokątowi otwartej przestrzeni poza jej więzieniem. W tym właśnie ułamku sekundy Chin-Huy jednym susem przebył ostatnie dwa metry dzielące go od ofiary. Potężny cios rzucił nią o podłogę, jakby ktoś uderzył ją kijem baseballowym.

Ze świadomością łączyła ją już tylko wątpliwość. Poczowała jedynie, że szybkim jak błyskawica ruchem Chin zdziera z niej bluzkę i chwyta za pierś.

To nie mnie się to przytrafiło, pomyślała. To nie mnie dotyka ten bydlak.

Chin-Huy ścisnął jej nagą pierś tak mocno, że jęknęła, ale ból wydobyl ją z mroku, przywracając przytomność. Spojrzała na jego twarz. Miał krzywe, poplamione nikotyną zęby. Dyszał, czuła na szyi jego gorący oddech. Oczy napastnika zwężyły się do rozmiarów łebków szpilek, twarz nabiegła krwią.

Nagle, w ułamku sekundy, który zajęło jej mrugnięcie, by pozbyć się napływających łez, czyjeś ramię owinęło się wokół szyi żołnierza i poderwało go do góry, unosząc nad podłogę.

Nim Chin się zorientował, tchawicę miał prawie zgniecioną. Próbował się obrócić i wydostać z dławiącego uścisku, ale ramię uporczywie obejmowało jego szyję jak boa dusiciel. Ciało China zaczęło podrygiwać niczym marionetka wprawiona w ruch przez szalonego lalkarza. Usiłował wyprowadzić cios łokciem, ale

uderzenie było zbyt słabe i duszący go człowiek ledwie sapnął. Ramię zwiększyło jeszcze uścisk, całkowicie pozbawiając swoją ofiarę powietrza. Język China wysunął się ust, kalecząc się o zęby. Jasna krew zaróżowiła spienioną ślinę. Jeszcze jedno szarpnięcie i kręgosłup szyjny pękł z przyprawiającym o mdłości trzaskiem.

Jill patrzyła, jak ciało jej oprawcy upada. Gdy zważyło się na podłogę, wzrok kobiety prześlizgnął się po nogach widocznych za zwłokami napastnika. Gdy zobaczyła w końcu twarz człowieka, który uratował jej życie, powitały ją leniwy uśmiech i para najbardziej uroczych szarych oczu, jakie kiedykolwiek widziała.

– Jeśli to mój jedyny konkurent do twojego serca, to załóżę się, że masz jutro wolny wieczór i możemy umówić się na kolację. – Mercer uśmiechnął się szeroko, po czym pochylił się i przyjrzał ciemniejszemu sińcowi na policzku Jill; był ogromny i zapewne nieprędko zejdzie, nie stanowił jednak żadnego zagrożenia. Nie martwił się stanem fizycznym kobiety, gdyż jej oczy zaczynały się rozjaśniać. Były oszałamiające, głębokie i czarne, a ich spojrzenie tak ufne, że Mercer patrzył w nie o wiele dłużej, niż wymagała tego sytuacja. Emocje, które tłumiła w sobie przez pięć dni, wzięły teraz górę i Jill wtuliła głowę w jego ramiona, płacząc.

– Już w porządku, Jill – mruknął uspokajająco, głaszcząc jej gęste, czarne włosy. – Już jesteś bezpieczna.

– Skąd wiesz, jak się nazywam? – zapytała potulnie. Policzki miała mokre od łez.

– Jesteś mimowolną ofiarą czegoś o wiele większego. Dlatego tu wpadłem.

– Wiesz o Takahiro Ohnishim i jego przewrocie? – zapytała natarczywie. Jej odporność na stres zadziwiła Mercera.

– Wiem wszystko. – Zdjął z szyi jej ręce. – Jill, muszę cię tu na chwilę zostawić, ale mam pewność, że nikt nie będzie cię już niepokoił. – Pokazał ręką ciało Koreańczyka. – Miał prawdopodobnie cię zabić, wszyscy więc myślą, że nie żyjesz. Gdy Kenji zostanie wyeliminowany, wrócę po ciebie i razem się stąd wymkniemy. Jakies trzy kilometry stąd czeka helikopter.

– Rozumiem – powiedziała cicho. – Jak się nazywasz?

– Większość dam mówi na mnie „wybawiciel”, ty jednak możesz mówić Mercer. – Uśmiechnął się i w podziękowaniu został obdarzony uśmiechem Jill.

Jeden z komandosów SEAL usunął z pomieszczenia ciało China. Mercer zamknął drzwi, ale nie przekręcił klucza w zamku. Potem spojrzał na ciało.

– To Koreańczyk – wykrzyknął, przypatrując się twarzy trupa. – Ciekawe, co to za skurwiel.

Komandosi popatrzyli na zwłoki bez emocji, nie odzywając się ani słowem.

W drodze do domu Kenjiego Mercer i jego oddział zdjęli ośmiu azjatyckich strażników. Niektórzy ubrani byli tak jak leżąca u jego stóp postać, inni mieli na sobie cywilne ubrania. W dżungli nie tracili czasu na przyglądanie się swoim ofiarom, zakładając, że to członkowie osobistej ochrony Kenjiego. Odkrycie, że ci ludzie byli Koreańczykami, zmieniało nieco obraz sytuacji.

– Nie wiem, co to za goście, ale to raczej nie są nasi sprzymierzeńcy. A to oznacza, że mamy do czynienia z ochroną Kenjiego

oraz z tymi Koreańczykami. – Mercer mówił raczej do siebie niż do żołnierzy. – Raczej nie wiedzą, że się zbliżamy, więc element zaskoczenia jest po naszej stronie. Tylko jak skuteczny się okaże wobec nieznaney liczby przeciwników?

Podprowadził ich bliżej domu Kenjiego, wykorzystując każdą naturalną osłonę, jaką udało im się znaleźć, aż przycupnęli bezpiecznie za domkiem dla gości. Niedaleko nich, przygaszonym światłem podwodnych reflektorów lśnił błękit basenu. Dwadzieścia metrów za nim wznosiła się siedziba współpracownika starego Japończyka. Za pomocą noktowizora, który dostał od jednego z żołnierzy, Mercer przeczesał tyły rozłożystego, piętrowego domu. Światło paliło się tylko w kilku oknach, ale noktowizor przenikał też do wnętrza zaciemnionych pomieszczeń. Różne odcienie zieleni ujawniały obecność co najmniej piętnastu uzbrojonych ludzi, którzy powoli przechadzali się po domu, sprawdzając pokoje.

Po mniej więcej pięciu minutach obserwacji wydał komandosom rozkazy. Posłuchali bez zbędnych pytań, rozptywając się w mroku nocy.

Czekanie, aż żołnierze SEAL zajmą pozycje, było katorgą. Obawy związane z porażką próbowały osłabić determinację Mercera, ale bezlitośnie je w sobie zdusił. Zbyt daleko zaszedłem, by się bać, powtarzał sobie. Jednak gdy psychicznie przygotowywał się do ataku, jego myśli odpłynęły w kierunku Jill Tzu. Zaśmiał się z siebie samego. To był chyba najgorszy moment, by myśleć o seksie. Gdy pierwsze odgłosy serii z pistoletu automatycznego rozdarły ciszę nocy, pokręcił głową i ruszył.

Zgodnie z rozkazem oddział komandosów zakradł się od frontu budynku i otworzył ogień, żłobiąc fasadę domu ciągłymi seriami. Mercer przebiegł długimi susami otwartą przestrzeń trawnika na tyłach, modląc się, by instynkt kazał zgromadzonym w środku ludziom skierować się w stronę strażów, dzięki czemu pozostanie niezauważony. Za każdym razem gdy jego ciężkie buty zachrząściły na rozbitym szkle, przykucał szybko w oczekiwaniu na śmiertelny strzał jakiegoś ukrytego na piętrze strażnika.

Ostatnie dwadzieścia metrów pokonał w rekordowym czasie, następnie wskoczył na młodą palmę i wspinał się po niej jak małpa. Dłonie i stopy pracowały w idealnej harmonii, więc szybko się znalazł na szczycie drzewa, które ugięło się pod jego ciężarem i Mercer bez przeszkód zeskoczył na niepilnowany balkon na piętrze. Wymiana ognia z przodu budynku przybrała na sile, gdy strażnicy zaczęli coraz częściej odpowiadać na strzały Amerykanów.

Mercer kopniakiem otworzył drzwi balkonowe i przekoziółkował przez pokój na wypadek, gdyby czaił się tam jakiś niewidoczny z zewnątrz strażnik. Na kolanach, z karabinem przyciśniętym mocno do ramienia. omiół wzrokiem pokój. Pusto.

Zdjął z oczu noktowizor i złapał parę uspokajających oddechów. Nawet grube ściany budynku nie mogły stłumić odgłosów kanonady. Właśnie obrócił się, żeby podejść do drzwi, gdy zauważył cień przecinający ściełacą się pod nimi srebrną poświatę. Delikatnie dotknął wypolerowanej gałki i poczuł, że

się obraca. Gdy języczek zamka cofnął się całkowicie, szarpnął gwałtownie drzwi i poderwał karabin. Strażnik był kompletnie zaskoczony. Mercer wciągnął go do środka pokoju i uderzył lufą MP-5 w brzuch. Gdy poczuł, że mężczyzna zaczyna popychać go do tyłu, pociągnął za spust. Dziewięciomilimetrowe pociski przebiły żołnierza, wrywając mu z ciała stożkowaty fragment tkanki, która krwawą plamą rozmasała się na ścianie.

Mercer oderwał zakrwawioną lufę od upadającego ciała i wydostał się na szeroki korytarz. Z położonego dalej pokoju wyszedł ubrany w mundur Koreańczyk i Mercer bez celowania wygarnął w jego stronę serię, trafiając wysoko w plecy. Szybki rzut oka pozwalał stwierdzić, że jeden z pocisków był śmiertelny, podczas gdy pozostałe obróciły w drzazgi bogate zdobienie framugi drzwi.

Szybko przeszukał resztę piętra. Pozostałe pokoje w obu skrzydłach rezydencji były opuszczone. Piętro niżej karabiny maszynowe i granaty obracały w pył kamienną obróbkę wnętrza i targały ścianami starego budynku. Mercer przystanął u szczytu schodów. Ostry zapach prochowego dymu uderzył go w nozdrza.

Nagle jego ciało przyszyło ostrze strachu. Odgłosy bitwy, która rozpętała się na dole, wstrząsnęły nim do głębi; przerażające jęki konających wzbijały się wysoko pod sufit. To, co przeżył w Iraku i Waszyngtonie, miało się nijak do tej jatki. Wtedy wpadał w pułapkę i nie miał czasu na myślenie. W biurach Ocean Freight & Cargo w Nowym Jorku bardziej panował nad sytuacją. Jednak to piekło, w które teraz wdepnął, było czymś zupełnie innym. Bez niczyjego rozkazu chciał wziąć udział

w masakrze, i to go przerażało. Z ponurą miną zszedł po bogato zdobionych, mahoniowych schodach, trzymając palec na spuście MP-5. Minimalnie większy nacisk wyzwoliłby niepohamowany grad pocisków.

Na półpiętrze, w stercie szkieł z wysadzonych okien, leżały dwa ciała, jedno w mundurze, drugie, ubrane w czarny garnitur, należące do jednego z ludzi Kenjiego. W powietrzu zalegał słodkawy dym, który gryzł Mercera w oczy, gdy przyklęknął tuż nad początkiem schodów. Dookoła z gwizdem i brzęczeniem, jak wściekłe osy, przelatywały pociski. Atak żołnierzy Navy SEAL nie stracił nic z piekielnej siły. Gdzieś z pokoju obok dobiegło czyjeś pełne bólu wycie. Dzięki planom dostarczonym przez Dicka Henne wiedział, że jęki dochodziły z sali, w której odbywały się formalne przyjęcia.

Mercer nie zdawał sobie sprawy, że ktoś go zauważył, dopóki seria pocisków nie rozpruła poręczy tuż obok jego ramienia, obracając drewno w drzazgi jak piła łańcuchowa. Rzucił się w dół schodów, pochylając głowę i kuląc się w sobie. Gdy wylądował na marmurowej podłodze, kątem oka dostrzegł strzelca, którego niewyraźna postać majaczyła w wejściu do sali bankietowej. Mercer nacisnął spust, ale z lufy wystrzelił tylko jeden pocisk. Magazynek był pusty. Kula trafiła Koreańczyka w ramię, a siła uderzenia obróciła go niemal o sto osiemdziesiąt stopni, ale zostawiła przy życiu.

Żołnierz zaczął odwracać się do Mercera, ściskając w rękach uzi. Geolog poderwał się z podłogi i rzucił w przód, na turecki dywan, jednym płynnym ruchem wyciągając z kabury berettę.

Taki manewr zdeorientował tamtego, dając Mercerowi czas na przyjęcie pozycji i oddanie czterech lub pięciu strzałów.

Schował berettę do kabury i zmienił magazynek w karabinie. Skulony wbiegł do korytarzyka prowadzącego do sali bankietowej, zdejmując trzech strażników kryjących się pod strzaskanymi oknami.

Z planów domostwa wiedział, że pracownia Kenjiego znajdowała się po drugiej stronie holu, parę pokoi za salą.

Gdy przebiegał przez hol, zauważył go kolejny strażnik i seria z automatycznego pistoletu wyrwała głębokie dziury w marmurowej podłodze tuż za jego stopami. Mercer rzucił się w lewo, po czym zanurkował do jadalni, lądując na wielkim stole, który swobodnie mógł pomieścić dwadzieścia osób. Stół był wspaniale zastawiony, ale impet, z jakim ciało Mercera runęło, sprawił, że ręcznie malowane, przepiękne naczynia z chińskiej porcelany z głośnym trzaskiem zamieniły się na wypolerowanej podłodze w stertę skorup. Geolog przeleciał przez całą długość blatu i spadł po drugiej stronie, przewracając kilka krzesel.

Gdy znalazł się po drugiej stronie, przyklęknął i oparł o stół automat. Kawałki porcelany wbijały się przez spodnie głęboko w skórę kolan.

Nagle w holu rozległ się huk eksplozji, to komandosi wysadzili masywne drzwi wejściowe. Salę bankietową wypełniły kłęby dymu i przez drzwi, zataczając się, wpadł do środka Koreańczyk, który wcześniej strzelał do Mercera. Najwyraźniej w chwili eksplozji stał w pobliżu drzwi, gdyż całe jego ciało poprzeszzywane

było odpryskami drewna. Strzał, który oddał Mercer, zakończył cierpienia konającego.

Mercer kopniakiem otworzył drzwi do kuchni. Na podłodze było więcej krwi niż w rzeźni; szkarłat pokrywał rozmazanymi bryzgami ściany i wylewał się spod dwóch ciał rozciągniętych na podłodze pod rozwalonym oknem. Komandosi bez wątplenia znali się na rzeczy. Wrócił do sali bankietowej i ostrożnie uchylił drugie drzwi. W pokoju obok unosił się duszący smród czarnego dymu. Długie, sięgające sufitu jęzory ognia wznosiły się nad zniszczonego telewizora, stojącego kilka metrów od wielkiej skórzanej kanapy.

Jeden z ochroniarzy Kenjiego próbował unieść broń, nie pozwalała mu jednak na to okropna, krwawa rana lewego ramienia. Mercer beznamyślnie wystrzelił wprost w ziejące nienawiścią oczy Koreańczyka. Drugi strażnik, ubrany w mundur żołnierza, już nie żył.

Mercer kilka razy głęboko odetchnął i zmienił magazynek. Zerknął na zegarek i ze zdumieniem stwierdził, że od chwili, gdy wchodził na palmę, minęło dopiero sześć minut. Buzująca w jego żyłach adrenalina sprawiła, że każda minuta zdawała się trwać godzinę, chociaż każda chwila zapadała mu w pamięć jak pojedyncze klatki filmu.

Odgłosy walk na zewnątrz zaczęły cichnąć. Bitwa dobiegała końca. Jedna z grup odniosła zwycięstwo, a to znaczyło, że z drugiej nie został przy życiu już nikt.

Za salonem, przez całą długość północnego skrzydła domu biegła galeria, której jedną ścianę zajmowały okna. Szyby w wielu

z nich zostały rozbite przez amerykańskich komandosów, więc powietrze w pomieszczeniu było czyste i wolne od dymu. Na wprost okien znajdowały się duże, przeszklone drzwi, otwierające się na inne pokoje: wypełnioną książkami bibliotekę, salę bilardową, małą salkę kinową, która kiedyś, gdy dom budowano na początku XX wieku, zapewne była pokojem muzycznym. Ostatnie drzwi galerii prowadziły do pracowni Kenjiego.

Do każdych drzwi Mercer zakradał się jak duch, szybko sprawdzając po kolei pomieszczenia. Drzwi tuż przed pracownią były otwarte i gdy się zbliżył, z nieprawdopodobną siłą wystrzeliła z nich czyjaś noga. Wykop wytrącił Mercerowi karabin z rąk, zdzierając z palca wskazującego trochę skóry. Nim zdołał zareagować, otrzymał uderzenie pięścią tuż poniżej serca i całe zgromadzone w płucach powietrze uszło z niego w jednym świszczącym wydechu.

Potykając się, odskoczył kilka kroków. Kenji wyszedł na korytarz. Bosy, ubrany w czarne kimono. Ciemne oczy pały czystą nienawiścią.

– Nie wiem, kim jesteś, ale z wielką przyjemnością zabiję cię za to wszystko, co zrobiłeś. – Jego głos wydobywał się gdzieś z głębi ciała, z otchłani, w której żyje dusza normalnego człowieka. Tyle, że Kenji nie miał duszy.

Mercer wyciągnął pistolet, ale Kenji ruszył do przodu, w mgnieniu oka pokonując dzielącą ich odległość. Jego stopa śmignęła w powietrzu z prędkością atakującej żmii i beretta wirując wypadła Mercerowi z dłoni, która nagle straciła czucie. Chociaż Kenji był niemal dwadzieścia lat od niego starszy,

Mercer nie liczył na pokonanie go. Nawet gdyby w poprzednim tygodniu tak mocno nie oberwał, tamten i tak mógłby rozerwać go na strzępy bez żadnego wysiłku.

– Jesteś kolejnym chłopcem na posyłki Kerikowa? – zapytał łagodnym głosem karateka, jednocześnie wyprowadzając miazdzący wykop twardą jak skała stopą prosto w żebra Mercera.

Siła uderzenia rzuciła go o ścianę. Musiał rozłożyć ręce i zaprzeć się nimi o chropawą sztukaterię, żeby zachować równowagę. Czuł się tak, jakby ktoś uderzył go w klatkę piersiową kijem baseballowym.

– O czym ty mówisz? – powiedział, próbując nabrać powietrza.

W odpowiedzi dostał cios pięścią w brzuch. Skulił się niemal do kolan Kenjiego, z których jedno wystrzeliło w górę, trafiając go prosto w twarz. Gdy padał na pokrytą kamiennymi płytami podłogę, Kenji odskoczył.

– Czy to Kerikow przysłał cię z tymi zabójcami do domu Ohnishiego?

Mercer poczuł odruch wymiotny i zabarwiona krwią zawartość żołądka wytrysnęła mu z ust i nosa. Pytania Kenjiego zbiły go z tropu tak samo mocno, jak brutalne ciosy karate. Oszołomiony, nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

– Nie jestem z twoimi rosyjskimi sojusznikami.

Kenji kopnął go jeszcze raz, ale Mercer zdołał zablokować wykop ramieniem. Kenji stracił na sekundę równowagę, co pozwoliło Mercerowi poderwać się na nogi.

– Gdzie się podzieli twoi rusczy sponsorzy, co? – zapytał przez zaciśnięte zęby, gdy Kenji zaczął krążyć wokół niego.

– Są tak samo martwi jak Ohnishi – odparł z szyderczym śmiechem były asystent starego Japończyka i gwałtownie zaatakował, trafiając Mercera jedną pięścią w głowę, drugą naruszając kolejne dwa zębra.

Pomimo bólu geolog zdołał wyprowadzić cios, ale jego pięść po prostu odbiła się od umięśnionej szyi Kenjiego.

– Rosjanie, tak jak Ohnishi, byli tylko pionkami, które po wykorzystaniu usunąłem osobiście i z pomocą prawdziwych sprzymierzeńców.

– Koreańczyków? – sapnął Mercer, zaczynając układać sobie w głowie poszczególne elementy łamigłówek.

– Od miesiący wspierają mnie w wysiłkach zmierzających do załatwienia Kerikowa i Ohnishiego. – Kenji nawet nie oddychał zbyt ciężko, podczas gdy Mercerowi brakowało powietrza. – Byliśmy iskrą, która zapoczątkowała żalosny przewrót, obmyślony przez Kerikowa i Ohnishiego. To odwróciło uwagę Amerykanów od wulkanu i jego bogactw mineralnych. Dla Kerikowa przewrót stał się środkiem do osiągnięcia celu; dla Ohnishiego oznaczał spełnienie marzenia całego życia. Dla nas był zwykłą dywersją.

– Przejęliście plan Kerikowa wraz z samym pomysłem i ludźmi. A więc to ty uratowałeś Tish Talbot, gdy „Ocean Seeker” miał pójść na dno? – Mercer próbował zagadywać Kenjiego, łudząc się, że któryś z komandosów SEAL ciągle żyje i przyjdzie mu na ratunek.

– Tak zdecydował Kerikow, żeby uspokoić Walerego Borodina. Ale nie potrzebowałem jej do realizacji mojego planu, więc moi sojusznicy wynajęli zamachowców, żeby zlikwidowali ją w Waszyngtonie.

Nie do końca. Mercer zdobył się na cierpki uśmiech. – Tish żyje i ma się całkiem nieźle.

– Żyje?

– Tak.

– Nieważne, każę ją wyeliminować później.

– Akurat, palancie. – Mercer czuł, jak nienawiść dodaje mu brawurowej odwagi.

Rzucił się na Kenjiego, uderzając ramieniem w jego pierś. Runęli do tyłu, waląc z hukiem o ścianę tak mocno, że odpadły kawałki tynku. Mercer otrząsnął się o mgnienie oka szybciej niż Kenji i zadał mu trzy potężne ciosy w korpus. Karateka przy każdym uderzeniu wydawał cichy jęk, ale ciągle miał wystarczająco dużo siły, by podnieść Mercera i rzucić nim o podłogę. Geolog podniósł się tak szybko, jak tylko mógł, ale popękane żebra nie pozwalały mu się wyprostować.

– Myślałem, że największą przyjemność sprawi mi zabicie Ohnishiego, teraz jednak myślę, że twoja śmierć będzie dla mnie jeszcze większą frajdą – powiedział Kenji złowieszczo, zbliżając się do geologa.

Cios nogą, jaki wyprowadził, zawierał w sobie każdy gram siły jego ciała. Było to mordercze uderzenie. Mercer, nie zważając na ból, który eksplodował w jego klatce piersiowej, wygiął się

do tyłu w chwili, gdy zauważył ruch nogi przeciwnika. Gdy się prostował, ręką sięgnął po nóż zawieszony u pasa uprząży.

Stalowa głowica rękojeści noża uderzyła z całą siłą, jaką jeszcze miał Mercer, roztrzaskując delikatne kości, jakby były ze szkła, i powstrzymując atak Kenjiego. W ostatniej, rozpaczliwej próbie obrony Mercer zamachnął się nożem w górę. Hartowana stal rozcięła mięśnie brzucha Kenjiego, przebiła przeponę i utknęła w lewym płucu.

Kenji zatoczył się do tyłu, wyrrywając nóż z dłoni Mercera. Dzikim i pełnym przerażenia wzrokiem wpatrywał się w wystające z piersi ostrze.

– Ty... – zacharczał, pryskając kropelkami krwi.

Po ataku Mercer upadł na podłogę. Nie mógł wstać, więc gdy Kenji wyciągnął z ciała nóż i skierował w jego stronę zakrwawione ostrze, był bezbronny. Okrucieństwo Kenjiego szukało ujścia tak samo jak krew, wraz z którą opuszczało go życie. Ciągłe jednak miał wystarczająco dużo czasu, by zabić swoją ostatnią ofiarę. Mercer leżał bez ruchu, z rękami wzdłuż ciała i lekko rozchylonymi nogami. Nie mógł uniknąć ostrza błyskawicznie zbliżającego się do piersi.

Energia kinetyczna pierwszego pocisku zatrzymała pochylającego się Kenjiego i niemal ustawiła go w pionie. Drugi strzał wyrwał mu w piersi kolejną dziurę, rozrywając serce i uszkodzone płuco. Ostatni rozsadził tył czaszki.

Mercer odwrócił się akurat wtedy, gdy zakrwawiony żołnierz SEAL padał na podłogę. Całą minutę zajęło mu dojscie do siebie i podniesienie się, by sprawdzić, w jakim stanie jest ranny

komandos. Gdy odwrócił go na plecy, zadrżał. Żołnierz, który uratował mu życie, nie był amerykańskim komandosem.

W skorupie zaschniętej krwi pojawiło się pęknięcie, przez które błysnęło jedyne oko, jakie zostało nieznanemu mężczyźnie.

– Spasiba.

Rosyjskie słowo wstrząsnęło na sekundę Mercerem, po chwili jednak wszystko zrozumiał.

– Kerikow...

– Nie. – Mężczyzna wykrztusił krwawą flegmę i wypluł ją na podłogę. – Nazywam się Evad Lurbud. Jestem majorem KGB, pracownikiem Departamentu 7. i współpracownikiem Iwana Kerikowa. Dziękuję, że pozwoliłeś mi zatłuc tę świnię.

– Gdzie jest Kerikow? – zapytał ostro Mercer.

– Według ostatnich informacji miał lecieć do Europy. A teraz? Kto wie? Jesteś żołnierzem amerykańskich sił specjalnych, tak?

– Jestem facetem, który spieprzył waszą operację.

Lurbud zaśmiał się boleśnie.

– Wątpię. Nikt nie potrafiłby popsuć nam szyków. Byliśmy przygotowani na każdą sytuację.

– Założę się, że twoi ludzie w Nowym Jorku mieliby inne zdanie.

– To byłeś ty?

Mercer uśmiechnął się skromnie.

– To nie było nic takiego. Ale faktycznie, doprowadziło do wielu interesujących tropów, jak na przykład istnienia zama-

skowanej łodzi podwodnej „John Dory”, sztucznie wywołanego wulkanu i dawno zmarłego naukowca, który świetnie wcielił się w postać Łazarza.

Mercer widział, że Lurbud jest szczerze zdumiony faktem posiadania przez niego tylu informacji.

– Popelniliście akurat tyle drobnych błędów, żebym mógł poskładać wszystkie elementy tej układanki. – Mercer zaczął wyliczać na palcach.

– Gdy Tish Talbot została wyciągnięta z wody, zobaczyła wzór namalowany na kominie statku i słyszała, jak załoga rozmawia po rosyjsku. Potem wykorzystaliście jednostkę należącą do Ocean Freight & Cargo, by oficjalnie ją uratować. To pozwoliło na szybkie ustalenie związku firmy ze statkiem „Grandam Phoenix”, którym rozpoczęliście całą tę operację. I nie dopilnowaliście też Walerego Borodina, bo udało mu się wysłać do mnie telegram, przez który wpłatałem się w tę historię. Myślę, że winą za ostateczną porażkę możecie obarczyć jego. Bez tego telegramu nikt nigdy by niczego nie podejrzewał. Szkoda, że wasi agenci tu, na Hawajach, zwrócili się przeciwko wam. Zanim człowiek dobierze sojuszników, powinien sprawdzić prawdziwe motywy ich działania. Ohnishi pragnął niezależnego państwa bardziej niż wulkanu, a Kenji musiał mieć powody, by sprowadzić tu Koreańczyków. – Mercer sięgnął po karabin i skierował lufę w pierś Lurbuda.

– Nie możesz mnie zabić.

– A to dlaczego? – rzucił lekko Mercer.

– Jeśli za półtorej godziny „John Dory” nie odbierze ode mnie komunikatu, odpali w kierunku wulkanu raketę z głowicą atomową.

Dopiero teraz Mercer zauważył czarną obudowę radia wystającego spod pleców Rosjanina. Wyszarpnął je za nylonowy pasek i wyciągnął na długość ręki. Następnie z kabury wyjął berettę i spokojnie wpakował w plastikową obudowę dwie kule. Z radia posypały się iskry i z otworów zaczął wydobywać się czarny dym.

Rzucił radio obok głowy Lurbuda.

– Handlujemy dalej?

– Jestem majorem KGB. Ktoś taki byłby bardzo cenny dla CIA.

– Wszyscy myślą, że jestem z CIA. To jakaś epidemia. Jesteś trzecią albo czwartą osobą, która tak uważa. Szkoda. – Mercer wycelował.

– Jestem geologiem – powiedział, naciskając spust beretty – a nie szpiegiem.

Zmęczonym krokiem ruszył wzdłuż ściany galerii do głównego wejścia domu. Wierzył Lurbudowi, że „John Dory” stanowi nuklearne zagrożenie. Jeśli Kenji i jego koreańscy sprzymierzeńcy w jakiś sposób wyprowadzili w pole Kerikowa, Mercer nie miał wątpliwości, że Rosjanin będzie chciał się zemścić. Zniszczenie wulkanu i bikiniem byłoby najlepsze. Mercer miał tylko półtorej godziny na działanie.

Właśnie przechodził obok ostatniego okna przed salonem, gdy przez resztki szyb wpadła do środka jakaś postać. Mercer odskoczył pod ścianę, unosząc lufę karabinu. Napastnik upadł na

podłogę, wykonał przewrót w przód i natychmiast przyklęknął, mierząc z pistoletu w jego głowę. Mercer spóźnił się o ułamek sekundy, atakujący miał go na muszce.

– Przepraszam, jeśli pana przestraszyłem, doktorze, ale z zewnątrz nie mogłem rozpoznać, że to pan – przeprosił dowódca oddziału komandosów SEAL i opuścił broń.

– Jezu... – Mercer odetchnął głęboko, próbując uspokoić walące jak młot serce. – O mało nie dostałem zawału.

Poszarpany uniform żołnierza był nie do rozpoznania. Rana na ramieniu obficie krwawiła, twarz pokrywały smugi błota i zakrzepłej krwi. Pomimo bólu, jaki musiał odczuwać, jego oczy nie wyrażały żadnych emocji.

– Jak wygląda sytuacja? – zapytał Mercer.

– Żaden strażnik nie został żywy, budynek zabezpieczony, ale straciłem wszystkich ludzi.

– Przykro mi – mruknął Mercer, wstając na nogi.

– Taka służba.

– Proszę wezwać śmigłowiec, niech wyląduje na tyłach domu. Będę miał dziś wieczorem jeszcze trochę roboty.

Gdy dowódca wywoływał pilota, Mercer przeszedł do sali bankietowej i kuchni. Nie zwracając uwagi na leżące na podłodze dwa ciała, przeszukał trzy wielkie lodówki, aż w końcu znalazł coś do picia. Chociaż hawajskie piwo nie należało do jego ulubionych, w rekordowym czasie wypił duszkiem dwie butelki. Minutę później był już na podwórku za domem i szedł brzegiem basenu.

Jill Tzu wyszła z pomieszczenia ogrodnika, gdy tylko zamilły strzały, i ukryła się w pobliżu domku dla gości. Kryjówkę opuściła dopiero na widok zbliżającego się Mercera. Za jego plecami, z kilku miejsc domu Kenjiego, buchały płomienie. Ognisty blask sprawiał, że jego sylwetka rysowała się ostro i surowo.

Gdzieś nad ich głowami rozległ się grzmot helikoptera. Oslepiający reflektor omiatał teren posiadłości, gdy Eddie poszukiwał dogodnego miejsca do lądowania.

Mercer wziął Jill w ramiona. Przytuliła się do niego mocno, nieświadoma, że jego popękane żebra trą o siebie z niemal słyszalnym chrzęstem.

– Już wszystko dobrze. Jesteś bezpieczna. Kenji nie żyje.

Wtuliła głowę w jego ramię, jakby była małym stworzonkiem, które kryje się w piasku przed niebezpieczeństwem.

– Jill, muszę cię tu na chwilę zostawić z jednym z moich ludzi.

Spojrzała na niego pięknymi, ale wystraszonymi oczami.

– Nie możesz mnie zabrać ze sobą?

– Nie. Jest jeszcze wiele spraw, które muszę zamknąć – powiedział i pocałował ją delikatnie. – To na znak, że wziąłbym cię ze sobą, gdybym mógł, i że wrócę.

Rozplótł obejmujące go ręce i skinął na żołnierza.

– Niech pan spróbuje nawiązać łączność z „Inchonem”. Może przez Pearl Harbor. Niech przysłą tu drugi oddział. Nie ufajcie żadnym miejscowym władzom. I pilnujcie jej.

Pobiegł do czekającego śmigłowca i wskoczył do luku bagażowego. Eddie natychmiast wystartował, przecinając powietrze nad mroczną dżunglą.

W kokpicie Mercer włożył hełm i natychmiast włączył mikrofon.

– Leć na północ tak szybko, jak tylko ten bydlak może.

Eddie wykonał zwrot i odwrócił się do Mercera. Jego twarz rozjaśniał szeroki uśmiech.

– Na trawniku całowałaś się z jakąś babeczką. Skąd, do cholery, w środku strzelaniny wytrzasnąłeś kobitkę?

– Trzeba wiedzieć, gdzie szukać. – Mercer zaśmiał się. Otworzył dwa piwa, które zabrał z kuchni, i dał jedno Eddiemu.

– Nie w trakcie lotu – zaprotestował Rice.

– Nie pracuję dla zarządu lotnictwa ani dla marynarki. Masz.

– Racja – odparł pilot i pociągnął długi łyk.

– Czy komandosi mieli na pokładzie jakiś sprzęt do nurkowania?

– Tak. Przejrzałem ich graty, tak jak prosisz. Są tu butle z tlenem, regulatory, maski i cały osprzęt.

– Dobrze. – Mercer wyciągnął z kieszeni spodni kawałek papieru i wręczył go Eddiemu.

– Co to?

– Współrzędne określające położenie rosyjskiej łodzi podwodnej, która lada moment rozpocznie wojnę atomową. – W pamięci, na podstawie zdjęć, które dostarczyła NSA, obliczył pozycję okrętu. – Wprowadź je. Tam właśnie lecimy.

– Nie ma sprawy. – Eddzie wstukał dane do komputera nawigacyjnego helikoptera. – Mamy dość paliwa, żeby dolecieć, ale na lot powrotny już nie wystarczy.

– Są spore szanse, że nie będzie żadnego lotu powrotnego.

– Skąd wiedziałem, że to powiesz? – mruknął Eddie.

Godzinę później helikopter leciał nisko nad falami oceanu. O szyby kabiny, jak odłamki granatu, rozbijały się krople deszczu. Przy takiej ulewie wycieraczki były zupełnie bezużyteczne. Co jakiś czas oślepiający zygzak błyskawicy rozświetlał niebo, wypełniając wnętrze kokpitu blaskiem i cieniami.

Mercer, ubrany w wojskowy strój do nurkowania, siedział cicho, zadowolony, że Eddie skupia się na swojej robocie. Zakładanie ciasnej pianki neoprenowej było dla niego prawdziwą torturą, teraz jednak uczucie ucisku wokół klatki piersiowej łagodziło ból popękanych żeber. Ręka geologa podświadomie gładziła lufę karabinu. W jego umyśle roiło się od pytań na temat Kenjiego, Koreańczyków, Kerikowa i Lurbuda, ale nie mógł sobie pozwolić na to, by go rozpraszały. Musiał się skupić na obecnej chwili. Rozwiązanie zagadek przeszłości musiało poczekać.

Razem z Eddiem robili wszystko, żeby zdążyć przed wystrzeleniem pocisku nuklearnego. Porażka oznaczała nie tylko ich śmierć, ale także utratę jednego z największych osiągnięć ludzkości. Korzyści płynące z bikiunium okazały się zbyt wielkie, by można było wypuścić taki skarb z rąk. Mercer osobiście nie pozwoliłby sobie na porażkę. Przez ostatnie tygodnie wycierpiał tyle, że musi doprowadzić tę misję do pomyślnego końca.

– Jaki mamy czas?

– Jeszcze jakieś dziesięć minut.

Mercer spojrział na fosforyzującą tarczę zegarka. Według tego, co mówił Lurbud, „John Dory” odpali raketę za pół godziny.

– Wyciskam z tego ptaszka dziesięć węzłów więcej, niż to dozwolone w tych warunkach.

– Wyciśnij dwadzieścia i stawiam ci drinka, na którego miałeś ochotę.

– Jezu, przydałby mi się teraz – jęknął Eddie, zwiększając obroty silników.

Helikopter trząsł się na wietrze i podskakiwał. Rice trzymał maszynę nisko nad wodą, chcąc uniknąć wykrycia przez radar okrętu. Zaokrąglony dziób śmigłowca niemal ocierał się o spienione szczyty fal.

– Bingo! – krzyknął Eddie minutę później. – Cel jest na wprost nas.

– Odległość?

– Niecała mila – powiedział, zerkając po raz kolejny na podświetlony na niebiesko ekran radaru.

– To na pewno „John Dory”. Zejdz niżej. Resztę drogi przepełnę. Gdy wyskoczę, zwiększ pułap, ale bądź gotów mnie podjąć, kiedy okręt wybuchnie. Podejdz od strony rufy i dopilnuj, żeby na pokład śmigłowca nie wszedł nikt inny oprócz mnie i człowieka, którego przyprowadzę.

– Tłumaczyłem ci, że nie mamy paliwa na powrót na Hawaje.

– To nieważne. Ktoś się w końcu zorientuje, że tu jesteśmy.

– Mercer nie chciał mówić Eddiemu, że jeśli dowódcy koman-

dosów nie udało się skontaktować z Pearl Harbor, prezydent za trzy godziny wyda rozkaz ataku atomowego na wulkan.

– Jesteś stuknięty, wiesz o tym?

– Właśnie dlatego nie chcą mi nigdzie dać ubezpieczenia na życie.

Silniki zmniejszyły obroty i łopaty wirnika zaczęły zmieniać wodę w słonawą mgiełkę, gdy Rice zniżył maszynę tak, że brzuchem niemal dotykała powierzchni oceanu. Mercer czekał w otwartych drzwiach śmigłowca, pocąc się w neoprenowej piance i uginając pod ciężarem dwóch ogromnych butli z powietrzem. Do ołowianego pasa przywiązał wodoodporny worek, zawierający trochę sprzętu należącego do komandosów. Ostry jak brzytwa nóż miał przypięty bezpiecznie do prawej łydki. Przez cały czas zakładania na siebie sprzętu męczył umysł przypomnianiem sobie wszystkiego, czego tyle lat temu o nurkowaniu nauczył go Spook w zalanej kopalni w stanie Nowy Jork.

Gdy tylko zaokrąglony brzuch śmigłowca dotknął wzburzonej kipieli, Mercer zacisnął zęby na ustniku, wciągnął w płuca chłodne powietrze i rzucił się w toń.

Woda była cieplejsza, niż się spodziewał. Z początku znalazł się pod powierzchnią, wkrótce jednak wyregulował wyporność, odczepiając jeden z ołowianych ciężarków. Obrął kurs według umieszczonego na nadgarstku kompasu i, pozostając pod wodą, zaczął płynąć w kierunku łodzi.

Wskakując do wody z pokładu śmigłowca, Mercer przyjął dwa potencjalnie fatalne założenia. Jedno takie, że statek, który

widzieli na radarze, to faktycznie „John Dory”. Istniało przecież prawdopodobieństwo, że jednostka na wprost niego to zupełnie inny statek, który po prostu przecinał ten rejon. Drugie dotyczyło kadłuba rosyjskiego okrętu. Jeśli między kadłubem łodzi podwodnej a fałszywymi burtami frachtowca nie było wolnej przestrzeni, nie uda mu się wejść do środka. Jeżeli pomylił się chociaż w jednym przypadku, umrze na długo przed eksplozją rosyjskiej głowicy.

Po kilku minutach poczuł wibracje spowodowane pracą potężnych silników dużego statku.

Po dodaniu powietrza do kompensatora pływalności Mercer wynurzył się na powierzchnię. W mroku chłostanej ulewnym deszczem nocy rozpoznał światła dużego frachtowca, który płynął jakieś dwieście metrów od niego.

Ześlizgnął się z powrotem pod wodę i wytrwale kontynuował podpływanie do statku. Zaczynał odczuwać ból w nogach, a oddech stawał się coraz cięższy.

Odgłos śrub napędowych statku wypełniał ciszę oceanu, ale frachtowiec ciągle skrywał się w mroku. Mercer nie chciał włączać latarki, obawiając się, że wachtowy na pokładzie mógłby go dostrzec. Wkrótce przekonał się, że było to bardzo ryzykowne.

Ostry jak nóż dziób statku wyłonił się z ciemności nie więcej jak trzy metry od niego i zbliżał się z prędkością ośmiu węzłów. Mercer ostro zanurkował, uczynił to jednak o ułamek sekundy za późno. Stalowe płyty zahaczyły o jego plecy, zdzierając z nich gumę neoprenowej pianki. Gruba warstwa skorupiaków poharała mu skórę jak tysiące maleńkich skalpeli.

Krzyknął w ustnik, gdy ból przeszył mu ciało i wiązkami nerwów dotarł do mózgu, niemal rozrywając czaszkę. Szara mgła zaczęła ogarniać mu umysł, ogromnym wysiłkiem woli zdołał jednak ją rozwiać. Nie mógł pozwolić, by w takiej chwili ból mu przeszkodził. Miał tylko kilka sekund, by znaleźć jakiś wystający element, którego mógłby się chwycić, nim statek go minie. Gdyby tak się stało, nie miałby szans go dogonić.

Gdy skierował w górę snop światła, natychmiast rozpoznał gładki kadłub łodzi podwodnej. Wiedział przynajmniej, że to właściwy statek. Poświecił reflektorem w prawo i dostrzegł wolną przestrzeń między burtą frachtowca a kadłubem łodzi. Bez chwili wahania wpłynął w tę lukę.

Gdy wynurzył głowę nad powierzchnię wody, wypluł ustnik i z rozkoszą zachłysnął się ciepłym, wilgotnym powietrzem, uwięzionym pomiędzy stalowymi płytami a łodzią. Woda w szerokiej na ponad metr szczelinie wyglądała jak jeden wielki wzburzony wir, który unosił Mercera wraz z płynącym frachtowcem.

Nie miał zbyt wiele czasu, więc nie tracił go na spoglądanie na zegarek. Był pewien, że okręt przygotowuje się do zajęcia pozycji odpowiedniej do wystrzelenia pocisku. Natychmiast wziął się do pracy. Magnetyczne miny dywersyjne, zabrane z helikoptera, z cichym trzaskiem przyłgnęły do kadłuba. Nastawił wszystkie liczniki czasu, które automatycznie się uaktywniły, gdy tylko miny zetknęły się z kadłubem.

Gdy ładunki zostały rozłokowane, Mercer zaczął się wspinać po płataninie kratownic, podtrzymujących burty maskujące łódź podwodną. Uszkodzone żebra i zwisający mu z pleców sprzęt do

nurkowania czyniły tę wspinaczkę bardzo wyczerpującą. Marzył o tym, by pozbyć się ciężkich butli i całej reszty, ale jeśli chciał uciec z Walerym Borodinem, potrzebował ich. Na szczycie kratownicy spojrzął na zegarek. Cztery minuty do odpalenia rakiety.

Cholera.

Ostre stalowe wsporniki wbijały się mocno w jego dłonie. Krew wyciekała z ran i kapiała na pokład w miejscu, gdzie stanął, tuż przed kioskiem łodzi podwodnej. Pusta nadbudówka frachtowca wznosiła się dziewięć metrów nad jego głową. W jej wnętrzu, jak w jaskini, głośnym echem rozchodził się szum ocierającej się o kadłub wody i głuchy odgłos pracujących śrub. W całkowitej niemal ciemności czuć było tylko zapach ropy naftowej i morskiej wody. Najciszej jak mógł, Mercer ułożył w rogu sprzęt do nurkowania i płetwy.

Dwie minuty.

Podpełzł do drabinki okrągłego kiosku. Gdy zbliżył się do jej szczytu, usłyszał stłumione głosy. Ktoś bez wątpienia rozmawiał po rosyjsku.

Wystawił głowę nad kiosk i uśmiechnął się przyjaźnie do dwóch zdumionych marynarzy, stojących w otwartym włazie.

– Zabierzcie mnie do dowódcy – powiedział z uśmiechem. Wyczerpanie i adrenalina, która zastępowała mu prawdziwą odwagę, sprawiały, że zaczęło kręcić mu się w głowie.

Marynarze w rekordowym czasie wyciągnęli pistolety i wycelowali je w głowę intruza. Jeden z nich krzyknął coś na dół, do wnętrza łodzi. Chociaż Mercer nie znał rosyjskiego, mógł zakładać, że wachtowy właśnie zawiadomił kapitana o schwyta-

niu szpiega. Poganiany szybkimi ruchami luf pistoletów, Mercer zszedł przez kiosk do środka rosyjskiej łodzi podwodnej.

Uważnie rozejrzał się po sterowni. Widząc otwarte ze zdumienia usta i brak jakiegokolwiek ruchu, prawidłowo założył, że wystrzelenie pocisku zostało chwilowo wstrzymane.

– Cześć, nazywam się Barney Cull. – Mercer wyciągnął rękę, ale nikt nawet nie drgnął, by ją uścisnąć. – Przyszedłem z ofertą złomowania starych wraków i chciałbym zapytać, czy zechcą panowie skorzystać z moich usług.

Kapitan Zwieńkow wystąpił na środek, nie kryjąc grymasu niezadowolenia.

– Kim pan jest? – Jego angielski był bardzo nieczysty, ale zrozumiwały.

– Tak naprawdę nazywam się Sam O. Var i jestem przedstawicielem miejscowej restauracji. Co panowie powiecie na bliny?

Zwieńkow mruknął coś, co w każdym języku brzmiałoby mniej więcej tak: „Zabrać go stąd i zamknąć”.

Mercer został wypchnięty ze sterowni przez dwóch uzbrojonych marynarzy.

– Nie myślcie sobie, że polityka silnej ręki skłoni mnie do obniżenia cen! – rzucił jeszcze przez ramię.

Pewnie ciągnąłby dalej te wygłupy, gdyby nie silny cios pistoletem w nerkę, po którym powietrze utknęło mu w tchawicy. Poprowadzono go przez całą łódź w kierunku rufy, na szczęście z dala od podłożonych ładunków.

Kazano mu zdjąć piankę i po dokładnym przeszukaniu jeden ze strażników otworzył właz i wepchnął go do małej kajuty. Właz zamknięto, ale nie zatrzaśnięto zamka.

W skromnie wyposażonym pomieszczeniu, na jednej z koi siedział kilka lat młodszy od niego mężczyzna. Był przystojny, urodą przypominał chłopaków z wybrzeża: rozwiane na wietrze włosy, luźne ubranie. Mercer doszedł do wniosku, że ma przed sobą Walerego Borodina. Mężczyzna powiedział coś po rosyjsku.

– Przykro mi, nie znam tego języka.

Na dźwięk wypowiedzianych po angielsku słów, krew odpłynęła z twarzy Walerego.

– Powiedziałem, że nie jesteś członkiem załogi. Więc kim jesteś?

– Nazywam się Philip Mercer. Jestem facetem, do którego wysłałeś telegram.

– Kim? – Czy Borodina zamieniły się w dwie wąskie szparki. Wyglądał na zdezorientowanego.

– Philip Mercer. Wysłałeś mi do Waszyngtonu telegram, w którym ostrzegałeś mnie przed niebezpieczeństwem grożącym Tish Talbot.

– Tish cię przysłała? – Walery wstał, a w jego głosie zabraśniała radość.

– Nie, ty mnie przysłałeś. – Mercer sam zaczynał czuć się skonsternowany.

– Nie wiem. kim jesteś, ale znasz Tish?

– Nie wysłałeś do mnie telegramu w imieniu ojca Tish?

– Nie.

– Zaraz po ty m, jak zatonął „Ocean Seeker”, a ją uratowano?

– Nie.

– Skoro nie ty, to kto, do cholery, to zrobił? – Mercer nie krył zdumienia. – Tak czy inaczej, jestem tu, by pomóc ci się wydostać z tej pływającej konserwy.

– Tish prosiła, żebyś tu przybył?

– Niezupenie, ale jest bezpieczna i czeka na ciebie w Waszyngtonie.

– Nie mamy szans na ucieczkę. Znajdujemy się kilkaset mil od Hawajów.

– Posłuchaj, za trzydzieści sekund w tej łodzi będzie więcej dziur niż w szwajcarskim serze. Czeka na nas helikopter, więc nie musisz się obawiać. Gdzie jest twój ojciec?

– Zmarł dwa dni temu na atak serca.

– Spowodował tyle cierpień, że nie oczekuj ode mnie kondolencji.

Mercer spojrział na zegarek i uniósł prawą rękę, rozprostowując palce.

Z każdą upływającą sekundą zginał jeden. Przy dwóch ostatnich łodzią wstrząsnęło kilka eksplozji. Natychmiast rozległo się wycie syren alarmowych. Przydymione światła zamrugały raz i drugi, po czym zgasły. Gdy włączyły się systemy zasilania awaryjnego, zaświeciła jedna błada żarówka. Wśród zawodzenia alarmu i krzyków marynarzy Mercer słyszał szum wody wdzierającej się do wnętrza łodzi, co oznaczało rychłą zagładę. Wsunął rękę w spodnie, ignorując zdumione spojrzenie Walerego.

Bardzo rzadko przeszukujący sprawdzają niewielki obszar ciała w okolicy krocza. Gdy palce Mercera chwyciły staroświeckiego derringera, ukrytego w ochraniaczu na genitalia, wdzięczny był losowi, że homofobia dotyka też Rosjan. Pistolet, z powodu małych rozmiarów ulubiona broń XIX-wiecznych hazardzistów, dostał w prezencie od dziadka i do tej pory spoczywał bezpiecznie w szufladzie biurka.

Wyciągnął małe pistolet ze spodni, ostrożnie usuwając z zamka kilka zaplątanych włosów. Chociaż derringer miał zaledwie kaliber 22, załadował go nabojami, które wcześniej wydrążono i napełniono rtęcią. Strzelanie do celu oddalonego więcej niż trzy metry nie miało sensu, ale pocisk wystrzelony z bliższej odległości nie dawał ofierze najmniejszych szans.

– Idziesz?

Łódź zaczęła wyraźnie przechylać się na dziób.

– Tak – szybko odpowiedział Walery, chwytając tanią aktówkę leżącą na koi.

Wyszli na główny korytarz łodzi. Walery przyciskał do piersi aktówkę jak matka tuląca swoje dziecko. Spanikowani marynarze i oficerowie biegli w dół korytarza, nie zwracając uwagi na nikogo i na nic z wyjątkiem własnego bezpieczeństwa. Mercer i Walery wtopili się w tłum biegnących do najbliższego włazu.

Gdy wpadli do sterowni, Mercer zobaczył kapitana Zwienkova i oficera pochylających się nad konsolą. Ciągłe chcieli odpalić raketę z głowicą atomową. Instykt kazał kapitanowi odwrócić się i spojrzeć prosto w oczy swojego kata.

Niezbyt głośny huk strzału z derringera zginął wśród odgłosów milknących diesli i hałasu, jaki czyniła uciekająca załoga, kula jednak przeszła gładko głowę Zwieńkowa. Czapka kapitana pofrunęła w górę, uniesiona fragmentem wyrwanej tylnej części czaszki. Zbryzgany krwią kapitana oficer obrócił się na fotelu, lecz nim zdążył wykonać jakikolwiek ruch, szyję przebił mu pocisk, który rozerwał tętnicę i jedną z żył. Fontanna krwi zalała konsolę sterowniczą.

Jeden z członków załogi złapał Mercera od tyłu. Geolog odwrócił się błyskawicznie, uderzając go łokciem w szczękę. Z ust tamtego trysnęła krew i kawałki połamanych zębów. Drugi napastnik, tym razem w kombinezonie mechanika pokładowego, ruszył do ataku z przeciwnej strony. Mercer wypalił bez celowania, trafiając prosto w serce.

W małym czterostrzałowcu została tylko jedna kula, a Mercer nie miał zapasowych nabojów.

– Chodź, Walery! – krzyknął i zaczął przepychać się z Borodinem do włazu, łokciami i kopniakami torując sobie drogę do drabinki.

Na pokładzie przechył łodzi był o wiele bardziej widoczny i wynosił co najmniej dwadzieścia stopni. Mercer przypuszczał, że okręt w każdej chwili obróci się do góry stępką. Nikt z marynarzy zajętych zrzucaniem na wodę niewystarczającej liczby tratw ratunkowych nie zauważył, że Mercer i Walery poszli do miejsca, gdzie ukrył swój sprzęt do nurkowania. Targane sztorowym wiatrem morze rozbrzmiewało monotonnym jękiem syren.

– Jest tylko jeden zestaw butli – zauważył Walery.

– Zanurkujemy na jednym. Będziemy wymieniać się ustnikiem – powiedział Mercer, zakładając na ramiona ciężkie zbiorniki.

– Ale ja nigdy nie nurkowałem.

– Nie szkodzi. Ja będę nurkował drugi raz w życiu, więc jesteśmy niemal jednakowo doświadczeni.

Wepchnął Walerego w lukę między łodzią a zewnętrznymi płytami i wskoczył za nim gubiąc w zderzeniu z wodą maskę. Gdy znalazł się obok Borodina, wsunął jego rękę za paski butli z tlenem, żeby w zamieszaniu się nie rozdzielili. Gdzieś w głębi kadłuba rozległ się niski pomruk eksplozji i przestrzeń, w której się znajdowali, wypełnił cuchnący dym z płonącej ropy. Mercer przez chwilę bał się, że w zetknięciu z zimną wodą dojdzie do eksplozji stosu atomowego.

– Kilkaset metrów za rufą będzie na nas czekać śmigłowiec. Jeśli zostaniemy pod wodą, nikt nas nie zauważy.

Nagle kilka centymetrów od głowy Mercera gwizdnęła kula, wzbijając w wodzie małą fontannę. Geolog wystrzelił z derringera ostatni pocisk w zalegającą nad głową ciemność, złapał ramię Walerego i dał nura pod wodę. Machając mocno płetwami, schodził ostro w dół. Próbował oddychać najwolniej, jak to możliwe. Jakies cztery metry pod powierzchnią poczuł, że Walery wyjmuje mu regulator z ust. Rosjanin odetchnął kilka razy, po czym oddał ustnik. „John Dory” był śmiertelnie ranny, ale jego silniki ciągle pracowały i pchały okręt z prędkością ośmiu węzłów. Mercer i Borodin, zawieszeni pod powierzchnią wody,

patrzyli, jak nad ich głowami przesuwa się osiemdziesięciopięciometrowy kadłub statku. Eksplozje, które rozrywały jego wnętrze, bolesnymi falami atakowały uszy, ale teraz nie myśleli o skutkach tego dla zdrowia. Zaczęli płynąć, by jak najbardziej oddalić się od skazanego na zagładę okrętu, przeszkadzały im jednak kotłujące się fale i potrzeba ciągłego wymieniania się ustnikiem.

Po pięciu minutach Mercer postanowił się wynurzyć. „John Dory” znajdował się kilkaset metrów dalej i tonął. Dziób łodzi zanurzony był w wodzie, a śruby, wystające nieco ponad powierzchnię oceanu, rozbijały wodę w biały pył. Spuszczono tylko dwie tratwy ratunkowe i załoga, zajęta wydobywaniem rozbitków, nie zwróciła uwagi na ogromny śmigłowiec, który przeleciał nad ich głowami.

Eddie Rice posadził maszynę na wodzie i zostawił silniki na wolnych obrotach. Mercer widział, jak pilot przepycha się do drzwi luku ładowni, otwiera wielką beczkę z olejem i wylewa jej zawartość na wodę. Wzburzone morze uspokoiło się natychmiast pod ciężarem tłustego płynu.

Mercer i Walery płynęli w kierunku śmigłowca. Ich głowy chłostały mokre podmuchy burzy. Obaj mężczyźni co jakiś czas zwracali słoną wodę, która wlewała im się do ust. Znajdowali się tylko dwadzieścia metrów od śmigłowca, gdy jedna z łodzi ratunkowych zaczęła płynąć w ich kierunku, pchana silnikiem spalinowym.

– Eddie! – Mercer krzyknął w noc. – Przygotuj się do startu!

Pilot musiał go usłyszeć, bo natychmiast zniknął. Dystans ostatnich piętnastu metrów stanowił najgorszy koszmar w życiu Mercera. Ból w jego ciele był nie do zniesienia. Płuca paliły go żywym ogniem, ręce miał jak z ołowiu, a słona woda sprawiła, że oczy zrobiły mu się wąskie jak szparki. Skupił się, szukając ostatnich resztek sił. Niewiele ich już zostało, ale nie przestawał płynąć, trzymając Walerego obok siebie. Brzęczenie silnika tratwy ratunkowej stawało się coraz głośniejsze, żaden z nich jednak nie odważył się spojrzeć do tyłu.

Nagle wpadli w spokojną plamę oleju, który wylał Eddie. Łopaty śmigłowca głośno furczały, zmagając się z wiatrem. Mercer i Walery przepłynęli ostatnie metry tylko siłą woli. Rosjanin wrzucił przez otwarte drzwi aktówkę ojca i gwałtownie chwytając powietrze, złapał się rozpaczliwie bocznego wspornika śmigłowca.

Mercer wrzucił go do środka maszyny i spojrział przez ramię. Łódź ratunkowa znajdowała się zaledwie dwadzieścia metrów od nich i zbliżała się w zastraszająco szybkim tempie. Mercer wiedział, że nie zdoła wspiąć się do wnętrza maszyny przed przybyciem Rosjan.

– Każ pilotowi startować! – krzyknął i odepchnął się od śmigłowca.

Nie widział Walerego. Przypuszczał, że chłopak stracił przytomność zaraz po tym, jak znalazł się w śmigłowcu. Mylił się jednak. Walery pojawił się w luku z karabinem maszynowym w mocno zaciśniętych rękach. Bez zastanowienia posłał długą serię prosto w łódź. Wraz ze świstem kul noc przesyły krzyki

rannych ludzi. Gdy magazynek był pusty, Rosjanin wyciągnął karabin do Mercera.

Geolog chwycił za lufę i podciągnął się do luku śmigłowca. Złapał wyciągnięte ramię Walerego i chłopak wciągnął go na pokład maszyny. Mercer nie próbował nawet odetchnąć, złapał tylko za słuchawki z mikrofonem i krzyknął:

– Ruszaj Eddie, do cholery! W górę!

Dopiero gdy helikopter poderwał się z wody i skierował ku Hawajom, Mercer opadł na podłogę ładowni. Oczy zaszczyły mu mgłą, płuca konwulsyjnie chwyciły powietrze. Walery przycupnął obok niego, wyczerpany nadmiarem wrażeń i adrenaliny.

– Ojciec opowiadał mi, że wiele lat temu stał i patrzył, jak ktoś właśnie tak ostrzeliwuje łódź ratunkową. Powiedział, że ci ludzie zginęli za chwałę Rosji, chociaż nie byli Rosjanami. Dziś ja zrobiłem to samo. Po co?

Miałeś najlepszy powód na świecie – stęknął Mercer. – Ratowałeś własną dupę.

Podniósł się i powoli zaczął iść w kierunku otwartych drzwi ładowni, chłostany wiatrem i deszczem. Zamknął luk i powrócił do Walerego.

– Powiedz mi coś. Na pewno nie wysyłałeś mi tego telegramu?

– Oczywiście.

– A to ciekawe – zdziwił się Mercer i zemdłał.

ARLINGTON W STANIE WIRGINIA

Mercer siedział w odległym zakamarku U Tiny'ego i powoli obracał palcami szklaneczkę wódki z tonikiem, tak że kostki lodu delikatnie postukiwały o ścianki naczynia. Upił nieco i postawił szklanekę na odrapanym blacie stolika. Jego ruchy były powolne i celowe. Trzy tygodnie minęły, odkąd Eddie Rice wodował awaryjnie na Pacyfiku niemal sto mil od Hawajów. Całe ciało miał poobijane i obolałe. W czasie uderzenia o wodę Mercer złamał nogę, a twarz Eddiego zmieniła się w mieszaninę sińców i ran szarpanych. Pilot śmigłowca ciągle leżał w szpitalu marynarki wojennej w Pearl Harbor. Walery Borodin wyszedł z kolizji bez szwanku.

Mercer odwrócił głowę i rozejrzał się po sali. Oprócz niego było jeszcze czterech lub pięciu klientów, kierowców z pobliskiej firmy transportowej. Na ich tle Mercer, bez czapeczki baseballowej i papierosa, bardzo rzucał się w oczy. Przez okna wpadło do środka bursztynowe światło; słońce zaczęło chować się za pochmurnym horyzontem.

Mercer przebywał w Waszyngtonie akurat tyle, by wbić przezroczystą pinezkę w wiszącą na ścianie mapę, zadzwonić do Dicka Henny, umówić się na to spotkanie U Tiny'ego i wypić kilka głębszych.

Wysączył ostatnie krople drinka i dał Tiny'emu znak ręką, że prosi o drugi. Trzy poprzednie już zaczynały mozolną wędrówkę po jego ciele, przytępiając ból nadwerżonych stawów i mięśni.

Richard Henna wszedł do środka w chwili, gdy Tiny stawiał przed Mercerem kolejną szklankę. Miał na sobie ciemny garnitur i krawat, oczy skrywał za ciemnymi okularami, jakie na każdym filmie noszą agenci FBI. Mercer wstał powoli i wspierając się jedną ręką o stół, czekał, aż Henna przemierzy salę i podejdzie do stolika.

– Widzę, że żyjesz i masz się całkiem nieźle. – Szef FBI ucisnął dłoń Mercera i obaj mężczyźni usiedli.

Henna zdjął okulary i uważnym spojrzeniem obrzucił obokurkie pomieszczenie. Wyraz jego twarzy przedstawiał mniej więcej to, co mina Mercera na widok toalety miejskiej w Istambule.

– Przecudne miejsce tu macie – powiedział z sarkazmem.

– Ma swoje uroki. – Mercer uśmiechnął się. – Rozcieńczają piwo burbonem.

– Wolę szkocką.

– Tiny, podaj szkocką z... – Popatrzył na Henne, unosząc pytająco brwi.

– Czystą.

– Szkocką ze szkocką.

– A więc opowiadaj: gdzie się podziewałeś, odkąd marynarka wyłowiła cię z oceanu?

Eksplozje, które zatopiły statek „John Dory”, zostały usłyszane przez sonar na pokładzie USS „Jacksonville”, łodzi pod-

wodnej klasy Los Angeles, która płynęła jako osłona lotniskowca „Kitty Hawk”. To ona właśnie miała wystrzelić w rodzący się wulkan pocisk Tomahawk wyposażony w głowicę nuklearną. Łódź błyskawicznie popłynęła w rejon, skąd dochodziły odgłosy wybuchów, i tam natknęła się na tonący śmigłowiec oraz jego trzech pasażerów. Po godzinnej kłótni z kapitanem, radiotelefonicznej rozmowie z naczelnym dowódcą floty Pacyfiku i w końcu interwencji u admirała Morrisona, „Jacksonville” przerwał misję i skierował się ku Hawajom.

– Dopiero dziś po południu wróciłem z Hawajów.

– Odrobina odpoczynku i relaksu?

– Bardziej dochodzenia do siebie i zbierania informacji.

Henna pomyślał, że lepiej nie naciskać Mercera, żeby wyjaśnił, o co chodzi.

– Jak się czujesz?

– Nieźle. Wczoraj zdjęli mi gips z nogi i jeśli nie będę chciał śpiewać w operze, zebra też będą szybko w porządku.

Henna uśmiechnął się i podziękował Tiny’emu za przyniesiony alkohol.

– Już wiem, czemu ta buda tak się nazywa.

– Był dzokejem – wyjaśnił Mercer. – Co się teraz dzieje na Hawajach?

– Powinieneś wiedzieć lepiej ode mnie.

– Ja byłem na północy, na wysepce Kauai, w pobliżu miasteczka Hanalei, odcięty od wszystkiego i od wszystkich. Jedyne wiadomości wysłuchałem dopiero w czasie lotu do Waszyngtonu, a i wtedy nie za bardzo się wsłuchiwałem.

– A więc opowiem ci co nieco. – Henna zdjął marynarkę i przewiesił ją przez oparcie ławy. – Ludność stanu, cholera tam, cały kraj, wszyscy przeżyli szok gdy powiedzieliśmy im, co tak naprawdę się wydarzyło. Prezydent postanowił ujawnić całą prawdę, od Ohnishiego, przez Kerikowa, aż po bikinium. Walery Borodin wziął udział w zorganizowanej w Pearl Harbor konferencji prasowej, by potwierdzić słowa prezydenta. CIA wygrzebała z archiwum stare zdjęcia Evada Lurbuda, by porównać je ze zwłokami znalezionymi w domu Kenjiego. Dwóch grabarzy musiało bardzo się postarać, by po tym, co przeszedł, choć trochę przypominał człowieka. Rosjanie zaprzeczają, że mieli jakąkolwiek wiedzę na temat operacji o kryptonimie „Kuznia Wulkana”, ale przyznali, że podejrzewali Iwana Kerikowa o działania na własną rękę, poza kontrolą rządu.

– Powiedziacie: „podejrzewali”. Facet jest trupem?

– Nie, Kerikow zniknął. Był w Tajlandii, potem pojawił się w Szwajcarii, ale tam urywa się trop. Rozpłynął się w powietrzu. Rosjanie szukają go teraz tak samo jak CIA i Interpol. Wyplynie gdzieś.

– Nie liczyłbym na to. Skoro potrafił zorganizować taką operację i niemal zakończyć ją sukcesem, bez trudu zniknie na zawsze.

– Może masz rację, nie wiem. – Henna wolno pokiwał głową. – Pamiętaj jednak, że szukają go Koreańscy, pewnie mocno wkurzeni.

– Udało wam się ustalić, jaki udział mieli w tym wszystkim Koreańscy?

– Nie udało się zidentyfikować żadnego z ciał z domu Ohnishiego, ale facet znaleziony w pobliżu pomieszczeń ogrodnika na posesji Kenjiego to wnuk Waya Hue Donga, jednego z siedmiu najbogatszych ludzi na świecie. Stary musiał maczać w tym paluchy, bo na drugi dzień po wyciągnięciu was z oceanu w pobliżu wulkanu podpłynęła mała flotylla statków, z których jeden miał na wyposażeniu specjalny czerpak odporny na wysokie temperatury. Wszystkie jednostki należały do jednej z firm Waya. Wierzę, byli bardzo zdziwieni, widząc lotniskowiec amerykańskiej marynarki wojennej i sześć statków osłony. Way już złożył skargę w Międzynarodowym Trybunale Sprawiedliwości w Hadze, ale nie ma szans, by wydrzeć nam bikinium. Jeśli chodzi o same Hawaje, zamieszki trwały jeszcze jedną noc po waszej akcji, ale to wszystko. Bez Ohnishiego i Koreańczyków, którzy podburzali tłumy, ludzie stracili zapał do walki i po prostu rozeszli się do domów. Obaj hawajscy senatorowie złożyli dymisje z powodów zdrowotnych, do wyboru jednak mieli albo to, albo oskarżenie o zdradę. Prezydent ułaskawił inne osoby zaangażowane w tę sprawę i wysłał specjalny zespół, który ma rozpatrywać wszelkie zasadne żądania pokrzywdzonych mieszkańców. Wolał zamieść oczywiste akty przemocy pod dywan niż przez następne miesiące emocjonować społeczeństwo procesami sądowymi. W sumie podczas zamieszek zginęło około trzystu osób. Prezydent chce przeznaczyć pewne fundusze na próbę zlikwidowania napięć na tle rasowym. Programy edukacyjne, rozwój miast i tak dalej. Rozruchy w Los Angeles i ostatni kryzys sprawiły, że ludzie w końcu się opamiętali. Stare powiedzenie, że gdy będziemy

razem, to przetrwamy, a podzieleni zginiemy, o mało się nie sprawdziło. Bardzo wielu ludzi naprawdę się wystraszyło i teraz będą próbować coś z tym zrobić. Koncyliacyjne nastroje w Kongresie sprawiają, że prezydent dostanie takie fundusze, jakich potrzebuje.

– Za pomocą ustaw i poprawek budżetowych nie zmienicie poglądów ludzi – wtrącił Mercer.

– Trzydzieści lat temu lekarze reklamowali korzyści płynące z palenia papierosów – odparował Henna.

– Fakt.

– Trochę to potrwa, ale w końcu weszliśmy na właściwą drogę. Nikt nie chce takich konfliktów etnicznych, jakie rozdierają Europę albo byłe republiki radzieckie. Od ponad dwustu lat jesteśmy społeczeństwem wielorasowym i nie pozwolimy, by stało się inaczej. Ameryka słynie z tego, że zawsze wydobywa się z kryzysu, nawet wtedy, gdy niemal wszystko wydaje się stracone. Teraz też nam się uda.

– Mam nadzieję, że się nie mylisz.

Henna pociągnął spory łyk szkockiej.

– Walery Borodin bada z naszymi ludźmi wulkan. Analizują fragmenty, które już wynurzyły się z oceanu, i chcą ustalić, gdzie będzie można zacząć wydobywanie bikiunium. Zdaje się, że doktor Talbot jest razem z nim.

– Jest na pewno. Prezydent wyświadczył mi przysługę i załatwił przerzucenie jej tam dwa tygodnie temu. Rozmawiałem z nią wczoraj przez telefon, tuż przed powrotem do Waszyng-

tonu. Rozbudzili w sobie na nowo gorące uczucia i zaczynają przebąkiwać o małżeństwie.

Na twarzy Henny pojawił się uśmieszek.

To trochę zabawne. Byłeś głównym bohaterem tej operacji. Myślałem, że według zwyczaju to bohater bierze na końcu dziewczynę.

Gdy będą kręcić o tym serial, dopilnuję, żeby zmienili zakończenie – roześmiał się Mercer.

– Nie myśl, że odejdziesz z pustymi rękami. – Henna wyciągnął z kieszeni marynarki mały pęk kluczy i rzucił je Mercerowi.

– A to co?

Kluczyki do nowego czarnego jaguara cabrio SJX. Skórzane fotele, komórka, odtwarzacz CD i zamontowane na specjalne zamówienie turbodoładowanie. To najmniej, ile mogliśmy dla ciebie zrobić.

Mercer popatrzył na kluczyki i uśmiechnął się zgryźliwie.

– Po tym, jak z dziesięć razy prawie mnie zastrzelono, o mało nie rozgniótł mnie pociąg, niemal utonąłem, dostałem łomot, rozbiłem się helikopterem w oceanie i o mały włos nie wyparowałem w wybuchu atomowym, kupno nowego samochodu to faktycznie najmniej, ile mogliście dla mnie zrobić.

Henna wiedział, że to żarty, dlatego zaśmiał się i pokręcił głową.

– Wóz stoi zaparkowany pod twoim domem. Są dwie rzeczy, które musisz mi wyjaśnić: skąd wiedziałeś, że należy iść do domu Kenjiego, a nie Ohnishiego? I w jaki sposób, do cholery,

namierzyłeś tę ruską łódź, skoro nawet eksperci z NSA nie mogli tego zrobić?

Mercer uśmiechnął się chytrze.

– Znalezienie okrętu okazało się łatwe. Zdjęcia w podczerwieni pokazywały klasyczny wulkan tarczowy z dużą liczbą małych kominów otaczających główny krater. Z tej odległości obraz termalny powinien być żółty lub pomarańczowy, czyli chłodniejszy z powodu wody. Ta biała kropka nie mogła być naturalnym kominem, tylko czymś, co zbudował człowiek. Na przykład reaktorem atomowym na pokładzie łodzi podwodnej, płynącej w pobliżu powierzchni.

Henna był pod wrażeniem.

– A Kenji?

– Przeczucie, ale graniczące z pewnością. Parę lat temu pracowałem dla firmy Ohnishi w Tennessee jako konsultant. Ohnishi Minerals interesowała się nabyciem praw do eksploatacji opuszczonej kopalni należącej do Tennessee Valley Authority. Prace wydobywcze w takich miejscach są niebezpieczne z uwagi na stopień korozji stempli podtrzymujących strop. Często dochodzi do zawalenia się chodników, ale zyski z wydobycia mogą być astronomiczne, jeśli taką kopalnię uda się kupić w miarę tanio. TVA nie chciała zezwolić na zwykłą eksploatację w takich warunkach ze względu na problemy z wykupieniem ubezpieczenia. Poprosili mnie o wykonanie oceny wytrzymałości mechanicznej stempli, bo w opuszczonych kopalniach, przy których do tej pory pracowałem, nigdy nie dochodziło do zawalenia. Po otrzymaniu mojej analizy TVA ciągle nie miała

ochoty na odstąpienie praw, ale Ohnishi Minerals w końcu dopięła swego. Ohnishi przekupił urzędników, wydał setki tysięcy dolarów na najlepszych prawników i w końcu otworzył własne, fikcyjne towarzystwo ubezpieczeniowe, żeby załatwić sprawy ubezpieczenia. Nie do końca to zgodne z prawem, ale amerykańskie prawo górnicze jest w tych kwestiach tak nieprecyzyjne, że uszło mu to na sucho. Dyrektorem wykonawczym Ohnishi Minerals był wtedy Daniel Tanaka, facet, z którym miałem zajęcia doktoranckie na Penn State. Gdy jego ekipa otwierała kopalnię, spotkałem się z nim i powiedziałem, że zaniżyłem pewne liczby dotyczące wytrzymałości stempli w chodnikach. Nie miałem wątpliwości, że Ohnishi będzie kazał im wydobywać więcej węgla, niż to określały normy bezpieczeństwa. Obydwaj wiedzieliśmy, że uratowałem życie jego ludziom, więc był mi winien przysługę. Zadzwoiłem do niego tuż przed wyprawą na Hawaje i dowiedziałem się, że Ohnishi nie orientował się w szczegółach przejmowania praw do tamtej kopalni. Wszelkimi półlegalnymi i nielegalnymi działaniami zajmował się jego pomocnik Kenji. Doszedłem do wniosku, że gdy Kerikow skontaktował się z Ohnishim w sprawie bikinium, to właśnie Kenjiemu zlecił opracowanie szczegółów operacji. To on, a nie jego szef był głównym rozgrywającym w tej historii. Na miejscu okazało się, że z Kenjim współpracowali także Koreańczycy. Idealny prowokator, działał na wszystkie fronty. Pracował dla Koreańczyków przeciwko Ohnishiemu i Kerikowowi. O ile można się zorientować w ich działaniach, to Kenji zdradził Ohnishiego z pomocą Koreańczyków, a Ohnishi zdradził Kerikowa, który

z kolei sprzedał go także Koreańczykom. Gdzieś po drodze Koreańczycy wystawili do wiatru Kerikowa, sprzymierzając się z Kenjim. Chyba tak to wyglądało, ale całkowitej pewności nie mam. Najważniejsze, że Ohnishi i Kenji nie żyją. Kerikow się ukrywa, a cwani Koreańczycy zostali z niczym.

– My doszliśmy do mniej więcej takich samych wniosków – zgodził się Henna.

Do baru wtoczył się Harry White. Z jego ust zwisał niemal do końca wypalony papieros. Usiadł za barem, zgarbiony, w pozycji, którą z Mercerem nazywali „łajzą barową” i pociągnął spory łyk whisky.

– Trudno uwierzyć, że wszystko zaczęło się ponad czterdzieści lat temu od nic nieznaczącego zatopienia pewnego rudowca.

– Gdybyś był na tym statku, nie byłoby to tak nic nieznacząc – odparł Mercer, ciągle wpatrując się w Harry’ego.

– Wiesz, o co mi chodzi. Załoga „Grandam Phoenixa” zginęła, nie wiedząc, że zapoczątkowali spisek, który po latach miał niemalże rozdrzeć cały naród.

– Nie bądź taki pewien – powiedział cicho Mercer, po czym zawołał do Harry’ego: – No, co jest, wracam z dalekiej wyprawy i nie słyszę żadnych sarkastycznych komentarzy?

Harry wstał ociężale ze stołka i popatrzył na obu mężczyzn.

– Widzę, że gadasz z facetem w garniturku. Skarbowka pewnie dorwała cię w końcu za przekręty podatkowe. Pomyślałem sobie, że najlepiej będzie nie zbliżać się do ciebie.

Mercer roześmiał się gdy Harry usiadł na ławie obok Henny.

– Poznaj Richarda Henneę, szefa Federalnego Biura Śledczego – powiedział Mercer przeciągając sylaby. – A to Ralph Michael Linc, były kapitan rudowca „Grandam Phoenix”.

Przez resztę swojego życia Mercer już nigdy nie ujrzy takiego zdumienia jak to, które pojawiło się na twarzach Henny i Harry’ego. Obu dosłownie opadły szczęki i patrzyli na Mercera kompletnie nic nierozumiejącym wzrokiem. Gdyby powiedział, że jest drugim Jezusem Chrystusem, ich reakcja na pewno byłaby bardziej przeciętna.

Nim któryś z nich odzyskał głos, Mercer zaczął wyjaśniać.

– Gdy wyszedłem ze szpitala w Pearl Harbor, udałem się na Kauai, bo jest to duża wyspa najbliższa nowego wulkanu. Miałem nadzieję, że dowiem się, czy po katastrofie statku w 1954 roku uratowano jakichś rozbitków. Odszukałem pewną dziarską kobietę, Mae Turner, i ta pamiętała kapitana Ralpha Linca, którego w cztery dni po zatonięciu statku wyrzuciły na brzeg fale oceanu. W czasie ataku rekina stracił nogę.

Harry podświadomie potarł zdrową stopą o protezę przypiętą tuż pod kolanem okaleczonej nogi.

– Pani Turner pielęgnowała go podczas rekonwalescencji, ale potem już nigdy więcej o nim nie słyszała.

– Jak się domyśliłeś, że to byłem ja? – zapytał cicho Harry.

– To przez telegram, który wplątał mnie w tę całą historię. Telegram od nieżyjącego ojca Tish. Z początku nie miałem pojęcia, kto go wysłał, ale gdy dowiedziałem się, że Walery Borodin i Tish kochali się, doszedłem do wniosku, że to jego sprawka. On jednak zaprzeczył. Zastanawiałem się, kto jeszcze mógł chcieć,

bym zaangażował się tę sprawę i kto wiedział, że Jack Talbot był moim przyjacielem. Wtedy przypomniałem sobie, że dzień przed otrzymaniem telegramu z Dżakarty rozmawiałem z tobą. Mówiłem ci wtedy, że Jack pracuje w Indonezji, i zastanawiałem się, czy wic, że jego córka została ranna. Byłeś jedyną osobą, która знаła moje przypuszczenia co do miejsca jego pobytu. Zacząłem rozmyślać o motywie, o tym, dlaczego miałbyś chcieć, żebym się zajął tą sprawą. Doszedłem do wniosku, że musiałeś być członkiem załogi tego rudowca. Mae Tumer potwierdziła moje podejrzenia. Jedyne, czego nie rozgryzłem, to jak udało ci się wysłać telegram z Dżakarty.

– Zupełnie prosto. Od 1954 roku nie pływam, ale ciągle znam marynarzy na całym świecie. Po prostu zadzwoniłem do przyjaciela, który znał kogoś w Indonezji i poprosił go o wysłanie tego telegramu.

– Dlaczego? – zapytał cicho Henna.

– Zawarliśmy umowę z tymi skurwielami. Mieliśmy zatopić statek, żeby mogli dostać ubezpieczenie. Mieli nas podjąć z wody. Zamiast tego ostrzelali nas z broni maszynowej. Wytłukli całą moją załogę. Sam oberwałem dwie kulki i traciłem przytomność. Gdy się ocknąłem, trzymałem się przewróconej do góry dnem łodzi, a wielki rekin robił sobie ze mnie podwieczorek. Wciągnąłem się na łódź. Przy życiu utrzymywała mnie tylko nienawiść. W ten sposób dotarłem do brzegów Hawajów. Gdy Mae podkurowała mnie trochę, zacząłem szukać tych sukinsynów. Wtedy to zmieniłem imię i nazwisko na Harry'ego White'a, żeby nie dowiedzieli się, że ktoś się uratował z tej rzezi. Szukałem ich

dwadzieścia lat, ale nie wpadłem na ich trop. Za każdym razem, gdy w okolicy Hawajów znikał statek, sprawdzałem go. Niektóre katastrofy miały swoje przyczyny, znajdowano przewrócone przez sztorm jachty, i takie tam, ale wiedziałem, że wiele innych spowodowali ludzie, którzy wymordowali moich chłopaków. Nigdy jednak nie znalazłem związku między tamtymi statkami a moim. Po dwudziestu latach poddałem się i sprowadziłem się tu, do Waszyngtonu. Poczujęm gorycz porażki. Później zatonał ten statek NOAA i pomyślałem sobie, że może po tylu latach doczekam się zemsty. Rząd na pewno zająłby się tą sprawą i znalazł jakiś klucz do katastrof w tamtym rejonie. Myślałem nawet, że może będę mógł jakoś pomóc, ale gdzie tam przecież zaraz będę miał osiemdziesiątkę na karku. Kto by jeszcze chciał mnie wysłuchać? – Zwrócił się do Mercera. – Gdy powiedziałaś, że córka twojego przyjaciela została uratowana z tego statku, zrozumiałem, co to jest przeznaczenie. Zadzwoiłem do przyjaciela, który kazał swojemu kumpłowi wysłać z Indonezji telegram do twojego biura. Miałem nadzieję, że w ten sposób, dzięki tobie, pomszczę swoją załogę. Posłuchaj, źle zrobiłem, angażując cię w to wszystko, ale nie mogłem się powstrzymać. Przepraszam.

Z kamienną miną Mercer patrzył przez długą chwilę na przyjaciela.

– Mam ci mówić Harry czy Ralph?

– Jestem Harrym White'em dłużej, niż byłem Ralphem Lincem – odparł ponuro były kapitan.

– A więc, Harry, od tej pory, gdy będziesz chciał się napić u mnie whisky, weź ją ze sobą, bo ja nie piję tego świństwa.

– Mercer uśmiechnął się szeroko, wyciągnął rękę i poklepał Harry’ego po ramieniu.

Harry o mało się nie rozplakał.

– Dzięki, Mercer. Dzięki, że w końcu pomściłeś moich chłopców, którzy zginęli tamtej nocy. I dzięki za zrozumienie.

– Następnym razem, gdy przyjdzie mi za ciebie walczyć – upomniał go kpiąco Mercer – upewnij się, że nie będę miał do czynienia z KGB, dobra? – Podniósł się. – A teraz wybaczenie, panowie, ale muszę odebrać z lotniska swoją prywatną pielęgniarkę. Niestety, nie dostała biletu na ten sam lot co ja.

– Prywatna pielęgniarka? – zapytali jednocześnie Dick i Harry.

– No, może nie tyle pielęgniarka, ile fizjoterapeutka. Producent dał jej tydzień wolnego więcej i mam zamiar spędzić go w przyjemnym motelu niedaleko Annapolis. Chyba jednak myliłeś się, Dick. Bohater w końcu zdobywa dziewczynę.

Mercer opuścił bar, nim którykolwiek z mężczyzn otworzył usta, żeby mu odpowiedzieć. Miał tylko pół godziny, by dojechać do lotniska i odebrać stamtąd Jill Tzu. Potem jeszcze godzina jazdy do motelu i w końcu pewna część jego ciała doczeka się terapii.

CHANIA, KRETA

Nadmorskie miasto Chania, dawne centrum potężnego, weneckiego imperium handlowego, jest świadectwem wpływów, jakie na ten rejon wywierał jego ówczesny renesansowy protektor. Choć w Chanii na próżno szukać kanałów, z których słynie Wenecja, to i tak zabudowa miasta może wprowadzić w błąd najbardziej wytrawnego podróżnika. A przecież to nie Półwysep Apeniński, tylko największa z greckich wysp. Bryza znad spokojnego Morza Egejskiego wypełnia świeżością uliczki kurortu, mijając po drodze kamienną latarnię morską i nakryty kopułą meczet, pamiątkę po okupacji tureckiej. Ciasna zabudowa portu sprawia, że człowiek siedzący w jednej z licznych nadbrzeżnych kawiarenek czuje się jak u siebie, pomimo tysięcy turystów spacerujących w tę i z powrotem i wciskających się w każdy, najmniejszy nawet zakamarek miasta.

Chania leży niecałe siedemdziesiąt kilometrów na zachód od stolicy Krety, z którą łączy ją nowa autostrada; wzdłuż niej rozciągają się piękne plaże i luksusowe kompleksy mieszkalne, gdzie przebywa wielu Niemców i Skandynawów, pragnących uciec przed mroźną zimą. Jako, że na Chanię wciąż docierają tłumy turystów, nikt nie zwrócił uwagi na kolejnego przybysza, który, siedząc przy stoliczku na zewnątrz jednej z kawiarenek,

sączył powoli szklaneczkę szkockiej i obserwował turystów wydających pieniądze na dziesiątki pamiątek z pobytu na Krecie.

Mężczyzna ubrany był w płócienne beżowe spodnie i jedwabną koszulkę polo. Jego stopy okrywały miękkie skórzane mokasyny. Gdyby turyści zechcieli chociaż na niego spojrzeć, zapewne uznaliby, że jest to kolejny bogaty Niemiec uciekający przed znojem codziennego życia. Myliliby się jednak bardzo.

Iwan Kerikow wybrał Chaninę po długich i żmudnych przemyśleniach. Wiedział, że ścigają go agenci KGB i CIA, a także, co ważniejsze, ochrona Waya Donga, więc z jego kryjówki musiało istnieć kilka dróg ucieczki. Ciągła wymiana turystów w Chanii gwarantowała niemal całkowitą anonimowość, a surowe wnętrza wyspy zapewniało tysiące bezpiecznych miejsc schronienia. Gdyby sytuacja stawała się rozpaczliwa, od Libii dzielił go tylko dziesięciogodzinny rejs łodzią.

Kerikow skinął na kelnera i zamówił kolejną szkocką, po czym rozparł się wygodnie na stalowym krześle z miękkim, obitym materiałem siedziskiem. Nie było chyba lepszego miejsca, gdzie mógłby usiąść spokojnie i czekać bez obaw, że w każdej chwili może zostać wykryty, i jednocześnie cieszyć się urokami cywilizacji.

Zanim wyleciał z Zurychu, opróżnił kilka należących do KGB kont, na których gromadzono środki dla agentów działających na Zachodzie. Miał wystarczająco dużo pieniędzy, by spokojnie przeżyć co najmniej rok.

Kelner przyniósł zamówiony alkohol i Kerikow podziękował mu mruknięciem.

Rok wystarczy, by zrobić użytek z informacji ukrytych w sejfie jednego z ateńskich banków. Informacja ta, wykradziona z archiwów Departamentu 7., była warta miliony dla kupca, pragnącego rzucić Amerykę na kolana.

|<